

TYTUŁY ROKU 2002

Kingsley Amis

Martyn Bedford Jonathan Carroll

John Fowles Barry Gifford

Ken Grimwood Kathryn Harrison

Elia Kazan

N. H. Kleinbaum Tim Krabbé

Mario Vargas Llosa

David Lodge Deborah Moggach

Katherine Neville Eliot Pattison Annie Proulx Francine Prose Elwood Reid David

Schickler Thomas Wharton William Wharton Jeanette Winterson

\$ALAMAN>KA

* / LIGA WALKI ZE ŚMIERCIĄ TE OMYLNE UCZUCIA JIM SZCZĘŚCIARZ

REPETYCJE BIAŁE JABŁKA CYLINDER HEIDELBERGA MANTISSA

DZIKOŚĆ SERCA WAKACJE SAILORA POCAŁUNEK CONSUELO

POWTÓRKA

KRZESŁO DO KRĘPOWANIA

TYSIĄC DRZEWEK POMARAŃCZOWYCH

OBNAŻONA

MORDERCY

AKTY MIŁOŚCI

AMERYKA, AMERYKA

STOWARZYSZENIE UMARŁYCH POETÓW

ZNIKNIĘCIE

JASKINIA

HISTORIA ALEJANDRA MAYTY PANTALEON I WIZYT ANTKI MYŚLAĆ...

DUBLERKA

TULIPANOWA GORĄCZKA ÓSEMKA

MANTRA CZASZKI KRONIKI PORTOWE BŁĘKITNY ANIOŁ BIAŁE NOCE

POCAŁUNKI NA MANHATTANIE

SALAMANDRA

NIE USTAWAJ W BIEGU

KSIĘGA MOCY

NAMIĘTNOŚĆ

PŁEĆ WIŚNI

Ken Grimwood POWTÓRKA

Przełożyła Zuzanna Naczyńska

DOM WYDAWNICZY REBIS POZNAŃ 2002

Tytuł oryginału Replay

Copyright © 1986 by Ken Grimwood All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań.2002

Redaktor Katarzyna Raźniewska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki Lucyna Talejko-Kwiatkowska

Fotografia na okładce Piotr Chojnacki

Wydanie I

ISBN 83-7301-195-1

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań tel. 867-47-08, 867-81-40; fax 867-37-74 e-mail: rebis@rebis.com.pl www.rebis.com.pl

Skład f=>l<=&; Gdańsk, tel./fax (0-58) 347-64-44 Druk i oprawa: Opolgraf SA

Jeff Winston umarł, rozmawiając przez telefon z żoną.

- Powinniśmy... - powiedziała, ale nie usłyszał już, co takiego powinni, bo poczuł na piersi jakiś ciężar, który pozbawił go tchu. Słuchawka wypadła mu z dłoni i wyszczerbiła szklany przycisk do papieru stojący na biurku.

Zaledwie tydzień wcześniej powiedziała coś podobnego, zapytała: „Wiesz, co powinniśmy zrobić, Jeff?” i zapadło milczenie - nie nieskończone, nie ostateczne jak ta śmiertelna cisza, ale wyraźne. Siedział przy kuchennym stole, w „kąciku śniadaniowym”, jak lubiła go nazywać Linda, choć nie była to żadna wydzielona przestrzeń, po prostu mały stolik z blatem z laminatu i dwa krzesła wciśnięte między lewy bok lodówki i przód suszarki do prania. Mówiąc te słowa, Linda siekała cebulę i

może to łzy w kąciakach jej oczu pobudziły go do myślenia, nadały jej pytaniu większą od zamierzonej wagę.

- Wiesz, co powinniśmy zrobić, Jeff?

A on powinien był zapytać: „Co, kochanie?”, powinien był to powiedzieć nieuważnie i obojętnie, bo czytał w magazynie „Time” artykuł Hugh Sideya o prezydenturze. Ale Jeff uważał; wywody Sideya nic go nie obchodziły. Nawet więcej - nie był tak skupiony i baczny od bardzo, bardzo dawna. Więc przez dłuższą chwilę nie mówił nic; wpatrywał się tylko w fałszywe łzy w oczach Lindy i myślał o tym, co powinni zrobić, on i ona.

Po pierwsze, powinni wyjechać, powinni wsiąść w samolot i polecieć gdzieś, gdzie jest ciepło i zielono - na przykład na Jamajkę albo na Barbados. Nie mieli prawdziwych wakacji od czasu tej długo planowanej, lecz niezbyt udanej wycieczki po Europie przed pięciu laty. Jeff nie liczył ich corocznych wyjazdów na Florydę, do jego rodziców w Orlando i rodziny Lindy w Boca Raton; było to odwiedzanie coraz bardziej oddalającej się prze-

szłości, tylko tyle. Powinni spędzić tydzień, miesiąc, na jakiejś dekadensko egzotycznej wyspie: w dzień miłość na bezkresnych, pustych plażach, a w nocy dźwięki reggae unoszące się w powietrzu niczym zapach jaskrawoczerwonych kwiatów.

Byłoby również miło mieć porządny dom, może jedną z tych starych rezydencji przy Upper Mountain Road w Montclair, obok których przejeżdżali w tyle melancholijnych niedziel. Albo dwu-nastopokojową willę w stylu Tudorów przy Ridgeway Avenue w White Plains, niedaleko pól golfowych. Nie, żeby chciał zacząć grać w golfa; po prostu sądził, że te leniwe połacie zieleni o nazwach w rodzaju Mapie Moor i Westchester Hills stanowiłyby przyjemniejsze otoczenie niż dojazd do Brooklyn-Queens Expressway i droga startowa lotniska LaGuardia.

Powinni też mieć dziecko, choć Linda odczuwała zapewne jego brak jeszcze bardziej boleśnie niż on. Jeff zawsze wyobrażał sobie ich nie narodzonego potomka w wieku ośmiu lat, kiedy nie wymagałby już takiej opieki jak we wczesnym dzieciństwie, ale nie przeżywałby jeszcze mąk okresu dojrzewania. Dobre dziecko, nie nazbyt słodkie

czy przedwcześnie rozwinięte. Chłopiec, dziewczynka, nieważne; po prostu dziecko, ich wspólne dziecko, które zadawałoby śmieszne pytania, siadało za blisko telewizora i objawiało przebłyski swej kształtującej się osobowości.

Ale nie doczekają się dziecka; wiedzieli, że jest to niemożliwe, od lat, od pozamacicznej ciąży Lindy w 1975. Nie kupią też domu w Montclair ani w White Plains. Stanowisko dyrektora działu wiadomości, jakie Jeff zajmował w nowojorskim radiu informacyjnym WFYI, nie było wcale tak prestiżowe ani tak lukratywne, jak się wydawało. Może mógłby jeszcze awansować do telewizji; ale mając czterdzieści trzy lata, stopniowo tracił na to szanse.

Powinniśmy, powinniśmy... porozmawiać, pomyślał. Spojrzeć sobie prosto w oczy i powiedzieć: nie wyszło nam. Nic nam nie wyszło z miłości, z namiętności, ze wspaniałych planów. Spaliły na panewce i nie było w tym niczyjej winy. Po prostu tak się stało.

Oczywiście nigdy tego nie zrobią. Był to główny element porażki, to, że rzadko mówili o swoich głębszych potrzebach,

8

U

w

nigdy nie wspominali o rozdzierającym poczuciu niespełnienia, które zawsze stało między nimi.

Linda otarła nic nie znaczącą cebulową łzę wierzchem dłoni.

- Słyszałeś mnie, Jeff?
- Tak, słyszałem.
- Powinniśmy - podjęła, patrząc w jego stronę, ale niezupełnie na niego - kupić nową zasłone prysznicową.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa taki właśnie poziom potrzeb chciała wyrazić przez telefon, zanim zaczął umierać, „...skosić trawnik”, tak pewnie zakończyłoby zdanie, albo „zapłacić za prąd”.

Dlaczego jednak, na litość boską, myślał o czymś takim? Przecież umierał; czyjego ostatnie myśli nie powinny być głębsze, bardziej filozoficzne? Albo może powinien

zobaczyć migawki z najważniejszych wydarzeń swego życia, czterdzieści trzy lata na Betascanie. Tego właśnie doświadczają ludzie, kiedy toną, prawda?

Czuję się, jakbym tonął, pomyślał, gdy mijały rozciągnięte sekundy: ten okropny ucisk, ta beznadziejna walka o oddech, wilgoć oblepiająca ciało, słony pot spływający z czoła i kłujący w oczy.

Tonięcie. Umieranie. Nie, do cholery, to było nierealne słowo, słowo odnoszące się do kwiatów albo zwierząt, albo innych ludzi. Starych ludzi, chorych ludzi. Ludzi, którzy mieli pecha.

Głowa Jeffa opadła na biurko, prawy policzek rozpląszczył się na segregatorze, który miał zamiar przestudiować, gdy zadzwoniła Linda. Szczerba w przycisku do papieru rozwarła się przed jego otwartym okiem jak przepaść, jak pęknięcie samego świata, poszarpane lustro przeszywającej agonii w jego wnętrzu. Przez stłuczone szkło widział świecące czerwone cyfry elektronicznego zegara stojącego na półce z książkami:

13:06 18 PAŹ 1988

A potem nie musiał się już bronić przed żadnymi myślami, ponieważ ustał sam proces myślenia.

Jeff nie mógł oddychać.

nigdy nie wspominali o rozdzierającym poczuciu niespełnienia, które zawsze stało między nimi.

Linda otarła nic nie znaczącą cebulową łzę wierzchem dłoni.

- Słyszałeś mnie, Jeff?
- Tak, słyszałem.
- Powinniśmy - podjęła, patrząc w jego stronę, ale niezupełnie na niego - kupić nową zasłonę prysznicową.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa taki właśnie poziom potrzeb chciała wyrazić przez telefon, zanim zaczął umierać, „...skosić trawnik”, tak pewnie zakończyłoby zdanie, albo „zapłacić za prąd”.

Dlaczego jednak, na litość boską, myślał o czymś takim? Przecież umierał; czyjego ostatnie myśli nie powinny być głębsze, bardziej filozoficzne? Albo może powinien

zobaczyć migawki z najważniejszych wydarzeń swego życia, czterdzieści trzy lata na Betascanie. Tego właśnie doświadczają ludzie, kiedy toną, prawda?

Czuję się, jakbym tonął, pomyślał, gdy mijały rozciągnięte sekundy: ten okropny ucisk, ta beznadziejna walka o oddech, wilgoć oblepiająca ciało, słony pot spływający z czoła i kłujący w oczy.

Tonięcie. Umieranie. Nie, do cholery, to było nierealne słowo, słowo odnoszące się do kwiatów albo zwierząt, albo innych ludzi. Starych ludzi, chorych ludzi. Ludzi, którzy mieli pecha.

Głowa Jeffa opadła na biurko, prawy policzek rozpląszczył się na segregatorze, który miał zamiar przestudiować, gdy zadzwoniła Linda. Szczęka w przycisku do papieru rozwarła się przed jego otwartym okiem jak przepaść, jak pęknięcie samego świata, poszarpane lustro przeszywającej agonii w jego wnętrzu. Przez stłuczone szkło widział świecące czerwone cyfry elektronicznego zegara stojącego na półce z książkami:

13:06 18 PAŹ 1988

A potem nie musiał się już bronić przed żadnymi myślami, ponieważ ustał sam proces myślenia.

Jeff nie mógł oddychać.

9

Oczywiście, że nie mógł oddychać; był martwy.

Ale skoro był martwy, dlaczego miał świadomość, że nie może oddychać? Dlaczego miał jakąkolwiek świadomość?

Odwrócił głowę od sfałdowanej kołdry i zaczerpnął powietrza. Stęchłego, wilgotnego powietrza, przesyconego zapachem jego własnego potu.

Więc nie umarł. O dziwo, to odkrycie wcale go nie ucieszyło, podobnie jak wcześniejsze przeczucie śmierci nie wywołało przerażenia.

Może w głębi duszy był rad, że nadszedł kres jego życia. A teraz to życie będzie się toczyło jak przedtem: niezadowolenie, bolesna utrata ambicji i nadziei, powody lub skutki porażki jego małżeństwa, nie pamiętał już kolejności.

Odsunął kołdrę z twarzy i wyplątał nogi ze zmiętych prześcieradeł. Gdzieś w tym

ciemnym pomieszczeniu grała muzyka, ledwo słyszalna. Stary przebój Da Doo Ron Ron jednej z tych dziewczęcych grup Phila Spectora.

Całkowicie zdezorientowany, zaczął po omacku szukać kontaktu. Albo był w szpitalu, gdzie dochodził do siebie po tym, co się stało w biurze, albo obudził się w domu z gorszego niż zwykle snu. Wymacał nocną lampkę, włączył ją. Znajdował się w jakimś małym, nieporządnym pokoju, gdzie ubrania i książki rozrzucone były po podłodze i ułożone byle jak na dwóch stojących obok siebie biurkach i krzesłach. Ani szpital, ani sypialnia jego i Lindy, skądś jednak znał ten pokój.

Z dużej fotografii przyklejonej do jednej ze ścian patrzyła na niego naga, uśmiechnięta kobieta. Rozkładówka „Playboya”, i to klasyczna. Piersiasta brunetka leżała skromnie na brzuchu na nadmuchiwym materacu na pokładzie jachtu, do relingu przywiązane było jej czerwone bikini w białe grochy. W swej wesołej marynarskiej czapce, ze starannie uczesanymi i spryskanymi lakierem włosami, bardzo przypominała młodą Jackie Kennedy.

Inne ściany były udekorowane w równie staroświeckim, młodzieńczym stylu: plakaty z walk byków, duże zdjęcie czerwonego jaguara XK-E, okładka starej płyty Dave'a Brubecka. Nad jednym z biurek wisiał czerwono-biało-niebieski transparent z ułożonym z gwiazd i pasków napisem „PIEPRZYĆ KO-

10

MUNIZM”. Jeff uśmiechnął się, gdy go zobaczył; zamówił sobie dokładnie taki sam w obrazoburczym szmatławcu Paula Kras-snera, „The Realist”, kiedy był w college'u, kiedy...

Gwałtownie usiadł na łóżku, czując w uszach pulsowanie krwi.

Pamiętał, że wygięty korpus starej lampy z biurka stojącego bliżej drzwi zawsze odpadał od podstawy, kiedy ją przesuwiał. A na dywaniku przy łóżku Martina była wielka krwistoczerwona plama - tak, tutaj - od czasu, kiedy Jeff przemycił na górę Judy Gordon, a ona zaczęła tańczyć po całym pokoju do muzyki Driftersów i przewróciła butelkę Chianti.

Lekkie oszołomienie, które Jeff czuł po przebudzeniu, ustąpiło miejsca totalnej

konsternacji. Odrzucił kołdrę, wstał z łóżka i podszedł chwiejnym krokiem do jednego z biurków. Do swojego biurka. Przebiegł wzrokiem tytuły leżących na nim książek: Wzory kultury, Dojrzewanie na Samoa, Populacje statystyczne. Socjologia 101. Doktor... jak się nazywał? Danforth, Sanborn? W dużym, wilgotnym starym gmachu na drugim końcu kampusu, o ósmej rano; zawsze jadł śniadanie dopiero po zajęciach. Wziął do ręki książkę Benedict, przekartkował ją; liczne fragmenty były grubo podkreślone, w notatkach na marginesach rozpoznał własny charakter pisma.

- Były to The Crystals, przebój tygodnia stacji WQXI! Następny utwór zagramy dla Bobby'ego z Marietty, od Carol i Pauli. Te ładne dziewczyny chcą, aby Bobby wiedział, że jak śpiewają The Chiffons, He's Sooo Fine...

Jeff wyłączył radio i starł z czoła warstwę potu. Z zakłopotaniem spostrzegł, że ma pełną erekcję. Kiedy ostatni raz tak stwardniał, nawet nie myśląc o seksie? W porządku, czas wykombinować, co tu jest grane. Ktoś musiał mu zrobić wyjątkowo wyszukany kawał, ale nie znał nikogo, kto bawił się w takie rzeczy. Poza tym, czy ktoś zadałby sobie tyle trudu? Te książki z notatkami wyrzucił wiele lat temu, nikt nie mógłby ich odtworzyć tak dokładnie.

Na jego biurku leżał „Newsweek” z artykułem o ustąpieniu zachodnioniemieckiego kanclerza Konrada Adenauera. Miał datę 6 maja 1963. Jeff utkwiał w niej wzrok, z nadzieją, że przyjdzie mu do głowy jakieś racjonalne wytłumaczenie tego wszystkiego.

11

Nie przyszło.

Drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie i wewnętrzna gałka rąbnęła w regał. Jak zawsze.

- Hej, co tu, do diabła, robisz? Jest za piętnaście jedenasta. Przecież miałeś o dziesiątej test z literatury amerykańskiej.

Martin stał w progu, z colą w jednej ręce i plikiem podręczników w drugiej. Martin Bailey, współlokator Jeffa na pierwszym roku, jego najlepszy przyjaciel w college'u i przez kilka lat potem.

Martin, który popełnił samobójstwo w 1981 roku, tuż po swoim rozwodzie i

związanym z nim bankructwie.

- I co zrobisz? - zapytał Martin. - Dasz się oblać?

Oślupiały Jeff patrzył w milczeniu na swego dawno zmarłego przyjaciela: na jego gęste czarne włosy, które jeszcze nie zaczęły się przerzedzać, na gładką twarz, jasne młodzieńcze oczy, w których jeszcze nigdy nie malował się prawdziwy ból.

- Hej, co z tobą? Powiedz coś, Jeff.

- Nie... nie czuję się najlepiej.

Martin roześmiał się i rzucił książki na łóżko.

- Coś o tym wiem! Teraz kapuję, dlaczego ojciec mnie ostrzegał, żebym nie mieszał szkockiej i bourbona. Hej, poderwałeś wczoraj u Manuela niezłą cizię. Judy by cię zabiła, gdyby to widziała. Jak jej na imię?

- Aaa...

- Daj spokój, nie byłeś aż tak pijany. Zadzwońisz do niej?

Jeff odwrócił się w narastającej panice. Chciał powiedzieć tysiąc rzeczy, ale żadna z nich nie miałaby dla Martina więcej sensu niż ta obłąkana sytuacja dla niego.

- Co jest, stary? Wyglądasz naprawdę fatalnie.

- Muszę wyjść na dwór. Zaczepnąć trochę powietrza.

Martin ze zdumienia zmarszczył brwi.

- Chyba masz rację.

Jeff chwycił spodnie khaki rzucone niedbale na krzesło stojące przy jego biurku, a potem otworzył szafę obok łóżka i znalazł w niej kolorową bawełnianą koszulę oraz sztruksową marynarkę.

- Zajrzyj do gabinetu lekarskiego - odezwał się Martin. - Powiedz, że złapałeś grypę. Może Garrett pozwoli ci napisać ten test później.

12

- Tak, jasne.

Jeff ubrał się pospiesznie, włożył skórzane mokasyny. Był bliski zapowietrzenia i zmuszał się, aby oddychać powoli.

- Nie zapomnij, że idziemy dziś na Ptaki. Paula i Judy będą na nas czekać o

siódmej u Dooleya. Najpierw coś zjemy.

- Dobrze. Na razie.

Jeff wyszedł na korytarz, zamknął za sobą drzwi. Znalazł schody i zbiegł trzy kondygnacje w dół. Rzucił zdawkowe „Cześć!”, gdy jeden z młodych ludzi, których mijał, zawołał go po imieniu.

Hall wyglądał tak, jak go pamiętał: sala telewizyjna z prawej strony, teraz pusta, ale zawsze zatłoczona, gdy pokazywano jakiś mecz albo start rakiety kosmicznej; grupka dziewcząt chichoczących między sobą, czekających na swoich chłopców u podnóża schodów, na które nie wolno im było wchodzić; automaty z colą naprzeciwko tablicy informacyjnej, na której studenci wieszali ogłoszenia o kupnie lub sprzedaży aut i książek, poszukiwaniu mieszkań, wolnych miejscach w samochodach na podróż do Macon, do Savannah albo na Florydę.

Na zewnątrz kwitnące drzewa dereniowe zalewały campus różowo-białą poświatą, która dawała się odbijać od śnieżnobiałego marmuru dostojnych pseudoklasycznych gmachów. Bez wątplenia było to Emory: rezultat wyteżonych wysiłków Południa, aby stworzyć własny uniwersytet w klasycznym stylu Ivy League. Zamierzona ponadczasowość architektury zbijała z tropu. Biegąc przez dziedziniec, obok biblioteki i budynku Prawa, Jeff pomyślał, że równie dobrze może być rok 1988 jak 1963. Nie znajdował żadnych jasnych wskazówek, nie dostarczały mu ich nawet stroje i krótkie włosy studentów, którzy spacerowali po alejkach i leżeli na rozległych trawnikach. Moda młodzieżowa lat osiemdziesiątych, pomijając postapokaliptyczny styl punk, była praktycznie nie do odróżnienia od mody z jego czasów studenckich. Boże, lata, które spędził w tym kampusie, marzenia, które się tu narodziły i nigdy nie spełniły... Ten mały mostek prowadzący do szkoły kościelnej; ile razy wystawał na nim z Judy Gordon? A tam, pod gmachem Psychologii, podczas trzeciego roku studiów niemal codziennie umawiał się na lunch z Gail

13

Benson: jego pierwsza i ostatnia prawdziwie bliska platonicz-na przyjaźń z kobietą. Dlaczego nie wyniósł więcej ze znajomości z Gail? Jak to się stało, że fala życia zniosła go tak daleko, pod tyłoma różnymi względami, od planów i aspiracji

zrodzonych wśród krzepiącego spokoju tych zielonych trawników, tych szlachetnych budowli?

Jeff przebiegł ponad milę do głównej bramy campusu, lecz o dziwo nie miał zadyszki. Stał na niskim pagórku pod Glenn Memorial Church, patrząc w dół na North Decatur Road i Emory Village, małą dzielnicę handlową, która obsługiwała campus.

Rzędy sklepów z ubraniami i księgarń wyglądały mniej więcej znajomo. Zwłaszcza jeden lokal, Horton's Drugs, wywołał falę wspomnień: Jeff widział oczami duszy stojaki z prasą, długi biały kontuar, przegrody z kanapami z czerwonej skóry, każda z własną, stereofoniczną szafą grającą. Widział świeżą, młodą twarz Judy Gordon po drugiej stronie stolika, czuł zapach jej czystych blond włosów.

Potrząsnął głową i skupił się na widoku, jaki miał przed sobą. Znowu nie mógł orzec na pewno, który jest rok; nie odwiedził Atlanty od czasu konferencji Associated Press w 1983, zatytułowanej „Terroryzm i media”, a w Emory był po raz ostatni... Jezu, pewnie rok albo dwa po skończeniu studiów. Nie miał pojęcia, czy wszystkie te sklepy nadal tam są, czy też zastąpiły je wyższe budynki, może centrum handlowe. Samochody, to mogła być wskazówka; teraz, gdy zwrócił na nie uwagę, uświadomił sobie, że nie widzi na ulicy ani jednego nissana czy toyoty. Wyłącznie starsze marki, w większości wielkie, nieekonomiczne maszyny z Detroit. A „starsze”, stwierdził, nie oznaczało, że pochodzą tylko z początku lat sześćdziesiątych. W dole przejeżdżało mnóstwo landar pamiętających głębokie lata pięćdziesiąte; naturalnie w roku 1963 byłoby na ulicach równie dużo sześć- i ośmioletnich samochodów jak w 1988.

Wciąż jednak nic rozstrzygającego, pomyślał. Zaczynał się nawet zastanawiać, czy to krótkie spotkanie z Martinem w akademiku nie było po prostu niezwykle realistycznym snem, z którego się nagle obudził. Ale teraz na pewno nie spał i był w Atlan-

14

cie. Może się zalał, próbując zapomnieć o ponurym koszmarze, jakim stało się jego życie, i przyleciał tutaj w nocy pod wpływem jakiegoś nostalgicznego impulsu.

Przewaga starych samochodów mogła być przypadkowa. Za chwilę ktoś przejedzie

jednym z tych małych japońskich pudełek, do których widoku tak przywykł.

Był prosty sposób, aby to wyjaśnić raz na zawsze. Jeff zbiegł ze wzgórza do postoju taksówek przy Decatur Road i wsiadł do pierwszego z trzech niebiesko-białych wozów. Kierowca był młody, może jeszcze studiował.

- Dokąd, panie kolego?
- Hotel Peachtree Plaza - powiedział Jeff.
- Jaki hotel?
- Peachtree Plaza, w centrum.
- Chyba go nie znam. Ma pan adres?

Chryste, ci dzisiejsi taksówkarze. Czy nie zdają żadnego egzaminu ze znajomości miasta?

- Wie pan, gdzie jest Regency? Hyatt House?
- Tak, jasne. Tam chce pan jechać?
- Mniej więcej.
- W porządku, panie kolego.

Taksówkarz pojechał kawałek na południe i skręcił w prawo, w aleję Ponce De Leon. Jeff sięgnął do kieszeni, uświadomiwszy sobie nagle, że w tych obcych spodniach może nie mieć pieniędzy, ale znalazł jakiś zniszczony brązowy portfel, nie swój. W środku na szczęście były pieniądze - dwie dwudziestki, piątka i kilka jednodolarówek - więc nie musiał się martwić, jak zapłaci za kurs. Zwróci forszę właścicielowi, kiedy będzie mu oddawał portfel, razem z tymi starymi ciuchami, które pożyczył... gdzie? Od kogo?

Szukając odpowiedzi, rozchylił jedną z małych przegródek portfela. Była tam legitymacja studencka z Uniwersytetu Emory na nazwisko Jeffrey L. Winston. Karta biblioteczna z Emory, również na jego nazwisko. Kwit z pralni chemicznej przy Decatur. Złożona serwetka z dziewczęcym imieniem, Cindy, i numerem telefonu. Zdjęcie jego rodziców stojących przed starym domem w Orlando, tym, w którym mieszkali, zanim ojciec tak ciężko zachorował. Kolorowa fotka Judy Gordon, roześmianej

*

i rzucającej śnieżkę; jej boleśnie młodą i radosną twarz okalał biały futrzany kołnierz postawiony dla ochrony przed zimnem. I prawo jazdy, wydane na Florydzie Jeffreyowi Lamarowi Win-stonowi, ważne do 27 lutego 1965 roku.

Jeff siedział sam przy stoliku dla dwóch osób w mającym kształt latającego spodka barze Polaris na szczycie hotelu Hyatt Regency i patrzył, jak zubożała panorama Atlanty przesuwa się obok niego co czterdzieści pięć minut. Taksówkarz nie był jednak ignorantem: siedemdziesięciopiętrowy cylinder hotelu Peachtree Plaża nie istniał. Nie istniały też wieże Omni International, szary kamienny masyw Georgia Pacific Building ani wielkie czarne pudło Equitable. Najwyższym budynkiem w centrum Atlanty był Hyatt Regency z jego słynnym, kopiowanym przez innych architektów atrium. Krótka rozmowa z kelnerką wyjaśniła mu, że hotel jest nowy i jedyny w swoim rodzaju.

Najtrudniejszy był moment, kiedy Jeff spojrział w wiszące za barem lustro. Zrobił to celowo, doskonale już wiedząc, co zobaczy, ale mimo to przeżył wstrząs na widok swego bladego, chudego osiemnastoletniego odbicia.

Obiektywnie rzecz biorąc, chłopak w lustrze wyglądał na więcej niż osiemnaście lat; bez problemu kupował alkohol, tak jak przed chwilą. Jeff zdawał sobie jednak sprawę, że to tylko złudzenie wywołane jego wzrostem i głęboko osadzonymi oczami. Dla niego obraz w lustrze przedstawiał niedoświadczonego i nie wiedzącego, co to ból, smarkacza.

I tym smarkaczem był on sam. Nie we wspomnieniach, ale tutaj i teraz: te gładkie dłonie, w których trzymał szklanekę, te uporczywie skupione oczy, którymi patrzył.

- Jeszcze raz to samo, skarbie?

Kelnerka obdarzyła go ładnym uśmiechem; miała jaskra-woczerwone usta, mocno umalowane oczy i staroświeckie uczesanie w kształcie ula. Ubrana była w „futurystyczny” kostium, mieniącą się niebieską sukienkę mini - za dwa, trzy lata będą takie nosić dziewczyny na całym świecie.

Za dwa, trzy lata od teraz. Od wczesnych lat sześćdziesiątych.

Jezu Chryste.

16

i rzucającej śnieżkę; jej boleśnie młodą i radosną twarz okalał biały futrzany kołnierz postawiony dla ochrony przed zimnem. I prawo jazdy, wydane na Florydzie Jeffreyowi Lamarowi Win-stonowi, ważne do 27 lutego 1965 roku.

Jeff siedział sam przy stoliku dla dwóch osób w mającym kształt latającego spodka barze Polaris na szczycie hotelu Hyatt Regency i patrzył, jak zubożała panorama Atlanty przesuwa się obok niego co czterdzieści pięć minut. Taksówkarz nie był jednak ignorantem: siedemdziesięciopiętrowy cylinder hotelu Peachtree Plaża nie istniał. Nie istniały też wieże Omni International, szary kamienny masyw Georgia Pacific Building ani wielkie czarne pudło Equitable. Najwyższym budynkiem w centrum Atlanty był Hyatt Regency z jego słynnym, kopiowanym przez innych architektów atrium. Krótka rozmowa z kelnerką wyjaśniła mu, że hotel jest nowy i jedyny w swoim rodzaju.

Najtrudniejszy był moment, kiedy Jeff spojrział w wiszące za barem lustro. Zrobił to celowo, doskonale już wiedząc, co zobaczy, ale mimo to przeżył wstrząs na widok swego bladego, chudego osiemnastoletniego odbicia.

Obiektywnie rzecz biorąc, chłopak w lustrze wyglądał na więcej niż osiemnaście lat; bez problemu kupował alkohol, tak jak przed chwilą. Jeff zdawał sobie jednak sprawę, że to tylko złudzenie wywołane jego wzrostem i głęboko osadzonymi oczami. Dla niego obraz w lustrze przedstawiał niedoświadczonego i nie wiedzącego, co to ból, smarkacza.

I tym smarkaczem był on sam. Nie we wspomnieniach, ale tutaj i teraz: te gładkie dłonie, w których trzymał szklanekę, te uporczywie skupione oczy, którymi patrzył.

- Jeszcze raz to samo, skarbie?

Kelnerka obdarzyła go ładnym uśmiechem; miała jaskra-woczerwone usta, mocno umalowane oczy i staroświeckie uczesanie w kształcie ula. Ubrana była w „futurystyczny” kostium, mieniającą się niebieską sukienkę mini - za dwa, trzy lata będą takie nosić dziewczyny na całym świecie.

Za dwa, trzy lata od teraz. Od wczesnych lat sześćdziesiątych.

Jezu Chryste.

16

Nie mógł dłużej zaprzeczać temu, co się stało, nie mógł się już łudzić, że to racjonalnie wyjaśni. Umierał na atak serca, ale przeżył; był w swoim biurze w 1988 roku, a teraz znajdował się... tutaj. W Atlancie, w roku 1963.

Bezskutecznie szukał w głowie jakiegoś wytłumaczenia, czegoś, co miałyby chociaż odrobinę sensu. Jako nastolatek czytał sporo science fiction, ale jego obecna sytuacja nie przypominała książkowych podróży w czasie. Nie było żadnej maszyny, żadnego naukowca, szalonego lub nie; i w przeciwieństwie do bohaterów opowieści, które niegdyś tak łapczywie pochłaniał, nie przeniósł się w przeszłość ciałem.

Najwyraźniej tylko jego umysł przeskoczył lata i wymazał wcześniejszą świadomość, zamieszkał w jego osiemnastoletnim mózgu, w zregenerowanym ciele. Czy uniknął śmierci, czy tylko się z nią rozminął? Czy w jakimś alternatywnym strumieniu czasu przyszłego jego trup leży w nowojorskiej kostnicy, krojony skalpelem patologa?

Może jest w śpiączce: beznadzieja przekształcona w fikcyjne nowe życie na żądanie zniszczonego, umierającego umysłu. A jednak, a jednak...

- Skarbie? - powtórzyła kelnerka. - Dolać ci czy nie?
- Poproszę tylko kawę, jeśli można.
- Jasne. Może kawę po irlandzku?
- Nie, zwykłą. Z odrobiną śmietanki, bez cukru.

Dziewczyna z przeszłości przyniosła mu kawę i Jeff popatrzył na rozproszone światła na wpół zbudowanego miasta zapalające się pod pociemniałym niebem. Słońce zniknęło za czerwoną gliną wzgórz, które ciągnęły się w stronę Alabamy, w stronę lat chaotycznych i radykalnych zmian, lat tragedii i marzeń.

Gorąca kawa sparzyła mu wargi, więc ochłodził je łykiem lodowatej wody. Świat za tymi oknami nie był sennym marzeniem; był równie materialny jak niewinny, równie rzeczywisty jak ślepo optymistyczny.

Wiosna 1963.

Mógł dokonać tylu wyborów.

Jeff spędził resztę wieczoru, spacerując po centrum Atlanty, z oczami i uszami wyczulonymi na wszelkie niuanse powtórzonej przeszłości: tabliczki „Biali” i „Kolorowi” na publicznych toaletach, kobiety w kapeluszach i rękawiczkach, plakat w oknie biura podróży reklamujący rejs Queen Mary do Europy, papieros w ręku niemal każdego mężczyzny, którego mijał. Zgłodniał dopiero po jedenastej i wszedł na hamburgera i piwo do małej knajpki koło Five Points. Zdawało mu się, że mgliście pamięta ten przeciętny bar sprzed dwudziestu pięciu lat jako lokal, do którego wpadał czasem z Judy, żeby coś przekąsić po kinie; ale był już tak skołowany, tak wyczerpany nie kończącym się zalewem nowych/starych widoków i miejsc, że nie miał pewności. Każda wystawa sklepowa, każda twarz ulicznego przechodnia wydawały mu się niepokojąco znajome, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie może pamiętać wszystkiego, co widzi. Stracił zdolność odróżniania fałszywych wspomnień od tych, które były bez wątplenia prawdziwe.

Rozpaczliwie pragnął pójść spać, na jakiś czas odciąć się od tego wszystkiego; może, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, obudzi się w świecie, który opuścił? Marzył mu się anonimowy, pozaczasowy pokój w hotelu bez widoku na zmienioną panoramę miasta, bez radia i telewizora, które by mu przypominały, co się stało; nie miał jednak dość pieniędzy ani, oczywiście, kart kredytowych. Jeśli nie chciał nocować w parku Piedmont, musiał wrócić na Emory, do akademika. Może Martin będzie już spał.

Niestety. Współlokator Jeffa nie spał i siedział przy biurku, kartkując „High Fidelity”. Kiedy Jeff wszedł do pokoju, spokojnie podniósł głowę i odłożył pismo.

- No więc - odezwał się Martin. - Gdzie, do diabła, byłeś?

18

wt*_

w tMMi

- W centrum. Tak się włóczyłem.

- I nie mogłeś się przywlec do Dooleya? Albo chociaż prosto do Foxa?

Czekaliśmy na ciebie tak długo, że omal się nie spóźniliśmy na ten cholerny film.

- Przepraszam. Nie miałem nastroju na kino. Nie dzisiaj.

- Mogłeś mi chociaż zostawić pieprzoną kartkę. Nawet nie zadzwoniłeś do Judy, na litość boską. Szalała z niepokoju, że coś ci się stało.

- Posłuchaj, jestem wykończony. Nie chce mi się gadać, w porządku?

Martin roześmiał się ironicznie.

- Oby chciało ci się gadać jutro, bo jak nie, to więcej nie zobaczysz Judy. Będzie wkurzona jak diabli, kiedy się dowie, że nie umarłeś.

Jeff śnił o umieraniu i obudził się ponownie w pokoju w akademiku. Nic się nie zmieniło. Martin wyszedł, pewnie na jakiś wykład; ale jest sobota rano, przypomniał sobie. Czy w sobotę mieli wykłady? Nie był pewien.

W każdym razie był w pokoju sam i skorzystał z tej sposobności, aby na chybił trafił pogrzebać w swoim biurku i szafie. Wszystkie książki były mu znane: Ocalić Nowy Jork, Jak wybieraliśmy prezydenta -1960, Podróże z Charleyem. Płyty gramofonowe, w nowych, niewyblakłych i niepogiętych okładkach, obudziły sto multizmysłowych wspomnień dni i nocy, które spędził, słuchając tej muzyki: Stan Getz i Joao Gilberto, Kingston Trio, Jimmy Witherspoon i dziesiątki innych albumów, z których większość dawno zgubił albo zdarł.

Włączył wieżę marki Harman-Kardon, którą dostał od rodziców na Gwiazdkę, nastawił Desafinado i wrócił do przetrząsania swojego młodzieńczego dobytku: spodnie h.i.s. z mankietami i sportowe kurtki Botany 500 na wieszakach, puchar z turnieju tenisowego w szkole z internatem pod Richmond, dokąd uczęszczał przed Emory, owinięty w bibułki zbiór kieliszków Hurricane kupionych u Pata O'Briena w Nowym Orleanie, równiutkie stopy „Playboya” i „Rogue'a”.

Znalazł pudełko z listami i zdjęciami, wyciągnął je i usiadł na łóżku, aby przejrzeć zawartość. Były tam jego fotografie

19

z dzieciństwa, fotki dziewcząt, których imion nie mógł sobie przypomnieć, kilka pasków zdjęć zrobionych dla żartu w automacie... i mały album rodzinny: jego rodzice i młodsza siostra na pikniku, na plaży, wokół bożonarodzeniowej choinki. Pod wpływem impulsu wygrzebał z kieszeni garść monet, znalazł w korytarzu automat telefoniczny i dowiedział się o dawno zapomniany, stary numer swoich

rodziców w informacji w Orlando.

- Halo? - odezwała się jego matka, tonem, który z biegiem lat stał się jeszcze bardziej roztargniony.

- Mama?-powiedziała niepewnie.

- Jeff! - Przez chwilę jej głos był przytłumiony, bo odwróciła się od słuchawki. - Kochanie, odbierz w kuchni. To Jeff! -A potem znów czysto i wyraźnie: - Co znaczy to „mamo”? Uważasz, że jesteś za dorosły, żeby mówić „mamusiu”?

Jeff przestał się tak zwracać do matki, kiedy miał dwadzieścia parę lat.

- Jak... jak się macie? - zapytał.

- Smutno nam, odkąd wyjechałeś, wiesz o tym, ale mamy co robić. W zeszłym tygodniu byliśmy na rybach koło Titusvil-le. Ojciec złowił trzydziestofuntowego pompano. Szkoda, że nie mogę ci trochę posłać; w życiu nie jadłeś tak kruchego mięsa. Zostawiliśmy ci mnóstwo w zamrażarce, ale nie będzie takie smaczne jak świeże.

Jej słowa wywołały falę wspomnień, subtelnie ze sobą powiązanych: letnie weekendy na łodzi jego wuja na Atlantyku, jasne słońce na wyszorowanym do czysta pokładzie, gdy ciemne burzowe chmury gromadziły się na horyzoncie... zapyziałe miasteczka Titusville i Cocoa Beach przed wielką inwazją NASA... ogromna biała zamrażarka w garażu w domu, pełna steków i ryb, a nad nią półki z jego starymi komiksami i powieściami s.f. Roberta Heinleina...

- Jeff? Jesteś tam?

- Tak, przepraszam... mamusiu. Na chwilę zapomniałem, po co dzwonię.

- Kochanie, wiesz, że nie musisz mieć powodu, żeby...

Na linii rozległ się trzask i Jeff usłyszał głos ojca.

- O wilku mowa! Właśnie rozmawialiśmy o tobie, prawda, skarbie?

20

- Tak jest - potwierdziła matka Jeffa. - Raptem pięć minut temu powiedziałam, że dawno nie dzwoniłeś.

Jeff nie miał pojęcia, czy oznacza to tydzień czy miesiąc, i nie chciał pytać.

- Cześć, tato - powiedział pospiesznie. - Podobno złowiłeś rekordowego

pompano.

- Szkoda, że cię przy tym nie było. - Ojciec roześmiał się. - Bud przez cały dzień nawet nie miał brania, a Janet tylko się poparzyła od słońca. Jeszcze schodzi jej skóra i wygląda jak rozgotowana krewetka!

Jeff mgliście pamiętał, że są to imiona przyjaciół jego rodziców, ale nie potrafił skojarzyć z nimi twarzy. Uderzyło go, jak żywotni i pełni energii wydają się zarówno jego matka, jak i ojciec. Ojciec zapadł w 1982 roku na rozedmę płuc i rzadko już wychodził z domu. Z trudem mógł go sobie wyobrazić na oceanie, walczącego z potężną głębinową rybą, z pall mailem w kąciku ust wilgotnym od kropel wody. Jeśli o to chodzi, pomyślał tępo, jego rodzice są teraz prawie w jego wieku - to znaczy w wieku, w jakim był wczoraj.

- Och - odezwała się matka. - Spotkałam onegdaj Barbarę. Świetnie sobie radzi w Rollins i prosiła, żeby ci przekazać, że Cappy rozwiązał tamten problem. Barbara, jak Jeff mętnie sobie przypominał, była dziewczyną, z którą chodził w liceum; ale imię Cappy nic mu nie mówiło.

- Dzięki - mruknął. - Kiedy ją znów zobaczysz, powiedz, że bardzo mnie to cieszy.

- Nadal się spotykasz z tą małą Judy? - zapytała matka. - To jej zdjęcie, które przysłałeś, było takie urocze, nie możemy się doczekać, żeby ją poznać. Jak się miewa?

- Dobrze - odparł wymijająco, zaczynając żałować, że zadzwonił.

- Jak się spisuje chevy? - wtrącił ojciec. - Nadal tak ciągnie olej?

Jezu; Jeff nie myślał o tym starym aucie od lat.

- Z wozem wszystko w porządku, tato.

Tylko zgadywał. Nie wiedział nawet, gdzie mógł go zaparkować. Dostał tego kopącego potwora od rodziców, kiedy skończył liceum, i zajeździł go na śmierć podczas ostatniego roku na Emory.

21

- A co ze stopniami? I z tą pracą, o której nam opowiadałeś w zeszłym tygodniu? Jęczałeś, że masz z nią kłopoty. Z jakiego była przedmiotu?

- W zeszłym tygodniu? A tak, praca z... z historii. Skończyłem ją. Jeszcze nie dostałem stopnia.

- Nie, to nie była historia. Mówiłeś chyba, że to coś z literatury angielskiej.

Nagle w słuchawce odezwał się dziecięcy głos, podniecona paplanina. Jeff uświadomił sobie wstrząśnięty, że to dziecko jest jego siostrą - kobietą, która miała za sobą dwa rozwody, której córka szła właśnie do liceum. Słyszając jej dziewięcioletnią wylewność, poczuł wzruszenie. Głos siostry wydał mu się wcieleniem utraconej niewinności, czasu boleśnie obróconego przeciw sobie.

Rozmowa z rodziną zaczęła go męczyć, wprawiać w zakłopotanie i niepokój. Uciał ją, obiecując, że zadzwoni za kilka dni. Kiedy odwiesił słuchawkę, czoło miał mokre od zimnego potu, gardło wyschnięte. Zszedł do hallu, kupił w automacie colę za ćwierć dolara, wysuszył ją trzema długimi łykami. Ktoś był w pokoju telewizyjnym i oglądał serial przygodowy Sky King.

Jeff sięgnął do drugiej kieszeni, wyjął kółko z sześcioma kluczami. Jeden z nich otwierał drzwi akademika, użył go poprzedniego wieczoru, żeby dostać się do środka; trzech nie poznawał, a dwa były z pewnością kompletem General Motors do stacyjki i bagażnika.

Wyszedł na dwór, zmrużył oczy w jasnym słońcu Georgii. W kampusie czuło się weekend, charakterystyczny leniwy spokój, który Jeff natychmiast rozpoznał.

Wiedział, że w domach bractw studenckich kandydaci na członków robią wielkie porządki i wieszają dekoracje z papier-mache na sobotnie zabawy. A w Harris Hall i w nie nazwanym jeszcze nowym żeńskim akademiku dziewczęta w bermudach i sandałkach kręcą się bez celu, czekając na chłopców, którzy zabiorą je po południu na przejażdżkę do Soap Creek albo Stone Mountain. Z lewej strony dobiegały go rytmiczne komendy musztry Korpusu Szkolenia Oficerów Rezerwy Sił

Powietrznych, prowadzonej zupełnie na poważnie i bez protestów. Nikt nie grał na trawie we fris-bee, w powietrzu nie snuł się zapach marihuany. Studenci Emory nie mieli pojęcia, jakie zmiany czekają świat.

22

Rozejrzał się po parkingu przed Longstreet Hall, szukając swojego niebiesko-białego

chevroleta rocznik 1958. Nigdzie nie było go widać. Poszedł Pierce Drive, zatoczył szerokie koło Ark-wright obok Dobbs Hall i za drugą grupą męskich akademików; tam też nie było samochodu.

Idąc w stronę Clifton Road, ponownie usłyszał szczekliwe rozkazy i automatyczne odpowiedzi dolatujące z boiska KSOR. Te odgłosy o czymś mu przypomniały i skręcił w lewo, na mały mostek naprzeciwko poczty, a potem wdrapał się pod górę, mijając budynek medycznego bractwa Phi Chi. Tu kończył się teren kampusu i przecnicę dalej znalazł swój samochód. Był pierwszorocznikiem, więc plaketkę uprawniającą do parkowania w kampusie mógł dostać dopiero jesienią. Za wycieraczką znalazł mandat. Powinien był rano przestawić auto, zgodnie z godzinami wypisanymi na stojącej obok tablicy.

Kiedy usiadł za kierownicą, zalała go fala wspomnień. Spędził na tym wytartym siedzeniu setki, może nawet tysiące godzin: w kinach i restauracjach dla zmotoryzowanych z Judy, podczas wycieczek z Martinem albo innymi kolegami, albo samotnie - do Chicago, na Florydę, raz aż do Meksyku. To w tym samochodzie, a nie w jakimś pokoju w akademiku, mieszkaniu czy mieście, z chłopca stał się mężczyzną. Uprawiał w nim seks, upijał się w nim, pojechał nim na przedwczesny pogrzeb swojego ulubionego wuja, posługiwał się jego humorzystycznym, ale potężnym ośmiozaworowym silnikiem, aby wyrazić gniew, radość, przygnębienie, znudzenie, żal. Nigdy nie nadał mu imienia, sądząc, że byłoby to dziecinne; ale teraz uprzytomnił sobie, ile ten wóz dla niego znaczył, jak dogłębnie jego własna tożsamość splatała się z ekscentryczną osobowością starego chevy.

Włożył kluczyk do stacyjki, przekręcił go. Silnik raz kichnął, a potem zaskoczył. Jeff skręcił z Clifton Road w prawo, obok nie dokończonego budynku Centrum Zakaźnych Chorób. W latach osiemdziesiątych nadal nazywano go CZC, ale wtedy ten skrót oznaczał Centrum Zapobiegania Chorobom, a ośrodek słynął na całym świecie z badań nad takimi przerażającymi plagami przyszłości, jak choroba legionistów i AIDS.

Przyszłość: straszliwe epidemie; zwycięstwo i późniejszy od-

wrót rewolucji seksualnej; triumf i tragedia w kosmosie; ulice miast zaanektowane przez zaćpanych punków w skórach i łańcuchach, z postawionymi na cukier różowymi włosami; zabójcze promieniowanie na orbicie wokół skażonej, duszącej się Ziemi... Chryste, pomyślał Jeff, wzdygając się, z tego punktu widzenia mój świat wygląda jak najbardziej koszmarna science fiction. Pod wieloma względami rzeczywistość, do której przywykł, miała więcej wspólnego z filmami w rodzaju Łowcy androidów niż ze słoneczną naiwnością początku lat sześćdziesiątych. Włączył radio: trzeszczące, monofoniczne długie, na skali nawet nie było pasma UKF. Our Day Will Come, zawyli Ruby and the Romantics, i Jeff roześmiał się głośno.

Skręcił w lewo, w Briarcliff Road, przejechał bez celu przez cieniste dzielnice mieszkaniowe na zachód od kampusu. Briarcliff przeszła w Moreland Avenue, a on jechał dalej, obok parku Inmana, obok więzienia federalnego, w którym siedział kiedyś Al Capone. W pewnym momencie zniknęły miejskie znaki i znalazł się na szosie wiodącej na południe, do Macon.

Radio dotrzymywało mu towarzystwa nie kończącym się strumieniem przedbeatlesowskich przebojów: Surfin' USA, I Will Follow Him, Puff, the Magic Dragon. Śpiewał im wszystkim do wtóru, udając, że słucha jakiejś stacji retro. Mówił sobie, że wystarczy wcisnąć inny guzik, a usłyszy Springsteena albo Prin-ce'a, albo może rozgłośnię jazzową, puszczejącą z kompaktu najnowszy album Pata Metheny'ego. W końcu sygnał zanikł i Jeff przestał fantazjować. Nie mógł znaleźć w radiu nic oprócz takiej samej staroświeckiej muzyki. Nawet stacje country nie znały jeszcze Williego ani Waylona; nadawały wyłącznie szacownego Ernesta Tubbsa i Hanka Williamsa.

Pod McDonough minął przydrożny stragan z brzoskwiniami i arbuzami. Zatrzymali się z Martinem przy dokładnie takim samym straganie podczas jednej ze swoich wycieczek na Florydę, głównie z powodu długonogiej dziewczyny w białych szortach, która sprzedawała owoce. Miała wielkiego owczarka niemieckiego i po chwili bezsensownych przekomarzanek miejskich chłopaków z wiejską dziewczyną kupili od niej cały kosz brzoskwiń. Nawet nie mieli ochoty na te cholerne owoce, po

trzydziestu milach zrobiło im się niedobrze od ich zapachu i zaczęli rzucać nimi w znaki drogowe, wydając okrzyki bezmyślnej radości przy każdym trafieniu.

Kiedy to było, latem 1964 czy 1965? Za rok lub dwa lata od teraz. Według stanu na dziś, nie pojechali jeszcze z Martinem na tę wycieczkę, nie kupili tych brzoskwiń, nie zapaćkali nimi połowy znaków z ograniczeniem prędkości stąd do Valdosty. Więc co to oznaczało teraz? Jeśli nadal będzie tkwił w tej niewytłumaczalnie zrekonstruowanej przeszłości, gdy znów nadejdzie ów czerwcowy dzień, czy wybierze się na tę samą wycieczkę, będzie sobie opowiadał z Martinem te same dowcipy, będzie rzucał tymi samymi dojrzałymi brzoskwiniami w te same znaki drogowe? A jeśli nie, jeśli zdecyduje się zostać w Atlancie albo po prostu minie dziewczynę z nogami i brzoskwiniami... co z jego wspomnieniem tego epizodu? Skąd się wzięło i co się z nim stanie?

Z jednej strony wyglądało na to, że przeżywa swoje życie powtórnie, odtwarza je jak kasetę wideo; ale z drugiej najwyraźniej nie był ograniczony tym, co zdarzyło się wcześniej, w każdym razie nie do końca. O ile mógł się zorientować, okoliczności poprzedzające jego powrót do tego punktu w życiu pozostały nie zmienione - zapisał się na Emory, dzielił pokój z Martinem, wybrał te same wykłady co ćwierć wieku wcześniej - ale przez dwadzieścia cztery godziny, jakie upłynęły, odkąd się tutaj obudził, zaczął już minimalnie zbaczać ze ścieżek, którymi podążał poprzednio. Wystawienie Judy do wiatru poprzedniego wieczoru - to największa i najbardziej oczywista zmiana, chociaż w ostatecznym rozrachunku wcale nie musiała wpłynąć na ich związek. Pamiętał, że spotykali się ze sobą jeszcze tylko sześć czy osiem miesięcy, mniej więcej do Bożego Narodzenia. Judy rzuciła go dla „starszego mężczyzny”, przypomniał sobie z uśmiechem, studenta ostatniego roku wybierającego się na medycynę w Tu-lane. Jeff czuł się zraniony i przygnębiony przez kilka tygodni, po czym zainteresował się innymi dziewczynami. Przez jakiś czas chodził z chudą brunetką Margaret, potem z inną ciemnowłosą dziewczyną, której imię zaczynało się na D albo V, potem z jakąś blondynką, która potrafiła zawiązać językiem supeł na

ogonku czereśni. Lindę, kobietę, z którą się ożenił, spotkał dopiero po studiach, kiedy pracował w rozgłośni radiowej w West Palm Beach. Studiowała na uniwersytecie Florida Atlantic, poznali się na plaży w Boca Raton...

Jezu, co robi Linda w tej chwili? Była dwa lata młodsza od niego, więc musiała jeszcze chodzić do liceum, mieszkać z rodzicami. Poczul nagłe pragnienie, aby do niej zadzwonić, może pojechać dalej na południe, do Boca Raton, i zobaczyć się z nią... Nie, nie mógł tego zrobić. Byłoby to zbyt dziwne, zbyt niebezpieczne, mógłby stworzyć w ten sposób jakiś straszliwy paradoks.

Ale czy rzeczywiście? Czy naprawdę musiał się martwić o paradoksy, uważać, żeby nie zabić własnego dziadka? Może wcale nie. Nie był outsiderem blakającym się w tym czasie z obawą, że spotka siebie samego w młodszym wieku; był tym młodszym sobą, częścią materii tego świata. Tylko jego umysł pochodził z przyszłości - a przyszłość istniała tylko w jego umyśle.

Zjechał na pobocze i przez kilka minut, obejmując głowę dłońmi, rozważał implikacje tego faktu. Zastanawiał się wcześniej, czy ten powrót do przeszłości nie jest przywidzeniem. A jeśli było odwrotnie? Jeśli to cały złożony bieg następnych dwudziestu pięciu lat - wszystko od upadku Sajgonu po muzykę Nowej Fali i komputery osobiste - okazał się fikcją, która jakimś cudem zakiełkowała w jego mózgu z dnia na dzień, tutaj, w realnym świecie roku 1963, którego nigdy nie opuścił? Miało to tyle samo sensu, ile wszelkie alternatywne wytłumaczenia typu podróż w czasie, życie po śmierci czy zakrzywienie czasoprzestrzeni. A może nawet więcej.

Ponownie włączył silnik, wrócił na dwupasmową szosę US 23. Locust Grove, Jenkinsburg, Jackson... zapyziałe, senne miasteczka prowincjonalnej Georgii przesuwały się obok jak obrazy z filmu o epoce Wielkiego Kryzysu. Może właśnie to pociągało go w tej jeździe bez celu: beczasowość krajobrazu za Atlantą, całkowity brak wskazówek co do tego, który może być rok czy dekada. Zrujnowane stodoły z wielkim napisami „Jezus nas zbawi”, toporne rymowanki na resztkach tablic reklamowych kremu do golenia Burma Shave, stary Murzyn prowadzący muła... w

porównaniu z tym nawet Atlanta roku 1963 sprawiała futurystyczne wrażenie.

26

W Pope's Ferry, tuż przed Macon, zatrzymał się na rodzinnej stacji benzynowej połączonej ze sklepem. Żadnych samoobsługowych dystrybutorów, żadnej benzyny bezołowiowej; Gulf Premium po trzydzieści trzy centy za galon, zwykła po dwadzieścia siedem. Powiedział chłopakowi, który stał na zewnątrz, żeby nalał mu Premium, sprawdził olej i ewentualnie dolał dwie kwarty.

Kupił w sklepie kilka „Slim Jims”* i piwo Pabsta i przez chwilę bezskutecznie walczył z puszką, zanim dotarło do niego, że nie ma jęczyczka.

- Musisz być naprawdę spragniony, skarbie... - Stara kobieta za ladą zachichotała. - Żeby próbować ją otworzyć gołymi rękami!

Uśmiechnął się zawstydzony. Kobieta wskazała mu otwieracz wiszący na sznurku przy kasie i Jeff wybił w wieczku puszki dwa otwory w kształcie litery V. Chłopak ze stacji zawołał przez rozklekotane siatkowe drzwi sklepu:

- Wygląda na to, psze pana, że wejdą ze trzy kwarty oleju!
- W porządku, dolej tyle, ile trzeba. I sprawdź naciąg paska wentylatora, dobrze?

Jeff pociągnął długi łyk piwa, wziął ze stojaka jakieś pismo. Był w nim artykuł o nowym szale pop artu: powiększone komiksy Lichtensteina, wielkie, miękkie winylowe hamburgery Oldenburga. Dziwne, wydawało mu się, że to wszystko zdarzyło się później, w 1965 albo 1966. Czyżby znalazł niezgodność? Czyżby ten świat różnił się już nieco od tego, który, jak sądził, znał?

Musiał z kimś porozmawiać. Ale Martin obróciłby to wszystko w żart, a rodzice zaczęliby się martwić o jego zdrowie psychiczne. Może to było to, może powinien iść do psychiatry. Lekarz przynajmniej go wysłucha i dochowa tajemnicy; ale taka wizyta niosłaby ze sobą milczące założenie, że ma problemy z głową, że pragnie się wyleczyć.

Nie, nie mógł nikomu o tym opowiedzieć, nie wprost. Ale nie mógł też unikać wszystkich znajomych w obawie, że się

" Przekąska w postaci pasków suszonego mięsa (wszystkie przypisy tłumaczki).

27

zdradzi; wydawałoby się to zapewne jeszcze dziwniejsze niż jakiegokolwiek anachroniczne przejęzyczenie. A poza tym, do diabła, czuł się samotny. Nawet jeśli nie mógł wyznać prawdy, czy tego, co za prawdę uznawał, po wszystkim, co przeszedł, potrzebował jakiejś pociechy.

- Rozmieni mi to pani na telefon? - zapytał kobietę przy kasie, podając jej banknot pięciodolarowy.

- Rozmienie ci dolara, dobrze?

- Chcę zadzwonić do Atlanty.

Skinęła głową, wcisnęła klawisz kasy i wyjęła z szufladki garść monet.

- Dolar wystarczy ci aż nadto, skarbie.

Dziewczyna w recepcji Harris Hall była najwyraźniej zła, że wylosowała sobotni dyżur, i z braku innej rozrywki obserwowała rytuały swoich rówieśników. Chłodno otaksowała Jeffa wzrokiem, a kiedy zadzwoniła na górę, by powiedzieć Judy Gordon, że przyszedł, w jej głosie dźwięczało ironiczne rozbawienie. Może wiedziała, że poprzedniego wieczoru wystawił Judy do wiatru; może nawet podsłuchiwała ich rozmowę, kiedy dzwonił po południu ze stacji benzynowej koło Macon.

Enigmatyczny półśmiech recepcjonistki zbijał go z tropu, więc przeszedł do sąsiedniej świetlicy, gdzie jakaś brunetka z końskim ogonem i jej chłopak grali Heart and Soul na stojącym obok kominka starym Steinwayu. Dziewczyna uśmiechnęła się do Jeffa i pomachała mu ręką. Nie miał pojęcia, kim jest, pewnie jakąś dawno przezeń zapomnianą koleżanką Judy, ale skinął głową i odwzajemnił uśmiech. W przestronnej sali siedziało na niewygodnych kanapach jeszcze ośmiu czy dziewięciu młodych mężczyzn, każdy w pewnej odległości od pozostałych. Dwóch dzierżyło bukiety kwiatów, a jeden bombonierkę w kształcie serca. Wszyscy przybrali stoicki wyraz twarzy, który kiepsko maskował ich zapał i zdenerwowanie: zalotnicy u wrót świątyni Afrodyty, nie poddani jeszcze próbie pretendenci do łask nimf zamieszkujących tę fortecę. Wieczór randki, rok 1963.

Jeff pamiętał to uczucie aż ?a dobrze. Co więcej, spostrzegł na poły z rozbawieniem, na poły z irytacją, że nawet teraz ma dłonie spocone od napięcia.

Perlisty śmiech spłynął ze schodów do hallu. Młodzieńcy poprawili krawaty, spojrzeli na zegarki, przyglądali włosy. Dwie dziewczyny odnalazły swoich towarzyszy i wyprowadziły ich przez drzwi w pełen tajemnic wieczór.

29

Judy zjawiała się dopiero po dwudziestu minutach, z miną, która miała zapewne wyrażać lodowatą determinację. Ale Jeff widział tylko jej niewiarygodną młodzieńczość, wiosenną niedojrzałość, które wynikały nie tylko z tego, że była jeszcze nastolatką. W latach osiemdziesiątych dziewczyny - kobiety - w jej wieku tak nie wyglądały, uświadomił sobie nagle. Po prostu nie były tak młode, tak niewinne; nie były takie od czasów Janis Joplin, a już na pewno nie po Madonnie.

- Cześć - odezwała się Judy. - Tb miło, że udało ci się przyjść.

Jeff niezgrabnie wstał z kanapy, uśmiechnął się przepaszająco.

- Naprawdę mi przykro za wczoraj - powiedział. - Nie... nie czułem się najlepiej. Miałem dziwny nastrój. Nie byłbym dobrym towarzyszem.

- Mogłeś zadzwonić - stwierdziła z rozdrażnieniem.

Krzyżowała ramiona pod biustem, co podkreśliło skromne wypukłości okryte bluzką z dużym, okrągłym kołnierzykiem. Miała na sobie wzorzystą bawełnianą spódnicę i buty na niskim obcasie z paskiem wokół kostki, a przez rękę przewiesiła kaszmirowy sweterek w kolorze beżowym. Jeff poczuł mieszankę zapachów perfum Lanvin i kwiatowego szamponu, zahipnotyzowała go blond grzywka tańcząca nad jej dużymi niebieskimi oczami.

- Wiem - odparł. - Żałuję, że tego nie zrobiłem.

Twarz Judy złagodniała, kłótnia była skończona, zanim się zaczęła. Nie potrafiła się długo gniewać, przypomniał sobie Jeff.

- Przepadł ci naprawdę dobry film - powiedziała, już bez śladu pretensji w głosie. - Na początku ta dziewczyna kupuje ptaki w sklepie zoologicznym, a potem Rod Taylor udaje, że tam pracuje, i...

W drodze do samochodu streściła Jeffowi trzy czwarte fabuły. Udawał, że jej nie zna, chociaż niedawno widział Ptaki w ramach kolejnego przeglądu filmów Hitchcocka na HBO. I, oczywiście, widział je, kiedy po raz pierwszy weszły na ekrany, widział je z

Judy. Przed dwudziestu pięciu laty, w tej innej wersji swojego życia.

- ...a potem ten facet zapala cygaro na stacji benzynowej i... Nie powiem, co się dzieje dalej, bo zepsuję ci przyjemność.

30

To naprawdę przerażający film. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby go obejrzeć jeszcze raz. Albo możemy iść na Bye bye Birdie. Na co masz ochotę?

- Chybabym wolał po prostu usiąść i pogadać - odparł. -Napić się gdzieś piwa, może coś przegryźć.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się. - Moe & Joe?

- W porządku. To... przy Ponce De Leon, prawda?

Judy zmarszczyła brwi.

- Nie, tam jest Manuel. Nie mów mi, że zapomniałeś, gdzie... skręć w lewo, teraz! - Obróciła się na fotelu, posłała mu podejrzliwe spojrzenie. - Naprawdę zachowujesz się jakoś dziwnie. Czy coś się stało?

- Nic poważnego. Już ci mówiłem, nie jestem ostatnio w formie.

Rozpoznał wejście do starej studenckiej knajpki, zaparkował samochód za rogiem. W środku lokal wyglądał trochę inaczej, niż Jeff pamiętał. Wydawało mu się, że bar jest na lewo od drzwi, nie na prawo; kanapy też były jakieś inne, wyższe albo ciemniejsze, albo coś. Poprowadził Judy do stolika w głębi sali i kiedy się do niego zbliżali, jakiś mężczyzna mniej więcej w jego wieku - nie, poprawił się, mężczyzna po czterdziestce, starszy mężczyzna -po przyjacielsku klepnął go w ramię.

- Jeff, jak leci? Kim jest twoja urocza młoda znajoma?

Jeff patrzył tępo na twarz mężczyzny: okulary, szpakowata broda, szeroki uśmiech. Wyglądał trochę znajomo, ale...

- To Judy Gordon. Judy, to jest...

- Doktor Samuels - dokończyła dziewczyna. - Moja współlokatorka ma z panem literaturę średniowieczną.

- A nazywa się...?

- Paula Hawkins.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej i dwukrotnie skinął głową.

- Wspaniała studentka. Bardzo inteligentna panienska, ta Paula. Mam nadzieję, że chwali moje zajęcia?

- O tak, proszę pana - odparła Judy. - Dużo mi o panu mówiła.

- Więc może na jesieni będziemy się rozkoszować również twoim towarzystwem?

31

■

- Trudno mi powiedzieć, panie doktorze. Jeszcze nie zdecydowałam, jakie przedmioty wybiorę w przyszłym roku.

- Wpadnij do mojego gabinetu. Porozmawiamy o tym. A co do ciebie, Jeff, napisałeś tę pracę z Chaucera bardzo dobrze, ale musiałem postawić ci czwórkę, bo cytaty były niepełne. Uważaj na to w przyszłości, dobrze?

- Tak, proszę pana. Będę pamiętał.

- W porządku. Do zobaczenia na zajęciach.

Odprawił ich gestem ręki, wrócił do swojego piwa.

Kiedy doszli do stolika, Judy wsunęła się na kanapę obok Jeffa i zaczęła chichotać.

- Co cię tak rozśmieszyło?

- Nie wiesz o nim? O doktorze Samuelsie?

Jeff nie mógł sobie nawet przypomnieć nazwiska wykładowcy.

- Nie, co takiego?

- To stary zbereźnik! Podrywa wszystkie swoje studentki -w każdym razie wszystkie ładne. Paula mi opowiadała, że raz po wykładzie położył jej rękę na udzie, o tak.

Położyła swą dziewczęcą dłoń na nodze Jeffa, pogłaskała ją i uścisnęła.

- Wyobrażasz sobie? - podjęła konspiracyjnym tonem. -A jest starszy od mojego ojca. „Wpadnij do gabinetu”. Akurat! Wiem, o czym chciałby porozmawiać. Czy to nie obrzydliwe, żeby facet w jego wieku tak się zachowywał?

Jej dłoń nadal spoczywała na udzie Jeffa, cal lub dwa od jego rosnącej erekcji.

Popatrzył na jej niewinne okrągłe oczy, jej słodkie czerwone usta i nagle zapragnął, żeby zrobiła mu fella-tio, tutaj, przy stoliku. Stary zbereźnik, pomyślał, i wybuchnął

śmiechem.

- Co cię tak rozśmieszyło? - zapytała.
- Nic.
- Nie wierzysz w to, co powiedziałam o Samuelsie?
- Wierzę. Po prostu... ty, ja, to wszystko. Musiałem się roześmiać. Czego się napijesz?
- Tego, co zwykle.
- Potrójny zombi, tak?

Zaniepokojenie zniknęło z jej twarzy i roześmiała się razem z nim.

32

- Ty głuptasie. Chcę kieliszek czerwonego wina, jak zawsze. Niczego dzisiaj nie pamiętasz?

Usta Judy pod jego wargami były tak miękkie, jak sobie wyobrażał, jak pamiętał. Świeży aromat jej włosów, młodzieńcza gładkość jej skóry podniecały go w stopniu, jakiego nie czuł od wczesnego okresu znajomości z Lindą, przed ich ślubem. Okna samochodu były opuszczone i Judy opierała głowę o wyłożoną tapicerką ramę drzwi. Andy Williams śpiewał w radiu *The Days of Wine and Roses*, woń kwiatów dereni mieszała się z zapachem miękkiej, czystej skóry Judy. Zaparkowali na zadrzewionej uliczce jakąś milę od campusu; Judy wskazała mu tam drogę, kiedy wyszli z baru. Rozmowa poszła mu lepiej, niż się spodziewał. Po prostu pozwalał, aby to Judy nią kierowała, aby to ona wymieniała nazwiska, miejsca i wydarzenia. Reagował z pamięci albo korzystał z podpowiedzi, których dostarczał mu jej ton i wyraz twarzy. Popełnił tylko jedną anachroniczną pomyłkę: rozmawiali o znajomych studentach, którzy zamierzali wyprowadzić się jesienią z campusu, i Jeff powiedział, że chciałby podnająć mieszkanie w apartamentowcu. Judy nigdy nie słyszała tego słowa, ale szybko wyjaśnił, że jest to nowość z Kalifornii, coś, o czym czytał, i myślał, że może wybudują je wkrótce w Atlancie.

Z czasem Jeff się odprężył i zaczął dobrze bawić. Pomogło mu piwo, ale głównie to bliskość Judy uspokoiła jego umysł, po raz pierwszy, odkąd to wszystko się zaczęło. Chwilami łapał się na tym, że w ogóle nie myśli o swojej przyszłości/przeszłości.

Ważne było to, że żył. I czuł, że żyje.

Odgarnął jej z twarzy długie blond włosy, jeszcze raz pocałował policzki, nos i usta. Wydała cichy jęk rozkoszy i palce Jeffa powędrowały z jej piersi do górnego guzika bluzki. Odsunęła jego rękę, z powrotem na zakrytą pierś. Całowali się przez dłuższą chwilę, a potem Judy położyła dłoń na jego udzie, tak jak w barze, ale teraz przesunęła ją wyżej, aż jej delikatne palce zaczęły pieścić i ugniatać jego sztywny penis. Pogładził jej obciągnięte nylonem łydki, sięgnął pod spódnicę, aby dotknąć miękkiej skóry nad pończochami.

33

Judy gwałtownie uwolniła się z jego objęć i usiadła prosto.

- Daj mi chusteczkę - wyszeptwała.

- Co? Nie...

Wyjęła białą chustkę do nosa z kieszeni jego kurtki, gdzie wetknął ją automatycznie, gdy przed wyjściem ubierał się w te niemodne ciuchy. Jeff wyciągnął ręce, spróbował znów przytulić dziewczynę, ale mu nie pozwoliła.

- Szszsz... - zamruczała i uśmiechnęła się słodko. - Usiądź wygodnie i zamknij oczy.

Zmarszczył brwi, ale zrobił, co mu kazała. Wtedy nagle rozpięła mu spodnie i pewnym, wprawnym ruchem wyjęła na wierzch jego penisa. Zdumiony otworzył oczy. Judy wyglądała przez okno, podczas gdy jej palce poruszały się rytmicznie. Chwycił jej rękę, przytrzymał ją.

- Judy... nie.

Spojrzała na niego z niepokojem.

- Nie chcesz dzisiaj?

- Nie w ten sposób. - Delikatnie odsunął jej dłoń, poprawił się i zapiął spodnie. - Chcę ciebie. Chcę być z tobą. Ale nie tak. Moglibyśmy gdzieś pojechać, znaleźć jakiś hotel albo...

Cofnęła się na fotelu, piorunując go wzrokiem.

- O co ci chodzi? Wiesz, że nie jestem z tych!

- Chodzi mi tylko o to, że chcę, abyśmy byli razem jak ludzie, którzy się

kochają. Chcę ci dać...

- Nie musisz mi nic dawać! - Wykrzywiła twarz i Jeff zląkł się, że zacznie płakać. - Próbowałam ci ulżyć, jak to robiliśmy wcześniej, a ty nagle myślisz sobie Bóg wie co, chcesz mnie zaciągnąć do jakiegoś taniego hotelu, potraktować mnie jak... jak prostytutkę!

- Judy, na litość boską, to wcale nie jest tak. Nie rozumiesz? Chcę, żebyś ty też była szczęśliwa.

Wyjęła z torebki szminkę, ze złością przekręciła wsteczne lusterko, aby się umalować.

- Serdeczne dzięki, jestem szczęśliwa bez twoich nowości. A w każdym razie byłam, do dzisiaj.

- Przepraszam, że cokolwiek powiedziałem. Po prostu myślałem, że...

- Zatrzymaj swoje myśli dla siebie, i ręce też.

34

t#

Włączyła górną lampkę, spojrzała na swój malutki złoty zegarek.

- Nie chciałem cię zdenerwować. Możemy porozmawiać o tym jutro.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Chcę tylko wrócić do akademika, natychmiast. To znaczy, jeśli pamiętasz, jak tam dojechać.

Wysadziwszy Judy pod akademikiem, Jeff znalazł jakiś bar przy North Druid Hills Road, koło nowego centrum handlowego Lenox Square. Nie musiał się obawiać, że spotka tam kogoś z Emory: był to bar, w którym się pije, lokal dla starszych, spokojniejszych klientów szukających chwilowej ucieczki od myśli o kredytach mieszkaniowych i małżeńskiej stagnacji. Jeff czuł się tu jak u siebie, chociaż wiedział, że nie pasuje do tego miejsca wyglądem. Barman poprosił go nawet o pokazanie dokumentów i Jeff wygrzebał podrobioną legitymację, którą trzymał w tylnej przegródce portfela na takie właśnie rzadkie okazje. Mrużąc z powątpiewaniem, facet przyniósł mu podwójnego Jacka Danielsa i poszedł wyregulować obraz czarno-białego telewizora nad barem.

Jeff pociągnął długi łyk whisky, patrząc tępo na wiadomości. Kolejne zamieszki w Birmingham, Jimmy Hoffa oskarżony

0 manipulowanie ławą przysięgłych w Nashville, planowane wystrzelenie Telstara II. Pomyślał o śmierci Martina Luthera Kinga w Memphis, o tajemniczym zaginięciu Hoffy i o niebie pełnym satelitów telekomunikacyjnych, zalewających Ziemię MTV

1 powtórkami Policjantów z Miami. Nowy, wspaniały świat.

Wieczór z Judy zaczął się dosyć miło, ale ta ostatnia scena w samochodzie wprowadziła go w przygnębienie. Zapomniał, jaki sztuczny był kiedyś seks. Nie, nie zapomniał; po prostu nie uświadamiał sobie tego w pełni, nie wtedy, kiedy przeżywał te rzeczy po raz pierwszy. Ich nieuczciwość maskowała aura nowo odkrytych emocji, naiwnego, nieodpartego pożądania. To, co uważał niegdyś za cudownie erotyczne, objawiło mu się teraz w całej swej taniości nie zaciemnionej upływem czasu: szybkie obciążanko na przednim siedzeniu chevroleta z kiepską muzyką w tle.

35

Więc co, do diabła, miał zrobić? Poddać się fali? Miziać się z omdlewającą blondyneczką z epoki, w której nikt nie słyszał

0 pigułce? Chodzić na wykłady, wkuwać do egzaminów, bawić się na wiosennych balach, jakby to wszystko było dla niego nowe? Uczyć się na pamięć tablic statystycznych, które dawno wyleciały mu z głowy i które nigdy mu się nie przydały, żeby zdać Socjologię 101?

Może nie miał żadnego cholernego wyboru? Nie będzie go miał, jeśli ta niezwykła, groteskowa zmiana czasu okaże się trwała. Może naprawdę będzie musiał znowu przejść przez to wszystko, rok po bolesnym, przewidywalnym roku. Ta alternatywna rzeczywistość z każdą chwilą stawała się bardziej konkretna, bardziej obwarowana. Fałszywe było teraz jego tamto „ja”. Musiał pogodzić się z faktem, że jest studentem pierwszego roku, osiemnastolatkiem całkowicie zależnym od rodziców

1 od własnej zdolności do powtórnego zaliczenia dziesiątków akademickich przedmiotów, które teraz napępniały go lekceważeniem i bezbrzeżną nudą.

Telewizyjne wiadomości się skończyły i sprawozdawca sportowy recytował wyniki

meczów pierwszej ligi baseballu. Jeff zamówił następnego drinka i kiedy barman przyniósł mu szklanę, skupił się nagle z ostrością lasera na informacjach o wyścigach konnych.

- ...dwa niepokonane konie ze Wschodu mogą zagrozić na Churchill Downs temu kalifornijskiemu kasztankowi. Never Bend, wystawiony do Derby przez trenera Woody Stephensa, jest świeżo po wspaniałym zwycięstwie w sprawdzianie technicznym i nie przegrał w tym roku żadnej gonitwy. Stephens nie mówi wprawdzie, że liczy na zwycięstwo, ale...

Derby Kentucky. Czemu, do diabła, nie? Jeśli naprawdę przeżył następne dwadzieścia pięć lat, a nie wyobraził je sobie czy wyśnił, jedno było pewne: dysponował bogatym zasobem informacji, które mogły być bardzo, bardzo użyteczne. Nic technicznego - nie potrafiłby, na przykład, zaprojektować komputera - ale z pewnością posiadał praktyczną wiedzę, dziennikarską wiedzę, o trendach i wydarzeniach, które będą miały wpływ na społeczeństwo do połowy lat osiemdziesiątych. Mógł zarobić dużo pieniędzy, obstawiając imprezy sportowe i wybory prezy-

36

denckie. Zakładając, oczywiście, że jego wiadomości o tym, co się wydarzy przez najbliższe ćwierć wieku, okażą się konkretne i prawidłowe. Jak przekonał się wcześniej, nie musiało to być założenie bezpieczne.

- ...nie zostanie z tyłu stawki. Koniem, który może poprowadzić tę stawkę, jest No Robbery ze stajni Greentree. Był najszybszym trzylatkiem w Nowym Jorku, mila w minutę i trzydzieści cztery sekundy... i zwyciężył w Wood Memoriał tydzień po ustanowieniu tego rekordu...

Cholera, jaki koń wygrał Derby w tym roku, próbował to sobie przypomnieć. Imię Never Bend, w przeciwieństwie do No Robbery, przynajmniej coś mu mówiło; ale to nie był on.

- ...czeka je ciężka walka z zespołem Williego Shoemakera i „cudem Zachodu”, Candy Spots. Tak, proszę państwa, wyglądają faworyci. I chociaż zanosi się na emocjonującą gonitwę, kibice są zgodni - naprawdę zgodni - to Candy Spots

zdobędzie laury w tę sobotę.

Nie był to też Candy Spots. Więc jaki koń? Northern Dan-cer? A może Kauai King?

Jeff był pewien, że oba wygrały Derby; ale w którym roku?

- Barman?
- Jeszcze raz to samo?
- Nie, na razie dziękuję. Ma pan gazetę?
- Gazetę?
- Dzisiejszą, wczorajszą, nieważne.
- „Journal” czy „Constitution”?
- Wszystko jedno. Ma pan dział sportowy?
- Trochę pomazany. W przyszłym roku przyjeżdżają do nas Braves, sprawdzałem ich średnie.
- Mogę rzucić okiem?
- Jasne.

Barman sięgnął pod ladę, gdzie trzymał dodatki do koktajli, i wyciągnął zwinięty w trąbkę dział sportowy. Jeff przerzucił strony z baseballem i znalazł zapowiedź „gonitwy gonitw” w Louis-ville. Przebiegł wzrokiem listę uczestników. Byli na niej faworyci, których wymienił sprawozdawca: Candy Spots, Never Bend, No Robbery; dalej Royal Tower, Lemon Twist... nie, nie...

37

Gray Pet, Devil It Is... nigdy o nich nie słyszał... Wild Card, Rajah Noor... nie...

Bonjour, On My Honour...

Chateaugay.

Chateaugay, jedenaście do jednego.

Sprzedził chevroleta dilerowi z Briarcliff Road za sześćset dolarów. Za swoje książki, sprzęt grający i zbiór płyt dostał w komisie w centrum dwieście sześćdziesiąt. W szufladzie biurka znalazł czek i książeczkę oszczędnościową z banku w pobliżu kampusu i natychmiast wypłacił z obu kont wszystkie pieniądze oprócz dwudziestu dolarów; to dało mu jeszcze osiemset trzydzieści.

Najtrudniejszy był telefon do rodziców. Bardzo ich zaniepokoiła ta nagła prośba o

pożyczkę, a ojciec rozgniewał się, że Jeff nie chce wyjaśnić, na co potrzebuje pieniędzy. Mimo to przysłał mu kilkaset dolarów, a matka dołożyła czterysta z własnych oszczędności.

Teraz musiał zrobić zakład, duży zakład. Tylko jak? Przez chwilę myślał o tym, żeby pojechać do Louisville i postawić pieniądze bezpośrednio na torze; ale telefon do biura podróży potwierdził jego podejrzenia, że bilety na Derby są od tygodni wyprzedane.

Był też problem jego wieku. Mógł wyglądać dostatecznie dorośle, żeby zamówić alkohol w barze, ale jeśli będzie chciał postawić duże pieniądze, dokładnie go sprawdzą. Potrzebował figuranta.

- Bukmacher? Na cholere ci bukmacher, smarkaczu?

Dla Jeffa to dwudziestojednoletni Frank Maddock był „smarkaczem”; lecz w tym kontekście startujący na prawo student ostatniego roku był starszym, doświadczonym życiowo mężczyzną - i graniu tej roli wyraźnie sprawiało mu przyjemność.

- Chcę postawić - odparł Jeff.

Maddock uśmiechnął się pobłaźliwie, zapalił cygaretkę i gestem ręki poprosił o następny dzbanek piwa.

- Na co?

- Na Derby Kentucky.

- Pozbieraj zakłady w swoim akademiku. Powinieneś znaleźć sporo chętnych.

Tylko zróbcie to po cichu.

38

Straszy chłopak traktował go uprzejmie, ale z góry. Jeffa skrycie bawiła jego wyćwiczona, trochę przesadna poza świa-towca.

- Chcę postawić dosyć dużo pieniędzy.

- Tak? To znaczy ile?

W czwartkowe popołudnie było u Manuela prawie pusto, nikt nie mógł słyszeć ich rozmowy.

- Dwa tysiące trzysta dolarów - powiedział Jeff.

Maddock zmarszczył brwi.

- To kupa forsy. Wiem, że Candy Spots to pewniak, ale...
- Nie Candy Spots. Inny koń.

Maddock roześmiał się, gdy kelner postawił na zniszczonym dębowym blacie świeży dzbanek piwa.

- Śnij dalej, synu. No Robbery nie jest wart takiego ryzyka. Never Bend też. Nie w tym wyścigu.

- To moje pieniądze, Frank. Podzielimy się wygraną siedemdziesiąt do trzydziestu. Jeśli mam rację, zgarniesz gruby szmal, nie ryzykując ani centa.

Maddock nalał piwa do kufli, stopniowo, żeby się za bardzo nie spieniło.

- Mógłbym mieć przez to spore kłopoty. A wiesz, że chcę iść na prawo. Taki smarkacz jak ty, taka forsa. Skąd mam wiedzieć, że nie polecisz z płaczem do dziekana, jeśli przegrasz?

Jeff wzruszył ramionami.

- No dobrze, trochę ryzykujesz. Ale nie jestem taki. I nie zamierzam przegrać.
- Nikt nie zamierza.

W szafie grającej włączył się hałaśliwy numer, Jimmy Soul w utworze If You Wanna Be Happy. Jeff podniósł głos, żeby przekrzyczeć muzykę.

- No więc znasz jakiegoś bukmachera czy nie?

Maddock obrzucił go długim, zaciekawionym spojrzeniem.

- Siedemdziesiąt do trzydziestu?
- Tak jest.

Starszy chłopak potrząsnął głową, westchnął z rezygnacją.

- Masz tę forszę przy sobie?

Bar przy North Druid Hills Road był pełen w to sobotnie popołudnie. Kiedy Jeff wszedł do środka, z telewizora grzmiały poprzedzające wyścig reklamy: Wilkinson Sword zachwalał swój najnowszy produkt, żyłki z nierdzewnej stali.

Był bardziej zdenerwowany, niż się spodziewał. Cały plan wydawał się bezbłędny, ale jeśli coś pójdzie źle? O ile mógł się zorientować, światowe wydarzenia minionego tygodnia powtórzyły się tak, jak je pamiętał; ale ludzka pamięć była zawodna i po dwudziestu pięciu latach nie mógł mieć pewności, że tysiąc, milion spraw nie

potoczyło się inaczej niż za pierwszym razem. Zauważył już kilka drobnych różnic i, oczywiście, sam wprowadził pewne drastyczne zmiany. Ten wyścig naprawdę mógł mieć inny wynik.

Jeśli tak, straci wszystkie pieniądze, a nie podszedł w tym tygodniu do egzaminów, co poważnie zagroziło jego statusowi na uczelni. Nawet jeśli ostro weźmie się do nauki, może nie zaliczyć roku. Może wylecieć ze studiów, bez grosza przy duszy. Z Wietnamem na horyzoncie.

- Hej, Charlie - krzyknął jakiś facet. - Kolejka dla wszystkich, podwójna, zanim wyjdą z boksów!

Rozległy się chóralne wiwaty i śmiech.

- Nie za wcześnie wydajesz forszę? - spytał jeden z kolegów faceta.

- Mam wygraną w kieszeni, stary - odparł fundator. - W cholernej kieszeni!

Na ekranie telewizora konie zamykano w boksach startowych: niespokojne, rozsierdzone uwięzieniem, rwały się do biegu, jak je wyszkolono.

- Wszystko może się zdarzyć, Jimbo. Na tym polegają wyścigi.

Barman rozlał podwójne drinki, które nieznajomy postawił wszystkim. Zanim Jeff zdążył podnieść szklankę do ust, konie wyszły z boksów. Never Bend wyskoczył do przodu jak naładowany elektrycznością, No Robbery tuż za nim. Candy Spots, ze spokojnym Williem Shoemakerem w siodle, znalazł się na pierwszym zakręcie tylko trzy długości w tyle.

Chateaugay był szósty. I miał zaledwie miłą, aby nadgonić dziesięć długości straty.

40

Jeff pociągnął spory haust drinka, prawie się zakrztusił niemal czystą whisky.

Pierwsze konie minęły znak pół mili. Chateaugay nie nadrobił ani cala.

Mniejsza szkoła, pomyślał Jeff. Nawet jeśli wyleci z Emory, jakiś college komunalny powinien go przyjąć. Mógłby pracować na część etatu w lokalnej rozgłośni radiowej.

Jego lata doświadczenia nie istniały na papierze, ale miałyby duże znaczenie w praktyce.

Kibice w barze wrzeszczeli, jakby konie i dżokeje czterysta mil dalej mogli ich usłyszeć. Jeff się nie fatygował. Chateaugay trochę przyspieszył na prostej, ale nie

miał już szans; w tym wyścigu liczyły się tylko trzy konie, dokładnie tak, jak przewidywał sprawozdawca.

Na zakręcie przed ostatnią prostą Shoemaker poprowadził Candy Spots blisko bandy, po czym wrócił na środek pola. Chateaugay był na czwartym miejscu, trzy długości w tyle, a mając przed sobą takich rywali, nigdy nie...

Przy znaku ćwierci mili No Robbery nagle jakby się zmęczył, stracił serce do dalszej walki i został z tyłu. Prowadzenie objęły Never Bend i Candy Spots, ale Shoemaker nie mógł zmusić „kalifornijskiego kasztanka” do finałowego zrywu.

Chateaugay minął faworyta i stopniowo, nieubłaganie zaczął doganiać Never Benda. W barze panował już piekielny zgiełk. Jeff nadal siedział w milczeniu, bez ruchu, dłoń niemal mu przymarzła do lodowatej szklanki, ale tego nie zauważył.

Chateaugay wyprzedził Never Benda o długość i ćwierć, a Candy Spots spadł na trzecie miejsce. No Robbery był gdzieś z tyłu, piąty albo szósty, całkowicie wyczerpany.

Jeff wygrał.

Pozostali mężczyźni zaczęli głośno i gniewnie analizować wyścig, wściekli przede wszystkim na Williego Shoemakera za jego taktykę w drugiej połowie gonitwy. Jeff w ogóle nie słyszał, co mówią. Czekał, żeby na tablicy totalizatora pokazały się liczby.

Za jednego postawionego na Chateaugaya dolara płacono 20,80. Jeff sięgnął odruchowo do swojego Casio z kalkulatorem

41

i wybuchnął śmiechem, gdy sobie uświadomił, ile czasu upłynie, zanim pojawią się takie zegarki. Chwycił serwetkę, nagryzmolił liczby długopisem.

Półowa 2300 razy 20,8... Minus trzydzieści procent Franka Maddocka za zrobienie zakładu... Wygrał prawie siedemnaście tysięcy dolarów.

Co ważniejsze, wyścig skończył się tak, jak pamiętał.

Miał osiemnaście lat i wiedział o wszystkich istotnych rzeczach, które miały się wydarzyć na świecie przez najbliższe dwa dziesięciolecia.

Jeff wykładał karty z talii, obrazkami do góry, na ciemnozieloną kapę łóżka w motelu Holiday Inn w Tucumcari. Robił to tak szybko, jak tylko pozwalały mu palce, a Frank mruzczał znajomą już, hipnotyczną inkantację:

- Plus cztery, plus cztery, plus pięć, plus cztery, plus trzy, plus trzy, plus trzy, plus cztery, plus trzy, plus cztery, plus pięć... stop! Następna karta to asa.

Jeff powoli odwrócił asa karo i obydwaj uśmiechnęli się szeroko.

- Jasny gwint! - zarechotał Frank i uderzył w łóżko, aż karty pofrunęły do góry. - Jesteśmy nie do pobicia, stary, nie do pobicia!

- Chcesz piwo?

- Chorego się pytają!

Jeff wstał, podszedł do lodówki. Okno ich pokoju na parterze nie było zasłonięte i zdejmując kapsle z dwóch butelek Coorsa, popatrzył z czułym podziwem na swojego nowego szarego stude-backera avanti, który błyszczał w światłach motelowego parkingu.

Samochód przyciągał zaciekawione spojrzenia i wywoływał komentarze przez całą drogę z Atlanty i zapewne miało tak być aż do Las Vegas. Jeff czuł się z nim jednak zupełnie swobodnie, jego „futurystyczny” wygląd i oprzyrządowanie wręcz dodawały mu otuchy. Ta maszyna z wydłużoną maską i ściętym kufrem uchodziłaby za atrakcyjną i nowoczesną nawet w 1988 roku; w rzeczy samej, Jeff przypominał sobie, że w latach osiemdziesiątych jakaś niezależna firma nadal produkowała krótkie serie avanti. Dla niego tu, w roku 1963, ten samochód był jak towarzysz podróży w czasie, miękki kokon uprzedzony na obraz jego własnej epoki. Choć stary chevy budził w nim nostalgiczne uczucia, to auto wywoływało jeszcze silniejszą, odwrotną tęsknotę.

43

- Gdzie ten browar?

- Już.

Podał Frankowi zimne piwo, pociągnął długi łyk swojego. Wyjechali, gdy tylko Maddock skończył studia, w ostatnich dniach maja. Jeff już od dawna nie chodził na zajęcia, oblewał egzaminy i miał to gdzieś. Frank chciał jechać okreśną trasą

południową, zatrzymać się w Nowym Orleanie i poświętować kilka dni, ale Jeff uparł się przy prostej drodze, przez Birmingham, Memphis i Little Rock. Co kilkaset mil napotykali nowo otwarte odcinki autostrady, z ograniczeniem prędkości do siedemdziesięciu lub siedemdziesięciu pięciu, i na ich gładkich, szerokich, pustych pasach Jeff rozpędzał avanti niemal do fabrycznego maksimum, stu sześćdziesięciu mil na godzinę.

Wygrana na Derby w dużej mierze rozproszyła przygnębienie i zakłopotanie, jakie czuł po nieudanym wieczorze z Judy Gordon. Od tamtej pory widywał dziewczynę tylko przelotnie w kampusie. Przestał się też zadreć szukać wyjaśnienia swojej sytuacji, pomijając chwile, kiedy budził się o świcie i jego mózg żądał odpowiedzi, których nie mógł mu udzielić. Jakkolwiek wyglądała prawda, teraz przynajmniej miał dowód, że jego świadomość przyszłości nie jest urojeniem.

Dotychczas udawało mu się zbywać pytania Franka o powody spektakularnej wygranej. Maddock przyjął, że Jeff jest geniuszem typowania, stosującym jakąś tajemniczą metodę. Jeff utwierdził go w tym przeświadczeniu, kiedy odmówił obstawienia Preakness, dwa tygodnie po Derby. Był pewien, że Chateau-gay wygra w tym roku jeszcze jedną z dwóch pozostałych gonitw zaliczanych do Potrójnej Korony, ale nie pamiętał którą; tak więc, mimo protestów Franka, uparł się, żeby odpuścili sobie Preakness. Candy Spots przyszedł pierwszy o trzy i pół długości. Teraz Jeff miał pewność, że Chateaugay zwycięży w Belmont Stakes, i bardziej opłacało się na niego stawiać, bo faworytem znów był Candy Spots.

Gra na wyścigach dała Jeffowi nowe poczucie celu, oderwała jego myśli od beznadziejnego bagna metafizyki i filozofii, w którym kryło się wytłumaczenie jego losu. Kolejny miesiąc czy dwa medytowania o imponderabiliach doprowadziłyby go do szaleństwa, jeśli już nie oszalał. Hazard był taki prosty, tak

44

&

- Gdzie ten browar?
- Już.

Podał Frankowi zimne piwo, pociągnął długi łyk swojego. 'Najechali, gdy tylko Maddock skończył studia, w ostatnich dniach maja. Jeff już od dawna nie chodził na zajęcia, oblewał egzaminy i miał to gdzieś. Frank chciał jechać okrężną trasą południową, zatrzymać się w Nowym Orleanie i poświętować kilka dni, ale Jeff uparł się przy prostej drodze, przez Birmingham, Memphis i Little Rock. Co kilkaset mil napotykali nowo otwarte odcinki autostrady, z ograniczeniem prędkości do siedemdziesięciu lub siedemdziesięciu pięciu, i na ich gładkich, szerokich, pustych pasach Jeff rozpędzał avanti niemal do fabrycznego maksimum, stu sześćdziesięciu mil na godzinę.

Wygrana na Derby w dużej mierze rozproszyła przygnębienie i zakłopotanie, jakie czuł po nieudanym wieczorze z Judy Gordon. Od tamtej pory widywał dziewczynę tylko przelotnie w kampusie. Przestał się też zadrećzać szukaniem wyjaśnienia swojej sytuacji, pomijając chwile, kiedy budził się o świcie i jego mózg żądał odpowiedzi, których nie mógł mu udzielić. Jakkolwiek wyglądała prawda, teraz przynajmniej miał dowód, że jego świadomość przyszłości nie jest urojeniem.

Dotychczas udawało mu się zbywać pytania Franka o powody spektakularnej wygranej. Maddock przyjął, że Jeff jest geniuszem typowania, stosującym jakąś tajemniczą metodę. Jeff utwierdził go w tym przeświadczeniu, kiedy odmówił obstawienia Preakness, dwa tygodnie po Derby. Był pewien, że Chateau-gay wygra w tym roku jeszcze jedną z dwóch pozostałych gonitw zaliczanych do Potrójnej Korony, ale nie pamiętał którą; tak więc, mimo protestów Franka, uparł się, żeby odpuścili sobie Preakness. Candy Spots przyszedł pierwszy o trzy i pół długości. Teraz Jeff miał pewność, że Chateaugay zwycięży w Belmont Stakes, i bardziej opłacało się na niego stawiać, bo faworytem znów był Candy Spots.

Gra na wyścigach dała Jeffowi nowe poczucie celu, oderwała jego myśli od beznadziejnego bagna metafizyki i filozofii, w którym kryło się wytłumaczenie jego losu. Kolejny miesiąc czy dwa medytowania o imponderabiliach doprowadziłyby go do szaleństwa, jeśli już nie oszalał. Hazard był taki prosty, tak

Koniec i kropka. Żadnych niejasności, żadnego zgadywania; zwłaszcza jeśli z góry znałeś wynik.

Frank zebrał rozsypane karty, ułożył je i potasował.

- Hej - powiedział - zróbmy dwie talie!

- Dobrze, czemu nie.

Jeff przysunął krzesło do łóżka. Wziął karty, przetasował je ponownie i zaczął wykładać.

- Plus jeden, plus jeden, zero, plus jeden, zero, minus jeden, minus dwa, minus dwa, minus trzy, minus dwa...

Jeff z przyjemnością słuchał tej znajomej litanii, odliczania asów i dziesiątek, które już zeszyły. Frank gorliwie wkuwał wykresy i tabele z nowej książki zatytułowanej Jak ograć krupiera, komputerowego studium strategii gry w blackjacka. Jeff wiedział z własnej lektury, jak skuteczna jest metoda liczenia kart. W połowie lat siedemdziesiątych kasyna zaczęły odmawiać wstępu ludziom, którzy ją stosowali.

Ale w tej epoce krupierzy i szefowie sal lubili graczy mających jakiś system, ponieważ uważali ich za łatwy cel. Frank powinien sobie poradzić, w każdym razie miał jakieś szanse; a podniecenie własnymi triumfami przy zielonym stoliku może trochę odwrócić jego uwagę od bardziej spektakularnej wygranej Jeffa w Belmont.

- ...minus jeden, zero, plus jeden... stop! Następna karta to dziesiątka.

Jeff pokazał mu waleta pik i przybili sobie piątkę. Frank wysączył swoje piwo, odstawił butelkę na nocny stolik obok kilku innych pustych.

- Słuchaj - powiedział. - W jednym z kin samochodowych, które minęliśmy, wjeżdżając do miasta, grają Doktora No. Może się wybierzemy?

- Jezu, Frank, ile razy widziałeś ten film?

- Trzy czy cztery. Za każdym razem jest lepszy.

- Ja mam dość. Przedawkowałem Jamesa Bonda.

Frank popatrzył na niego pytająco.

- Co zrobiłeś?

- Nieważne. Po prostu nie mam ochoty iść. Weź samochód, kluczyki są na telewizorze.

- Co z tobą, obchodzisz żałobę po papieżu? Nie wiedziałem, że jesteś katolikiem.

Jeff roześmiał się i sięgnął po buty.

- No dobrze, pójdę. Przynajmniej to nie Roger Moore.
- Kto to jest Roger Moore?
- Zostanie kiedyś świętym.

Frank potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

- Mówisz o papieżu czy o Bondzie? Wiesz, bracie, czasami nie mam pojęcia, o co ci, kurwa, chodzi.

- Ja też, Frank, ja też. Chodź, jedziemy do kina. Mała ucieczka od rzeczywistości, tego nam potrzeba.

Nazajutrz pojechali prosto do Las Vegas, zmieniając się przy kierownicy avanti. Jeff nigdy nie był w Nevadzie i oświetlony neonami Strip wydał mu się jakiś pusty, mniej kiczowaty, niż pamiętał z filmów i programów telewizyjnych z lat osiemdziesiątych. Uświadomił sobie jednak, że jest to Las Vegas sprzed Howarda Hughesa* sprzed inwestycji Hiltona i MGM, którym miasto zawdzięczało potężne, „przyzwoite” hotele-kasyna. Przybytki stojące teraz wzdłuż tego surrealistycznego odcinka drogi stanowej nr 604 - Dunes, Tropicana, Sands - były niskimi, stylowymi pozostałościami powojennej epoki gangsterskiej. Vegas z czasów „Rat Pack”**, wyjęte żywcem ze starych filmów kryminalnych z jive'ową, rytmiczną ścieżką dźwiękową. W gorącym, suchym powietrzu wciąż unosił się prowokacyjny powiew zła.

Zameldowali się we Flamingo, złożyli szesnaście tysięcy dolarów w depozycie hotelowego kasyna. Zastępca kierownika, cały w uśmiechach i lansadach, zaoferował im trzypokojowy apartament oraz darmowe jedzenie i napoje przez cały pobyt. Frank spędził wieczór, „sprawdzając” stoliki do blackjacka: liczbę używanych talii, zasady obstawiania, szybkość i osobowość poszczególnych krupierów. Jeff towarzyszył mu przez jakiś

* Howard Hughes - reżyser, producent filmowy i przemysłowiec, w latach

sześćdziesiątych inwestował w rozwój Las Vegas.

** Rat Pack - paczka piosenkarzy i aktorów, do której należeli m.in. Frank Sinatra, Dean Martin i Sammy Davis Jr.

46

czas, po czym się znudził i zaczął spacerować po kasynie, chłonąc jego dziwaczną atmosferę. Wszystko wydawało się tu nieprawdziwe: kolorowe żetony symbolizujące olbrzymie sumy pieniędzy, krzykliwie ubrani ludzie... rozpaczliwa seksualna fanfaronada i pozory nieograniczonego, obojętnego bogactwa.

Wrócił do pokoju wcześniej, usnął, oglądając w telewizji Jack Paar Show. Kiedy nazajutrz wstał, Frank chodził w kółko po salonie apartamentu, mrużąc pod nosem i zerkając od czasu do czasu do swoich ściąg.

- Zjesz ze mną śniadanie?

Frank potrząsnął głową.

- Chcę jeszcze raz to sobie powtórzyć i przed dwunastą zacząć grać. Złapię krupierów pod koniec porannej zmiany, kiedy zaczynają być zmęczeni.

- Rozsądnie. Powodzenia. Ja pewnie pójde na basen. Daj mi znać, jak ci idzie.

Jeff zjadł śniadanie sam przy sześciuosobowym stoliku, czytając „Gońca Wyścigowego”. Z zadowoleniem stwierdził, że postawienie na Chateaugaya w Belmont staje się coraz bardziej opłacalne, ale dziesiątki innych wymienionych w gazecie gonitw nic mu nie mówiły. Pochłoniął podwójną jajecznicę z grubym plasterem wiejskiej szynki, a potem dużą stertę placków, i wypił trzecią szklanekę mleka. W ostatnich latach przestał w ogóle jadać śniadania, czasem tylko kupował sobie ciastko i pierwszą z wielu kaw w drodze do pracy; ale jego nowe, młode ciało miało potężny apetyt.

Kiedy wrócił do pokoju, żeby przebrać się w kąpielówkę, Franka już nie było. Wziął wielki ręcznik i egzemplarz pisma „V”, wstąpił do hotelowego sklepu po olejek do opalania (żadnych informacji o filtrach UV na buteleczce) i znalazł sobie leżak przy basenie.

Spostrzegł ją natychmiast: mokre czarne włosy, rzeźbione kości policzkowe. Piersi pełne, ale jędrne, płaski brzuch, zgrabne nogi. Wyszła z basenu, uśmiechnięta i

lśniącą w słońcu pustyni, i zbliżyła się do niego.

- Cześć - powiedziała. - Czy ktoś tu siedzi?

Jeff potrząsnął głową, zaprosił ją gestem ręki, by usiadła

47

obok. Wyciągnęła się na leżaku, przerzuciła ociekające wodą włosy przez oparcie, aby schły. •

- Napijesz się czegoś? - zapytał, starając się nie patrzeć zbyt długo ani zbyt natarczywie na jej pokryte kropelkami wody ciało.

- Nie, dziękuję - odparła, ale uśmiechnęła się i spojrzała mu w oczy, co złagodziło odmowę. - Przed chwilą wypięłam Krwawą Mary i w tym upale trochę kręci mi się w głowie.

- Tak bywa, gdy ktoś nie jest przyzwyczajony - potwierdził Jeff. - Gdzie mieszkasz?

- W Illinois, pod Chicago. Ale jestem tu od paru miesięcy i chyba zostanę dłużej. A ty?

- Teraz mieszkam w Atlancie - odrzekł - ale wychowałem się na Florydzie.

- Więc od dziecka przywykłeś do słońca?

- Raczej tak. — Wzruszył ramionami.

- Byłam parę razy w Miami. Miłe miasto, ale nie można tam grać.

- Wychowałem się w Orlando.

- Gdzie to jest? - zapytała.

- Koło... - Omal nie powiedział „koło Disneyworldu”, w porę ugryzł się w język, zaczął mówić „Przylądek Kennedyego”, chociaż wiedział, że nie jest to jego oficjalna nazwa, nawet w 1988 roku. - ...koło przylądka Canaveral - dokończył wreszcie.

Jego wahanie wyraźnie ją zdumiało, ale niezręczny moment minął.

- Widziałeś kiedyś start rakiety? - zapytała.

- Jasne - mruknął, przypominając sobie, jak w 1969 pojechali z Lindą na Przylądek na start Apolla 11.

- Myślisz, że naprawdę polecą kiedyś na Księżyc, tak jak mówią?

- Pewnie tak. - Uśmiechnął się. - Aha, jestem Jeff, Jeff Winston.

Wyciągnęła szczupłą, pozbawioną pierścionków dłoń i przez chwilę przytrzymał jej palce.

- Sharla Baker. - Cofnęła rękę, przejechała nią przez swoje proste, wciąż mokre włosy i po szyi. - Czym się zajmujesz w Atlancie?

48

- Prawdę mówiąc... jeszcze studiuje. Chciałbym zostać dziennikarzem.

Uśmiechnęła się dobrodusznie.

- Studencik, tak? Mamusia i tatuś muszą mieć mnóstwo pieniędzy, skoro posłali cię na studia i do Las Vegas.

- Nie - odparł rozbawiony; ona sama nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata i automatycznie oceniał ich różnicę wieku z odwrotnej perspektywy. - Przyjechałem tu za własne pieniądze. Wygrałem na Derby Kentucky.

Uniosła delikatne brwi, miło zaskoczona.

- Naprawdę? Słuchaj, masz tu samochód?

- Tak, bo co?

Leniwie uniosła długie, opalone ręce nad głowę, naprężając piersi pod nylonem skromnego, staroświeckiego kostiumu. Dla Jeffa efekt był tak erotyczny, jakby miała na sobie skandalicznie wycięte bikini z lat osiemdziesiątych albo była naga.

- Pomyślałam, że moglibyśmy na trochę uciec z tego słońca - powiedziała. - Na przykład przejechać się nad jezioro Mead. Masz ochotę?

Sharla mieszkała w schludnym małym duplexie niedaleko Paradise i Tropicany.

Dzieliła dom z dziewczyną imieniem Bec-ky, która od czwartej po południu do północy pracowała w informacji na lotnisku. Sama Sharla najwyraźniej nie robiła nic, prócz odwiedzania kasyn wieczorem, a hotelowych basenów w dzień.

Nie była prostytutką, należała po prostu do tych licznych w Vegas dziewczyn, które lubią dobrą zabawę i nie obrażają się, jeśli dostaną czasem mały prezent albo garść żetonów. Jeff spędził z nią następne cztery dni i kupił jej kilka drobiazgów - srebrną bransoletkę na kostkę, skórzaną torebkę pod kolor jej ulubionej sukienki - ale Sharla ani razu nie wspomniała o pieniądzach. Żeglowali po jeziorze, pojechali nad zaporę Boulder, obejrzeni występ Sinatry w Desert Inn.

Ale głównie się pieprzyli. W pamiętny sposób, w jej mieszkaniu albo w apartamencie Jeffa we Flamingo. Sharla była pierwszą kobietą, z którą poszedł do łóżka, odkąd to wszystko się zaczęło, pierwszą inną niż Linda, odkąd się ożenił. Jej ape-

49

tyt na seks dorównywał jego apetytowi, a nawet go przewyższał. Była tak rozpustna jak Judy cnotliwa i Jeff spalał się w ogniu jej niepohamowanego .temperamentu.

Frank Maddock korzystał czasem z usług prawdziwych płatnych dziewczyn, które można było znaleźć w każdym hotelu i kasynie, ale większość czasu spędzał przy stolikach do black-jacka. Wygrywając. Do dnia gonitwy w Belmont wzbogacił się o kolejne dziewięć tysięcy dolarów, z czego wspaniałomyślnie odpalił Jeffowi jedną trzecią za sfinansowanie całego przedsięwzięcia. Razem mieli teraz w hotelowym depozycie prawie dwadzieścia pięć tysięcy; i Frank, nie bez zastrzeżeń, przystał na natarczywe namowy Jeffa, aby postawili wszystko na ten jeden wyścig.

Kiedy w sobotę nadeszła pora gonitwy, Jeff był z Sharlą na basenie we Flamingo.

- Nawet nie spojrzysz w telewizor? — spytała, widząc, że nie zamierza się ruszyć z rattanowej maty.
- Nie muszę. Znam wynik.
- Och, ty! - Ze śmiechem klepnęła go w pośladki. - Bogaty studencik myśli, że zawsze ma rację.
- Jeśli się mylę, nie będę bogaty.
- Chciałabym to zobaczyć - mruknęła, sięgając po olejek do opalania.
- Co? Że się pomylę czy że będę biedny?
- Nie wiem, głuptasie. Posmaruj mi nogi z tyłu.

Jeff na wpół drzemał w słońcu, z dłonią na nagim udzie Shar-li, kiedy Frank wyszedł z hotelu z wyrazem szoku na twarzy. Jeff zerwał się na równe nogi; Chryste, może nie powinni byli stawiać wszystkich pieniędzy.

- Co się stało, Frank? - zapytał z napięciem.
- Tyle forsy - wychrypiął Frank. - Tyle pieprzonej forsy.

Jeff złapał go za barki.

- Co się stało? Mów, co się stało!

Frank ściągnął wargi w obłąkany półuśmiech.

- Wygraliśmy — wyszeptał.
- Ile?
- Sto trzydzieści siedem tysięcy dolarów.

Jeff się odprężył, puścił ramiona Franka.

50

- Jak ty to robisz? - spytał Maddock, patrząc mu prosto w oczy. - Jak to, do diabła, robisz? Trzy razy z rzędu wytypowałeś je bezbłędnie.
- Po prostu mam fart.
- Fart, akurat. Postawiłeś na Chateaugaya wszystko, oprócz swoich rodzinnych klejnotów. Wiesz coś, o czym mi nie mówisz?

Sharla przygryzła dolną wargę i spojrzała na Jeffa z namysłem.

- Faktycznie powiedziałeś mi, że znasz wynik.

Jeffowi nie podobał się obrót, jaki przybierała ta rozmowa.

- Hej - powiedział ze śmiechem - następnym razem pewnie wszystko przegramy.

Frank uśmiechnął się szeroko, ciekawość najwyraźniej mu przeszła.

- Po czymś takim, synu, pójdę za tobą wszędzie. Kiedy znów zagramy? Masz jakieś nowe przeczucia?
- Tak - odparł Jeff. - Mam przeczucie, że współlokatorka Sharli zadzwoni do pracy, że jest chora, i będziemy we czwórkę świętować do białego rana. Tylko na to postawiłbym w tej chwili.

Frank roześmiał się i poszedł do baru po butelkę szampana, a Sharla pobiegła zatelefonować do koleżanki. Jeff opadł z powrotem na matę, zły na siebie, że się tak wygadał, zastanawiając się, jak powie Frankowi, że rozwiązuje ich hazardową spółkę, przynajmniej na okres lata.

Na pewno nie zamierzał przyznać, że nie mogą w tym roku obstawić już żadnych wyścigów, bo nie pamięta, kto je wygrał.

Jeff rozsmarował cienką warstwę marmolady na gorącym croissancie, odgryzł jeden puszysty rożek. Z balkonu nad Avenue Foch widział zarówno Łuk Triumfalny, jak i

zieloną połąć Lasku Bulońskiego, obydwu o krótki spacer od mieszkania.

Sharla uśmiechnęła się do niego z drugiej strony przykrytego płóciennym obrusem stolika ze śniadaniem. Wzięła ze swojego talerza dużą czerwoną truskawkę, zanurzyła ją najpierw w misce ze śmietaną, a potem w cukrze pudrze i zaczęła powoli ssać dojrzały owoc, nie spuszczać wzroku z Jeffa.

Odłożył „International Herald Tribune” i przyglądał się jej

51

improvizowanemu przedstawieniu. Wiadomości i tak były przygnębiająco znajome; Kennedy wygłosił swoje słynne przemówienie Ich bin ein Berliner w podzielonym mieście na wschodzie Europy, a w Wietnamie buddyjscy mnisi podpalali się na rogach ulic w proteście przeciwko reżimowi Diema.

Sharla ponownie zanurzyła truskawkę w gęstej śmietanie i trzymając ją nad otwartymi ustami, koniuszkiem języka zlizywała białe kropelki. W porannym słońcu jej jedwabny szlafroczek był niemal przezroczysty i Jeff widział jej sutki, sztywniejące pod cienkim materiałem.

Wynajął to trzypokojowe mieszkanie w paryskiej dzielnicy Neuilly na całe lato i opuszczali miasto tylko na rzadkie, jednodniowe wypadki do Wersalu czy Fontainebleau. Była to pierwsza podróż Sharli do Europy, a Jeff chciał poznać Paryż inaczej niż podczas tamtej pospiesznej, zorganizowanej wycieczki, na którą pojechał z Lindą. Niewątpliwie mu się to udało: bujna zmysłowość Sharli doskonale harmonizowała z romantyczną atmosferą miasta. W pogodne dni spacerowali bocznymi uliczkami i bulwarami, wstępując na lunch do jakiegoś bistra czy kawiarni, które im się spodobały. Kiedy padało, a tego lata padało często, zaszywali się w wygodnym mieszkaniu na długie, leniwe godziny cielesnego pożaru i nietypowy mglisty chłód Paryża za oknami był idealnym tłem dla ich namiętności. Jeff owijał swe lęki w gładkie czarne włosy Sharli, ukrywał swój nie słabnący psychiczny zamęt w zakamarkach jej słodko pachnącego, giętkiego ciała.

Spojrzała na niego przez stół z szelmowskim błyskiem w oku i pożarła pulchną truskawkę jednym zmysłowym kęsem. Cienka strużka jaskrawoczerwonego soku zabarwiła jej dolną wargę; wytarła ją powoli szczupłym palcem o długim paznokciu.

- Wieczorem chcę iść potańczyć - oznajmiła. - Chcę włożyć tę nową czarną sukienkę, i nic pod spód, i iść z tobą potańczyć.

Powiódł wzrokiem po wypukłościach jej ciała opiętych białym szlafroczeniem.

- Nic pod spód?

- Może włożę pończochy - odparła szeptem. - I będziemy tańczyć tak, jak mnie nauczyłeś.

52

Jeff uśmiechnął się, przebiegł lekko czubkami palców po jej nagim udzie, gdzie szlafroczek się rozchylił. Pewnego wieczoru przed trzema tygodniami, kiedy tańczyli w jednej z tych nowych discotheques, które tu niedawno powstały, Jeff zaczął spontanicznie pokazywać Sharli swobodne, płynne ruchy, mające się pojawić dopiero w następnym dziesięcioleciu. Sharla z miejsca zaakceptowała ten styl i dodała do niego własne erotyczne ozdobniki. Inne pary, tańczące twista albo watusi*, odsuwały się jedna za drugą, aby popatrzeć, jak ruszają się Jeff i Sharla. Potem, z początku nieśmiało, ale z rosnącym zapalem, zaczęły tańczyć w taki sam żywiołowy, otwarcie zmysłowy sposób.

Teraz chodzili z Sharlą do New Jimmy's albo Le Slow Club niemal co drugi wieczór i dziewczyna zaczęła kupować sobie sukienki, które kusząco eksponowały jej ciało na parkiecie. Jeff lubił na nią patrzeć, ekscytowało go to, że inne kobiety naśladują jej ruchy i, coraz bardziej, stroje. Bawiła go myśl, że jednego wieczoru z Sharlą mógł mimowolnie zmienić historię tańca i przyspieszyć o kilka lat rewolucję seksualną w modzie kobiecej.

Sharla wzięła jego rękę, włożyła ją sobie między uda pod szlafroczeniem. Jego croissant i cafe au lait stygły na stole, zapomniane jak zagadki czasu, które tak bardzo niepokoiły go wiosną.

- Kiedy wrócimy z dyskoteki - wyszeptała Sharla - zostanę w samych pończochach.

- No i jak było w Paryżu? - zapytał Frank.

- Naprawdę bardzo miło - odparł Jeff, sadowiąc się w obszernym fotelu baru Oak Room w hotelu Plaža w Nowym Jorku. - Tego właśnie było mi trzeba. Jak ci się

podoba na Columbii?

Jego dawny wspólnik wzruszył ramionami, gestem ręki przywołał kelnera.

- Trzeba ostro zakuwać, tak jak się spodziewałem. Nadal pijesz Jacka Danielsa?

- Kiedy uda mi się go dostać. Francuzi nie słyszeli o bour-bonie.

* Taniec rzekomo naśladowujący tańce afrykańskiego plemienia Watusi.

53

Frank zamówił Danielsa i następną Glenlivet dla siebie. Przez otwarte drzwi baru sączyły się słabe dźwięki skrzypcowej muzyki dobiegające z Palm Court, palmiarni tego starego, eleganckiego hotelu. Przez to spokojne tło przebijał czasem cichy brzęk szkła i lekki szmer rozmów, których słowa tłumiły grube kotary i miękka skóra.

- Nie sądziłem, że na pierwszym roku prawa będę przesiadywał w takich lokalach - stwierdził Frank z promiennym uśmiechem.

- Jest to szczebel wyżej niż Moe & Joe - przyznał Jeff.

- Sharla jest tu z tobą?

- Ogląda jakąś komedię na Broadwayu. Powiedziałem jej, że będziemy rozmawiać o interesach.

- Rozumiem, że dobrze się wam układa?

- Jest niewymagająca. Świetnie się z nią bawię.

Frank skinął głową, zakręcił szklanką, którą postawił przed nim kelner.

- Więc już się nie widzisz z tą małą z Emory, no wiesz, tą,

0 której mi opowiadałeś?

- Z Judy? Nie, to się skończyło, zanim jeszcze pojechaliśmy do Las Vegas. To miła, urocza dziewczyna, ale... naiwna. Bardzo młoda.

- Jest w twoim wieku, prawda? Jeff posłał mu ostre spojrzenie.

- Znowu zgrywasz starszego brata, Frank? Chcesz powiedzieć, że Sharla to dla mnie za wysokie progi?

- Nie, nie, po prostu... nie przestajesz mnie zaskakiwać. Kiedy się poznaliśmy, pomyślałem, że jesteś nieopierzonym smarkaczem, który musi się jeszcze sporo nauczyć o wyścigach,

1 nie tylko. Tymczasem to ty pokazałeś parę rzeczy mnie. Chryste, wygrywasz

tyle forsy, rozbijasz się tym avanti, jedziesz do Europy z taką kobietą jak Sharla... Czasem wydajesz się dużo starszy, niż jesteś naprawdę.

- Sądzę, że to dobry moment, żeby zmienić temat - wtrącił szorstko Jeff.
- Hej, posłuchaj, nie chciałem nikogo obrazić. Sharla to wspaniała zdobycz. Zazdroszczę ci. Po prostu mam wrażenie, że... nie wiem, że dorosłeś szybciej niż wszyscy ludzie, których

54

&

kiedykolwiek znałem. Nie oceniam cię. Cholera, możesz to nawet uznać za komplement. Ale jest to trochę dziwne.

Jeff rozluźnił się z wysiłkiem, usiadł wygodniej w fotelu z drinkiem w dłoni.

- To pewnie dlatego, że mam wielki apetyt na życie - powiedział. - Chcę zrobić dużo rzeczy i chcę je zrobić szybko.

- Masz niezłą przewagę nad szaraczkami tego świata. Większą siłą przebicia. Mam nadzieję, że wszystko będzie ci się układać tak dobrze, jak do tej pory.

- Dzięki. Wypiję za to.

Podnieśli szklanki, milcząco zgodziwszy się zignorować tę chwilę napięcia.

- Więc powiedziałeś Sharli, że to spotkanie w interesach - odezwał się Frank.

- Zgadza się.

Frank upił łyk swojej szkockiej.

- I jest to spotkanie w interesach?

- To zależy.

Jeff wzruszył ramionami.

- Od czego?

- Od tego, czy cię zainteresuje moja propozycja.

- Po tym, co wykreciłeś latem? Myślisz, że nie jestem ciekaw twoich następnych szalonych pomysłów?

- Ten wyda ci się jeszcze bardziej szalony.

- Sprawdź mnie.

- Finał rozgrywek baseballu. Za dwa tygodnie.

Frank uniósł jedną brew.

- O ile cię znam, pewnie chcesz postawić na Dodgersów.

Jeff milczał przez chwilę.

- Zgadza się.

- Bądźmy poważni. Owszem, udało ci się z Derby i Belmont, ale bez jaj! Kiedy Mantle i Maris wrócili i pierwsze dwa mecze są tu, w Nowym Jorku? Nie ma mowy, stary. Za chuja.

Jeff pochylił się do przodu i powiedział cicho, ale z naciskiem w głosie:

- To będzie pogrom. Dodgersi wygrają cztery mecze z rzędu.

Frank spojrzał na niego dziwnie.

- Ty naprawdę oszalałeś.

55

- Nie. Tak będzie. Raz, dwa, trzy, cztery. Ustawimy się na całe życie.

- Raczej będziemy znów pili w Moe & Joe.

Jeff wysączył ostatnie krople bourbona, rozparł się w fotelu i potrząsnął głową. Frank nadal się weń wpatrywał, jakby szukał źródła jego obłędu.

- Może jakiś mały zakład - zgodził się w końcu. - Kilka tysięcy, góra pięć, jeśli naprawdę nalegasz.

- Wszystko - uciął Jeff.

Frank zapalił tareytona, wciąż nie spuszczać wzroku z twarzy Jeffa.

- Co się z tobą dzieje? Uparłeś się przegrać czy co? Szczęście przychodzi i odchodzi.

- Wiem, że mam rację, Frank. Postawię wszystko, co mi zostało, i proponuję ci taki sam układ jak poprzednio: ja wykładam pieniądze, tyje stawiasz, dzielimy się siedemdziesiąt-trzy-dzieści. Jeśli nie chcesz, sam nie musisz nic ryzykować.

- Czy wiesz, jakie są na to szanse?

- Dokładnie nie. A ty?

- Nie powiem ci tak z głowy, ale to frajerskie szanse, bo tylko frajer by tak

obstawiał.

- Więc zadzwoń do bukmachera, dowiedz się, na czym stoimy.
- Może to zrobię, z czystej ciekawości.
- Zadzwoń teraz. Zaczekam tutaj, zamówię następną kolejkę. Pamiętaj, ma to być wygrana w czterech meczach.

Franka nie było prawie dziesięć minut.

- Mój bukmacher mnie wyśmiał - oznajmił, kiedy usiadł i sięgnął po świeżego drinka. - Wyśmiał mnie przez telefon.
- Jakie są szanse? - zapytał spokojnie Jeff.

Frank jednym łykiem wypił połowę swojej szkockiej.

- Sto do jednego.
- Załatwisz dla mnie te zakłady?
- Ty naprawdę chcesz to zrobić, tak? Nie żartujesz sobie?
- Mówię śmiertelnie poważnie - odparł Jeff.
- Skąd masz to cholerne przekonanie? Wiesz coś, czego nie wie nikt inny na świecie?

Jeff zamrugał, opanował drżenie głosu.

56

Jß

- Nie mogę ci powiedzieć. Ale to dużo więcej niż przecucie. To pewność.
- Brzmi to podejrzenie jak...
- Przysięgam, nie ma w tym nic nielegalnego. Wiesz, że nie mogą już ustawić wyniku finałów, a gdyby nawet mogli, skąd, do diabła, bym o tym wiedział?
- Mówisz tak, jakbyś wiedział wszystko.
- Wiem jedno: nie możemy przegrać. Absolutnie nie możemy.

Frank popatrzył na niego uważnie, dokończył drinka i zamówił następnego.

- Cholera - mruknął. - Zanim cię poznałem w kwietniu, sądziłem, że będę żył w tym roku ze stypendium.
- Co to znaczy?
- To znaczy, że wchodzę w ten obłąkany plan. Nie pytaj mnie dlaczego, i pewnie

palnę sobie w łeb po pierwszym meczu. Ale stawiam jeden warunek.

- Jaki?

- Żadnego siedemdziesiąt-trzydzieści i nie wykładasz forsy sam. Ryzykujemy obaj, stawiamy wszystko, co nam zostało z Vegas - łącznie z tym, co zgarnąłem w kasynie - i jeśli wygramy, dzielimy się pół na pół. Zgoda?

- Zgoda... partnerze.

Był to październik Koufaksa i Drysdale'a.

Jeff zabrał Sharłę na stadion Jankesów na dwa pierwsze mecze, ale Frank nie potrafił się zmusić nawet do tego, żeby je obejrzeć w telewizji.

Dodgersi wygrali pierwsze spotkanie 5:2, z Koufaksem jako miotaczem. Następnego dnia pierwszy rzucał Johnny Podres, po czym zmienił go Ron Perrahoski. Pozwolili Jankesom zaliczyć metę domową tylko raz, podczas gdy Dodgersi zdobyli cztery punkty w dziesięciu odbiciach.

Trzeci mecz, 1:0 w Los Angeles, był popisem Drysdale'a: „Duży Don” auto wał Jankesów jednego po drugim. W sześciu z dziewięciu zmian walczył tylko z przepisowym minimum trzech pałkarzy.

Czwarty mecz był bardzo zacięty; nawet Jeff, oglądający go

57

w kolorze u Pierre'a w Nowym Jorku, zaczął się pocić. Whitey Ford, miotacz Jankesów, znów zmierzył się z Koufaksem i obaj byli żądni krwi. Frank Howard zdobył punkt dla Dodgersów w piątej zmianie, ale Mickey Mantle doprowadził do remisu pod koniec siódmej. Potem Joe Pepitone popełnił błąd po rzucie metowego Jankesów, Clete'a Boyera, co pozwoliło Jimowi Gilliamowi dotrzeć do trzeciej mety. Następnym pałkarzem Dodgersów był Willie Davis i Gilliam zdobył decydujący punkt po jego wysokim odbiciu na środek pola.

Dodgersi rozgromili Jankesów 4:0, co spotkało nowojorską drużynę po raz pierwszy od czasu przegranej z Gigantami w finałach 1922 roku. Była to jedna z najgłośniejszych porażek w historii baseballu i Jeff prędzej zapomniałby własne nazwisko niż taką sensację.

Zgodnie z poleceniem Jeffa, Frank postawił ich wspólne sto dwadzieścia dwa tysiące

u dwudziestu trzech bukmacherów w sześciu miastach i w jedenastu kasynach w Las Vegas, Reno i San Juan.

W sumie wygrali ponad dwanaście milionów dolarów.

5.

Obstawianie się skończyło, obaj o tym wiedzieli. Jeff i Frank stali się znani i żaden właściciel kasyna ani bukmacher w kraju nie przyjąłby od nich większego zakładu sportowego.

Istniały jednak zakłady innego rodzaju, o bardziej eleganckich nazwach.

- ...księgowość umieściłem w tym pokoju, dział prawny tutaj, pod drugiej stronie korytarza. A teraz pozwól tędy...

Frank z wyraźną przyjemnością oprowadzał Jeffa po na wpół urządzonym biurze na pięćdziesiątym piętrze Seagram Building. To on, za aprobatą partnera, wybrał ten lokal, i zajął się wszystkimi szczegółami organizacyjnymi, od rejestracji spółki Future, Inc., po zatrudnianie sekretarek i księgowych.

Frank rzucił studia i zgodzili się milcząco, że będzie nadzorował bieżącą działalność firmy, zostawiając Jeffowi poważniejsze decyzje dotyczące inwestycji i ogólnego kierunku rozwoju. Nie kwestionował już słuszności jego sugestii, ale od finałów baseballu coś się między nimi popsuło. Choć rzadko spotykali się na gruncie towarzyskim, Jeff wiedział, że Frank coraz więcej pije. Jego dawną ciekawość zastąpił wyczuwalny, rosnący lęk przed tym, ile właściwie Jeff wie i skąd to wie. Nigdy więcej nie poruszyli tej kwestii.

- ...tu jest recepcja - zaczekaj, aż zobaczysz ślicznotkę, która będzie siedziała przy tym biurku za parę tygodni - i uwaga... jesteśmy na miejscu!

Gabinet był przestronny, lecz przytulny, mógł imponować, ale nie onieśmiał.

Czarny skórzany fotel „Barcelona” ze stalową ramą czekał na swego właściciela za dużym, owalnym dębowym biurkiem, naprzeciwko którego stał dobrze zaopatrzone barek oraz zgrabna konsolka z telewizorem i sprzętem gra-

59

c

jącym. Dwie całkowicie przeszklone ściany odsłaniały widok na rzekę Hudson z jednej strony i wieżowce środkowego Manhattanu z drugiej. Bujne rośliny doniczkowe ożywiały wszystkie kąty pomieszczenia, a oprawione w ramy obrazy Pollocka dawały świadectwo ludzkiej kreatywności. Co było zabawne, ale wcale nie raziło - sporą część ściany zajmowała powiększona fotografia konia przystrojonego kwiatami: Chateaugay podczas rundy honorowej po zwycięstwie w Derby Kentucky.

- Wszystko twoje, bracie - powiedział z uśmiechem Frank.

Jeff był wzruszony tym, co zrobił jego przyjaciel.

- Frank, to jest fantastyczne!

- Jeśli coś ci się nie podoba, zaraz to zmienimy. Projektant wie, że to prowizorka, musisz wszystko zaakceptować. W końcu to ty będziesz tu pracował.

- Wszystko jest świetnie tak, jak jest. Aż mnie zatkało. I nie powiesz mi, że to projektant wymyślił, żeby powiesić tu zdjęcie Chateaugaya.

- Nie - przyznał Frank - to ja. Pomyślałem, że zrobię ci frajdę.

- Będę czerpał z tego zdjęcia natchnienie.

- Na to właśnie liczę. - Frank wybuchnął śmiechem. - Jezu, kiedy pomyślę, jak szybko to wszystko poszło, jak... Wiesz, o co mi chodzi.

Moment chłopięcej radości minął równie szybko, jak się pojawił. Całe to doświadczenie postarzyło Franka: nie zadane pytania, na które nie było odpowiedzi, szokująco nagły i niewytłumaczalny sukces... Nie potrafił dać sobie z tym rady.

- W każdym razie - podjął Maddock, patrząc w stronę pustej recepcji - mam dziś kupę roboty. Zamówiłem u Monroego te nowe kalkulatory biurowe, mieli je dostarczyć dwa dni temu. Więc jeśli chcesz się tu trochę urządzić, ze wszystkim oswoić...

- W porządku, Frank, idź. Z przyjemnością tu chwilę posiedzę i pomyślę.

Jeszcze raz dzięki. Wspaniale się spisujesz... partnerze.

Uścisnęli sobie dłonie, poklepalili się po plecach w świadomym geście koleżeństwa.

Frank pomaszerował w głąb pustego biura, a Jeff usadowił się w przepaścistym, wygodnym fotelu za swoim potężnym biurkiem.

Wszystko to było takie łatwe, łatwiejsze nawet, niż przy-

szłości, która nigdy nie nastąpi. Co za różnica, jak do tego doszło? Był młody, był bogaty i wkrótce będzie jeszcze bogatszy. Nie miał ochoty tego zmieniać ani nawet kwestionować, a tym bardziej wrócić do rzeczywistości, w której żył dawniej albo którą sobie wyobraził. Teraz mógł mieć wszystko, czego kiedykolwiek pragnął, jak również czas i siłę, aby się tym cieszyć.

- ...czy kandydatem republikanów będzie Goldwater czy też Rockefeller. Afera Bakera nie powinna mieć większego wpływu na szanse prezydenta na reelekcję, chociaż jego doradcy mogą nalegać, aby pozbył się Johnsona, jeśli dochodzenie zacznie zataczać szersze kręgi. Pilniejszą troską obozu Kennedy'ego...

- Nie możemy oglądać czegoś innego? - Sharla była nadał-sana. - Nie wiem, dlaczego ta cała polityka tak bardzo cię obchodzi. Wybory będą dopiero za rok. Jeff uśmiechnął się, żeby ją ugłaskać, ale nie odpowiedział.

- ...ustawy o cięciach podatkowych i prawach obywatelskich. Jeśli nie zostaną uchwalone, zanim Kongres zakończy obrady 20 grudnia, walka o ich przegłosowanie podczas wiosennych sesji Izby Reprezentantów i Senatu będzie jeszcze bardziej zaciekle i Kennedy rozpocznie swą kampanię w cieniu przewlekłego sporu ustawodawczego, zamiast w upragnionej glorii podwójnego zwycięstwa.

Sharla wstała z kanapy z niemą irytacją, ruszyła w stronę schodów, które prowadziły na wyższe piętra domu przy Wschodniej Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy.

- Czekam na ciebie w łóżku - zawołała przez ramię, naga pod przejrzystą nocną koszulą koloru brzoskwiнового. - Jeśli jeszcze cię to interesuje.

- ...mimo nieustających krytyk operacji w Zatoce Świń, mimo przykrych problemów ze związkami zawodowymi i przemysłem stalowym, dla większości społeczeństwa człowiek i jego wizerunek pozostają nierozdzielne. Jego rozwichrzona młodość, jego urocza żona i oddane dzieci, tragedie i triumfy, które przeżyła jego rodzina, niewymuszony wdzięk i lotne poczucie humoru, wszystko to...

Jeff przewinął kasetę w prototypowym magnetowidzie Sony, który kosztował ponad jedenaście tysięcy dolarów i był skazany

na porażkę, jako produkt o dobre dziesięć lat wyprzedzający swój czas. Czarno-białe zdjęcia archiwalne rozjaśniły ekran po raz drugi, tak dobrze znajome, a mimo to wciąż wzruszające: John F. Kennedy bujający się z uśmiechem w swoim słynnym fotelu na biegunach, chwytający John-Johna i Caroline w objęcia na płycie lotniska, szalejący z braćmi na plaży w Hyanni-sport. Jeff widział te migawki z jego życia setki razy; i zawsze, przez ćwierć wieku, pokazywano po nich otwartą limuzynę w Dallas, oszalałe przerażenie, krew na ubraniu Jackie i trzymane przez nią róże. Teraz takie obrazy nie istniały. Dziś wieczorem na tej kasecie z nagraniem telewizyjnych wiadomości sprzed niecałych dwóch godzin nie będzie zdjęć Lyndona Johnsona, który przejmuje władzę, ani konduktu pogrzebowego sunącego przez Waszyngton, ani Wiecznego Ognia na wyciemnieniu. Dziś wieczorem człowiek, o którym mówili, żyje i jest pełen energii, pełen planów co do własnej przyszłości i przyszłości narodu. - ...wdzięk i lotne poczucie humoru, wszystko to przynajmniej na pozór dodaje wagi ideom Nowego Pogranicza, nowego początku... adwentu, jak mówią niektórzy, współczesnego Camelotu. Właśnie ten niezwykle pozytywny wizerunek, a nie solidne dowody osiągnięć podczas pierwszej kadencji, musi być podstawą, na której oprze się nowo mianowany sztab Kennedyego. Sorensen, O'Donnell, Salinger, O'Brien i Bobby Kennedy są głęboko świadomi mocnych i słabych stron swojego kandydata, jak również siły powstających z dnia na dzień mitów. Możecie być państwo pewni, że wiedzą, na czym mają skupić uwagę w nadchodzącej kampanii. W wiadomościach pokazano, jak Charles de Gaulle z wielką pompą składa wizytę szachowi Iranu, i Jeff wyłączył magnetowid. Kennedy żywy, pomyślał, jak myślał bardzo często w minionych tygodniach. Kennedy prowadzący naród ku... kto mógł wiedzieć, ku czemu - trwałemu dobrobytowi, harmonii rasowej, szybkiemu wycofaniu się z Wietnamu?

John F. Kennedy żywy. Już tylko przez trzy tygodnie.

Chyba że, chyba że... co? Nie potrafił się oprzeć tej fantazji, choć wydawała się absurdalna i banalna. Nie był to jednak film telewizyjny ani powieść science fiction.

Znajdował się tutaj,

63

c

w tym jeszcze nie zdruzgotanym świecie 1963 roku, i wiedział, że wkrótce ma się rozegrać największa tragedia epoki. Czy naprawdę mógł interweniować i czy byłoby to właściwe? Zapoczątkował już spore zmiany w ekonomicznych realiach tego czasu, przez samo założenie Future Inc., i continuum prze-strzenno-czasowe nie zdradzało żadnych oznak przeciążenia.

Musi być coś, pomyślał, co mógłby zrobić, żeby zapobiec zamachowi, pomijając bezpośrednie stawienie czoła mordercy 22 listopada w tym pokoju na piątym piętrze Teksaskiej Składnicy Podręczników Szkolnych. Telefon do FBI, list do Secret Service? Żadne władze nie wzięłyby jego ostrzeżeń poważnie, a gdyby nawet, pewnie by go aresztowano jako podejrzanego spiskowca.

Nalał sobie drinka w barze przy wyjściu na patio i zaczął się zastanawiać. Każdy, z kim spróbuje o tym porozmawiać, będzie go traktował jak wariata. To znaczy, do momentu, kiedy prezydencki konwój wjedzie na Dealey Plaza, miejsce tragicznej zbrodni. Wtedy będzie się musiał mocno tłumaczyć, a nic już nikomu nie pomoże. Więc co ma zrobić? Siedzieć z założonymi rękami i dopuścić do zamachu? Pozwolić, aby historia brutalnie się powtórzyła, ponieważ boi się wyjść na idiotę?

Rozejrzał się po gustownie urządzonej domu, o jakim nawet nie mogliby z Lindą marzyć. Zdobył to wszystko w zaledwie pół roku, niemal bez wysiłku. Mógł spędzić resztę życia, bez końca powiększając swój komfort i zamożność dzięki temu, co wiedział; ale te zdobycze będą mu stały kością w gardle, jeśli nie zrobi użytku z innej wiedzy.

Musiał coś wymyślić.

Poleciał do Dallas piętnastego i wszedł do pierwszej budki telefonicznej na lotnisku. Przejechał palcem po literze „O” w książce i znalazł ją, pozycję jak każda inna, choć w jego oczach tak się wyróżniała, jakby stała w płomieniach.

Oswald, Lee H..... 1026 N. Beckley.....555 4821

Zanotował adres, a potem wynajął w Avisie zwykłego nie-

&

bieskiego plymoutha. Dziewczyna w okienku wytłumaczyła mu, jak znaleźć dzielnicę, której szukał.

Przejechał obok tego białego drewnianego domku przy Oak Cliff sześć razy. Wyobraził sobie, jak do niego podchodzi, dzwoni do drzwi, rozmawia z młodą Rosjanką o cichym głosie, Mariną, która mu otworzy. Co by jej powiedział? „Pani mąż chce zabić prezydenta. Musi go pani powstrzymać”? A jeśli do drzwi podejdzie sam zamachowiec? Co wtedy zrobi?

Jeszcze raz przejechał powoli obok tego zwykłego, małego domku, myśląc o człowieku, który w nim mieszkał, który czekał i knuł, jak zniweczyć samozadowolenie świata.

Opuścił dzielnicę, nie zatrzymując się po drodze. W centrum handlowym w Fort Worth kupił tanią walizkową maszynę do pisania, papier i rękawiczki. W swoim anonimowym pokoju w Holiday Inn przy East Airport Expressway włożył rękawiczki, wyjął papier i z obrzydzeniem zaczął układać list:

Prezydent John F. Kennedy Biały Dom 1600 Pennsylvania Avenue Waszyngton, D.C.
Panie prezydencie,

To pan wyalienował premiera Fidela Castro i wyzwolony naród kubański. Jest pan ciemieżcą, wrogiem wolnych ludzi w całej Ameryce Łacińskiej i na świecie.

Jeśli przyjedzie pan do Dallas, zabiję pana. Strzełę panu w głowę ze strzelby o dużym zasięgu i w pana rozlanej krwi napisane będzie SPRAWIEDLIWOŚĆ dla bojowników wolności na półkuli zachodniej.

To nie jest czcza pogrożka. Dobrze się uzbroiłem i sam jestem gotów umrzeć, jeśli będzie trzeba.

Zamorduję pana.

VENCEREMOS!!

Lee Harvey Oswald

Jeff dopisał adres Oswalda, znów pojechał na drugi koniec miasta i wrzucił list do

skrzynki pocztowej dwie ulice od zwyczajnego drewnianego domku. Godzinę później i czterdzieści mil na południowy wschód od Dallas dłonie w rękawiczkach zaczęły mu się pocić i drętwieć. Cisnął maszynę z mostu do dużego jeziora na pustkowiu. Ulżyło mu, kiedy wreszcie zdjął te cholerne rękawiczki i wyrzucił je przez okno samochodu w pobliżu jakiegoś zapadłego miasteczka o nazwie, nomen omen, Gun Barrel*. Poczł, że ma dłonie swobodniejsze, czystsze.

Następne cztery dni spędził w swoim pokoju w Holiday Inn, rozmawiając jedynie z obsługą i wychodząc tylko po lokalne gazety. We wtorek, dziewiętnastego, na piątej stronie „Dallas Herald” znalazł wiadomość, na którą czekał: Lee Harvey Oswald został zatrzymany przez Secret Service za grożenie prezydentowi śmiercią i miał przebywać w areszcie bez możliwości wyjścia za kaucją, dopóki Kennedy nie odbędzie swojej jednodniowej wizyty w Teksasie pod koniec tygodnia.

Tego wieczoru Jeff bardzo się upił w samolocie do Nowego Jorku, ale to nie alkohol wywoływał uczucie triumfu, euforyczne myśli kłębiące mu się w głowie, obrazy świata, w którym negocjacje położą kres wojnie w Wietnamie, w którym głodni zostaną nakarmieni, równość rasowa zwycięży bez rozlewu krwi... świata, w którym John Kennedy i pełen nadziei duch ludzkości nie umrą, lecz będą rozkwitać i prosperować.

Kiedy samolot wylądował, światła Manhattanu wydały mu się jasnym zwiastunem wspaniałej przyszłości, którą właśnie stworzył.

Dziesięć po pierwszej w piątek po południu sekretarka otworzyła drzwi jego gabinetu bez pukania. Stała w progu, nie mogąc wydobyć głosu, łzy płynęły jej po twarzy. Jeff nie musiał pytać, co się stało. Poczł się tak, jakby uderzył go w żołądek jakiś niewidzialny, ciężki przedmiot.

Frank wsunął się do środka za sekretarką, powiedział jej cicho, że na dziś kończą pracę, cały personel może iść do domu. Potem obaj z Jeffem wyszli z budynku.

Ludzie ciągnęli Park

* Gun barrel (ang.) - lufa broni.

tranzystorów i samochodów z radiami zebrały się małe grupki. Większość osób po prostu patrzyła tępo przed siebie, powoli, z roztargnieniem przebierając nogami w sposób całkowicie nietypowy dla nowojorczyków. Zupełnie jakby trzęsienie ziemi skruszyło solidny beton Manhattanu i nikt nie był pewien, gdzie może bezpiecznie postawić stopę. Nikt nie wiedział, czy ulice znów nie zadrżą albo wręcz nie pękną, aby pochłonąć cały świat. Przyszłość nadeszła, w jednej gwałtownej chwili.

Frank i Jeff znaleźli wolny stolik w cichym barze w bok od Madison. Na ekranie telewizora Air Force One opuszczał Dallas z ciałem prezydenta na pokładzie. Jeff zobaczył oczami duszy zdjęcie Johnsona składającego przysięgę, z oszołomioną Jacqueline Kennedy u boku. Poplamiona krwią sukienka, róże.

- Co teraz będzie? - zapytał Frank.

Jeff otrząsnął się z ponurej zadumy.

- Co masz na myśli?

- Co czeka świat? Co się z nami wszystkimi stanie?

Jeff wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że dużo zależy od Johnsona. Jakim będzie prezydentem.

Frank pokręcił głową.

- Ty nigdy nie „przypuszczasz”, Jeff. Ty wiesz.

Jeff rozejrzał się za kelnerem; wszyscy oglądali telewizję, słuchali, jak młody Dan Rather po raz dwudziesty streszcza epokowe wydarzenia tego popołudnia.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- Ja też, niezupełnie. Ale coś jest z tobą... nie tak. Coś dziwnego. I to mi się nie podoba.

Jeff zobaczył, że jego współpracownicy drżą ręce; musiał bardzo potrzebować drinka.

- Frank, to okropny, szczególny dzień. Wszyscy jesteśmy teraz w szoku.

- Ty nie. Nie tak jak ja i inni ludzie. Nikt w biurze nawet ci nie powiedział, co się stało. Jakby nie musieli, jakbyś wiedział, co się zdarzy.

- Nie bądź śmieszny.

67

Zwalisty szef policji opowiadał na ekranie o obejmującym cały stan polowaniu na

mordercę.

- Co robiłeś w Dallas w zeszłym tygodniu?

Jeff zmierzył Franka znużonym spojrzeniem.

- Co, zadzwoniłeś do biura podróży?

- Tak. Co tam robiłeś?

- Rozglądałem się za jakąś nieruchomością dla firmy. To rosnący rynek, mimo to, co się dzisiaj stało.

- To się może zmienić.

- Nie sądzę.

- Nie sądzisz? A dlaczego?

- Po prostu mam przeczucie.

- Daleko zajechaliśmy na tych twoich „przeczuciach”.

- I zajedziemy jeszcze dalej.

Frank westchnął, przeczesał dłonią przedwcześnie rzedniejące włosy.

- Nie. Ja nie. Mam dość. Chcę się wycofać.

- Jezu Chryste, przecież dopiero zaczynamy!

- Nie wątpię, że osiągniesz spektakularny sukces. Ale dla mnie zrobiło się to zbyt podejrzane, Jeff. Czuję się nieswojo, pracując z tobą.

- Na litość boską, nie myślisz chyba, że miałem coś wspólnego z...

Frank przerwał mu, podnosząc dłoń.

- Tego nie powiedziałem. Nie chcę nic wiedzieć. Chcę się tylko wycofać.

Możesz zatrzymać moją część jako kapitał obrotowy i spłacać mnie z zysków przez następne parę lat czy jak długo to potrwa. A moje obowiązki przekaz Jimowi Spencerowi. To dobry pracownik, zna się na rzeczy. I będzie wypełniał twoje polecenia co do joty.

- Do diabła, graliśmy w tę grę razem! Od Derby, od Emory...

- Owszem, i mieliśmy niesamowitą passę. Ale teraz wymieniam żetony, partnerze. Odchodzę od stolika.

- I co będziesz robił?

- Pewnie dokończę studia. Zainwestuję jakąś przyjemną, skromną sumę. Jestem

ustawiony na całe życie.

- Nie odchodź, Frank. Ominie cię życiowa szansa.
- Co do tego nie mam wątpliwości. Może kiedyś będę żało-

68

wał tej decyzji, ale teraz muszę tak postąpić. Dla spokoju ducha. - Frank wstał, wyciągnął rękę. - Powodzenia i dzięki za wszystko. Było miło, ale się skończyło. Uścisnęli sobie dłonie, Jeff zastanawiając się, co mógł zrobić, aby temu zapobiec. Może nic. Może musiało się tak stać.

- W poniedziałek porozmawiam ze Spencerem - powiedział Frank. - Zakładając, że na świecie nie wybuchnie wojna i kraj nadal będzie funkcjonował.

Jeff posłał mu długie, trzeźwe spojrzenie.

- Nie martw się, będzie.
- Dobrze wiedzieć. Trzymaj się, partnerze.

Po wyjściu Franka Jeff przesiadł się na stołek przy barze, wreszcie zamówił drinka. Pił trzeciego z kolei, kiedy CBS podało wiadomość:

- ...aresztowała podejrzanego w związku z zamachem na prezydenta Kennedy'ego. Powtarzam, policja z Dallas aresztowała podejrzanego w związku z zamachem na prezydenta. Jest nim Nelson Bennett, dawny działacz lewicowy, nie mający stałego adresu ani pracy. Władze mówią, że w kieszeni Bennetta znaleziono numer telefonu radzieckiej ambasady w Meksyku. Podamy państwu dalsze informacje, gdy tylko...

Patio domu na East Side wyglądało ponuro w chłodzie końca listopada; było to miejsce zaprojektowane na lato, w świecie, z którego lato przegnano. Stolik ze szklanym blatem, chromowe stelaże leżaków w jakiś sposób czyniły ten pochmurny dzień jeszcze bardziej jałowym.

Jeff mocniej otulił się grubym swetrem i zaczął rozmyślać, po raz setny w ciągu minionych tych dni, co się właściwie stało w Dallas. Kim, do diabła, był Nelson Bennett? Wynajętym zastępczym mordercą, który czekał za kulisami, gdy aresztowano Oswalda? Czy po prostu fuksem, przypadkowym szaleńcem, którym siły o wiele potężniejsze niż jakikolwiek ludzki spisek pokierowały w ten sposób, aby

bieg rzeczywistości nie został zakłócony?

Uświadomił sobie, że nigdy się tego nie dowie. Napotykał w tym nowym życiu tyle innych niezrozumiałych rzeczy; dlaczego akurat ten element miałby być mniej nieprzenikniony

69

niż pozostałe? A jednak czuł się okpiony, skarcony. Spróbował wykorzystać swą wiedzę, aby w pozytywny sposób odmienić przeznaczenie, zrobić coś, co wykracza poza trywialność zakładów i kombinacji finansowych - i jego wysiłki stworzyły jedynie drobną zmarszczkę na powierzchni strumienia historii. Zmieniło się nazwisko mordercy, nic więcej.

Co, pomyślał, wróżyło to na jego własną przyszłość? Czyżby wszystkie nadzieje, jakie miał na odbudowanie swego życia dzięki znajomości faktów z góry, były skazane na porażkę? Czy mógł dokonać jedynie powierzchownych zmian, ilościowych, lecz nie jakościowych? Czy jego próby osiągnięcia prawdziwego szczęścia zostaną równie niewytłumaczalnie udaremnione jak interwencja w zamach na Kennedy'ego? Tego też nie mógł odgadnąć. Sześć tygodni wcześniej miał poczucie boskiej wszechwiedzy i możliwości sukcesu wydawały mu się nieograniczone. Teraz wszystko znów było niepewne. Ogarnęło go paralizujące zwątpienie, gorsze, niż czuł kiedykolwiek od czasów szkoły średniej, od tego okropnego dnia, kiedy doszedł przez las do mostku i...

- Jeff! O Boże! Chodź tutaj! Zabili Bennetta, widziałam w telewizji, jak to się stało! Wolno pokiwał głową, wszedł za Sharlą do środka. Morderstwo pokazywano raz po raz, tak jak pamiętał. Zobaczył Jacka Ruby'ego w gangsterskim kapeluszu z filmów klasy B, pojawiającego się nie wiadomo skąd w podziemnym korytarzu aresztu okręgowego w Dallas. Zobaczył pistolet i Nelsona Bennetta, umierającego jak na sygnał, z brodatą twarzą wykrzywioną agonią, zniekształcone odbicie dobrze udokumentowanej śmierci Lee Harveya Oswalda.

Jeff wiedział, że prezydent Johnson zarządzi wkrótce szczegółowe dochodzenie w sprawie wypadków tego krwawego weekendu. Specjalna komisja pod przewodnictwem prezesa Sądu Najwyższego Earla Warrena będzie pracować

szukała odpowiedzi; i nie znajdzie ich. Życie będzie się toczyć dalej.

Po zamachu na Kennedy'ego Jeff nie angażował się już w nic oprócz zarabiania pieniędzy. I był w tym bardzo dobry.

Oczywiście postawił na wytwórnie filmowe. Połowa lat sześćdziesiątych była okresem ogromnej frekwencji w kinach, a takie produkcje, jak Mosi na rzece Kwai i Kleopatra zaczęto sprzedawać sieciom telewizyjnym za milionowe sumy. Jeff stronił od małych firm elektronicznych, chociaż zdawał sobie sprawę, że wartość wielu z nich kolosalnie wzrośnie; po prostu nie pamiętał nazw zwycięzców. W zamian lokował pieniądze w konglomeratach, o których wiedział, że będą prosperować przez całe dziesięciolecie właśnie dzięki inwestycjom w elektronikę. Niemal wszystkie jego typy przynosiły zyski od dnia kupna udziałów i większość tych zysków pakował w następne akcje.

Przynajmniej miał co robić.

Sharla bawiła się znakomicie, mimo że przekornie postawiła na Listona, kiedy Jeff doradzał jej Cassiusa Claya. Reakcje Jeffa były daleko bardziej mieszane: nie tyle na samą walkę, ile na jej oprawę, na tłum. Wielu obecnych na sali graczy i bukmacherów go rozpoznało, jako sławnego w hazardowym świecie od czasu rekordowej wygranej w finałach baseballu; nawet ludzie, którzy musieli wypłacić duże części tej multimilionowej puli, uśmiechali się doń szeroko i podnosili do góry kciuki. Został wprawdzie ekskomunikowany z ich kręgu, ale stał się legendą, i oddawano mu cześć należną legendzie tej miary.

Przypuszczał, że to właśnie mu przeszkadza - widoczny szacunek graczy był nazbyt wyraźnym przypomnieniem, że rozpoczął tę wersję swojego życia od nie ujawnionego wprawdzie, ale potężnego przekrętu w amerykańskim półświatku.

Zawsze będą go pamiętać w tym kontekście, choćby odniósł później nie

71

wiadomo jakie sukcesy w społeczeństwie. To sprawiało, że chciał wziąć dług, gorący prysznic, pozbyć się wyimaginowanego smrodu dymu z cygar i brudnych pieniędzy.

Ale problemem było również coś bardziej konkretnego, myślał Jeff, kiedy limuzyna

pełdziła Collins Avenue obok wulgarnych fasad hoteli Miami Beach. Problemem była Sharla.

Doskonale wkomponowała się w tłum kibiców, idealnie pasowała do innych wspaniale zbudowanych młodych kobiet w obcisłych, wyzywających sukienkach i z przesadnym makijażem. Spójrz prawdzie w oczy, pomyślał, zerkając na nią: wygląda tanio. Kosztownie, ale tanio; jak Las Vegas, jak Miami Beach. Już na pierwszy rzut oka było jasne dla każdego, że Sharla jest po prostu maszynką do pieprzenia. Niczym więcej. Uosobieniem dziewczyny, której „nie można przedstawić matce”. Uśmiechnął się krzywo na myśl, że to zrobił: zatrzymali się w Orlando w drodze na walkę.

Rodzice byli oszołomieni i solidnie onieśmieleni rozmiarami jego nagłych sukcesów finansowych, ale mimo to nie potrafili ukryć swej dezaprobaty dla Sharli i rozczarowania wiadomością, że Jeff z nią mieszka.

Sharla pochyliła się do przodu, aby wyjąć z torebki paczkę papierosów, i czarny satynowy gors jej sukienki lekko opadł, odsłaniając przed Jeffem kremową połąć bujnych piersi. Pożądał jej nawet teraz, czuł znajomy impuls, by wtulić twarz w to ciało, podciągnąć sukienkę w górę jej idealnych nóg.

Był z tą kobietą prawie rok, dzielił z nią wszystko oprócz swoich myśli i uczuć.

Wydało mu się to nagle niesmaczne, jakby sama uroda Sharli urągała jego wrażliwości. Dlaczego pozwolił, aby trwało to tak długo? Rozumiał, dlaczego mu się spodobała na początku; była fantazją wewnątrz fantazji, kuszącą piéce de résistance, która pasowała do jego odzyskanej młodości. Ale było to upodobanie z gruntu puste, równie niedojrzałe w swym braku treści i złożoności jak plakaty z walk byków na ścianach jego pokoju w akademiku.

Patrzył na nią, gdy przypalała papierosa, na jej zwodniczo arystokratyczną twarz w słabej czerwonej poświacie płomienia zapalniczki. Przyłapała go na tym spojrzeniu, uniosła jedną cienką brew w wyrazie seksualnego wyzwania i obietnicy. Jeff odwrócił wzrok, na światła Miami za spokojną, czystą wodą.

72

Sharla spędziła następny ranek na zakupach przy Lincoln Road i kiedy wróciła, Jeff czekał na nią w apartamencie hotelu Doral. Zostawiła paczki w korytarzu,

natychmiast podeszła do najbliższego lustra, aby poprawić makijaż. Krótka biała sukienka plażowa podkreślała jej wspaniałą opaleniznę, a nogi w sandałach na wysokim obcasie wydawały się jeszcze dłuższe i szczuplejsze niż w rzeczywistości. Jeff przesunął kciukiem po ostrych brzegach grubej szarej koperty, którą trzymał w dłoni, i omal nie zmienił zamiaru.

- Co robisz w pokoju? - zapytała Sharla, sięgając do suwaka przewiewnej bawełnianej sukienki. - Przebierzmy się w kostiumy, złapmy trochę słońca.

Jeff potrząsnął głową, wskazał jej krzesło naprzeciwko. Zmarszczyła czoło, zaciągnęła suwak na brązowych plecach i usiadła, gdzie jej polecił.

- Co ci jest? Skąd ten dziwny humor?

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale już wiele godzin wcześniej zdecydował, że słowa byłyby nie na miejscu. Nigdy tak naprawdę nie rozmawiali, o niczym; komunikacja werbalna miała niewiele wspólnego z tym, co się działo między nimi. Podał jej kopertę.

Sharla ściągnęła wargi, wzięła kopertę, rozdarła ją. Dłuższą chwilę patrzyła na sześć zgrabnych plików banknotów studola-rowych.

- Ile? - spytała w końcu, spokojnym, opanowanym tonem.

- Dwieście tysięcy.

Ponownie zajrzała do koperty, wyjęła bilet pierwszej klasy na lot Panagra Airlines do Rio, w jedną stronę.

- Jest na jutro rano - stwierdziła, obejrzawszy go. - Co z moimi rzeczami w Nowym Jorku?

- Wyślę ci je, dokąd zechcesz.

Skinęła głową.

- Przed wyjazdem będę musiała kupić więcej rzeczy tutaj.

- Kup, co tylko chcesz. Na mój rachunek.

Sharla ponownie skinęła głową, schowała pieniądze i bilet do koperty, którą położyła na stoliku obok. Wstała, rozpięła sukienkę i pozwoliła jej opaść na podłogę wokół swoich stóp.

- A co mi tam - powiedziała, rozpinając stanik - za dwieście tysięcy należy ci się pożegnalny numer.

Jeff wrócił do Nowego Jorku, do swoich inwestycji.

Wiedział, że w najbliższych latach spółniczki będą coraz krótsze, co wywoła olbrzymi popyt na wzorzyste pończochy i rajstopy. Kupił więc trzydzieści tysięcy akcji Hanesa. A wszystkie te odsłonięte uda zrobią swoje - zainwestował duże sumy w firmy farmaceutyczne, które produkowały pigułki antykoncepcyjne.

Półtora roku po wprowadzeniu się do Seagram Building wartość aktywów Future Inc. wzrosła do trzydziestu siedmiu milionów dolarów. Jeff całkowicie spłacił Franka i posłał mu z ostatnim czekiem długi osobisty list. Nigdy nie dostał odpowiedzi.

Oczywiście nie wszystko układało się zgodnie z planami Jef-fa. Chciał kupić duże udziały w Comsacie, kiedy spółka weszła na giełdę, ale akcje były tak popularne, że ograniczono sprzedaż do pięćdziesięciu sztuk na osobę. IBM o dziwo stał w miejscu przez cały 1965, chociaż odbił się w roku następnym. Sieci fast-foodów - Jeff wybrał Denny'ego, Kentucky Fried Chicken i McDonald'sa - poszły mocno w dół w 1967, zanim podskoczyły średnio o pięćset procent rok później.

W 1968 roku majątek Future Inc. szedł już w setki milionów i Jeff zamówił u I. M. Peia projekt sześćdziesięciopiętrowego budynku centrali, który miał stanąć na rogu Park Avenue i Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy. Firma nabyła też rozległe działki w najlepszych handlowych i mieszkaniowych dzielnicach Houston, Denver, Atlanty i Los Angeles oraz niemal połowę nie zagospodarowanego jeszcze terenu Century City w LA, po cenie pięciu dolarów za stopę kwadratową. Na własny użytek Jeff kupił studwudziestohektarową posiadłość w okręgu Dutchess, dwie godziny drogi w górę rzeki Hudson od Manhattanu.

Spotykał się z wieloma kobietami, z niektórymi z nich sypiał, miał dosyć tych bezsensownych korowodów. Drinki, kolacje, sztuki i koncerty, wernisaże... Nie cierpiał sztywnych rygorów „chodzenia”, tęsknił za swobodną familiarnością po prostu bycia z kimś, wspólnego przyjaznego milczenia i niewymu-

otwarcie zainteresowana jego pieniędzmi, albo zbyt ostentacyjnie wobec nich obojętna. Niektóre wręcz nienawidziły go za nie i nie chciały się z nim umawiać. Pod koniec lat sześćdziesiątych posiadanie dużego osobistego majątku było dla wielu młodych ludzi grzechem i nieraz dano Jeffowi odczuć, że jest bezpośrednio odpowiedzialny za wszelkie zło świata, od głodu w biednych dzielnicach po produkcję napalmu.

Cierpliwie więc czekał, koncentrował się na pracy. Nadchodzi czerwiec, przypominał sobie stale. Czerwiec 1968; wtedy wszystko się zmieni.

Konkretnie 24 czerwca.

Robert Kennedy nie żył od niecałych trzech tygodni, a Cassius Clay, pozbawiony tytułu mistrzowskiego i odrodzony jako Muhammad Ali, wnosił apelację od wyroku za uchylanie się od służby wojskowej. W Wietnamie rakiety z Północy atakowały Sajgon od początku wiosny.

Zdarzyło się to wczesnym popołudniem, w poniedziałek. Jeff pracował nocami i w weekendy w rozgłośni Top 40 w West Palm Beach, gdzie puszczał Beatlesów, Stonesów i Arethę Franklin, w wolnym czasie uczył się podstaw dziennikarstwa radiowego i sprzedawał swoje wywiady i felietony macierzystej stacji, a czasem agencji UPI. Pamiętał tę datę, ponieważ był to początek jego własnego poniedziałkowo-wtorkowego „weekendu”, i kiedy wrócił w środę do pracy, jakimś cudem udało mu się przeprowadzić pierwszy duży wywiad w karierze, długą i szczerą rozmowę telefoniczną z odchodzącym na emeryturę prezesem Sądu Najwyższego Earlem Warrenem. Nadal nie wiedział, dlaczego Warren zgodził się porozmawiać z początkującym wolnym strzelcem z małej stacji radiowej na Florydzie; ale jakoś dopisało mu szczęście i treściwe rozważania wielkiego człowieka na temat jego kontrowersyjnej kadencji zostały kupione przez NBC za pokaźną sumę. Nim minął miesiąc, Jeff dostał etat w rozgłośni WIOD w Miami. Wtedy wystartował; jego dorosłe życie, takie, jakie było, zaczęło się w ten letni tydzień.

Nie miał żadnego powodu, aby jechać do Boca Raton; nie miał też powodu, aby tam nie jechać. W niektóre poniedziałki

kierował się na północ, do Juno Beach, w inne na południe do Delray Beach albo Lighthouse Point. Mógł wybrać dowolny z setki połączonych szosą odcinków plaży i cywilizacji ciągnących się wzdłuż wybrzeża Atlantyku od Melbourne po South Miami Beach. Ale 24 czerwca 1968 roku wziął koc, ręcznik i lodówkę turystyczną pełną piwa i pojechał na plażę koło Boca Raton, i oto znów był w tym samym miejscu, tego samego słonecznego dnia.

I ona też tam była, leżała na plecach w żółtym szydełkowym bikini, z głową na nadmuchiwaną plażową poduszce, i czytała Port lotniczy w twardej oprawie. Jeff zatrzymał się kawałek od niej i stał, patrząc na jej młodzieńcze ciało, na cytrynowe pasemka w gęstych brązowych włosach. Piasek parzył go w stopy; uderzenia fal o brzeg odbijały się echem w jego głowie. Przez chwilę chciał się odwrócić i odejść, ale nie zrobił tego.

- Cześć - powiedział. - Dobra książka?

Popatrzyła na niego przez ciemne okulary w przezroczystej sowej oprawie i wzruszyła ramionami.

- Trochę szmirowata, ale nieźle się czyta. Pewnie będzie z niej lepszy film.

Albo kilka, pomyślał Jeff.

- Widziałaś Odyseję kosmiczną?

- Tak, ale nie miałam pojęcia, o co tam chodzi, i pod koniec trochę mi się dłużyła. Wolałam Petulię, no wiesz, z Julie Christie.

Skinał głową, spróbował się uśmiechnąć bardziej naturalnie, swobodnie.

- Mam na imię Jeff. Mogę się przysiąść?

- Tak, jasne. Jestem Linda - odparła kobieta, która przez osiemnaście lat była jego żoną.

Jeff rozłożył swój koc, otworzył lodówkę i podał jej piwo.

- Jesteś na wakacjach?-zapytał.

Oparła się na łokciu, wzięła od niego zroszoną butelkę.

- Studiuję na Florida Atlantic, ale moi rodzice mieszkają tu w mieście. A ty?

- Wychowałem się w Orlando, jakiś czas byłem na Emory. Teraz mieszkam w

Nowym Jorku.

Silił się na nonszalancję, ale bez powodzenia. Nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy, chciał, żeby zdjęła te cholerne ciem-

76

ne okulary, chciał zobaczyć oczy, które tak dobrze znał. Jej głos z ostatniego wspomnienia dźwięczał mu w głowie, metaliczny i daleki, głos w telefonie:

„Powinniśmy... Powinniśmy... Powinniśmy...”

- Spytałam, czym się zajmujesz.
- Przepraszam... - Upił łyk lodowatego piwa, spróbował zebrać myśli. -

Prowadzę interesy.

- Jakie?
- Inwestycje.
- Jesteś maklerem?
- Niezupełnie. Mam własną firmę. Współpracujemy z wieloma maklerami.

Akcje, nieruchomości, fundusze inwestycyjne... takie tam.

Zsunęła z nosa wielkie, okrągłe okulary, spojrzała na niego ze zdziwieniem. Jeff utkwił wzrok w znajomych piwnych tęczęwkach, pragnąc tyle powiedzieć: „Tym razem będzie inaczej” albo: „Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę”, albo po prostu: „Tęskniłem za tobą. Zapomniałem, jaka jesteś śliczna”. Milczał jednak, wpatrując się z nadzieją w jej oczy.

- Jesteś właścicielem całej firmy? - zapytała z niedowierzaniem.
- Teraz tak. Na początku miałem wspólnika, ale... teraz wszystko jest moje.

Zaczęła obracać butelkę w piasku, aż wykopała dołek, w którym mogła ją postawić.

- Odziedziczyłeś jakiś wielki spadek czy coś? Większość facetów, których znam, nawet nie dostałaby posady w takiej firmie w Nowym Jorku... albo nie chciałyby tam pracować.

- Do wszystkiego doszedłem sam, od zera. - Wybuchnął śmiechem, bo czuł się już swobodniej, czuł się pewny siebie i po raz pierwszy od lat dumny ze swych osiągnięć. - Wygrałem dużo pieniędzy w zakładach, wyścigi.konne i tak dalej, i wszystko zainwestowałem w firmę.

Popatrzyła na niego sceptycznie.

- Ile ty właściwie masz lat?
- Dwadzieścia trzy. - Zamilkł na chwilę, zorientował się, że za dużo mówi o sobie, nie dość interesuje się nią. Nie miała

77

ne okulary, chciał zobaczyć oczy, które tak dobrze znał. Jej głos z ostatniego wspomnienia dźwięczał mu w głowie, metaliczny i daleki, głos w telefonie:

„Powinniśmy... Powinniśmy... Powinniśmy...”

- Spytałam, czym się zajmujesz.
- Przepraszam... - Upił łyk lodowatego piwa, spróbował zebrać myśli. -

Prowadzę interesy.

- Jakie?
- Inwestycje.
- Jesteś maklerem?
- Niezupełnie. Mam własną firmę. Współpracujemy z wieloma maklerami.

Akcje, nieruchomości, fundusze inwestycyjne... takie tam.

Zsunęła z nosa wielkie, okrągłe okulary, spojrzała na niego ze zdziwieniem. Jeff utkwiał wzrok w znajomych piwnych tęczęwkach, pragnąc tyle powiedzieć: „Tym razem będzie inaczej” albo: „Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę”, albo po prostu: „Tęskniłem za tobą. Zapomniałem, jaka jesteś śliczna”. Milczał jednak, wpatrując się z nadzieją w jej oczy.

- Jesteś właścicielem całej firmy? - zapytała z niedowierzaniem.
- Teraz tak. Na początku miałem wspólnika, ale... teraz wszystko jest moje.

Zaczęła obracać butelkę w piasku, aż wykopała dołek, w którym mogła ją postawić.

- Odziedziczyłeś jakiś wielki spadek czy coś? Większość facetów, których znam, nawet nie dostałaby posady w takiej firmie w Nowym Jorku... albo nie chciałyby tam pracować.

- Do wszystkiego doszedłem sam, od zera. - Wybuchnął śmiechem, bo czuł się już swobodniej, czuł się pewny siebie i po raz pierwszy od lat dumny ze swych

osiągnąć. - Wygrałem dużo pieniędzy w zakładach, wyścigi.konne i tak dalej, i wszystko zainwestowałem w firmę.

Popatrzyła na niego sceptycznie.

- Ile ty właściwie masz lat?
- Dwadzieścia trzy. - Zamilkł na chwilę, zorientował się, że za dużo mówi o sobie, nie dość interesuje się nią. Nie miała

77

r

przecież pojęcia, że wie już o niej wszystko, więcej, niż w tym momencie życia wiedziała sama. - A ty? Co studiujesz?

- Socjologię. Byłeś na Emory na handlu?
- Na historii, ale rzuciłem studia. Na którym jesteś roku?
- Jesienią zacznę ostatni. Jak duża jest ta twoja firma? Ilu zatrudniasz ludzi?

Masz biuro na Manhattanie?

- Cały budynek, na rogu Park i Pięćdziesiątej Trzeciej. Znasz Nowy Jork?
- Masz własny budynek przy Park Avenue. To miło.

Już na niego nie patrzyła, rysowała kwiatowe płatki wokół butelki piwa. Jeff przypomniał sobie pewien dzień, kilka miesięcy przed ich ślubem, gdy niespodziewanie przyszła do niego z bukietem margerytek; we włosach miała słońce, a w uśmiechu cały blask lata.

- No wiesz... wymagało to dużo wysiłku - powiedział. - Co zamierzasz robić, kiedy skończysz studia?
- Nie wiem, może kupię parę domów towarowych. Na skromny początek. - Złożyła ręcznik, zaczęła zbierać rzeczy z koca i wpychać je do dużej niebieskiej torby plażowej. - Mógłbyś mi pomóc tanio wytargować Saksa na Piątej Alei?
- Zaczekaj, nie idź jeszcze. Myślisz, że żartuję, tak?
- Daj sobie spokój - odparła, schowała książkę do torby i strząsnęła piach z koca.

- Mówię poważnie. Nie nabieram cię. Moja firma nazywa się Future Inc. Mogłaś o niej słyszeć.
- Dzięki za piwo. Może następnym razem będziesz miał więcej szczęścia.
- Proszę, porozmawiajmy jeszcze trochę. Mam wrażenie, że dobrze cię znam, że wiele nas łączy. Kojarzysz to uczucie, że było się z kimś w poprzednim życiu albo...
- Nie wierzę w takie bzdury.

Zarzuciła sobie złożony koc na ramię i ruszyła w stronę rzędów samochodów zaparkowanych przy szosie.

- Daj mi szansę - powiedział Jeff, idąc obok niej. - Wiem na pewno, że jeśli lepiej się poznamy, okaże się, że mamy ze sobą wiele wspólnego i...

Odwróciła się na bosych piętach i popatrzyła na niego z furją ponad okularami.

78

- Jeśli się ode mnie nie odczepisz, zawołam ratownika. Spadaj, koleś. Znajdź sobie inną naiwną.
- Halo?
- Linda? Mówi Jeff, Jeff Winston. Poznaliśmy się dziś po południu na plaży i...
- Skąd, do diabła, znasz mój numer? Nie powiedziałam ci, jak się nazywam!
- To nie jest ważne. Posłuchaj, wysyłam ci najnowszy numer „Business Week”. Jest tam artykuł o mnie, ze zdjęciem. Strona czterdziesta ósma. Przekonasz się, że nie kłamałem.
- Masz też mój adres? Co ty kombinujesz? Czego ode mnie chcesz?
- Chcę cię tylko lepiej poznać i chcę, żebyś ty poznała mnie. Tyle może się między nami wydarzyć, mamy tyle cudownych widoków na...
- Ty oszalałeś! Mówię poważnie, jesteś jakimś świrem!
- Lindo, wiem, że źle zacząłem, ale pozwól mi to wszystko wyjaśnić. Pozwól nam zbliżyć się do siebie w otwarty, uczciwy sposób, a...
- Nie chcę cię lepiej poznać, kimkolwiek, do diabła, jesteś. Możesz sobie być bogaty. Możesz być cholernym J. Paulem Gettym. Po prostu... daj... mi... spokój!
- Rozumiem twoje zdenerwowanie. Wiem, że to wszystko musi ci się wydawać bardzo dziwne...

- Jeśli jeszcze raz do mnie zadzwonisz albo przyjdiesz do mnie do domu, zawiadomię policję. Wyrażam się jasno?

Usłyszał głośny trzask odkładanej słuchawki.

Dano mu szansę ponownego przeżycia dwudziestu pięciu lat; teraz oddałby je wszystkie za powtórkę tego jednego dnia.

Stoki winnicy Mirassou na południowy wschód od San Jose roły się od zbieraczy, którzy z koszami świeżych zielonych winogron na głowach schodzili niczym mrówki do ustawionych przed starą piwnicą pras. Na wzgórzach falowały szeroko rozsądzone rzędy podpartych tyczkami winnych krzewów, a tutaj, między ceglanymi budynkami, dęby i wiązy stały w przepychu październikowych kolorów.

79

Dianę była na niego zła od rana i ani ta bukoliczna sceneria, ani odkrywanie tajników produkcji wina nie poprawiły jej humoru. Jeff nie powinien był brać jej ze sobą; sądził, że ci dwaj młodzi geniusze ją zafascynują albo przynajmniej rozbawią, ale się pomylił.

- To zwyczajni hipisi. Na litość boską, ten wysoki był boso, a ten drugi wyglądał jak... jak neandertalczyk!

- Ich koncepcja jest bardzo obiecująca. Nie ma znaczenia, jak wyglądają.

- Ktoś powinien im powiedzieć, że lata sześćdziesiąte się skończyły, jeśli chcą sprzedawać te swoje głupie pomysły. Po prostu nie mogę uwierzyć, że dałeś im się naciągnąć na tyle pieniędzy!

- To moje pieniądze, Dianę. I już ci mówiłem, że decyzje finansowe należą do mnie.

Właściwie nie mógł mieć do niej pretensji o tę reakcję; ci dwaj młodzi mężczyźni z garażem pełnym używanych podzespołów istotnie nie wyglądali na kandydatów do pierwszej pięćsetki najbogatszych przedsiębiorców Ameryki. Ale Jeff wiedział, że za pięć lat ich garaż w Cupertino w Kalifornii będzie sławny, a firma Steve'a Jobsa i Steve'a Wozniaka okaże się najlepszą inwestycją 1976 roku. Dał im pół miliona dolarów, polecił iść za radą byłego szefa marketingu z Intelu, którego niedawno poznali, i powiedział, że mogą robić, co chcą, byle tylko zostali przy nazwie „Apple”.

Pozwolił im zatrzymać czterdzieści dziewięć procent nowego przedsięwzięcia.

- Kto, u licha, chciałby mieć komputer w domu? I skąd wiesz, że ci niechluję naprawdę potrafią go zrobić?

- Zapomnijmy o tym, dobrze?

Naburmuszona Dianę zamilkła, ale Jeff wiedział, że wcale nie zapomni o tej sprawie, nawet jeśli więcej o niej nie wspomni.

Ożenił się z nią przed rokiem, bardziej z wyrachowania niż z potrzeby serca, wkrótce po swoich trzydziestych urodzinach. Była dwudziestotrzyletnią panną z wyższych sfer Bostonu, dziedziczką jednej z najstarszych i największych firm

ubezpieczeniowych w kraju, kobietą o delikatnej, chłodnej urodzie, umiejącą się zachować w towarzystwie ludzi posiadających siedmio-cyfrowe majątki. Rozumieli się z Jeffem na tyle dobrze, na ile

80

jest to możliwe w przypadku dwóch osób, które niewiele łączy oprócz obeznania z pieniędzmi. Teraz Dianę była w siódmym miesiącu ciąży i Jeff miał nadzieję, że dziecko wydobędzie z niej to, co najlepsze, przyczyni się do powstania głębszej więzi między nimi.

Młoda blondynka w granatowej garsonce zaprowadziła ich na degustację do narożnego pomieszczenia od frontu głównego budynku. Pod ścianami stały tam romboidalne stojaki z winem, przedzielone dyskretnie oświetlonymi wnękami, w których wyeksponowano zdjęcia winnicy, cięte kwiaty i najlepsze produkty Mirassou. Przy centralnym barze z różanego drewna Jeff i Dianę wychylili po rytualnym kieliszku Chardonnay.

Linda trzymała się tego, co powiedziała mu przez telefon po ich nieszczęsnym spotkaniu na plaży przed siedmiu laty. Listy Jeffa wracały nie rozpieczętowane, podobnie jak prezenty. Po kilku miesiącach poniechał prób nawiązania z nią kontaktu, ale dodał jej nazwisko do listy tematów „Osobiste/Priorytetowe” w agencji, która przysyłała mu wycinki prasowe. I tak dowiedział się w maju 1970 roku, że Linda wyszła za architekta z Houston, wdowca z dwojgiem małych dzieci. Życzył jej szczęścia, ale czuł się porzucony... przez kogoś, kto nigdy go nie znał, jeśli chodziło

o nią.

Znów szukał pociechy w pracy. Jego ostatnim posunięciem była sprzedaż, z olbrzymim zyskiem, pół naftowych w Wenezueli i Abu Zabi i zastąpienie ich terenami na Alasce i w Teksasie oraz kontraktem na kilkanaście przybrzeżnych platform wiertniczych. Oczywiście dokonał tych transakcji, zanim spadł miecz OPEC.

Kobiety, wśród których się obracał, były pod większością względów podobne do Diane: atrakcyjne, zadbane, błyszczące najbardziej wyrafinowanymi talentami towarzyskimi, biegle i, czasami, entuzjastyczne w łóżku. Córki fortuny, przedstawicielki sfer uchodzących za amerykański beau monde. Kobiety, które znały podstawowe zasady, od urodzenia rozumiały obowiązki i ograniczenia ciążące na posiadaczach wielkiego majątku. Dorównywał im teraz pozycją, rozsądek nakazywał, aby to w ich kręgu poszukał sobie żony. Dianę wybrał na chybił trafił. Spełniała wymagane kryteria. Jeśli kiedyś połączy ich coś wię-

81

cej, to wspaniale... a jeśli nie, przynajmniej nie groziło mu rozczarowanie.

Jeff odświeżył sobie smak kawałkiem sera i skosztował pół-słodkiego Fleuri Blanc.

Dianę tym razem podziękowała, klepiąc się tytułem wyjaśnienia po nabrzmiałym brzuchu.

Może dziecko coś zmieni. Nigdy nic nie wiadomo.

Pulchny rudy kot śmignął po drewnianej podłodze niczym O. J. Simpson do mety domowej. Jego ofiara, lśniąca żółta wstążka z satyny, odniosła ciężkie obrażenia i groziło jej rozszarpanie na strzępy.

- Gretchen! - zawołał Jeff. - Wiesz, że Chumley drze twoją wstążkę?
- Nie szkodzi, tatusiu - odparła jego córka, siedząca na drugim końcu dużego salonu, pod oknem z widokiem na Hudson. - Chumley i ja świętujemy, bo Ken jest już w domu.
- Kiedy wrócił? Myślałem, że leży w szpitalu w Niemczech.
- Nie, tatusiu. Powiedział lekarzom, że nie jest chory i musi natychmiast wracać do domu. Więc Barbie wysłała mu bilet na concorde'a i przyleciał przed wszystkimi.

Jak tylko stanął w drzwiach, zrobiła mu sześć muffinów z jagodami i cztery hot dogi. Jeff roześmiał się głośno i Gretchen posłała mu najbardziej miażdżącą minę, na jaką jej wielkooka pięcioletnia buzia mogła się zdobyć.

- W Iranie nie mają hot dogów - wyjaśniła. - Ani muffinów z jagodami.
- To prawda - powiedział Jeff, z wysiłkiem przybierając poważny wyraz twarzy.
- Musiał się stęsknić za amerykańskim jedzeniem.
- No pewnie. A Barbie umie go uszczęśliwić.

Kot pomknął w przeciwną stronę z postrzępioną wstążką w pazurach, po czym legł na boku na słonecznej plamie i napawając się swą zdobyczą, kopał ją od czasu do czasu tylnymi łapami. Gretchen wróciła do zabawy, do alternatywnej rzeczywistości wymyślnego domku dla lalek, który Jeff budował ponad rok zgodnie z jej wskazówkami. Miniaturowe drzewka na zielonym filcowym trawniku były teraz ozdobione jaskrawożółtymi ko-

82

cej, to wspaniale... a jeśli nie, przynajmniej nie groziło mu rozczarowanie.

Jeff odświeżył sobie smak kawałkiem sera i skosztował pół-słodkiego Fleuri Blanc. Dianę tym razem podziękowała, klepiąc się tytułem wyjaśnienia po nabrzmiałym brzuchu.

Może dziecko coś zmieni. Nigdy nic nie wiadomo.

Pulchny rudy kot śmignął po drewnianej podłodze niczym O. J. Simpson do mety domowej. Jego ofiara, lśniąca żółta wstążka z satyny, odniosła ciężkie obrażenia i groziło jej rozszarpanie na strzępy.

- Gretchen! - zawołał Jeff. - Wiesz, że Chumley drze twoją wstążkę?
- Nie szkodzi, tatusiu - odparła jego córka, siedząca na drugim końcu dużego salonu, pod oknem z widokiem na Hudson. - Chumley i ja świętujemy, bo Ken jest już w domu.
- Kiedy wrócił? Myślałem, że leży w szpitalu w Niemczech.
- Nie, tatusiu. Powiedział lekarzom, że nie jest chory i musi natychmiast wracać do domu. Więc Barbie wysłała mu bilet na concorde'a i przyleciał przed wszystkimi. Jak tylko stanął w drzwiach, zrobiła mu sześć muffinów z jagodami i cztery hot dogi.

Jeff roześmiał się głośno i Gretchen posłała mu najbardziej miażdżącą minę, na jaką jej wielkooka pięcioletnia buzia mogła się zdobyć.

- W Iranie nie mają hot dogów - wyjaśniła. - Ani muffmów z jagodami.
- To prawda - powiedział Jeff, z wysiłkiem przybierając poważny wyraz twarzy.
- Musiał się stęsknić za amerykańskim jedzeniem.
- No pewnie. A Barbie umie go uszczęśliwić.

Kot pomknął w przeciwną stronę z postrzępioną wstążką w pazurach, po czym legł na boku na słonecznej plamie i napawając się swą zdobyczą, kopał ją od czasu do czasu tylnymi łapami. Gretchen wróciła do zabawy, do alternatywnej rzeczywistości wymyślnego domku dla lalek, który Jeff budował ponad rok zgodnie z jej wskazówkami. Miniaturowe drzewka na zielonym filcowym trawniku były teraz ozdobione jaskrawożółtymi ko-

82

kardkami i Gretchen od tygodnia śledziła wiadomości o uwolnieniu zakładników w Teheranie z uwagą, jaką większość dzieci poświęca jedynie sobotnim kreskówkom. Z początku Jeff był tym zaniepokojony, chciał ją ustrzec przed potencjalnie szkodliwymi dla dziecięcej psychiki skutkami oglądania wściekłego tłumu, który skanduje „Śmierć USA”; ale wiedział, że ten epizod będzie miał pokojowe, radosne zakończenie, więc postanowił uszanować przedwcześnie rozbudzone zainteresowania córki i zaufać jej odporności psychicznej.

Nigdy nie sądził, że można tak kochać, jak on kochał Gretchen. Pragnął ją ochronić przed całym mrokiem i podzielić się z nią całym światłem. Przyjście na świat córki nie scementowało jego związku z Dianę, której wyraźnie ciążyły macierzyńskie obowiązki. Ale nieważne, sama Gretchen była źródłem i obiektem wszystkich głębokich uczuć, jakie mógł żywić czy sobie wyobrazić.

Przyglądał się, jak dziewczynka zdejmuje z lalczego drzewka następną wstążkę, drażni się nią z grubym, starym Chum-leyem. Kot był zmęczony, nie chciał się już bawić; błagalnie położył miękką łapę na policzku Gretchen, a ona ukryła buzię w złotym futerku na jego brzuchu, zaczęła go pieszczotliwie czochrać. Jeff słyszał z drugiego końca pokoju zadowolone mruczenie zwierzaka, zmieszane z łagodnym

śmiechem córki.

Stojące wysoko słońce wpadało do środka przez wielkie wykuszone okna, rzucało świetliste prążki na wyfroterowaną podłogę, gdzie Gretchen tuliła się do kota. Ten dom, ten cichy leśny zakątek w okręgu Dutchess, służył dziecku; jego spokój mógł być balsamem dla każdej ludzkiej duszy, młodej czy starej, niewinnej czy znękannej. Jeff pomyślał o swoim współlokatorze z akademika, Martinie Baileyu. Zadzwoił do niego wkrótce po narodzinach Gretchen, odnowił kontakt, który w tym życiu zerwali na wiele lat. Nie był w stanie wyperswadować Martinowi małżeństwa, które miało się okazać katastrofą i które pierwotnie przywiodło go do samobójstwa, ale dał mu dobrą posadę w Future Inc. i od czasu do czasu doradzał zakup jakichś akcji. Teraz jego przyjaciel był znów rozwiedziony i nieszczęśliwy, ale przynajmniej żył i był wypłacalny.

83

Jeff rzadko myślał w tych dniach o Lindzie i o swojej poprzedniej egzystencji. To pierwsze życie wydawało mu się teraz snem; rzeczywistością był emocjonalny pat w stosunkach z Dianę, błogość chwil spędzanych z córką oraz plusey i minusy obrastania w pieniądze i władzę. Rzeczywistością była jego wiedza i wszystko, co mu przyniosła - dobrego i złego.

Obraz na ekranie przedstawiał czysto organiczny ruch: płyn przelewający się gładko przez zakrzywione wnęki, skurcze i rozkurcze następujące po sobie w perfekcyjnym, leniwym rytmie.

- Jak pan widzi, ani śladu zatoru w żadnej z komór. A badanie holterowskie nie wykazało przez te dwadzieścia cztery godziny żadnych objawów tachykardii.

- Więc co to wszystko oznacza? - zapytał Jeff.

Kardiolog wyłączył magnetowid, na którym oglądali ultrasonograficzną prezentację serca Jeffa, i uśmiechnął się.

- Oznacza to, że stan pana serca jest tak bliski ideału, jak tylko może sobie życzyć czterdziestotrzyletni Amerykanin. Stan pana płuc również, sądząc z prześwietleń i prób czynnościowych.

- W takim razie moja przewidywana długość życia...

- Niech pan utrzyma taką formę, a dożyje setki. Rozumiem, że nadal chodzi pan na siłownię?

- Trzy razy w tygodniu.

Jeff odniósł nie tylko finansową korzyść z wiedzy, że pod koniec lat siedemdziesiątych Amerykę ogarnie szal na punkcie sprawności fizycznej. Nie tylko był właścicielem Adidasa, Nau-tilusa i sieci salonów Holiday Health Spa, lecz także od ponad dziesięciu lat używał całego ich sprzętu.

- Więc niech pan dalej ćwiczy - powiedział doktor. - Chciałbym, żeby wszyscy moi pacjenci tak o sobie dbali.

Jeff jeszcze przez kilka minut gawędził z lekarzem, ale myślał o czymś innym: o sobie w dokładnie tym samym wieku, w tym samym roku, ponad dwadzieścia lat wcześniej. O sobie jako o nieruchawym, zestresowanym i trochę zbyt otyłym facecie na kierowniczym stanowisku, który trzyma się za serce i wali twarzą w biurko, gdy świat spowija czerń.

Nie tym razem. Tym razem nic mu się nie stanie.

84

Jeff wolał ciszę i spokój tylnej sali w La Grenouille, ale Diane uważała, że nawet podczas lunchu należy widzieć innych i być przez nich widzianym. Tak więc zawsze jadali w sali od frontu, nieodmiennie zatłoczonej i hałaśliwej.

Jeff delektował się gotowanym na parze łososiem z estrago-nem, bazylią i łagodnym sosem vinaigrette, usiłując ignorować zarówno nadąsanie Diane, jak i rozmowy przy stolikach napierających na nich z obu stron. Jedna para omawiała swoje małżeństwo, druga rozwód. Konwersacja Jeffa i Diane przypadała gdzieś pośrodku.

- Chyba chcesz, żeby ją przyjęli do Sarah Lawrence? - warknęła Diane między kęsami małży à la nage.

- Ma trzynaście lat - westchnął Jeff. - Biura rekrutacji w Sarah Lawrence nie obchodzi, co Gretchen robi w tym wieku.

- Poszłam do Concord Academy, kiedy miałam jedenaście lat.

- Bo twoich rodziców nie obchodziło, co robisz w tym wieku.

Diane odłożyła widelec, spiorunowała go wzrokiem.

- Moje wychowanie nie jest twoją sprawą.
- Ale wychowanie Gretchen jest.
- Więc powinno ci zależeć na tym, żeby miała jak najlepsze wykształcenie, od początku.

Jeden kelner zabrał ich puste talerze, a drugi przyciągnął barek z deserami. Jeff skorzystał z tej przerwy, aby zatracić się w wielokrotnych odbiciach licznych luster restauracji: jodłowo-zielone ściany, karmazynowe kanapy, wspaniałe bukiety kwiatów, które wyglądały jak świeżo zerwane z pejzażu Cezanne'a. Wiedział, że Diane troszczy się nie tyle o wykształcenie Gretchen, ile o własną wolność od codziennych obowiązków. Jeff już teraz widywał córkę rzadko i nie mógł znieść myśli, że mogłaby zamieszkać dwieście mil od domu.

Diane ze złością dziobała maliny w sosie Grand Marnier.

- Pewnie uważasz, że może się dalej zadawać z tymi wszystkimi łobuziakami, których sprowadza do domu ze szkoły państwowej.
- Na litość boską, ta szkoła jest w Rhinebeck, nie w południowym Bronksie. To wspaniałe środowisko dla dziecka.

85

- Concord również . Wiem o tym z własnego doświadczenia
Jeff wbił widelczyk w gruszkową charlotte, nie mogąc powiedzieć, co naprawdę myśli: że nie zamierza patrzeć, jak Gretchen wyrasta na klona swojej matki. Płytkie wyrafinowanie, pogarda wobec całego świata, bogactwo postrzegane jako rzecz należna z urodzenia, coś, co się ma i na czym zawsze można polegać. Jeff wzbogacił się dzięki uśmiechowi paranormalnego szczęścia i sile woli. Chciał ochronić córkę przed zgubnym wpływem pieniędzy, chociaż pragnął, aby z nich korzystała.

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej - odezwał się w końcu.
- Musimy dać im znać do czwartku.
- Więc porozmawiamy w środę.

Teraz Diane naburmuszyła się na serio i Jeff wiedział, że tylko forsowne, niemal mordercze zakupy u Bergdorfa i Saksy mogą poprawić jej humor.

Poklepał się po kieszeni marynarki, wyjął dwie zawinięte w sreberko tabletki

Gelusilu. Może miał serce w doskonałym stanie, ale życie, które sobie stworzył, rozwalalo mu żołądek.

Szczupłe młode palce Gretchen poruszały się z wdziękiem po klawiaturze, wygrywając wzruszające tony DZa Elizy Beetho-vena. Tłusty rudy kot imieniem Chumley spał na taborecie obok niej, ukołysany delikatną muzyką; za stary już, aby dokazywać bez opamiętania jak kiedyś, zadowalał się samą bliskością swej pani. Jeff obserwował córkę, jej gładką, bladą twarz otoczoną ciemnymi lokami. Malowało się na niej napięcie, ale wiedział, że nie powoduje go koncentracja na nutach czy tempie. Gretchen miała tak duży wrodzony talent muzyczny, że zagrawszy jakiś utwór raz, nie musiała uczyć się go na pamięć ani ćwiczyć podstaw. Był to raczej wyraz uniesienia, stopienia z tęskną melodią tej zwodniczo prostej bagateli.

Biegła wykonała kodę legato i skończywszy, siedziała dłuższą chwilę w milczeniu, jakby powracała z dalekiej krainy, do której przeniosła ją muzyka. Potem uśmiechnęła się radośnie i jej oczy znów stały się oczami wesołej małej dziewczynki.

- Prawda, że ładne? - spytała naiwnie, mając na myśli urodę samej muzyki.

86

- Tak - odparł Jeff. - Prawie tak ładne jak pianistka.

- Przestań, tatusiu. - Zarumieniła się, zeskoczyła z taboretu jak młody żrebak. - Zrobię sobie kanapkę. Ty też chcesz?

- Nie, dziękuję, skarbie. Zaczekam do kolacji. Twoja matka powinna zaraz wrócić z miasta. Kiedy przyjedzie, powiedz jej, że poszedłem na spacer nad rzekę, dobrze?

- Dobrze - zawołała Gretchen, pędząc do kuchni.

Chumley obudził się, ziewnął i ruszył za nią spokojniejszym krokiem.

Jeff wyszedł z domu, ruszył ścieżką między drzewami. Jesienią szpaler wiązów wyglądał jak półmilowy tunel płomieni. Wyłoniwszy się z niego, zobaczył najpierw rozległą łąkę schodzącą łagodnie ku Hudsonowi, a potem bardziej strome zbocze sto jardów na lewo, gdzie strumień spadał w dół po kamieniach, tworząc małe wodospady. Ten dramatyczny widok zawsze przeszywał go dreszczem podziwu, że

istnieje takie piękno, i dumi, że należy ono do niego.

Stał teraz na grani zielonego stoku, kontemplując krajobraz. Dwie małe łódki płynęły cicho w dół rzeki pod pożarem jesiennych kolorów po drugiej stronie. Trzech małych chłopców szło przeciwległym brzegiem, leniwie ciskając kamienie do pędzącej wody. Na szczycie wzniesienia ponad nimi stał dom, mniej imponujący niż rezydencja Jeffa, ale też okazały.

Za trzy miesiące rzeka zamarznie, zmieni się w szeroki biały trakt biegnący na południe ku miastu i na północ w stronę gór Adirondack. Drzewa zgubią liście, ale nie będą nagie: śnieg przyprószy ich konary, a w niektóre dni nawet najmniejsze gałązki skuje cylinder lodu, błyszczący w zimowym słońcu milionami gwiazdek. Była to ziemia, był to kraj, który Currier i Ives* zmitologi-zowali jako amerykański ideał; rysowali nawet ten właśnie widok. Stojąc tu, łatwo było uwierzyć, że wszystko, czego dokonał, miało sens. Stojąc tu lub trzymając w ramionach Gretchen, obejmując dziecko, którego pragnęli kiedyś z Lindą i którego nie mogli mieć.

* Currier & Ives - dziewiętnastowieczna firma wydająca popularne litografie, które przedstawiały amerykańskie życie.

87

Nie, nie pośle córki do Concord. Jej dom jest tutaj. Tutaj jest jej miejsce, dopóki nie dorośnie na tyle, aby sama mogła uznać, że chce je opuścić. Kiedy nadejdzie ten dzień, Jeff poprze każdą jej decyzję, ale na razie...

Coś niewidocznego dźgnęło go w pierś, bardziej boleśnie i potężnie niż kiedykolwiek w życiu... oprócz jednego razu.

Osunął się na kolana, usiłując sobie przypomnieć, jaki jest dzień, która godzina.

Ogarnął spojrzeniem jesienny krajobraz, dolinę, która zaledwie przed chwilą wydała mu się symbolem odzyskanej nadziei i nieograniczonych możliwości. Potem upadł na bok, tyłem do rzeki.

Jeff Winston popatrzył bezradnie na pomarańczowy tunel wiązów, który zaprowadził go na tę łąkę obietnicy i spełnienia, i umarł.

7.

Otaczała go ciemność i krzyki. Czyjeś dłonie trzymały go kurczowo za prawe ramię, paznokcie przebijały materiał rękawa.

Przed sobą widział obraz piekła: dzieci, płaczące i krzyczące, potykające się w ucieczce przed czarnymi, skrzydlatymi stworami, które pikowały z góry i dziobały ich twarze, usta, oczy...

Nagle jakaś piękna, zimna blondynka wciągnęła dwie małe dziewczynki do samochodu, gdzie były już bezpieczne. Jeff uświadomił sobie, że ogląda film; film Hitchcocka, Ptaki.

Napięcie minęło, nacisk na jego rękę ustąpił i odwróciwszy głowę, zobaczył Judy Gordon, uśmiechającą się doń z dziewczęcym zawstydzeniem. Po jego lewej stronie przyjaciółka Judy, Paula, wtulała się w opiekuńcze ramię młodego Martina Bai-leya. Rok 1963. Wszystko zaczęło się od nowa.

- Dlaczego jesteś dziś taki milczący, kochanie? - zapytała Judy, siedząca obok niego z tyłu chevroleta corvair Martina, kiedy jechali po filmie do Moe & Joe. - Chyba nie myślisz, że byłam głupia, bo tak się bałam?

- Nie. Nie, skądże.

Splotła palce z jego palcami, położyła mu głowę na ramieniu.

- W porządku, tylko nie myśl, że jestem mazgajem.

Miała świeżo umyte włosy i-pokropiła swój szczupły, blady kark słodkimi perfumami Lanvin. Pachniała identycznie jak tamtego fatalnego wieczoru w samochodzie Jeffa, dwadzieścia pięć lat wstecz... i wcześniej, niemal przed półwiekiem, tego samego wieczoru.

Wszystko, co osiągnął, zniknęło: jego imperium finansowe, dom w okręgu Dutchess... i co bolało go najbardziej, stracił dziec-

89

0P

ko. Gretchen, z jej niezdarnymi, prawie kobiecymi ruchami i inteligentnymi, kochającymi oczyma, została skazana na nieistnienie. Na śmierć albo coś gorszego. W tej rzeczywistości po prostu nigdy jej nie było.

Po raz pierwszy w swym długim, pękniętym życiu w pełni zrozumiał lament Lira nad Kordelią:

...już po niej! Po niej, na zawsze.

- Słucham, kochanie? Mówiłeś coś?

- Nie - wyszeptał, przyciągając dziewczynę do piersi. - Po prostu myślałem głośno.

- Mmm. Dam pensa za twoje myśli.

Drogocenna niewinność, pomyślał; błogosławiona słodka nieświadomość tego, jakie rany może zadać chory wszechświat.

- Myślałem sobie, ile znaczy dla mnie to, że tu jesteś. I jak bardzo chcę cię przytulić.

Jego stare liceum pod Richmond, podobnie jak campus Emo-ry, nic się nie zmieniło. Pewne rzeczy kłóciły się odrobinę z jego wspomnieniami: budynki wydawały się mniejsze, jadalnia była bliżej jeziora, niż pamiętał. Spodziewał się jednak takich drobnych niezgodności, już dawno uznał, że ich powodem są przekłamania pamięci, a nie jakieś konkretne zmiany w naturze rzeczy. Odkąd był tu ostatni raz, minęło prawie pięćdziesiąt lat. Całe jego dorosłe życie, choć podzielone na dwie części, i teraz rozpoczęte od nowa.

- Dobrze ci się wiedzie w college'u? - zapytała pani Braden.

- Nie najgorzej. Po prostu miałem ochotę urwać się na parę dni. Pomyślałem, że odwiedzę starą budę.

Pulchna, niska bibliotekarka roześmiała się ciepłym, macierzyńskim śmiechem.

- Skończyłeś szkołę niecały rok temu, Jeff. Już chwyta cię nostalgia?

- Chyba tak. — Uśmiechnął się. — Mam wrażenie, że minęło więcej czasu.

* W. Szekspir, Król Lir, tłum. J. Paszkowski.

90

- Zaczekaj dziesięć albo dwadzieścia lat. Zobaczysz, jak odległe będzie ci się to wszystko wydawać. Ciekawe, czy zechcesz nas odwiedzić wtedy.

- Na pewno.

- Mam nadzieję. Dobrze jest wiedzieć, co wyrasta z naszych chłopców, jak sobie

radzicie w świecie. Myślę, że ty poradzisz sobie znakomicie.

- Dziękuję pani. Staram się.

Zerknęła na zegarek, z roztargnieniem odwróciła głowę ku głównym drzwiom biblioteki.

- O trzeciej mam się spotkać z grupą przyszlórocznych uczniów, oprowadzić ich po szkole. Zanim odjedziesz, zajrzyj koniecznie do doktora Armbrustera, dobrze?

- Oczywiście.

- A następnym razem wpadnij do mnie do domu. Napijemy się sherry i powspominamy stare dzieje.

Jeff pożegnał się z bibliotekarką, przeszedł między regałami do bocznego wyjścia. Nie zamierzał rozmawiać z nauczycielami ani personelem, ale jadąc tu, wiedział, że nie uniknie paru przypadkowych spotkań. Ogólnie biorąc, sądził, że poradził sobie z panią Braden całkiem nieźle, choć cieszył się, że rozmowa była krótka. W Emory stawiał już czoło takim sytuacjom bez obawy, ale tutaj mogło to być znacznie trudniejsze; słabiej pamiętał to miejsce i ludzi.

Powędrował ścieżką na tyłach biblioteki w ustronny wirgi-nijski las otaczający campus, na którym z chłopca stał się młodym mężczyzną. Coś go tu ciągnęło, coś silniejszego, bardziej nieodpartego niż zwykła nostalgia. Chryste, te dwie powtórki zaspokoily jego nostalgię za przeszłością aż nadto.

Może rzecz polegała na tym, że było to ostatnie ważne w jego życiu środowisko, do którego się nie cofnął i które nadal istniało takim, jakim je pamiętał. Odwiedził już swój rodzinny dom w Orlando, dwukrotnie wrócił do Emory. A miejsca, w których żył po skończeniu studiów za pierwszym razem, najpierw jako kawaler, potem z Lindą, nie były częścią ani jego obecnej egzystencji, ani poprzedniej powtórki. Natomiast tutaj go pamiętano; odcisnął na tej szkole niewielkie piętno swojej osobowości, a ona, zarówno w tym życiu, jak i w poprzednich, wywarła

wpływ na niego. Może po prostu odczuwał potrzebę powrotu do najgłębszych korzeni, potrzebę potwierdzenia swej tożsamości i przypomnienia sobie czasu, kiedy

rzeczywistość była stała i niepowtarzalna.

Odsunął zwisającą nad ścieżką gałąź wiązu i bez ostrzeżenia zobaczył mostek, na którego wspomnienie doznawał przez cały ten czas poczucia winy i wstydu.

Przystanął wstrząśnięty, wpatrując się w obraz, który od pięćdziesięciu lat prześladował go w snach. Była to zwykła drewniana kładka nad potokiem, prosta konstrukcja długości najwyżej dziesięciu stóp, ale Jeff z trudem opanował panikę, którą obudził w nim jej widok. Nie miał pojęcia, że ścieżka zaprowadzi go tutaj. Puścił gałąź, podszedł powoli do maleńkiego mostku z ręcznie piłowanych desek, wykończonego wypieszczoną barierką. Oczywiście został odbudowany; przypuszczał, że tak będzie. Ale kiedy był w szkole, od tamtego dnia nigdy nie wrócił na to miejsce.

Usiadł tuż obok mostku, pogładził zmurszałe drewno. Po drugiej stronie potoku wiewiórka gryzła trzymany w łapkach żołędź, przyglądając się Jeffowi spokojnie, ale czujnie.

W pierwszej klasie liceum Jeff nie miał problemów z nieśmiałością; był chłopcem statecznym i pilnym w nauce, ale na pewno nie wstydliwym. Szybko nawiązał kilka przyjaźni i brał udział w hałaśliwych internatowych zabawach, jak pojedynki na krem do golenia, owijanie mebli kolegów papierem toaletowym i tak dalej. Jeśli chodzi o dziewczęta, miał tyle samo, czyli równie mało doświadczenia, ile większość piętnastolatków w tamtej bardziej niewinnej epoce. Chodził „na stałe” z pewną dziewczyną w ostatniej klasie gimnazjum, lecz nie zbliżył się jeszcze do żadnej z licealistek, które w weekendy przyjeżdżały tu z Richmond na tańce. Wspominaną z sympatią Barbarę poznał dopiero rok później.

Ale w tej pierwszej klasie liceum się zakochał. Zakochał się bezgranicznie i do szaleństwa w nauczycielce francuskiego, dwudziestoparoletniej Deirdre Rendell. Nie był w swojej obsesji odosobniony; osiemdziesiąt procent chłopców kochało się w tej smukłej brunetce, której mąż uczył historii Ameryki. Co wie-

92

W

czór w jadalni toczyła się wściekła bitwa o sześć uczniowskich miejsc przy stole

Rendellów; Jeff wychodził z niej zwycięsko dwa, trzy razy w tygodniu.

Był przekonany, że pani Rendell darzy go specjalnym uczuciem, czymś więcej niż pogodną serdecznością, z jaką traktowała innych chłopców; wierzył, że kiedy się do niego zwraca, dostrzega w jej oczach wyjątkowy żar, płomień. Pewnego razu stanęła w klasie za jego krzesłem i zaczęła machinalnie, powoli masować mu kark, recytując z uczniami Baudelaire'a. Była to dla niego chwila niezwykłego erotycznego napięcia i pławił się w zazdrosnych spojrzeniach kolegów. Na jakiś czas przestał się nawet onanizować nad rozkładówkami „Playboya”, zarezerwował swoje fantazje seksualne dla Deirdre, jak nazywał ją w myślach, tylko dla Deirdre.

Pod koniec listopada stało się oczywiste, że pani Rendell jest w ciąży. Jeff robił, co mógł, aby ignorować płynące z tego faktu wnioski o jej zdrowych stosunkach z mężem, i skupił się w zamian na nowej urodzie, jakiej nabrała twarz przyszłej matki. Wzięła urlop macierzyński zimą i zastąpił ją inny nauczyciel. Dziecko urodziło się w połowie lutego. Pani Rendell wróciła do swego stołu w jadalni w kwietniu, z piersiami cudownie nabrzmiętymi mlekiem. Kiedy nie brała niemowlęcia na ręce, trzymała je w nosidełku na krześle, a siedzący obok mąż bezustannie jej nadskakował. Oboje pochłaniali niemal całą jej drogocenną uwagę; Jeff nie mógł już sobie wyobrazić, że odczytuje sekretną czułość w rzadkich uśmiechach, które mu posyłała. Rendellowie mieszkali w domu poza campusem, po drugiej stronie lasu za biblioteką. W słoneczne dni pani Rendell lubiła chodzić do szkoły pieszo przez ciche zagajniki brzoź i wiązów. Prowadziła tamtędy wydeptana ścieżka, którą przecinał niewielki potok. Jesienią bez trudu pokonywała wąską strugę; ale teraz, gdy musiała pchać dziecięcy wózek, potok stał się poważną przeszkodą.

Jej mąż przez sześć tygodni budował mały mostek. W szkolnym warsztacie przyciął deski piłą taśmową, wyheblował drewno na gładko, zrobił poprzeczne belki dwa razy mocniejsze, niż to było konieczne. W dniu, kiedy skończył, pani Rendell pocałowała go przy stole w jadalni, pocałowała go długo i czule. Nigdy

93

przedtem nie zrobiła czegoś takiego przy uczniach. Jeff wbił wzrok w swój nie dokończony posiłek ze ściśniętym i zimnym żołądkiem.

Nazajutrz poszedł do lasu, żeby być sam, żeby dojść do ładu z okropnymi uczuciami, które go przepełniały; ale kiedy zobaczył mostek, coś w nim pękło.

Zamoczony bezprzykładnym gniewem, podniósł z dna potoku duży kamień i cisnął nim z całej siły w drewnianą poręcz.

Raz po raz miotał kamienie, najcięższe, jakie mógł znaleźć i podnieść. Najtrudniej było zmiążyć przypory, zbudowane tak, aby wytrzymały lata, ale i one ustąpiły w końcu jego wściekłym atakom i runęły do wody razem z rozłupanymi szczątkami reszty mostku.

Kiedy było po wszystkim, Jeff wpatrywał się w leżącą w potoku ruinę, ciężko dysząc z wyczerpania i rozpacz. Nagle podniósł wzrok i na ścieżce po drugiej stronie zobaczył panią Ren-dell. Twarz, którą wielbił przez tyle miesięcy, była pozbawiona wyrazu maską. Ich oczy spotkały się na kilka sekund, a potem Jeff uciekł.

Sądził, że wyleci ze szkoły, ale cały incydent został przemilczany. Już nigdy nie usiadł przy stole Rendellów. Unikał ich obojga. Na lekcjach pani Rendell była dla niego niezmiennie uprzejma, nawet miła, i na koniec roku postawiła mu piątkę z francuskiego.

Rzucił kamyk do leniwego potoku, popatrzył, jak odbija się od skały i z pluskiem wpada do wody. Zniszczenie mostku było niewybaczalną podłością. A jednak pani Rendell mu wybaczyła, chroniła go, miała nawet dość rozsądku, aby nie zawstydzić go jeszcze bardziej poprzez wyrażenie swego przebaczenia słowami. Musiała rozumieć samotną, bezmyślną furję, która przywiodła go do ostateczności, musiała pojąć, że na swój szczenięcy sposób widział w jej miłości do męża i dziecka najgłębszą zdradę.

Bo w skrzywionej ocenie zakochanego Jeffa była to zdrada. Było to jego pierwsze spotkanie ze śmiercią nadziei.

Teraz rozumiał, co zmusiło go do powrotu do tej szkoły, na tę spokojną polanę w lasach jego młodości. Znów musiał stawić czoło pustce nieskończonej straty, ale tym razem na bardziej

&

złożonej płaszczyźnie. I tym razem wiedział, że nie może się załamać pod jej ciężarem. Nie było mostku, który mógłby zniszczyć; musiał dalej żyć i budować, na przekór cierpieniu z powodu śmierci córki, na przekór świadomości rzeczy, które się nigdy nie zdarzą.

Za kwadrans jedenasta w piątkowy wieczór co najmniej dwadzieścia par tuliło się w ciemnych zakamarkach pod Harris Hall: objęci ramionami, policzek przy policzku, ostatnie kilka minut gorączkowych pocałunków, nim czujna kierowniczką zawoła dziewczęta do akademika. Jeff i Judy siedzieli na kamiennej ławce z dala od reszty. Judy była zdenerwowana.

- To ten Frank Maddock, prawda? To on cię podpuścił. Jestem tego pewna.

Jeff potrząsnął głową.

- Mówiłem ci, sam mu to zaproponowałem.

Judy nie słuchała.

- Nie powinieneś się z nim spotykać. Wiedziałaś, że coś takiego się stanie.

Uważa się za takiego luzaka, za Pana Swia-towca. Nie potrafisz go przejrzeć?

- To nie jego wina, kochanie. Był to wyłącznie mój pomysł i wszystko będzie dobrze. Zaczekaj do jutra, a zobaczysz.

- Co ty w ogóle o tym wiesz? - Zawiał chłodny wieczorny wietrzyk i Judy puściła dłoń Jeffa, aby mocniej otulić się kurtką z króliczego futerka. - Jesteś nawet za młody, żeby samemu stawiać. Musiał to zrobić za ciebie.

- Wiem dosyć - odparł Jeff z uśmiechem.

- Jasne, dosyć, żeby stracić wszystkie pieniądze. Dosyć, żeby sprzedać samochód. Nadal nie mogę w to uwierzyć - sprzedałeś samochód, żeby zagrać na wyścigach?

- Jutro po południu kupię nowy. Możesz pójść ze mną, pomóc mi wybrać. Co byś chciała? Jaguara, corvette?

- Nie mów głupstw, Jeff. Wiesz, sądziłam, że dość dobrze cię znam, ale to...

Wiatr podniósł z ziemi kwiat derenia i upuścił go na jej włosy. Jeff sięgnął po niego i ten ruch stał się pieszczotą. Judy zmięknęła pod jego dotykiem; delikatnie powiódł

białymi płatkami po jej policzku, przycisnął je lekko do jej ust, a potem do swoich.

95

- Kochanie - wyszeptała, przysuwając się bliżej niego. - Nie chcę zrzędzić. Ale tak się tym zmartwiłam, że nie mogę...

- Cicho — powiedział, ujmując jej twarz w obie dłonie. - Nie masz się czym martwić, wierz mi.

- Ale nie wiesz...

Zamknął jej usta pocałunkiem, który trwał, dopóki surowy kobiecy głos nie zawołał:

- Za pięć minut zamykam!

W drodze do jasno oświetlonych drzwi akademika minęło ich kilka spieszących się dziewcząt.

- No więc - spytał Jeff - chcesz pójść jutro ze mną po samochód?

- Och, kochanie... - westchnęła. - Po południu muszę dokończyć pracę semestralną, ale przyjdź koło siódmej, to postawię ci hamburgera u Dooleya. I nie przejmuj się za bardzo, kiedy przegrasz. Przynajmniej będziesz miał nauczkę.

- Dobrze, proszę pani. - Uśmiechnął się szeroko. - Na pewno z niej skorzystam.

Parkingowy w czerwonej marynarce zajął się ich jaguarem. A kelner, któremu Jeff wsunął dwadzieścia dolarów, nie poprosił Judy o dowód tożsamości, kiedy zamówili butelkę Moet et Chandon.

- Za Chateaugaya - powiedział Jeff, kiedy szampan został nalany.

Judy zawahała się, trzymając kieliszek w powietrzu.

- Wolę wypić za ten wieczór - odparła.

Stuknęli się kieliszkami, wypili po łyku. Judy wyglądała cudownie w ciemnoniebieskiej wydekoltowanej sukni kupionej na wiosenny bal: jeszcze jak dziewczynka, która bawi się w przebieranki, i już jak młoda kobieta, która emanuje seksem. Za szybko ją przedtem skreślił, szukając partnerki, która dorównywałaby mu doświadczeniem. Oczywiście był to nieosiągalny cel. Teraz rozkoszował się ciepłą szczerością jej prostoty, tak różnej od taniego erotyzmu Sharli czy zimnego wyrafinowania Diane. Taką niewinność należało chronić, nie odrzucać.

Coach and Six, typowa „lepsza” amerykańska restauracja, nie miała w menu nic

szczególnie śmiałego, ale Judy była pod

96

wrażeniem; wyraźnie dokładała starań, aby zachowywać się dorośle. Jeff zamówił dla niej homara, a dla siebie żeberka. Przyglądała się, których sztuców używa do sałatki i przystawki, i kochał ją za tę otwartą naturalność.

Po kolacji, przy Drambuie, podał jej małe niebieskie pudełeczko od jubilera Claude'a S. Bennetta. Otworzyła je i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w pierścionek z idealnym dwu-karatowym brylantem, a potem zaczęła płakać.

- Nie mogę - wymamrotała, ostrożnie zamykając pudełeczko, i postawiła je po jego stronie stolika. - Po prostu nie mogę.

- Przecież mówiłaś, że mnie kochasz.

- Kocham cię - odparła. - Och, do diabła...

- Więc o co chodzi? Możemy poczekać rok czy dwa, jeśli uważasz, że jesteśmy za młodzi, ale chciałbym się oficjalnie zaręczyć.

Judy wytarła oczy serwetką, rozmazując swój skromny makijaż. Jeff pragnął scałować smugi tuszu z jej twarzy, umyć ją językiem jak kotka kociaka.

- Paula mówi, że od tygodni nie chodzisz na wykłady - wykrztusiła Judy. — Ze możesz zawalić rok.

Jeff rozpromienił się, wziął ją za rękę.

- I to wszystko? To bez znaczenia, kochanie. I tak rzucę studia. Właśnie wygrałem siedemnaście tysięcy dolarów, a do października mogę zarobić...

Naprawdę nie masz się czym przejmować. Będziemy mieli mnóstwo pieniędzy, już ja o to zadbam.

- Jak? - zapytała kwaśnym tonem. - Chcesz żyć z hazardu?

- Z inwestycji - odrzekł. - Z całkowicie legalnych inwestycji w akcje wielkich firm, takich jak IBM, Xerox i...

- Bądź realistą, Jeff. Poszczyściło ci się w jednym wyścigu i nagle uznałeś, że możesz zbić majątek na giełdzie. A jeśli akcje pójdą w dół? A jeśli będzie jakiś kryzys czy coś?

- Nie będzie - powiedział cicho.

- Nie wiesz tego. Mój tatuś mówi, że...
- Nie obchodzi mnie, co mówi twój tatuś. Nie będzie żadnego...

Odłożyła serwetkę, odsunęła swoje krzesło od stolika.

- Mnie obchodzi, co mówią moi rodzice. I nie chcę nawet myśleć, jak by zareagowali, gdybym im powiedziała, że wycho-

97

dzę za mąż za osiemnastolatka, który rzucił studia, żeby zostać hazardzistą.

Jeff nie wiedział, co powiedzieć. Oczywiście miała rację. Musiał się jej wydać nieodpowiedzialnym głupcem. Popęłnił wielki błąd, mówiąc jej o swoich planach.

Schował pudełko z pierścionkiem do kieszeni marynarki.

- Na razie to przechowam - oświadczył. - I może zostanę na uczelni.

Znów zwilgotniały jej oczy, ich żywy błękit zaiskrzył się przez łzy.

- Proszę, Jeff. Nie chcę cię stracić z tak niemądrego powodu.

Uściskał jej dłoń.

- Pewnego dnia włożysz ten pierścionek — powiedział. - Będziesz z niego dumna. I będziesz dumna ze mnie.

Wzięli ślub w Pierwszym Kościele Baptistów w Rockwood w stanie Tennessee w czerwcu 1968 roku, tydzień po otrzymaniu przez Jeffa tytułu magistra organizacji i zarządzania. Zaledwie cztery dni przed datą, kiedy poznał Lindę - dwa razy, z tak drastycznie różnym rezultatem — w poprzednich wersjach swego życia. Rockwood było rodzinnym miastem Judy i jej rodzice urządzili potem duże, nieformalne przyjęcie z grillem w swoim letnim domu nad pobliskim jeziorem Watts Bar. Jeff zauważył, że jego ojciec coraz bardziej kaszle, ale nadal nie mógł go przekonać, aby przestał odpalać jednego pall maila od drugiego. Miał rzucić papierosy dopiero wiele lat później, gdy stwierdzono u niego rozedmę płuc. Matka Jeffa była szczęśliwsza niż na jego ślubach z Lindą i Dianę, choć oczywiście nie mogła ich pamiętać. Jego siostra, nieśmiała piętnastolatka z aparatem na zębach, natychmiast polubiła Judy. Rodzina Gordonów także bez zastrzeżeń zaakceptowała Jeffa, który stał się uosobieniem idealnej partii: dwudziestotrzy-letni, wykształcony, przedsiębiorczy,

odpowiedzialny. Miał już przyjemny kapitał w banku i skromny, ale stale się powiększający portfel akcji na nazwisko swoje i Judy.

Nie przyszło mu to łatwo. Pięć lat studiów było męką: ponowne wejście w dawno zapomniany kierat wkuwania, pisania prac i zdawania egzaminów. Ale najtrudniejsze było pilnowa-

98

nie, aby się za bardzo nie wzbogacić. Poprzednim razem był w tym wieku finansowym wunderkind, współwłaścicielem potężnej korporacji. Tak nagły przyływ pieniędzy wytrąciłby jednak Judy z równowagi, stworzyłby poważne problemy w ich związku. Więc Jeff nie obstawił gonitwy w Belmont ani finałów baseballu i starannie wystrzegał się najbardziej opłacalnych inwestycji, dzięki którym mógłby znów dojść do milionowej fortuny.

Tym razem zerwał kontakt z Frankiem Maddockiem wkrótce po Derby Kentucky. Jego nieświadomy niczego niegdysiejszy wspólnik skończył prawo na Columbii i był teraz młodszym adwokatem w jakiejś kancelarii w Pittsburghu.

Jeff i Judy kupili na kredyt nieduży, miły, pseudokolonialny dom przy Cheshire Bridge Road w Atlancie, a Jeff wynajął cztery-ropokojowe biuro koło Five Points, w budynku, który kiedyś należał do niego. Pięć dni w tygodniu wkładał garnitur i krawat, jechał samochodem do centrum, mówił dzień dobry swojej sekretarce i wspólnikom, zamykał się w gabinecie i czytał. So-foklesa, Szekspira, Prousta, Faulknera... dzieła, które zawsze chciał poznać, ale nigdy nie miał na to czasu. Pod koniec dnia pospiesznie pisał kilka służbowych notatek do swoich partnerów, zalecając, na przykład, aby nie ryzykowali z takim nie sprawdzonym koncernem jak Sony, tylko powiększyli udziały w czymś bezpiecznym, jak AT&T. Uważnie sterował swoją małą firmą z dala od wszelkich źródeł nagłego bogactwa, pilnował, aby on sam i jego wspólnicy żyli wygodnie, lecz nie za wystawnie, na poziomie wyższej klasy średniej. Partnerzy najczęściej korzystali z jego rad; a kiedy je lekceważyli, straty równoważyły zyski, więc bilans pozostawał zgodny z zamierzeniami Jeffa.

Wieczorami, przytuleni do siebie na kanapie, oglądali z Judy jakiś program rozrywkowy albo serial, ucinali sobie partyjkę Scrabble'a i szli spać. W ciepłe

weekendy żeglowali po jeziorze Lanier, grali w tenisa albo wędrowali po szlakach turystycznych w Parku Callawaya.

Wiedli egzystencję cichą, uporządkowaną, cudownie normalną. Jeff był dogłębnie zadowolony. Nie znał teraz uczucia absolutnej euforii, której doświadczał, patrząc, jak jego córka

99

Gretchen dorasta w posiadłości w okręgu Dutchess - ale był szczęśliwy i spokojny. Po raz pierwszy jego długie, chaotyczne życie cechowała całkowita prostota i brak zamętu.

Jeff zakopał stopy w piasku, oparł się na łokciu i zasłonił dłonią oczy od słońca. Judy spała na kocu obok niego, wciąż przytrzymując palcami Szczęki w miejscu, w którym przerwała lekturę. Delikatnie pocałował jej na wpół otwarte usta.

- Chcesz piña colady? - zapytał, kiedy się obudziła i przeciągnęła. - Zostało jeszcze pół termosu.

- Mmm. Chcę po prostu tak leżeć. Przez jakieś dwadzieścia lat.

- Lepiej się przekręcaj co pół roku.

Judy odwróciła głowę, aby spojrzeć na tył swego prawego barku, zobaczyła, że poczerwieniał. Położyła się na plecach, blisko Jeffa, i znów ją pocałował, tym razem dłużej i mocniej.

Kilka jardów dalej jakaś para miała włączone radio i Jeff przerwał pocałunek, kiedy muzyka ucichła i mówiący z jamajskim akcentem spiker zaczął relacjonować zeznania Johna Deana dotyczące afery Watergate.

- Kocham cię - powiedziała Judy.

- Ja też cię kocham - odparł, dotykając czubka jej zaróżowionego od słońca nosa. I, na Boga, była to prawda.

Jeff pozwalał sobie na sześć tygodni urlopu rocznie, podtrzymując fikcję normalnej pracy zawodowej. Dzięki tym arbitralnym ograniczeniom odpoczynek wydawał mu się jeszcze słodszy. Przed rokiem zjeździli na rowerach Szkocję, a tego lata

zamierzali oblecieć balonem francuskie winnice. W tej chwili jednak nie chiałoby być nigdzie indziej niż tutaj, na plaży Ocho Rios, z kobietą, która wniosła w jego poplątane życie równowagę i rozkosz.

- Naszyjnik dla pięknej panienki? Ładny naszyjnik z cochina?

Mały Jamajczyk nie mógł mieć więcej niż osiem, dziewięć lat. Na jego przedramionach wisały dziesiątki delikatnych naszyjników i bransolet z muszelek, a płócienna sakiewka u pasa pęczniała od kolczyków wykonanych z tego samego barwnego tworzywa.

- Ile za... ten tutaj?

100

- Osiem szylingów.

- Wezmę go za funta i sześć szylingów.

Zdezorientowany chłopiec uniósł brwi.

- Oszalałeś, facet? Powinieneś dać mniej, nie więcej.

- W takim razie dwa funty.

- Nie będę się z tobą kłócił, facet. Proszę bardzo. - Chłopiec pospiesznie zdjął naszyjnik z ręki, podał go Judy. - Jakbyś chciał kupić coś jeszcze, mam mnóstwo towaru. Wszyscy na plaży mnie znają, nazywam się Renard.

- Dobrze, Renard. Interesy z tobą to przyjemność.

Jeff podał mu dwa banknoty jednofuntowe i chłopiec pobiegł dalej z szerokim uśmiechem.

Judy włożyła naszyjnik, potrząsnęła głową z udawaną dezaprobatą.

- Wstydz się - powiedziała. - Tak wykorzystać dziecko.

- Mogło być gorzej. - Uśmiechnął się. - Jeszcze chwila i dałbym mu trzy albo cztery funty.

Judy spuściła wzrok, aby poprawić sobie naszyjnik, i kiedy znów spojrzała na Jeffa, w jej oczach malował się smutek.

- Umiesz postępować z dziećmi - wyszeptwała. - Tego jednego żałuję, że nie możemy...

Jeff położył dłoń na jej ustach.

- Ty jesteś moją małą dziewczynką. Nie potrzebuję innych dzieci.

Nie mógł jej powiedzieć, nie mógł pozwolić, aby się domyśliła, że w 1966 roku, kiedy zaczęli ze sobą współżyć, poddał się wazektomii. Już nigdy nie powoła na ten świat ludzkiej istoty, jak powołał Gretchen, po to tylko, aby całkowicie zanegowano jej byt. Dla wszystkich oprócz Jeffa Gretchen nie istniała nawet w pamięci; i na wypadek, na nieprawdopodobny wypadek, gdyby był skazany na powtórzenie swego życia po raz kolejny, nie zamierzał pozostawić w tak absolutnej otchłani kogoś, kogo nie tylko kochał, ale i stworzył.

- Jeff... Tak sobie pomyślałam...

Spojrzał na Judy, starając się nie zdradzić ze swym bólem i poczuciem winy.

- O czym?

101

- Moglibyśmy... Nie odpowiadaj od razu. Zastanów się nad tym. Moglibyśmy... adoptować dzieci.

Przez kilka sekund nic nie mówił, tylko na nią patrzył. Widział w jej twarzy miłość, widział potrzebę znalezienia jeszcze większego ujścia dla tej miłości.

Te dzieci nie byłyby jego własnymi, pomyślał. Nawet gdyby je pokochał, nie byłby odpowiedzialny za powołanie ich do życia. One już istniały, narodziły się, kimkolwiek były. Jeśli zdarzy się najgorsze, będą żyły nadal, po prostu zmieni się ich przyszłość.

- Tak - powiedział do Judy. - Tak, bardzo bym tego chciał.

Startowali z Earl's Ford, na południowym skraju wielkich appalachiańskich lasów, w pobliżu miejsca, gdzie Północna i Południowa Karolina spotykają się z górnym koniuszkiem Georgii. Pontonów było sześć: czarne, niezgrabne balie, nadmuchane w bazie i przeciągnięte z trudem na brzeg rzeki Chattooga. Jeff, Judy i dzieci płynęli z wesołą siwowłosą kobietą i przewodnikiem, który wyglądał na studenta i miał twarz i ręce brązowe od słońca.

Kiedy ponton zsunął się do przejrzystej, leniwej wody, Jeff mocniej zacisnął wiązania kapoka szczupłutkiej April. Dwayne zobaczył gest ojca i sam poprawił sobie kapok z błyskiem męskiej determinacji w oczach.

April była uroczą małą blondyneczką ciężko maltretowaną przez swoich biologicznych rodziców, a jej brat poważnym, inteligentnym chłopcem, którego matka i ojciec zginęli w wypadku samochodowym. Jeff ani Judy raczej nie nazwaliby tak własnych dzieci, ale adoptowali April i Dwayne'a w wieku sześciu i czterech lat, więc uznali, że nie powinni jeszcze bardziej mącić ich poczucia tożsamości przez zmianę imion.

- Spójrz, tatusiu! Jeleń!

April wskazywała drugi brzeg rzeki z buzią pałającą podnieceniem. Zwierzę przypatrywało im się spokojnie, gotowe do ucieczki, jeśli zajdzie potrzeba, lecz nie mając ochoty przerywać posiłku tylko dlatego, że zobaczyło jakieś dziwne istoty.

Wkrótce zalesione brzegi zaczęły się wznosić, przechodzić w skalisty wąwóz. Prąd stał się bardziej wartki i niebawem mała

102

flotylla dotarła do pierwszych bystrzy. Dzieci pokrzykiwały radośnie, kiedy ponton podskakiwał i kołysał się na wodzie.

Gdy pokonali bystrzynę i znów dryfowali gładko w dół rzeki, Jeff popatrzył na Judy. Z zadowoleniem stwierdził, że jej wcześniejszy niepokój minął i jest równie zachwycona jak dzieci. Bała się, że wycieczka będzie zbyt niebezpieczna, ale Jeff nie chciał ich pozbawiać takiej przygody.

Ekspedycja przybiła do małej wysepki i Judy wypakowała lunch przywieziony w wodoodpornej skrzynce. Jeff pogryzał udko kurczaka i sączył zimne piwo, przyglądając się, jak April i Dwayne eksplorują trójkątny skrawek lądu. Ciekawość i wyobraźnia dzieci nie przestawały go fascynować; patrząc na ten zmęczony świat ich oczami, zaczął go na nowo doceniać. Kiedy zdecydowali się z Judy na adopcję, nabył we właściwym momencie akcje Apple i Atari; nie za dużo, tyle by dochód rodziny podskoczył o kilka kresek. Kupili większy dom przy West Paces Ferry Road; był tam ogromny ogród z płytkim stawem i trzema starymi dębami. Idealne miejsce dla dzieci.

Pontony popłynęły dalej, sforsowały kolejne, większe bystrze milę z kawałkiem w dół rzeki. Prąd był teraz znacznie szybszy, nawet na spokojnych odcinkach; ale Jeff

wiedział, że jego żona przestała się bać, porwało ją piękno i emocje splotu. Mocno trzymała go za rękę, kiedy mknęli przez grzmiące wodospady Buli Sluice; a potem koniec, znów gładka woda i słońce chowające się za sosny.

April i Dwayne wyraźnie posmutnieli na widok autokaru, który czekał, aby zawieźć ich z powrotem do Atlanty, ale Jeff wiedział, że ich przygody, podobnie jak lato, dopiero się zaczęły. Wkrótce zabierze rodzinę w niespieszną, dwumiesięczną podróż samochodem przez Francję i Włochy. Na rok następny zaplanował wycieczkę do Japonii i ogromnych Chin, na nowo dostępnych dla turystów.

Chciał, aby dzieci zobaczyły jak najwięcej, poznały wszelką wspaniałość i cuda tego świata. Dręczyła go jednak sekretna obawa, że wszystkie ich wspomnienia, jak również całą miłość, jaką im dał, unicestwi wkrótce siła, której nie rozumiał tak jak one.

103

Po trzech dniach klatka piersiowa zaczęła go solidnie swędzieć w miejscach, w których były przyłączone elektrody, ale nie pozwalał odłączyć sobie EKG, nawet na minutę.

Pielęgniarki nim gardziły; wiedział o tym. Śmiały się z niego, kiedy myślały, że ich nie słyszy, oburzały się, że muszą obsługiwać całkowicie zdrowego hipochondryka, który zajmuje cenne łóżko.

Jego lekarz żywił podobną opinię, powiedział mu to wprost. Ale Jeff się upierał, był nieustępliwy. W końcu, gdy przekazał okazałą sumę na rozbudowę szpitala, został przyjęty na tydzień.

Trzeci tydzień października 1988 roku. Jeśli miało się to zdarzyć, to teraz.

- Cześć, kochanie. Jak się czujesz?

Judy była ubrana w rdzawy jesienny kostium; włosy uczesała w luźny kok.

- Swędzi mnie. Poza tym wszystko w porządku.

Uśmiechnęła się chytrze, co nie pasowało do jej wciąż niewinnej twarzy.

- Mogę cię gdzieś podrapać?

Jeff wybuchnął śmiechem.

- Bardzo bym chciał. Ale chyba musimy poczekać jeszcze kilka dni, aż mnie

odłączają.

- Trudno - powiedziała, podnosząc do góry dwie reklamówki, z Oxford Book Store i Turtle Records. - Masz tu coś, co cię tymczasem zajmie.

Przyniosła mu najświeższe kryminały Trávisa McGee i Dicka Francisa (polubił je w tym życiu), nową biografię André Malraux i historię linii Cunarda. Choć Judy tak niewiele wiedziała o swoim mężu, bez wątpienia znała jego eklektyczne upodobania. Druga torba zawierała kilkanaście płyt kompaktowych, od Bacha i Vivaldiego po cyfrową reedycję Sierżanta Pieprza. Judy włożyła jeden ze lśniących krążków do przenośnego odtwarzacza przy łóżku i cudowne dźwięki Kanonu Pachelbela wypełniły szpitalny pokój.

- Judy... - Głos mu się załamał. Odchrząknął i zaczął jeszcze raz. - Chcę, żebyś wiedziała... jak bardzo zawsze cię kochałem.

Odpowiedziała mu opanowanym tonem, lecz nie mogła ukryć błysku niepokoju w oczach.

104

- Mam nadzieję, że zawsze będziemy się kochać. Przez długi, długi czas.

- Tak długi, jak będzie to możliwe.

Judy zmarszczyła brwi, zaczęła coś mówić, ale ją uciszył. Pochyliła się nad łóżkiem, aby go pocałować, i jej dłoń, która odnalazła dłoń Jeffa, drżała.

- Wracaj szybko do domu - wyszeptała tuż przy jego twarzy. - Jeszcze nawet nie zaczęliśmy.

Zdarzyło się to trochę ponad godzinę po wyjściu Judy, która poszła zjeść lunch w szpitalnej kafeterii. Jeff cieszył się, że tego nie widzi.

Mimo bólu dostrzegł osłupienie na twarzy pielęgniarki, kiedy EKG oszalało; siostra zachowała się jednak całkowicie profesjonalnie, ani chwili nie zwlekała z wezwaniem pomocy. W kilka sekund otoczył Jeffa zespół reanimacyjny, wykrzykujący polecenia i informacje o jego stanie.

- Adrenalina, jeden centymetr!

- Dwie ampułki dwuwęglanu? Daj mi trzysta sześćdziesiąt dzuli!

- Odsuńcie się... ŁUP!

- Częstoskurcz! Ciśnienie wyczuwane osiemdziesiąt. Dwieście watosekund, lidokaina siedemdziesiąt pięć miligramów dożylnie, natychmiast!
- Spójrzcie... Migotanie komór.
- Powtórzyć adrenalinę i dwuwęglan, trzysta sześćdziesiąt dzuli. Odsuńcie się... ŁUP!

I tak dalej, ich głosy coraz cichsze, światło coraz bledsze. Jeff próbował krzyczeć ze złości, bo nie było to fair; tym razem był całkowicie przygotowany. Aie nie mógł krzyknąć, nie mógł nawet zapłakać, mógł tylko znowu umrzeć.

I znowu się obudzić, na tylnym siedzeniu corvaira Martina Baileya, z Judy u boku. Z Judy osiemnastoletnią, z Judy w 1963 roku, zanim się pokochali i pobrali, i zbudowali wspólne życie.

- Stój!

105

- Zaczekaj, stary - powiedział Martin. - Jesteśmy już prawie pod akademikiem dziewczyn.

- Mówię ci, stój! W tej chwili!

Kręcąc ze zdumieniem głową, Martin zatrzymał samochód na rondzie Kilgo, za Wydziałem Historii. Judy położyła dłoń na ramieniu Jeffa, próbowała go uspokoić, ale ją odepchnął i gwałtownie otworzył drzwi auta.

- Jezu, co ty wyprawiasz? - wrzasnął Martin, lecz Jeff już wysiadł i biegł, biegł jak strzała przed siebie; kierunek nie miał znaczenia.

Nic nie miało znaczenia.

Przemknął przez główny dziedziniec, minął budynki Chemii i Psychologii, zdrowe, młode serce waliło mu w piersi, jakby nie zdradziło go przed paroma minutami i dwadzieścia pięć lat później jednocześnie. Przebiegł obok gmachu Biologii, minął róg Pierce i Arkwright. W końcu się potknął, runął na kolana pośrodku boiska do piłki nożnej i podniósł nieprzytomny wzrok na gwiazdy.

- Pierdol się! - krzyknął w obojętne niebo, krzyknął z całą siłą rozpacz, której nie mógł wyrazić, leżąc na szpitalnym łożu śmierci. - Pierdol cię! Dlaczego... MI... TO... ROBISZ?!

8.

Jeff miał teraz wszystko gdzieś. Zrobił, co tylko mógł, osiągnął tyle, ile człowiek może mieć nadzieję osiągnąć - jako biznesmen, jako mąż, jako ojciec - i nic mu z tego nie przyszło, znów został sam, bezradny, z pustymi rękami i sercem. Znów na początku drogi; ale po co w ogóle zaczynać, skoro jego wysiłki miały się okazać próżne?

Nie potrafił się zmusić, aby dalej widywać Judy. Ta młodziutka dziewczyna o słodkiej twarzyczce nie była kobietą, którą kochał, lecz jedynie miękką gliną, z której mógłby ową kobietę ulepić. Byłoby bez sensu, byłoby wręcz masochizmem powtarzać proces wzajemnego docierania się w związku, kiedy poznał aż nadto dobrze emocjonalną i duchową śmierć, do której to wszystko prowadziło.

Wrócił do anonimowego baru, który znalazł przed tyloma laty przy North Druid Hills Road, i zaczął pić. Kiedy przyszła pora, jeszcze raz przekonał Franka Maddocka, aby obstawił za niego Derby Kentucky. Gdy tylko odebrał wygraną, poleciał do Las Vegas, sam.

Po trzech dniach błąkania się po hotelach i kasynach w końcu ją znalazł, przy dolarowym stole do blackjacka w Sands. Te same czarne włosy, to samo idealne ciało, nawet ta sama czerwona sukienka, którą zdarł z niej kiedyś w chwili wzajemnego niecierpliwego pożądania na kanapie w salonie jej małego mieszkanka.

- Cześć - powiedział. - Nazywam się Jeff Winston.

Obdarzyła go znajomym, uwodzicielskim uśmiechem.

- Sharla Baker.

- Chciałabyś pojechać do Paryża?

Zdumiona wybałuszyła oczy.

- Mogę dokończyć tę rozgrywkę?

107

- Za trzy godziny mamy samolot do Nowego Jorku, a tam przesiadkę na Air France. Zdażysz się spakować.

Dobrała kartę do szesnastu punktów i przegrała.

- Mówisz poważnie czy jak? - zapytała.

- Mówię poważnie. Polecisz ze mną?

Wzruszyła ramionami, zgarnęła do torebki nieliczne żetony, które jej zostały.

- Jasne. Czemu nie?

- No właśnie - odparł Jeff. - Czemu nie?

Słodkavo-cierpki dym setki tłących się gauloisów i gitanów wisiał we wnętrzu klubu niczym stęchła mgła. Jeff widział przez tę mgłę, jak Sharla tańczy samotnie w kącie, z zamkniętymi oczami, pijana. Miał wrażenie, że tym razem pije więcej, niż pamiętał; albo może tylko dotrzymywała mu kroku, a sam pił więcej niż kiedykolwiek przedtem. Przynajmniej po alkoholu stawał się towarzyski. Tego wieczoru siedziało przy jego stoliku kilka osób, w większości podających się za studentów, ale bardziej zainteresowanych nie kończącym się nocnym życiem miasta niż książkami.

- Macie takie kluby w Stanach? - zapytał Jean-Claude.

Jeff potrząsnął głową. Caveau de la Huchette był klasyczną paryską piwnicą jazzową, kamiennym lochem pełnym muzyki równie duszącej i ostrej jak papierosy, które zdawały się zastępować Francuzom jedzenie. W przeciwieństwie do nowszych dyskotek, ten rodzaj lokalu nigdy się w Stanach nie przyjął. Mireille, drobna rudowłosa dziewczyna Jean-Claude'a, posłała mu ironiczny, leniwy uśmiech.

- C'est dommage* - powiedziała. - Nikt nie lubi czarnych w ich kraju, więc muszą przyjeżdżać tutaj, żeby grali swoją muzykę.

Jeff zrobił niezobowiązujący gest, nalał sobie następny kieliszek czerwonego wina. Amerykańskie zamieszki na tle rasowym były teraz głównym tematem rozmów we Francji, ale nie miał ochoty o nich dyskutować. Żadnych poważnych spraw, spraw, które zmusiłyby go do myślenia, do wspominania.

* C'est dommage (franc.) - Szkoda. 108

- Musisz przyjechać do l'Afrique - podjęła Mireille. - Jest tam dużo piękno, dużo do zrozumienia.

Wrócili właśnie z Jean-Claude'em z miesięcznej wyprawy do Maroka. Jeff taktownie

nie wspomniał o niedawnej klęsce Francji w Algierii.

- Attention, attention, s'il vous plaît!* - Właściciel klubu stał na maleńkiej scenie, nachylając się do mikrofonu. - Mesdames et messieurs, copines et copains...

Le Caveau de la Huchette a le plaisir extraordinaire de vous présenter le gorący blues... avec le maître du blues, personne d'autre que - Monsieur Sidney... Bechet! **

Witany burzliwymi brawami stary muzyk-emigrant wszedł na scenę z klarnetem w dłoni. Zaczął od szybkiego Blues in the Cave, a potem zagrał soulową, seksowną wersję Frankie and Johnny. Sharla nadal tańczyła solo w kącie, jej ciało falowało w rytmie zmysłowej muzyki. Jeff opróżnił butelkę wina, zamówił następną.

Stary bluesman uśmiechnął się szeroko i pokiwał głową, kiedy po drugim utworze młoda publiczność wyraziła uznanie dla jego cudzoziemskiej sztuki głośnym rykiem.

- Mercy, mercy, mercy! Mon français n'est pas très bon*** - powiedział z ciężkim akcentem amerykańskiego Murzyna. -Więc muszę wam to rzeknąć po swojemu: widzę, że wszyscy czujecie bluesa. Słyszycie?

Co najmniej połowa słuchaczy rozumiała po angielsku na tyle, aby odpowiedzieć z entuzjazmem.

- Mais oui! - krzykali. - Bien sûr!****

Jeff napił się wina z nowej butelki, czekając, aby muzyka znów go porwała, aby wymazała wszystkie wspomnienia.

- Dobrze! - zawołał Bechet ze sceny, wycierając ustnik klarnetu. - Następny kawałek będzie takim najbardziej prawdzi-

* Attention... (franc.) - Proszę o uwagę.

** Mesdames... (franc.) - Panie i panowie, koleżanki i koledzy... Caveau de la Huchette ma niezwykłą przyjemność przedstawić państwu gorącego bluesa... w wykonaniu mistrza bluesa, samego Sidneya... Be-cheta!

*** Mon français... (franc.) - Mój francuski nie jest zbyt dobry.

**** Mais oui! Bien sûr! (franc.) - Ależ tak! Oczywiście!

109

stym bluesem. Widzicie, jest blues dla ludziów, co nigdy nic nie mieli, i jest to smutny blues... ale najsmutniejszy blues jest dla tych, co mieli wszystko, czego tylko

pragnęli, i to stracili, i wiedzą, że nigdy się nie wróci. Nie ma na tym świecie gorszego cierpienia. I ten blues nazywa się I Had It But It's All Gone Now*.

Zabrzmiała muzyka, chrapliwe dźwięki ulotności i żalu w tonacji minorowej. Nie do odparcia, nie do zniesienia. Jeff oklapł na krzesło, usiłując się wyłączyć. Sięgnął po kieliszek, rozlał wino.

- Coś? - zapytała Mireille, dotykając jego ramienia.

Spróbował odpowiedzieć, ale nie mógł.

- Allons-y ** - powiedziała, ciągnąc go, aby wstał. - Wychodzimy na dwór odetchnąć powietrzem.

Kiedy wyszli na rue de la Huchette, mżył lekki deszcz. Jeff podniósł twarz ku chłodnym kroplom, pozwolił, by spływały mu po czole. Mireille położyła szczupłą dłoń na jego policzku.

- Muzyka może ranić - powiedziała cicho.

- Mm.

- Niedobrze. Lepiej... comment dit-on „oublier”?***

- Zapomnieć.

- Oui, c'est ça****. Lepiej jest zapomnieć.

- Tak.

- Na chwilę.

- Na chwilę - zgodził się i ruszyli w stronę boul'Micha, aby poszukać taksówki.

W salonie mieszkania Jeffa przy Avenue Foch Mireille napełniła małą fajkę kruchym brązowym haszyszem i równą miarką opium. Usiadła naprzeciwko niego na orientalnym dywanie, zapaliła tę powalającą mieszanekę i podała mu fajkę. Zaciągnął się głęboko, zapalił fajkę ponownie, kiedy zgasła.

Jeff palił czasem skręty, głównie w swoim pierwszym życiu,

* I Had It... (ang.) - Miałem to, ale wszystko odeszło.

** Allons-y (franc.) - Chodźmy.

*** Comment... (franc.) - Jak się mówi „zapomnieć”?

**** Oui, c'est ça. (franc.) - Tak, właśnie.

ale nigdy nie spłynął na niego tak głęboki i błogi spokój. Czuł się, cytując wypowiedź Malraux o opium, jakby uniosły go wielkie, nieruchome skrzydła"; ale haszysz pobudzał jego umysł, nie pozwalał mu całkowicie odpłynąć w marzenia. Mireille położyła się na dywanie, jej zielona jedwabna sukienka podjechała do góry, odsłaniając uda. Deszcz uporczywie uderzał o szyby i zaczęła kręcić głową w rytm jego kadencji; połyskliwe rude włosy opadały to na jej twarz, to na nagie ramiona. Jeff pogładził jej łydkę, potem wewnętrzną stronę uda i Mireille wydała cichy pomruk przyzwolenia i pożądania. Nachylił się, rozpiął guziki sukienki, zsunął gładki materiał z jej dziewczęcych piersi.

Tam, na podłodze, użyli nawzajem swoich ciał bez słowa, niemal z furją. Kiedy skończyli, Mireille ponownie napełniła fajkę haszyszem z opium i wypalili ją w sypialni. Drugi raz kochali się powoli, pod puchową kołdrą, splatając nogi i ręce z nowo nabytą wprawą; a później, kiedy dzwony Saint-Honoré d'Ey-lau zaczęły wzywać na poranną mszę, Mireille znów wspięła się na niego i rozkołysała swe szczupłe biodra w radosnej swawoli.

Sharla wróciła do mieszkania o szarym świcie.

- Dzień dobry - powiedziała, otworzywszy drzwi sypialni; wyglądała na zmarnowaną. - Chcecie kawy?

Mireille usiadła na łóżku, potrząsając zmierzwionymi włosami.

- Może z odrobiną koniaku?

Sharla ściągnęła pogniecioną sukienkę, wyłowiła z szafy szlafrok.

- Dobry pomysł - mruknęła. - Też się napijesz, Jeff?

Zamrugnął powiekami, przetaił z oczu narkotykową mgłę.

- Tak, chętnie.

Mireille wstała i spokojnie podreptała do łazienki, aby wziąć prysznic. Kiedy Sharla wróciła z tacą, rudowłosa Francuzeczka siedziała na brzegu łóżka, wciąż naga, wycierając włosy. Sącząc kawę zaprawioną brandy, pogawędziły obie przyjaźnie o nowym sklepie z bielizną przy rue de Rivoli.

Trochę po dziewiątej Mireille powiedziała, że musi iść do domu się przebrać; była z kimś umówiona na późne śniadanie i nie chciała pokazać się w kawiarni w

wieczorowej jedwabnej

111

sukience. Pocałowała Jeffa na do widzenia, szybko uściskała Sharlę i już jej nie było. Po wyjściu Mireille Sharla uprzątnęła z łóżka filizanki po kawie, odsunęła kołdrę i przejechała ciepłym językiem po brzuchu Jeffa. Był zwiotczały, kiedy wzięła go w usta, ale szybko znowu stwardniał.

Nigdy nie spytał Sharli, gdzie była całą noc; nie miało to żadnego znaczenia.

Spokojne fale Morza Śródziemnego delikatnie zalewały kamyczki plaży, szemrząc szeptem wieczności, niezmienności. Z jednej z pobliskich kafejek wionął zapach świeżej zupy bouil-labaise. Jeff poczuł głód; gdy tylko dziewczyny wrócą z kąpieli, zaproponuje im lunch.

Na początku lipca pogoda się poprawiła i z Jean-Claude'em, Mireille oraz resztą towarzystwa wybrali się Mistralem na południe. Wszyscy byli już pijani, kiedy pociąg dotarł do Tuluzy, gdzie cała ósemka zapakowała się z hałasem do dwóch taksówek, aby pojechać do oddalonego o czterdzieści trzy mile Saint--Tropez.

Ta mała wioska rybacka rozkwitła przez ostatnie sześć lat, odkąd Vadim i Bardot odkryli ją i spopularyzowali jako młodzieżową alternatywę dla spokojniejszych, burżuazyjnych kurortów Lazurów jak Antibes i Mentona. Ale choć Saint-Tropez tętniło już życiem, nie dusiło się jeszcze od hord turystów, którzy mieli uczynić je odstręczającym w następnych dziesięcioleciach.

Jakiś cień przesunął się po na wpół zamkniętych oczach Jeffa i przycisnęły go do piasku gładkie kobiece uda; ktoś usiadł na jego pośladkach. Sharla? Mireille? Nagie piersi musnęły pieszczotliwie jego plecy sutkami sztywnymi od morskiej bryzy.

- Chicca? - spróbował zgadnąć, podnosząc rękę do włosów dziewczyny, aby sprawdzić ich długość, gęstość.

Odsunęła głowę, zachichotała.

- Tes fou*- zakpiła, mocniej zwarła uda i przycisnęła piersi do jego pleców: mniejsze niż Sharli, pełniejsze niż Chicki.

* T'es fou (franc.) - Wariat. 112

- To nie Mireille - stwierdził, poklepując jej sprężystą małą pupę. - O wiele za

gruba.

Mireille zareagowała stekiem francuskich przekleństw, odciągnęła pasek jego spodenek i chlusnęła do środka mrożoną lemoniadą. Ze skowytym zrzucił ją z siebie, przygwoździł na plecach do piasku, unieruchomił szarpiące się w zabawie ręce.

- Sadique*.

Uśmiechnęła się. Jeff puścił ją na chwilę, aby wytrząsnąć lód ze spodenek, i Mireille chwyciła przez cienki materiał jego penisa.

- Widzisz? - powiedziała. - Uwielbiasz to.

Chciał ją wziąć natychmiast, tutaj, z rozsypanymi dziko włosami, piersiami i brzuchem lśniącymi w słońcu, lekką wypukłością krocza widoczną przez majteczki białego bikini. Wsunęła mu palce do spodenek, ścisnęła go mocniej. Gwałtownie zaczerpnął powietrza.

- Ludzie patrzą - wykrztusił z napięciem w głosie.

Mireille wzruszyła ramionami, nie puszczając jego penisa.

Powiódł wzrokiem po zatłoczonej plaży, zobaczył, że idzie ku nim Sharla, kołysząc nagimi piersiami, obejmując w pasie Jean--Claude'a.

- Mireille - wyszeptał natarczywie.

Ścisnęła jego biodra zapiaszczonymi udami, zaczęła ugniatać go mocniej, szybciej. Nie mógł się już powstrzymać. Zamknął oczy i jęknął i czyjeś wargi dotknęły jego warg, czyjś język sondował jego usta, jedna para sutek ocierała się o jego pierś, druga o bark, włosy i piersi, i usta, i ręce... Finiszował, całowany przez Sharlę, pieszczony przez Mireille; a może było na odwrót? Zresztą, co za różnica?

- Wszyscy nabrali apetytu, co? - powiedział ze śmiechem Jean-Claude.

Jeff powiedział to Mireille tego wieczoru w hotelowym ogrodzie, gdy wszyscy wypalili wspólnie kilka fajek haszyszu z opium i Sharla powędrowała do jednego z pokoi z Jean-Claude'em, Chiccą i inną parą. Narkotyki rozwiązały mu język i sekret,

* Sadique (franc.) - Sadysta.

113

który palił go tyle lat, wyrwał mu się sam; Mireille po prostu z nim była, kiedy to się stało.

- Przeżyłem to życie wcześniej - oznajmił, wpatrując się w późny zachód słońca przez sosny Résidence de la Pinède.

Mireille skrzyżowała bosc nogi w lotosie, jej biała bawełniana sukienka zafalowała wokół niej na trawie.

- Déjà vu. - Uśmiechnęła się. - Ja też czasem mam to uczucie.

Jeff potrząsnął głową, zmarszczył brwi.

- Nie w przerośni. Dosłownie. To znaczy, nie dokładnie to życie, tutaj z tobą i Sharlą i tak dalej, ale...

I wyrzucił to z siebie, wszystko, gmatwaninę słów i wspomnień, które tak długo ukrywał; zawał serca w biurze, ten pierwszy poranek w akademiku w Emory, fortuny zdobywane i tracone, jego żony, jego dzieci, umieranie i umieranie, i umieranie raz jeszcze.

Mireille słuchała bez słowa. Zachodzące słońce oświetlało od tyłu jej włosy, nadając im barwę płomienia, a twarz pozostawała w pogłębiającym się cieniu. W końcu Jeff umilkł, pokonany przez niewiarygodność tego, co próbował opowiedzieć.

Było już ciemno i nie mógł odczytać wyrazu twarzy Mireille. Czy pomyślała, że zwariował albo ma opiumowe wizje? Jej milczenie zaczęło trawić katarktyczną ulgę, którą przyniosły mu te zwierzenia.

- Mireille? Nie chciałem cię zszokować. Ja...

Uklękła, otoczyła szczupłymi ramionami jego szyję. Gęste miedziane loki dotknęły miękko jego policzka.

- Wiele żyć — wyszeptala. — Wiele bólu.

Mocno przytulił jej zgrabne młode ciało, zaciągnął się głęboko świeżym, sosnowym powietrzem. Przez drzewa popłynął ku nim rozproszony śmiech, a potem czyste, słodkie, pogodne dźwięki najnowszej płyty Sylvie Vartan.

- Viens - powiedziała Mireille, wstając i biorąc go za rękę. - Dołączmy do reszty. La vie nous attend*.

Wszyscy wrócili do Paryża w sierpniu, gdy znów zaczęły

* Viens. La vie nous attend (franc.) - Chodź. Czeka na nas życie.

padać deszcze. Mireille więcej nie komentowała tego, co Jeff opowiedział jej w ogrodzie w Saint-Tropez; zapewne przypisała jego wynurzenia haszyszowi i może tak było lepiej. A Jeff i Sharla nie rozmawiali otwarcie o grupowym seksie i narkotykach, które stały się normalną częścią ich życia. Te rzeczy po prostu się zdarzyły; i działały się nadal. Nie było powodu o nich dyskutować, póki wszyscy dobrze się bawili.

Jedna z nowych par, jakie przewijały się przez towarzystwo, zabrała ich do partouze* przy rue le Chatelier, kilka przecznic na północ od placu, który miał nosić nazwę Place l'Etoile do śmierci De Gaulle'a w 1970 roku. Ów partouze, jeden z wielu, jakie kwitły w mieście od lat dwudziestych, był przybytkiem dobrze prowadzonym i urządzonym z przepychem: kolekcja starych lalek w szklanej gablocie w salonie, gruby kasztanowy dywan pod kolor ścian, na których wisiały findesiècle'owe ryciny... i trzy pokojówki w tradycyjnych strojach obsługujące trzydzieści czy czterdzieści nagich par, które figlowały na dwóch piętrach znakomicie wyposażonych, bardzo dużych sypialni.

Paczka z Saint-Tropez zaczęła odwiedzać partouze co weekend. Pewnej nocy Jeff i Sharla stworzyli trójkąt z nowo przybyłą do Paryża trzpiotowatą amerykańską starletką, która miała wkrótce zasłynąć bardziej jako radykalna feministka niż jako aktorka. Innym razem Mireille, Sharla i Chicca spontanicznie urządziły sobie zawody, która pierwsza prześpi się z dwudziestoma mężczyznami. Sharla wygrała. Jeff był zdumiony, jak szybko ten nieprzerwany korowód przypadkowego publicznego seksu z pięknymi nieznanymi zaczął się wydawać czymś zupełnie normalnym. Uderzało go to, że wszyscy oddają się takim praktykom bez najmniejszego strachu przed plagami jego epoki, opryszczką i AIDS. Z perspektywy czasu ich beztroskie poczucie bezpieczeństwa nadawało tym dekadentkim rozrywkom aurę niewinności — nagie dzieci bawiące się w Ogrodzie przed Upadkiem. Zastanawiał się, co się stało z partouzes oraz ich odpowiednikami w Ameryce i innych krajach Europy, w latach osiemdziesiątych. Jeśli

* Partouze (franc.) - dom uciech, dom rozpusty.

padać deszcze. Mireille więcej nie komentowała tego, co Jeff opowiedział jej w ogrodzie w Saint-Tropez; zapewne przypisała jego wynurzenia haszyszowi i może tak było lepiej. A Jeff i Sharla nie rozmawiali otwarcie o grupowym seksie i narkotykach, które stały się normalną częścią ich życia. Te rzeczy po prostu się zdarzyły; i działały się nadal. Nie było powodu o nich dyskutować, póki wszyscy dobrze się bawili.

Jedna z nowych par, jakie przewijały się przez towarzystwo, zabrała ich do partouze* przy rue le Chatelier, kilka przecznic na północ od placu, który miał nosić nazwę Place l'Etoile do śmierci De Gaulle'a w 1970 roku. Ów partouze, jeden z wielu, jakie kwitły w mieście od lat dwudziestych, był przybytkiem dobrze prowadzonym i urządzonym z przepychem: kolekcja starych lalek w szklanej gablocie w salonie, gruby kasztanowy dywan pod kolor ścian, na których wisiały findesiècle'owe ryciny... i trzy pokojówki w tradycyjnych strojach obsługujące trzydzieści czy czterdzieści nagich par, które figlowały na dwóch piętrach znakomicie wyposażonych, bardzo dużych sypialni.

Paczka z Saint-Tropez zaczęła odwiedzać partouze co weekend. Pewnej nocy Jeff i Sharla stworzyli trójkąt z nowo przybyłą do Paryża trzpiotowatą amerykańską starletką, która miała wkrótce zasłynąć bardziej jako radykalna feministka niż jako aktorka. Innym razem Mireille, Sharla i Chicca spontanicznie urządziły sobie zawody, która pierwsza prześpi się z dwudziestoma mężczyznami. Sharla wygrała. Jeff był zdumiony, jak szybko ten nieprzerwany korowód przypadkowego publicznego seksu z pięknymi nieznajomymi zaczął się wydawać czymś zupełnie normalnym. Uderzało go to, że wszyscy oddają się takim praktykom bez najmniejszego strachu przed plagami jego epoki, opryszczką i AIDS. Z perspektywy czasu ich bez troski pbczucie bezpieczeństwa nadawało tym dekadencckim rozrywkom aurę niewinności - nagie dzieci bawiące się w Ogrodzie przed Upadkiem. Zastanawiał się, co się stało z partouzes oraz ich odpowiednikami w Ameryce i innych krajach Europy, w latach osiemdziesiątych. Jeśli

* Partouze (franc.) - dom uciech, dom rozpusty.

w ogóle przetrwały, musiała panować w nich atmosfera paranoicznego lęku i poczucia winy.

Lata osiemdziesiąte: dekada pogrzebanych nadziei, strat, śmierci. Wiedział, że to wszystko znów nadejdzie, o wiele za prędko.

Byli w Londynie niecały miesiąc, kiedy Jeff spotkał dziewczynę, która zaproponowała mu LSD; co więcej, spotkał ją, gdy wychodziła z apteki w Chelsea. Pośmiali się z tego, gawędząc przy Campari z wodą sodową. Jeff stwierdził, że poszedł zrealizować receptę i dostał dokładnie to, co chciał. Uznała, że jest zabawny, choć oczywiście nie chwyciła aluzji; Stonesi mieli nagrać tę piosenkę dopiero za rok. Zwierzyła mu się, że ma na imię Sylvia, ale wszyscy nazywają ją Sylla, Jak ta piosenkarka, Cilla Black, wiesz?" Jej rodzice mieszkają w Brighton (zrobiła minę), ale wynajmuje z dwiema babkami mieszkanie w South Kensington i pracuje w Granny Takes a Trip*, gdzie może kupować ubrania za pół ceny - jak niebieska minispódniczka ze skaju i żółte wzorzyste rajstopy, które miała na sobie.

- Mamy najmodniejsze ciuchy, wiesz? Dużo fajniejsze niż Countdown czy Top Gear. Cathy McGowan** jest naszą stałą klientką, a wczoraj wpadła do nas Jean Shrimpton***.

Jeff z uśmiechem skinął głową i przestał słuchać jej bezmyślnej paplaniny. Interesował go narkotyk, nie ona; interesował go od dawna i było mu wstyd przyznać, że zawsze bał się spróbować. Ta dziewczyna mówiła o LSD dość niedbale, nie doświadczyła żadnych złych skutków ubocznych (zakładając, że urodziła się taka płytka). Poderwał ją bardziej z nawyku niż

* Granny Takes a Trip - kultowy w latach sześćdziesiątych butik w londyńskiej dzielnicy Chelsea.

** Cathy McGowan - prezenterka telewizyjnego programu muzycznego Ready, Steady, Go, nazywana „królową modsów”.

*** Jean Shrimpton - sławna w latach sześćdziesiątych brytyjska modelka.

117

z ochoty, zagadując coś o nowym albumie Animalsów, który trzymała pod pachą, a ona po pięciu minutach spytała, czy chce łyknąć kwas. A co tam, czemu nie?

W domu przy Sloane Terrace Sharla spała w łóżku z jakimś facetem, którego poznała poprzedniego wieczoru w nocnym klubie Dolly's. Jeff zamknął drzwi sypialni, nastawił cicho płytę Marianne Faithfull, spytał Syllę, czy chce się jeszcze czegoś napić.

- Nie, jeśli mamy wziąć kwas - odparła. - Lepiej nie mieszać, wiesz?

Jeff wzruszył ramionami i nalał sobie szkockiej. Potrzebował alkoholu, żeby się rozluźnić, złagodzić zdenerwowanie tym, że ma zażyć środek psychodeliczny. Czy mogła mu zaszkodzić jedna whisky?

- To twoja żona, tam w pokoju? - zapytała Sylla.

- Nie. Przyjaciółka.

- Nie będzie zła, że mnie zaprosiłeś?

Jeff potrząsnął głową i parsknął śmiechem.

- Ani trochę.

Sylla uśmiechnęła się szeroko, odrzuciła z oczu proste, brązowe włosy.

- Nigdy nie... no wiesz, nie robiłam tego przy innej babce. Oczywiście nie licząc moich współlokatorek, ale to tylko dlatego, że mamy ciasne mieszkanie.

- Sharla jest moją współlokatorką i nie będzie zła. Na górze jest druga sypialnia. Człabyś się tam swobodniej?

Sylla pogrzebała w żółtej skajowej torebce, dopasowanej materiałem do spódniczki, a kolorem do rajstop.

- Najpierw weźmy kwas i zaczekajmy, aż zacznie działać. Potem możemy pójść na górę.

Jeff połknął mały purpurowy kwadracik bibułki, który mu podała, popił go resztką whisky. Sylla poprosiła o sok pomarańczowy, więc przyniósł jej pojemnik z lodówki.

- Kiedy coś poczuje? - zapytał.

- To zależy. Jadłeś dziś lunch?

- Nie.

- Więc za jakieś pół godziny - odparła. - Mniej więcej.

W jego przypadku było to mniej. Przed upływem dwudziestu

minut ściany zmieniły się w gumę, zaczęły się oddalać i przybliżać. Czekał na wizje, o których tyle słyszał, ale na próżno; tylko wszystko dookoła wydawało mu się lekko zwichrowane, w nieokreślony sposób skrzywione i jakby błyszczące.

- Czujesz to, kochanie? - zapytała Sylla.

- Jest... inaczej, niż się spodziewałem.

Wypowiedział te słowa wyraźnie, ale miał wrażenie, że stają mu kołkiem w ustach. Twarz Sylli zmieniała się, płynęła jak gorący воск; jej szminka i róż wydawały się teraz nieprzyzwoicie jaskrawe, były warstwami czerwonej farby na skórze.

- Bajecznie, prawda?

Jeff zamknął oczy i tak, zobaczył jakieś wzory, kręgi wewnątrz kręgów, połączone skomplikowaną, migoczącą siatką. Koła, mandale: symbole wiecznych cykli, iluzorycznej zmiany, która prowadziła jedynie z powrotem do miejsca, gdzie zmiana się zaczęła i zacznie znowu...

- Dotknij moich rajstop. Dotknij ich.

Sylla położyła jego rękę na swoim udzie i żółte wzorzystę rajstopy stały się krajobrazem faktur i wypukłości, oświetlonym jakimś obcym słońcem; i również to słońce było częścią nie kończących się cykli bytu i...

Sylla zachichotała, wsunęła sobie jego dłoń między nogi.

- Zabierz mnie teraz na górę, dobrze? Zobaczysz, jak cudownie jest to robić na kwasie.

Posłuchał jej, chociaż chciał tylko leżeć i oddawać umysł tym powracającym falom spokoju i akceptacji. W małej sypialni na piętrze Sylla go rozebrała, przebiegła palcami o czerwonych paznokciach po jego ciele, pozostawiając smugę zimnego ognia wszędzie, gdzie go dotknęła. Ściągnęła minispódniczkę i rajstopy, zdjęła przez głowę cienką bluzkę, podsunęła mu pod usta swój prawy sutek. Zaczął go ssać bardziej z ciekawości niż z pożądania, jak niemowlę, które nagle uświadamia sobie swoje miejsce w łańcuchu bytu, wszechwiedzące dziecko, które widziało własne narodziny, śmierć, zmartwychwstanie.

Sylla wprowadziła go w siebie i automatycznie stwardniał. Jej wilgotne wnętrze było

czymś starożytnym, czymś protoludz-kim; jang przyjmującym jego witalne jin, wspólnie z nim stwarzającym te bez końca odnawiające się cykle, te..

119

Jeff otworzył oczy i twarz dziewczyny znów zmieniła kształt. Stała się twarzą Gretchen. Posuwał Gretchen, posuwał własną córkę: tę, której dał życie, ale która nigdy nie istniała.

Wycofał się z niej z nagłym wstrętem.

- Auurr! - wykrzyknęła rozczarowana, sięgnęła po jego zwiotczałego penisa, zaczęła go gładzić. - Proszę, kochanie, proszę!

Fale w jego umyśle już nie kołysły, były w jego emocje ze zjadliwą siłą. Cykle, koła... w tym uniwersalnym łańcuchu nie było dla niego miejsca, nie było wzoru, do którego pasowałaby jego zmutowana pozaczasowa egzystencja.

Dziewczyna rozwarła krwistoczerwone wargi i nachyliła się, aby go possać.

Odepchnął ją w stronę pulsującej ściany, próbując wymazać z pamięci obraz, który zobaczył w jej twarzy.

- Możemy się przyłączyć?

Sharla stała w otwartych drzwiach, naga. Za nią pojawił się chudy młody chłopak z długimi niechlujnymi włosami i krostowatą twarzą. Sylla popatrzyła na nich niepewnie, ale zaraz się odprężyła i pozwoliła opaść prześcieradło, którym zakryła piersi.

- Dobry pomysł - powiedziała. - Kwas chyba zaszkodził twojemu kumplowi.

- Kwas? - powtórzył chłopak z podnieceniem w głosie. - Masz kwas?

Sylla skinęła głową, sięgnęła po torebkę, którą zabrała ze sobą na górę.

- Daj nam trochę, co? - poprosił chłopak. I zwrócił się do Sharli: - Pieprzyłaś się kiedyś na kwasie? To coś niesamowitego!

Byli w łóżku, wszyscy czworo, Sharla gładziła włosy Sylli, włosy Gretchen - czy może robiła to Linda? - a potem ten obcy chłopak stał się Martinem Baileyem, krew z jego samobójczej rany postrzałowej tryskała na pościel, zalewała nagie ciała żony i córki Jeffa, wszyscy byli martwi, wszyscy prócz niego, on nie mógł umrzeć, chociaż umierał wiele razy. Sam był kołem, sam był cyklem.

Sharla stuknęła nogą, zniecierpliwiona oczekiwaniem w sali odlotów pierwszej klasy na międzynarodowym lotnisku w San

120

iif

Francisco. Twarz miała trupioblada, zgodnie z najnowszą modą, obramowaną czernią gładkich, prostych włosów. Jej ufarbowane na blond brwi były niemal niewidoczne, usta wyglądały jak pociągnięte kredą. Sukienka w stylu op-artu w zwariowane czarno-białe paski i białe rajstopy dopełniały tego całkowitego braku koloru.

- Długo jeszcze?-zapytała szorstko.

Jeff spojrzał na zegarek.

- Powinni zaraz zacząć wpuszczać.

- A jak długo będziemy lecieć?

- Cztery i pół godziny. - Westchnął. - Już to przerabialiśmy.

- Nie wiem, po co w ogóle to robimy. Myślałam, że masz dosyć cholernych tropików. Sam tak powiedziałaś, kiedy wyjeżdżaliśmy z Brazylii. Dlaczego nagle musimy lecieć na Hawaje?

- Potrzebuję trochę spokoju i słońca, i dla odmiany trochę samotności.

Potrzebuję czasu, żeby pomyśleć, jasne? To też już przerabialiśmy.

Posłała mu cyniczne spojrzenie.

- Zdaje ci się, że przerabiałaś już wszystko, co?

Popatrzył na nią niepewnie.

- Co masz na myśli?

- Wszystkie te bzdury, że przeżywasz swoje życie w kółko, jakaś reinkarnacja czy inne gówno.

Jeff odwrócił się na niewygodnym krześle, chwycił ją mocno za nadgarstek.

- Gdzie coś takiego słyszałaś? Nigdy nie...

- Puść mnie - powiedziała, wrywając rękę. - Jezu Chryste, nie możesz dogodzić jakiejś babce, świrujesz po kwasie i nagle chcesz uciec, zaczynasz mnie szarpać...

- Zamknij się, Sharla. Powiedz mi tylko, co słyszałaś i od kogo.

- Mireille powiedziała mi wszystko w zeszłym roku. Ze miałaś po opium jakąś

mistyczną podróż, twierdziłeś, że umarłeś i zmartwychwstałeś. Co za kretynizm! Jej słowa uderzyły Jeffa z niemal fizyczną siłą. Spośród wszystkich osób, które poznał w powtórkach swojego życia, tylko w Mireille wyczuł jakąś empatię i zrozumienie, i dlatego po-

121

dzielił się z nią swym sekretem. Wierzył, że nie będzie oceniać tego, co jej powiedział, że zatrzyma jego zwierzenia dla siebie.

- Dlaczego... — Głos mu się załamał. - Dlaczego ci powiedziała?

- Bo uznała, że to zabawne. I my też. Wszyscy nasi znajomi w Paryżu śmiali się za twoimi plecami całe miesiące.

Ukrył twarz w dłoniach, próbując przyswoić sobie znaczenie słów Sharli.

- Ufałem Mireille - wyszeptał.

Sharla prychnęła pogardliwie.

- Jasne, twoja przyjaciółeczka. Wiesz, że ja pierwsza się z nią przespałam? Jak myślisz, kto jej powiedział, żeby poszła z tobą do łóżka, wyciągnęła cię z tego głupiego ponuractwa? Zaczynałam mieć cię dość. Chciałam się bawić, chciałam się pieprzyć. Mireille zerznęłaby cholerną małpę, gdybyśmy z Jean-Claude'em jej kazali, więc to zrobiliśmy. Prawda, że miałeś szczęście?

Bezcielesny kobiecy głos zapowiedział ich lot. Jeff skierował się do wyjścia, osłupiały z niedowierzania; Sharla szła obok niego, z zaciętym uśmiechem satysfakcji na twarzy. Znaleźli swoje miejsca z prawej strony nowego jeszcze Boeinga 707, tuż za skrzydłem. Nie odzywając się do siebie, włożyli do skrytek bagaż podręczny i zapięli pasy. Przeszła stewardesa z cukierkami i gumą do żucia; Jeff milcząco podziękował. Sharla wzięła pomarańczową landrynkę, zaczęła ją ssać z wyraźną przyjemnością.

- Dzień dobry państwu, witamy na pokładzie samolotu linii Pan American World, lot numer 843 z San Francisco do Honolulu. Państwa pilotem jest dzisiaj kapitan Charles Ki-mes, a towarzyszą mu w kabinie pierwszy oficer Fred Miller, drugi oficer Max Webb i inżynier pokładowy Fitch Robertson. Będziemy lecieć na wysokości...

Jeff patrzył na przesuwany się powoli za oknem brudnoszary pas startowy. Prawdę mówiąc, mógł winić tylko siebie. Sam nadał tej powtórcie lekkomyślny, sybarycki ton, kiedy pojechał do Las Vegas, aby odnaleźć Sharłę.

- ...mniej więcej pół godziny po starcie podamy państwu lunch. Prosimy o niepalenie papierosów i pozostanie w pasach, dopóki kapitan nie wyłączy sygnalizacji, a dla państwa bezpieczeństwa...

122

dzielił się z nią swym sekretem. Wierzył, że nie będzie oceniać tego, co jej powiedział, że zatrzyma jego zwierzenia dla siebie.

- Dlaczego... - Głos mu się załamał. - Dlaczego ci powiedziała?

- Bo uznała, że to zabawne. I my też. Wszyscy nasi znajomi w Paryżu śmiali się za twoimi plecami całe miesiące.

Ukrył twarz w dłoniach, próbując przyswoić sobie znaczenie słów Sharli.

- Ufałem Mireille - wyszeptał.

Sharla prychnęła pogardliwie.

- Jasne, twoja przyjaciółeczka. Wiesz, że ja pierwsza się z nią przespałam? Jak myślisz, kto jej powiedział, żeby poszła z tobą do łóżka, wyciągnęła cię z tego głupiego ponuractwa? Zaczynałam mieć cię dość. Chciałam się bawić, chciałam się pieprzyć. Mireille zerznęłaby cholerną małpę, gdybyśmy z Jean-Claude'em jej kazali, więc to zrobiliśmy. Prawda, że miałeś szczęście?

Bezcielesny kobiecy głos zapowiedział ich lot. Jeff skierował się do wyjścia, osłupiał z niedowierzania; Sharla szła obok niego, z zaciętym uśmiechem satysfakcji na twarzy. Znaleźli swoje miejsca z prawej strony nowego jeszcze Boeinga 707, tuż za skrzydłem. Nie odzywając się do siebie, włożyli do skrytek bagaż podręczny i zapięli pasy. Przeszła stewardesa z cukierkami i gumą do żucia; Jeff milcząco podziękował. Sharla wzięła pomarańczową landrynkę, zaczęła ją ssać z wyraźną przyjemnością.

- Dzień dobry państwu, witamy na pokładzie samolotu linii Pan American World, lot numer 843 z San Francisco do Honolulu. Państwa pilotem jest dzisiaj kapitan Charles Ki-mes, a towarzyszą mu w kabinie pierwszy oficer Fred Miller,

drugi oficer Max Webb i inżynier pokładowy Fitch Robertson. Będziemy lecieć na wysokości...

Jeff patrzył na przesuwany się powoli za oknem brudnoszary pas startowy. Prawdę mówiąc, mógł winić tylko siebie. Sam nadał tej powtórcie lekkomyślny, sybarycki ton, kiedy pojechał do Las Vegas, aby odnaleźć Sharłę.

- ...mniej więcej pół godziny po starcie podamy państwu lunch. Prosimy o niepalenie papierosów i pozostanie w pasach, dopóki kapitan nie wyłączy sygnalizacji, a dla państwa bezpieczeństwa...

122

Zastanawiał się, co powinien teraz czuć. Gniew? Rozczarowanie? Nic by mu z tego nie przyszło, złe już się stało. Najwyraźniej nikt - nawet Mireille - nie uwierzył w to, co jej powiedział w Saint-Tropez. Przynajmniej podstęp, którego dopuściła się razem z Sharlą, w żaden sposób mu nie zagroził; po prostu był jeszcze bardziej samotny niż dotąd.

Odrzutowiec śmignął po pasie startowym, z gracją oderwał się od ziemi. Jeff spojrzał ku przodowi kabiny. Oczywiście nie było tam ekranu; TWA nadal miało wyłączność na wyświetlanie filmów podczas lotu. Szkoda. Chętnie by się rozerwał.

Patrzył przez okno, jak samolot wspina się nad ruchliwą autostradę Bayshore.

Powinien był wziąć ze sobą jakąś książkę. Tom Wolfe wydał właśnie Kandy Colored Tangerine Flake Streamlined Baby, z przyjemnością przeczytałby to jeszcze raz...

Wielka maszyna mocno zadygotała, wstrząśnięta jakimś tępym wybuchem. Jeff zobaczył ku swemu przerażeniu, że prawy silnik urywa się z mocowania i wydarłszy postrzępioną dziurę w skrzydle, spada na miasto pod nimi. Zbiornik na końcu skrzydła bluznął paliwem, a potem spiralnym białym płomieniem, wypluwającym kawałki stopionego metalu.

- Spójrzcie, skrzydło się pali! - zawołał ktoś z tyłu.

Kabinę wypełniły krzyki i płacz dzieci.

Jedna trzecia płonącego skrzydła odpadła i samolot przechylił się na prawą stronę.

Jeff ujrzał domy przytulone w przełęczy między wzgórzami, a potem błękitną wodę Pacyfiku, nie dalej niż tysiąc stóp w dół.

Sharla chwyciła go za rękę. Odwzajemnił uścisk, zapomniawszy w obliczu katastrofy o żalu i urazie.

Zaledwie po dwóch latach tej zmarnowanej powtórki, pomyślał ze strachem; czy powróci po śmierci tak wczesnej, tak gwałtownej? Choć nieraz przeklinał swoje kolejne życia, teraz rozpaczliwie nie chciał umrzeć.

Samolot znowu zadrżał, przechylił się jeszcze bardziej w prawo. Ich oczom, szokująco blisko, ukazały się pylony mostu Golden Gate.

- Uderzymy w niego - wyszeptała natarczywie Sharla. -Uderzymy w most!

123

- Nie - wychrypiał Jeff. - Nadal lecimy dość wysoko. Nie obniżyliśmy się tak bardzo, odkąd odpadł silnik. Ominiemy most.

- Mówi kapitan - odezwał się sztucznie spokojny głos. -Mamy drobny problem, proszę państwa... No dobrze, może nie taki znów drobny...

Lecieli teraz zygzakiem nad lądem, z powrotem w stronę wzgórz i wieżowców San Francisco.

- Spróbujemy... Skierujemy się do bazy sił powietrznych w Travis, jakieś czterdzieści mil stąd, ponieważ mają tam przyjemny, długi pas, dłuższy niż pasy na lotnisku w San Francisco. Będę teraz dosyć zajęty, więc proszę o ciszę, a drugi oficer Webb powie państwu wszystko, co powinniście wiedzieć o lądowaniu.

- Nie wierzy, że damy radę - jęknęła Sharla. - Rozbijemy się, na pewno się rozbijemy!

- Cicho - odparł Jeff. - Słyszają cię te dzieciaki naprzeciwno.

- Tu drugi oficer Max Webb - przemówił z maleńkich głośników nowy głos. - Za jakieś dziesięć minut podejmiemy do lądowania awaryjnego w Travis, więc...

Sharla zaczęła skowyczeć i Jeff mocniej uściskał jej dłoń.

- Jeśli użyjemy trapów ratunkowych, proszę zachować spokój. Pamiętajcie państwo: aby zjechać po trapie, trzeba usiąść. Bez paniki. Kiedy będziemy lądować, i jeśli będzie to twarde lądowanie, co jest możliwe, proszę pochylić się do przodu. Złapcie się za kostki albo obejmijcie rękami kolana. Pochylcie się do przodu jak najniżej. I nie wstawajcie, dopóki wam nie powiemy, co robić dalej...

Samolot szybko tracił wysokość. Gdy zbliżyli się do rozległego lotniska bazy wojskowej, Jeff dojrzał wozy strażackie i karetki, ustawione przy najdłuższym z przecinających się, pustych pasów.

Rozpoczęli długie kołowanie, zaledwie kilkaset stóp nad wojskowymi barakami i hangarami. Jeff słyszał, jak z podwozia samolotu wysuwają się zrywami koła. Pewnie robią to ręcznie, pomyślał. Wybuch musiał uszkodzić system hydrauliczny.

Sharla coś mamrotała; brzmiało to tak, jakby się modliła. Jeff po raz ostatni wyrzwał przez okno i zobaczył kurz podnoszący się wirem na końcu pasa, w który celowali.

To mogło oznaczać kłopoty. Wobec uszkodzeń, jakich już doznał samolot, tur-
124

urn?

- Nie - wychrypiał Jeff. - Nadal lecimy dość wysoko. Nie obniżyliśmy się tak bardzo, odkąd odpadł silnik. Ominiemy most.

- Mówi kapitan - odezwał się sztucznie spokojny głos. -Mamy drobny problem, proszę państwa... No dobrze, może nie taki znów drobny...

Lecieli teraz zygzakiem nad lądem, z powrotem w stronę wzgórz i wieżowców San Francisco.

- Spróbujemy... Skierujemy się do bazy sił powietrznych w Travis, jakieś czterdzieści mil stąd, ponieważ mają tam przyjemny, długi pas, dłuższy niż pasy na lotnisku w San Francisco. Będę teraz dosyć zajęty, więc proszę o ciszę, a drugi oficer Webb powie państwu wszystko, co powinniście wiedzieć o lądowaniu.

- Nie wierzy, że damy radę - jęknęła Sharla. - Rozbijemy się, na pewno się rozbijemy!

- Cicho - odparł Jeff. - Słyszają cię te dzieciaki naprzeciwko.

- Tu drugi oficer Max Webb - przemówił z maleńkich głośników nowy głos. - Za jakieś dziesięć minut podejmiemy do lądowania awaryjnego w Travis, więc...

Sharla zaczęła skowyczeć i Jeff mocniej uścisnął jej dłoń.

- Jeśli użyjemy trapów ratunkowych, proszę zachować spokój. Pamiętajcie państwo: aby zjechać po trapie, trzeba usiąść. Bez paniki. Kiedy będziemy lądować, i

jeśli będzie to twarde lądowanie, co jest możliwe, proszę pochylić się do przodu. Złapcie się za kostki albo obejmijcie rękami kolana. Pochylcie się do przodu jak najniżej. I nie wstawajcie, dopóki wam nie powiemy, co robić dalej...

Samolot szybko tracił wysokość. Gdy zbliżyli się do rozległego lotniska bazy wojskowej, Jeff dojrzał wozy strażackie i karetki, ustawione przy najdłuższym z przecinających się, pustych pasów.

Rozpoczęli długie kołowanie, zaledwie kilkaset stóp nad wojskowymi barakami i hangarami. Jeff słyszał, jak z podwozia samolotu wysuwają się zrywami koła. Pewnie robią to ręcznie, pomyślał. Wybuch musiał uszkodzić system hydrauliczny.

Sharla coś mamrotała; brzmiało to tak, jakby się modliła. Jeff po raz ostatni wyjrzał przez okno i zobaczył kurz podnoszący się wirem na końcu pasa, w który celowali.

To mogło oznaczać kłopoty. Wobec uszkodzeń, jakich już doznał samolot, tur-

124

bulencje w ostatniej chwili mogły... Nie było sensu o tym myśleć. Uwolnił dłoń, pomógł Sharli przyjąć pozycję płodową, a potem sam schował głowę między kolana i złapał się za kostki.

Pozostałe silniki nagle zwiększyły obroty i samolot przechylił się w lewo, po czym wyrównał. Widocznie pilot próbuje ominąć wir powietrza, widocznie...

Koła dotknęły ziemi, zapiszczały na płycie lotniska, najwyraźniej wytrzymały. Przez kilkanaście straszliwych sekund sunęli po pasie. Potem silniki ryknęły raz jeszcze i zaczęły zwalniać, zatrzymywać się... wylądowali.

W kabinie rozległy się oklaski. Potem stewardesy otworzyły wyjścia awaryjne i wszyscy zaczęli gramolić się do trapów. Okaleczony samolot cuchnął paliwem i kiedy Jeff znalazł się na zewnątrz, zobaczył, że z pęknięć w prawym skrzydle wycieka przejrzysty, łatwopalny płyn. Pociągnął Sharlę i pobiegli przed siebie.

Trzysta jardów od samolotu upadli wyczerpani na trawę między pasami startowymi. Strażacy polewali boeinga białą pianą, wszędzie dookoła krążyli zszokowani ludzie.

- Och, Jeff- wykrzyknęła Sharla, obejmując go za szyję i wtulając twarz w jego

ramię. - O Boże, tak się bałam. Myślałam, że... myślałam...

Uwolnił się z uścisku, odepchnął ją i wstał. Jej surowy czar-no-biały makijaż poorly łączy, opartowska sukienka była poplamiona od trupu ratunkowego, dymu, trawy.

Jeff rozejrzał się, dostrzegł z lewej strony budynek, który wyglądał na centrum akcji; tam wracały karetki i personel ratowniczy w kombinezonach z azbestu. Ruszył w jego kierunku, nie zważając na szlochającą na ziemi Sharłę.

- Jeff! - wrzasnęła za nim. - Nie możesz mnie zostawić, nie teraz! Nie po tym, co się stało!

Dlaczego nie, pomyślał, zaczął mówić to na głos, ale urwał i po prostu poszedł dalej.

10.

Jeff skończył jajka na bekonie, kiedy wschodziło słońce; umył naczynia i zalał patelnię wodą. Zazwyczaj wypijał kubek kawy na małym ganku swojego białego domu o spadzistym dachu, ale tego ranka był spóźniony i miał mnóstwo pracy.

Włożył na flanelową koszulę puchową kurtkę i wyszedł na dwór. Trzeci tydzień maja, ale powietrze wciąż było ostre; ostatni przymrozek chwycił zaledwie ubiegłej nocy. Jeff z szacunkiem pochylił głowę przy stosie kamieni, pod którymi spoczywał stary Smyth, i podszedł dużymi krokami do jednego ze świeżo zaoranych i gotowych do siewu poletek. Smyth również uprawiał tę ziemię sam, odkąd dostał ją od rządu w latach osiemdziesiątych XIX wieku. Zachorował i umarł w następstwie jakiegoś wypadku, a jego ciało znaleziono po wielu tygodniach. Ludzie, którzy kupili potem działkę na licytacji, nigdy nic tu nie zasadzili; wyjechali, gdy tylko znaleźli złote monety, ukryte przez Smytha w holenderskim piecu. Stary farmer miał najwyraźniej swoje tajemnice.

Jeff wbił czubek buta w pulchną czarną ziemię, w której miał po południu zasiać pierwszą kukurydzę w tym sezonie, wczesną odmianę Sugar and Gold. Była to dobra, wulkaniczna, kalifornijska gleba, bogata w sole mineralne. Jeff żywił wyłącznie pogardę dla tych ludzi, którzy przed laty pozwolili jej lec odłogiem, zabrali złoto Sylvestra Smytha i wyjechali z The Cove w poszukiwaniu niezasłużonych przyjemności i wygod. Taką ziemię należało uprawiać; świeży plon, jaki wydałaby w zamian, miał większą wartość niż pieniądze. Na tym polegał kontrakt, umowa

między człowiekiem i przyrodą zawarta przed dziesięcioma tysiącami lat w Mezopotamii. Jeff uważał, że porzucenie dobrej ziemi było złamaniem starożytnego i niemal świętego przymierza.

126

Minął poletko, na którym miały wkrótce wzejść szparagi; zbierze ich co najmniej dwa razy tyle, ile zasadził, a teraz przyszła pora na pierwsze z dwóch w roku nawożeń. Późnowiosen-ne przymrozki najwyraźniej nie zaszkodziły szparagom; Jeff pomyślał, że będą miały bardziej kruche łodygi. Uklęknął nad strumieniem, który biegł przez jego posiadłość, nabrał w złożone dłonie lodowatej górskiej wody. Kiedy pił, przepłynęły obok dwie trocie. Postanowił, że jeśli skończy siał kukurydzę i nawozić szparagi przed zmierzchem, weźmie wędkę i złowi sobie kolację.

Słońce wspinało się po niebie, oświetlając czubki sosen na garbatym zboczu Mount Hogback na południowym zachodzie. Jeff ruszył w górę krętego strumienia.

Zatrzymywał się co kilka jardów, aby wybierać naniesione przez prąd gałązki i kamienie, oczyścić zatkane kolektory i rury, od których zależało nawodnienie jego upraw.

Kupił tę farmę przed dziewięcioma laty, kilka tygodni po niedoszłej katastrofie samolotu do Honolulu. Nie widział Shar-li, odkąd zostawił ją tamtego dnia obok zadymionego pasa startowego. Ściśle biorąc, od tamtego lata w ogóle rzadko widywał ludzi.

Jego najbliższy całoroczny sąsiad mieszkał w Turtle Pond, trzy mile na wschód starym bitym traktem. Do posiadłości Jeffa można się było dostać tylko zygzakowatą, stromą drogą, która po deszczu bywała nieprzejezdna. Od listopada do końca stycznia śnieg, deszcz i błoto praktycznie uniemożliwiały przebycie potoku Marble; Jeff nauczył się robić porządne zapasy na zimę.

Przez resztę roku też nie szukał towarzystwa. Mniej więcej raz na tydzień jeździł do miasteczka Montgomery Creek, aby kupić coś w sklepie albo naprawić swojego pick-upa na maleńkiej stacji Shella. W zasadzie przestał pić, ale jeśli zbiory będą dobre, może uczci to piwem i kolacją w Forked Horn albo Hill-crest Lodge. Forked Horn

należało do miłej rodziny Mazzinich, a pani Mazzini, Eleanor, prowadziła w ich wielkim, zbudowanym bez planu domu filię biblioteki publicznej okręgu Shasta. Jeff gawędził czasami z któryś z nich, o tym i owym. Ich syn, Joe, był kilka lat od niego młodszy i jego inteligentna ciekawość zewnętrznego świata zdawała się nie znać granic. Ale nikt

127

z rodziny nie wtrącał się w sprawy Jeffa; nigdy się nie dopytywali, dlaczego wybrał tak samotne życie. Joe pomógł mu zainstalować w The Cove krótkofalówkę i radio stało się jego jedynym łącznikiem z cywilizacją, nie licząc okazjonalnych rozmów z Mazzinimi.

Ten mały zakątek północnej Kalifornii zamieszkiwali głównie drwale i Indianie, z którymi Jeff nie miał żadnego kontaktu. Wkrótce po nim zjechało tu trochę hipisów i innych zwolenników powrotu do natury, ale większość z nich nie została długo. Praca na roli okazała się cięższa, niż sądzili, i nie wystarczyło hodować marihuany, aby się utrzymać.

Najgorszy przez te lata był dla Jeffa celibat, choć nie z powodów, które mógłby przewidzieć. Do diabła, w paryskich czasach z Sharlą i Mireille omal nie umarł z przedawkowania seksu dla samego seksu.

Przez jakiś czas sądził, że może się doskonale obyć bez kontaktów seksualnych, i dziwił się, jak łatwo było zabić tę część siebie. Wkrótce jednak nieprzyjemnie zaskoczyło go odkrycie, że bardzo potrzebuje zwykłego ludzkiego dotyku. Jego brak doskwierał mu codziennie, nękał go na jawie i we śnie. Czasem śniło mu się, że jakaś kobieta po prostu dotyka jego policzka albo że sam przytula głowę do jej piersi. Kobieta w tych snach mogła być Judy albo Linda, albo nawet Sharla; najczęściej jednak widział anonimową abstrakcję kobiecości.

Zawsze budził się potem z przytłaczającym smutkiem i znajomą świadomością, że nie może zaspokoić tego głodu bez ryzyka kolejnej zdrady i bez końcowej pewności absolutnej straty. A takiego bólu już by nie zniósł. Wydawało się, że będzie lepiej po prostu pozwolić, aby jego dusza powoli umarła, cząstka po samotnej cząstce.

Od schylania się przy oczyszczaniu systemu irygacyjnego zaczął go boleć krzyż,

więc usiadł na brzegu strumienia. Daleko ku północy, w połowie drogi do Oregonu, zdumiewający biały stożek Mount Shasta dominował nad horyzontem niczym śpiący bóg, za którego uważali go niegdyś tutejsi Indianie.

Jeff przeżuł kawałek suszonej wołowiny, popił go kolejnym łykiem zimnej źródlanej wody. Jego nowy dom stał na grzbiecie wulkanicznego łańcucha Gór Kaskadowych, dokładnie pośro-

128

ku między Mount Lassen i Mount Shasta. Na północ leżało jezioro Crater, powstałe w wyniku zapadnięcia się potężnego prehistorycznego wulkanu. Potem szedł Mount Hood i tak dalej, aż do stanu Waszyngton, gdzie pomrukiwała cicho Mount St.

Helen's... pomrukiwała na razie. Za siedem lat eksploduje z zabójczą furją, co zrobiła już w przeszłości trzy razy; Jeff i tylko Jeff pamiętał to wydarzenie.

Był we władaniu sił, które potrafiły zniszczyć górę, złożyć ją z powrotem w całość i zniszczyć znowu, i jeszcze raz, i jeszcze, jak dziecko burzące zamek z piasku. Jaki sens miało nawet próbować pojąć coś takiego? Gdyby jakimś cudem kiedyś to zrozumiał, choćby częściowo, mogłoby się okazać, że jeden człowiek nie jest w stanie ogarnąć tej wiedzy umysłem i nie zwariować.

Jeff zawinął resztę suszonej wołowiny w celofan, schował ją do kieszeni. Słońce stało już wysoko; czas zacząć siać tegoroczne rzędy kukurydzy. Zawrócił w dół stoku, z biegiem strumienia, ani razu nie podnosząc oczu na ośnieżony szczyt dalekiej góry.

- A torf? Ma pan zapasy?

- Przyda mi się ze dwieście funtów — powiedział Jeff. — I potrzebuję jeszcze czterdzieści galonów Sevinu.

Sklepiarz zacmokał ze współczuciem, dopisał środek owadobójczy do zamówienia.

- Tak, te sówki to w tym sezonie istna plaga. Stary Charlie Reynolds z Buckeye stracił już przez nie dobry hektar.

Jeff skinął głową, mruknął coś tak uprzejmie, jak tylko jeszcze potrafił. Miał kontakt z obcymi ludźmi tylko dwa razy w roku, podczas tych wypraw do Redding po większe zakupy.

- Co pan sądzi o tych Arabach i tych tu rurociągach? - zapytał mężczyzna. - Nie

myślałem, że czegoś takiego dożyję.

- Sytuacja powinna się poprawić - odparł Jeff. - Wezmę jeszcze takie duże pudełko suszonej wołowiny, tej pikantnej.

- Nie myślałem, że czegoś takiego dożyję. Moim zdaniem Nixon powinien zbombardować tych Arabów, a nie jechać tam, żeby z nimi gadać. Jakby nie miał dość kłopotów na własnym podwórku.

129

Jeff powiódł leniwie wzrokiem po plakatach i ogłoszeniach wiszących za ladą, mając nadzieję, że facet w końcu zrozumie, że nie wciągnie go w rozmowę o polityce.

Szeryf wystawiał na licytację czyjąś zadłużoną działkę w Burney; niedobitki miejscowych hipisów urządzały wielką imprezę w Iron Canyon; ludzie chcieli sprzedać dużo samochodów osobowych i pick-upów. ...a to było dziwne. Wyglądało tu naprawdę nie na miejscu: niebiesko-czarny plakat przedstawiający nocne niebo, z fosforyzującą falą, która rozbijała się ponad połówką księżyca. Na dole, cienkimi złotymi literami, wypisano dwa słowa: Gwiazdne morze.

- Co to takiego? - zapytał Jeff, wyciągając rękę.

Sklepikarz odwrócił się, aby spojrzeć, co mu pokazuje, i z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy.

- Gdzieś ty się chował, chłopie? Nie widziałeś Gwiazdnego morza?

- Co to jest?

- Film, do diabła. Przedtem ostatni raz byłem w kinie chyba na Dźwiękach muzyki, ale Gwiazdnego morza nie mogłem przegapić. Dzieciaki zaciągnęły nas na nie do Sacramento trzy czy cztery miesiące temu. Obejrzałem je wtedy dwa razy i pewnie wybierzemy się znowu, bo idzie teraz w Redding. Mówię panu, nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Jakiś popularny film, tak?

- Popularny? - Mężczyzna wybuchnął śmiechem. - Mówią, że to cholerny przebój wszech czasów. Podobno zarobił już sto milionów dolarów i dalej nabija kasę. Nie myślałem, że czegoś takiego dożyję.

To było niemożliwe; pierwszym tak dochodowym filmem były Szczęki, które miały

wejść na ekrany dopiero za rok. Jeff nigdy nawet nie słyszał o Gwiezdnym morzu, na pewno nie w 1974. Przebojami tego roku, jeśli dobrze pamiętał, były Chinatown i druga część Ojca chrzestnego.

- O czym jest ten film?

- Jeśli go pan nie widział, nie chcę psuć panu przyjemności. Grają go w Cascade. Powinien pan go zobaczyć przed odjazdem. Naprawdę warto, mówię panu.

Jeff poczuł iskrę ciekawości: coś, czego nie doświadczył od lat.

130

Sklepiarz przekartkował egzemplarz „Redding Record Searchlight”. Na pierwszej stronie Kissinger obejmował Iccha-ka Rabina.

- Mam, najbliższy seans jest o... trzeciej dwadzieścia. -Mężczyzna spojrzął na duży zegar wiszący na tylnej ścianie sklepu. - Jeśli pan chce, przechowam panu zakupy. Zobacz pan film i zdąży wrócić do domu przed zmrokiem.

Jeff uśmiechnął się.

- Dostaje pan procent z kina?

- Już mówiłem, nie interesuję się filmami, ale ten jest wyjątkowy. Niech pan idzie, spakuję towar i kiedy pan wróci, tylko go pan załaduje.

W to wtorkowe popołudnie w Redding kolejka na Gwiezdne morze ciągnęła się aż za zakręt ulicy. Jeff ze zdumieniem pokręcił głową, kupił bilet i dołączył do czekającego tłumu. Składali się na niego widzowie w różnym wieku, od podekscytowanych sześciolatek po milczące pary po siedemdziesiątce w znoszonych roboczych ubraniach. Z przyciszonych rozmów wywnioskował, że wielu ludzi widziało film więcej niż jeden raz. Zachowywali się niemal tak, jakby czekało ich wspólne przeżycie religijne, jak wierni spokojnie, lecz radośnie pielgrzymujący do ukochanej świątyni.

Film był tak dobry, jak twierdził sklepiarz, albo jeszcze lepszy. Nawet w oczach Jeffa o całe lata wyprzedzał swój czas tematem, nastrojem i efektami specjalnymi. Był jakby podwodną wersją Odysei kosmicznej Kubricka, przesyconą ciepłem i humanizmem Truffauta w najlepszym wydaniu.

Na początku film przypominał elegijnie o starożytnym przymierzu między ludźmi i

delfinami, po czym rozciągał ową mityczną łączność na filozoficzną rasę kosmitów, którzy dawno temu nawiązali kontakt z tymi inteligentnymi ssakami. Rasa ta, według scenariusza, wyznaczyła delfiny na życzliwych opiekunów ludzkości, dopóki ludzie nie będą gotowi, aby wejść do galaktycznej rodziny. Ale pod koniec XX wieku delfiny odkrywają, że ich mentorzy z Cygnusa IV, których powrotu oczekiwano od tysiącleci, zginęli w międzygwiazdnej katastrofie. Wówczas oceaniczne ssaki objawiają ludziom swą prawdziwą naturę i wspaniałą historię, w chwili łączącej radość z głęboką żalobą.

131

Po raz pierwszy planeta staje się autentycznie jednym - wspólną społecznością umysłów na lądzie i pod wodą... ale jest bardziej samotna w mroku kosmosu niż kiedykolwiek przedtem, jej nieznanymi dobroczyńcy zniknęli bowiem na wieki.

Film wyrażał po mistrzowsku, z rzadką w kinie głębią i wyrafinowaniem, nieznośną ironię utraty ostatecznych nadziei w chwili, gdy się spełniają. Jeff płakał łzami bolesnego uniesienia razem z resztą widzów; dystans wobec rzeczywistości, który budował przez lata dobrowolnego wygnania, runął w ciągu dwóch godzin.

I było to nowe, wszystko to było nowe. Nie mógłby nie wiedzieć o tak wspaniałym, tak udanym pod każdym względem osiągnięciu kinematografii, gdyby zaistniało w którejkolwiek z jego poprzednich powtórek.

Oglądał napisy końcowe z niemal równym zdumieniem, jak sam film: reżyseria Steven Spielberg... scenariusz i produkcja Pamela Phillips... konsultacja artystyczna i efekty specjalne George Lucas.

Jak to możliwe? Spielberg nie zaczął nawet kręcić swojego pierwszego hitu, Szczęk, i miały minąć dwa lata, zanim Lucas zrewolucjonizuje przemysł filmowy Gwiazdowymi wojnami. Ale co najbardziej zagadkowe, najbardziej intrygujące... kim, do diabła, była Pamela Phillips?

- Nie obchodzi mnie, jak to załatwisz, Alan. Zależy mi tylko na czasie. Masz mnie z nią umówić na przyszły tydzień.

- To nie takie proste, panie Winston. Ci ludzie mają swoją hierarchię i w tej chwili ta kobieta jest praktycznie na samej górze. Połowa scenarzystów i

producentów w Hollywood próbuje...

- Nie chcę jej niczego sprzedać, Alan. Jestem biznesmenem, nie filmowcem.

Na drugim końcu linii zapadła długa cisza. Jeff wiedział, co myśli jego makler. Nie rozmawiał ze swoim klientem od dziewięciu lat. I ktoś taki mieni się biznesmenem?

Jeff Winston był pustelnikiem, odludkiem, który odwiedził dom maklerski w San Francisco tylko raz, w 1965 roku, aby złożyć tom okrągłą sumę w gotówce. Mieszkał gdzieś w lesie i od czasu do czasu przysyłał

132

tajemnicze polecenia, aby kupili dla niego duży pakiet akcji jakiejś nieznanej albo nie rokującej nadziei firmy. A jednak, a jednak...

- Jaka jest obecna wartość moich aktywów, Alan?

- Nie mam takich danych na podorędziu. Pana rachunek jest bardzo złożony i zróżnicowany. Potrzebowałbym kilku dni, aby...

- Mniej więcej.

- Biorąc pod uwagę możliwe wahania...

- Powiedziałem mniej więcej, z głowy. Teraz.

Makler westchnął z rezygnacją.

- Jakies sześćdziesiąt pięć milionów dolarów, plus minus pięć milionów. Proszę zrozumieć, nie mam...

- Tak, rozumiem. Ale nie wiem, czy ty rozumiesz, o czym rozmawiamy. Ja mam kupę pieniędzy do zainwestowania, a ona pracuje w branży, która jest uzależniona od dopływu kapitału. Czy ma to dla ciebie sens?

- Oczywiście, proszę pana. Ale proszę pamiętać, że firma pani Phillips ma teraz w bród kapitału z zysków z tego filmu. Szukanie inwestorów może nie być dla niej priorytetem.

- Mimo to powinna docenić długoterminową wartość mojej oferty. A jeśli nie, spróbuj inaczej. Nie znasz kogoś, kto miałby kontakty w przemyśle filmowym?

- Zdaje się, że Harvey Greenspan z naszego oddziału w Los Angeles ma kilku klientów związanych z wytwórniami.

- Więc niech poprosi któregoś o przysługę, niech wykorzysta swoje koneksje.

Ktoś zapukał delikatnie do drzwi hotelowego apartamentu Jeffa.

- Boy, proszę pana. Krawiec z Brook Brothers przyszedł na przymiarę.
- Muszę kończyć, Alan - powiedział Jeff do słuchawki. - Kiedy to załatwisz, łap mnie w Fairmont.
- Zrobię, co w mojej mocy, proszę pana.
- Zrób to szybko. Nie chciałbym po tylu latach przenosić mojego rachunku gdzie indziej.

133

Biura spółki produkcyjnej Gwiazdne Morze mieściły się w jednopiętrowym, ozdobionym białymi stiukami budynku na południe od Pico, w zwyczajnej dzielnicy handlowej między MGM-em i Twentieth Century Fox. Hall urządzone w błękicie i bieli. Za biurkiem recepcjonistki wisiał wielki plakat z filmu, inne ściany były udekorowane eklektyczną mieszanką dzieł sztuki abstrakcyjnej, a na dużym stole z blatem z hiszpańskich kafelków leżały książki związane z tematyką filmu:

Inteligentne życie we wszechświecie, Umysł delfina, Programowanie i metaprogramowanie ludzkiego biokomputera... Jeff przerzucił zbiór kolorowych zdjęć Jowisza z pierwszej misji Pioniera i czekał.

- Panie Winston? - Wesoła drobna recepcjonistka o czarnych włosach obdarzyła go zawodowym uśmiechem. — Pani Phillips prosi pana.

Idąc za nią długim korytarzem, minął pół tuzina otwartych drzwi. Wszystkie osoby, które widział, rozmawiały przez telefon.

Przestronny gabinet Pameli Phillips miał tę samą błękitno--białą tonację co recepcja, ale na ścianach nie wisiały filmowe pamiątki, reprodukcje Pollocka ani fotografie delfinów. Wnętrze zdobił tylko jeden motyw, powtórzony w różnych odmianach: mandale, koła, kręgi.

- Dzień dobry, panie Winston. Napije się pan kawy albo soku?
- Nie, dziękuję.
- W takim razie to wszystko, Natalie. Dziękuję.

Jeff przyglądał się kobiecie, na spotkanie z którą czekał miesiąc. Była wysoka, pewnie jakieś metr siedemdziesiąt pięć; miała szerokie usta, okrągłą twarz, bardzo

delikatny makijaż i proste, piękne blond włosy ostrzyżone na zmodyfikowanego pазia. Jeff cieszył się, że zamówił garnitur u Brook Brothers; Pamela Phillips była ubrana jak na oficjalne spotkanie, w dobrze skrojoną szarą garsonkę, kasztanową bluzkę bez dekoltu i kasztanowe buty na niskim obcasie. Żadnej biżuterii, oprócz małej złotej spinki w klapie z wzorem koncentrycznych kręgów.

- Niech pan siada. Jak rozumiem, chce pan zainwestować w moją firmę?

134

Z miejsca do rzeczy, żadnego marnowania czasu na wstępne uprzejmości. Jak bizneswoman z połowy lat osiemdziesiątych, w 1974 roku.

- Zgadza się. Dysponuję nadwyżką kapitału i...

- Muszę panu coś od razu wyjaśnić, panie...

- Jeff, proszę.

Zignorowała tę próbę zmniejszenia dystansu, natychmiast podjęła wątek swojej wypowiedzi.

- Moja firma jest finansowana prywatnie i całkowicie samowystarczalna.

Zgodziłam się pana przyjąć na prośbę znajomego, ale jeśli chce pan inwestować w przemysł filmowy, niestety, źle pan trafił. Jeśli pan sobie życzy, mój prawnik może sporządzić dla pana listę innych spółek produkcyjnych, które...

- Interesuje mnie Gwiazdne Morze, nie branża filmowa jako taka.

- Jeśli firma kiedykolwiek wejdzie na giełdę, dopilnuję, aby pana makler otrzymał naszą ofertę. A do tego czasu...

Wstała zza biurka, wyciągając rękę, gotowa go odprawić.

- Nie jest pani ciekawa mojej propozycji?

- Nieszczerólnie. Odkąd film wszedł w grudniu na ekrany, budzi wielkie zainteresowanie w różnych kręgach. A ja zajmuję się już innymi projektami. -

Ponownie wyciągnęła rękę. - Więc proszę mi wybaczyć, jestem bardzo zajęta...

Utrudniała mu sprawę bardziej, niż się spodziewał; musiał zaryzykować.

- Co z Gwiazdnymi wojnami? - zapytał. - Czy pani firma będzie ich producentem?

Jej zielone oczy zwięziły się w szparki.

- Plotki na temat nowych filmów krążą po tym mieście bez przerwy. Na pana miejscu nie wierzyłabym we wszystko, co słyszę nad basenem w Bel Air.

Równie dobrze mogę pójść na całość, pomyślał.

- A Bliskie spotkania? Nie wiem, czy Spielberg będzie chciał je teraz nakręcić.

Jak pani sądzi? Wyglądałyby jak kiepski sequel Gwiezdnego morza.

Gniew nie zniknął z jej oczu, ale dołączyło do niego inne uczucie. Usiadła, uważnie wpatrując się w Jeffa.

- Gdzie pan słyszał ten tytuł?

135

Wytrzymał jej wzrok, zignorował pytanie.

- Ale E.T. - podjął konwersacyjnym tonem - to całkowicie inna sprawa. — Nie widzę tu żadnego konfliktu. Tak samo, jeśli chodzi o Poszukiwaczy zaginionej arki. Zupełnie inny film. Chociaż druga część była fatalna. Może mogłaby pani porozmawiać z nim o tym.

Teraz miał jej stuprocentową uwagę. Jej palce nerwowo gładziły krtań, a twarz wyrażała już tylko zdumienie.

- Kim jesteś? - zapytała cicho Pamela Phillips. - Kim, do diabła, jesteś?

- Zabawne. - Jeff się uśmiechnął. - Chciałem cię spytać o to samo.

11.

Dom Pameli w kanionie Topanga był tak odcięty od świata i trudno dostępny, jak to tylko możliwe w pobliżu wielkiego miasta. Stał pośrodku pięciohektarowej działki bujnie zarośniętej roślinnością: jacarandy, drzewa cytrynowe, krzewy winne, jeżyny... nieokiełzany gąszcz niekontrolowanego wzrostu.

- Powinnaś to trochę przyciąć - powiedział Jeff, kiedy jechali w stronę domu krętą, bitą drogą.

Pamela prowadziła land-rovera ze swobodną pewnością siebie, nie wiedząc lub nie dbając o to, jak dziwacznie wygląda za kierownicą w swej eleganckiej szarej

spódnicy i z polakierowa-nymi paznokciami. Położyła marynarkę na tylnym siedzeniu i zdjęła buty, aby było jej łatwiej obsługiwać pedały, ale nadal bardziej pasowała do sali konferencyjnej jakiejś firmy ubezpieczeniowej.

- Tak rosną. - Wzruszyła ramionami. - Gdybym chciała mieć strzyżony ogród, mieszkałabym w Beverly Hills.

- Ale dziczeje ci mnóstwo dobrych owoców.

- Kupuję wszystkie owoce, jakie chcę, w Farmer's Market.

Jeff dał spokój. Mogła robić ze swoją ziemią, co chciała, choć irytował go widok takiego marnotrawstwa. Nadal niewiele o niej wiedział. Kiedy już przyznała, że, jak podejrzewał, też jest po-wtórkwiczem, uparła się, aby on pierwszy opowiedział swoją historię, i często mu przerywała, wpytując o szczegóły.

Oczywiście pominął wiele rzeczy, przede wszystkim niektóre epizody z Sharlą.

Wciąż czekał, aby usłyszeć o jej doświadczeniach, ale najwyraźniej była osobą pełną sprzeczności - jak on sam. Czy mogło być inaczej?

Dom był urządony z prostotą, lecz wygodnie, miał dębowe belki na suficie i panoramiczne okno z jednej strony, wychodzące na zapuszczoną dżunglę posiadłości i ocean daleko w dole.

137

Jak w jej biurze, na ścianach wisiały mandale różnych ludów: Indian Nawaho, Majów, Hindusów. Pod oknem stało duże biurko zarzucone książkami i notesami, a na jego środku rozpięta się niezgrabne zielonkawoszare urządzenie złożone z monitora, klawiatury i drukarki. Jeff pytająco zmarszczył brwi. Skąd tak wcześnie wzięła komputer osobisty? W 1974 roku nie było...

- To nie pecet - odezwała się Pamela. - Komputer Wang 1200, jeden z pierwszych. Bez dysku, na kasety, ale i tak bije na głowę maszynę do pisania. Chcesz piwo?

- Jasne.

Zaskoczyło go to, jak szybko odgadła jego myśli. Potrzebował czasu, aby się przyzwyczaić, że po tylu dziesięcioleciach ma do czynienia z osobą, której niezwykła wiedza dorównuje jego własnej.

- Lodówka jest tam - powiedziała, wskazując mu kierunek. — Przynieś piwo i mnie, a ja zdejmę tymczasem ten mundur.

Poszła w głąb domu, z butami w rękę. Jeff znalazł kuchnię, otworzył dwie butelki Becka.

Czekając, aż Pamela się przebierze, obejrzał jej półki z książkami i płytami.

Najwyraźniej nie czytała zbyt dużo literatury pięknej i nie słuchała muzyki rozrywkowej. Wśród książek przeważały pozycje biograficzne, naukowe i dotyczące przemysłu filmowego, a kolekcja płyt ciążyła w stronę Bacha, Handla i Vivaldiego.

Pamela wróciła do salonu w wypłowiałych dżinsach i bluzie University of Southern California, wzięła od niego piwo i klapnęła na miękki fotel.

- To, co mi mówiłeś o samolocie, tym, który omal się nie rozbił. To było głupie.

- Co masz na myśli?

- Pod koniec mojego drugiego cyklu, kiedy zrozumiałam, że mogę znowu przez to przejść, wykułam na pamięć wszystkie katastrofy lotnicze od 1963 roku. Jak również pożary w hotelach, wypadki kolejowe, trzęsienia ziemi... wszystkie większe kataklizmy.

- Zamierzałem zrobić to samo.

- Powinieneś być. W każdym razie, co było dalej? Co robiłeś od tamtej pory?

138

- Czy ta rozmowa nie jest trochę jednostronna? Jestem równie ciekaw, co się działo z tobą.

- Dokończ swoją historię. Wtedy przejdziemy do mojej.

Usiadł na kanapie naprzeciwko i zaczął jej objaśniać swoje dobrowolne wygnanie ostatnich dziewięciu lat: poczucie ascetycznej łączności z rzeczami, które rosną w ziemi, fascynację ich wieczną symetrią w czasie, życiem organizmów, które wiedną, aby mogły zakwitnąć, pąków i zielonych owoców regularnie kiełkujących z przeszłorocznych obumarłych pędów.

W zamyśleniu kiwała głową, wpatrując się w jedną ze swoich skomplikowanych mandali.

- Czytałeś Hindusów? - spytała. - Rigwedę, Upaniszady?

- Tylko Bhagawadgitę. Dawno, dawno temu.
- Wiele minęło mych narodzin, i twoich także, Ardżuno -zacytowała płynnie. -
Podczas gdy ja znam je wszystkie, ty nie znasz ich wcale*. - Jej oczy załśniły
mocnym blaskiem. - Czasem myślę, że chodziło o nasze doświadczenie. Nie o
reinkarnację w czasie linearnym, tylko o powtarzanie w kółko małych fragmentów
historii świata... dopóki nie pojmujemy, co się dzieje, i nie będziemy w stanie
przywrócić normalnego biegu czasu.
- Jesteśmy świadomi, co się dzieje, a jednak dzieje się to nadal.
- Może będzie to trwało, dopóki wszyscy nie posiadą tej wiedzy - odparła cicho.
- Nie sędzę. Oboje zorientowaliśmy się natychmiast i wygląda na to, że albo się
to wie, albo nie. Wszyscy inni po prostu powtarzają te same schematy.
- Oprócz ludzi, z których życiem się zetkniemy. Możemy wprowadzać zmiany.
Jeff uśmiechnął się cynicznie.
- Więc jesteśmy prorokami? Zbawcami?

Pamela patrzyła na ocean.

- Być może.

Usiadł prosto, utkwiał w niej wzrok.

* Bhagawadgita, tłum. J. Sachse, Wydawnictwo „Ossolineum”, Wrocław 1988, s. 50.

139

- Czy ta rozmowa nie jest trochę jednostronna? Jestem równie ciekaw, co się
działo z tobą.

- Dokończ swoją historię. Wtedy przejdziemy do mojej.

Usiadł na kanapie naprzeciwko i zaczął jej objaśniać swoje
dobrowolne wygnanie ostatnich dziewięciu lat: poczucie ascetycznej łączności z
rzeczami, które rosną w ziemi, fascynację ich wieczną symetrią w czasie, życiem
organizmów, które wiedną, aby mogły zakwitnąć, pąków i zielonych owoców
regularnie kielkujących z przeszłorocznych obumarłych pędów.

W zamyśleniu kiwała głową, wpatrując się w jedną ze swoich skomplikowanych
mandali.

- Czytałeś Hindusów? - spytała. - Rigwedę, Upaniszady?

- Tylko Bhagawadgitę. Dawno, dawno temu.
- Wiele minęło mych narodzin, i twoich także, Ardżuno -zacytowała płynnie. -
Podczas gdy ja znam je wszystkie, ty nie znasz ich wcale*. - Jej oczy załśniły
mocnym blaskiem. - Czasem myślę, że chodziło o nasze doświadczenie. Nie o
reinkarnację w czasie linearnym, tylko o powtarzanie w kółko małych fragmentów
historii świata... dopóki nie pojmujemy, co się dzieje, i nie będziemy w stanie
przywrócić normalnego biegu czasu.
- Jesteśmy świadomi, co się dzieje, a jednak dzieje się to nadal.
- Może będzie to trwało, dopóki wszyscy nie posiadą tej wiedzy - odparła cicho.
- Nie sędzę. Oboje zorientowaliśmy się natychmiast i wygląda na to, że albo się
to wie, albo nie. Wszyscy inni po prostu powtarzają te same schematy.
- Oprócz ludzi, z których życiem się zetkniemy. Możemy wprowadzać zmiany.
Jeff uśmiechnął się cynicznie.
- Więc jesteśmy prorokami? Zbawcami?

Pamela patrzyła na ocean.

- Być może.

Usiadł prosto, utkwiał w niej wzrok.

* Bhagawadgita, tłum. J. Sachse, Wydawnictwo „Ossolineum”, Wrocław 1988, s. 50.

- Czy ta rozmowa nie jest trochę jednostronna? Jestem równie ciekaw, co się
działo z tobą.

- Dokończ swoją historię. Wtedy przejdziemy do mojej.

Usiadł na kanapie naprzeciwko i zaczął jej objaśniać swoje
dobrowolne wygnanie ostatnich dziewięciu lat: poczucie ascetycznej łączności z
rzeczami, które rosną w ziemi, fascynację ich wieczną symetrią w czasie, życiem
organizmów, które wiedną, aby mogły zakwitnąć, pąków i zielonych owoców
regularnie kielkujących z przeszłorocznych obumarłych pędów.

W zamyśleniu kiwała głową, wpatrując się w jedną ze swoich skomplikowanych
mandali.

- Czytałeś Hindusów? - spytała. - Rigwedę, Upaniszady?

- Tylko Bhagawadgitę. Dawno, dawno temu.
- Wiele minęło mych narodzin, i twoich także, Ardżuno -zacytowała płynnie. -
Podczas gdy ja znam je wszystkie, ty nie znasz ich wcale*. - Jej oczy zaśniły
mocnym blaskiem. - Czasem myślę, że chodziło o nasze doświadczenie. Nie o
reinkarnację w czasie linearnym, tylko o powtarzanie w kółko małych fragmentów
historii świata... dopóki nie pojmujemy, co się dzieje, i nie będziemy w stanie
przywrócić normalnego biegu czasu.
- Jesteśmy świadomi, co się dzieje, a jednak dzieje się to nadal.
- Może będzie to trwało, dopóki wszyscy nie posiadą tej wiedzy - odparła cicho.
- Nie sędzę. Oboje zorientowaliśmy się natychmiast i wygląda na to, że albo się
to wie, albo nie. Wszyscy inni po prostu powtarzają te same schematy.
- Oprócz ludzi, z których życiem się zetkniemy. Możemy wprowadzać zmiany.
Jeff uśmiechnął się cynicznie.
- Więc jesteśmy prorokami? Zbawcami?

Pamela patrzyła na ocean.

- Być może.

Usiadł prosto, utkwiał w niej wzrok.

* Bhagawadgita, tłum. J. Sachse, Wydawnictwo „Ossolineum”, Wrocław 1988, s. 50.

- Chwileczkę. Chyba nie po to zrobiłaś ten film, żeby przygotować ludzi na...
Nie zamierzasz...

- Nie wiem jeszcze, co zamierzam. Teraz, gdy cię poznałam, wszystko się
zmieniło. Nie spodziewałam się tego.

- Chcesz założyć jakąś cholerną sektę? Nie wiesz, jaka katastrofa...

- Nie wiem nic! - syknęła. - Jestem równie skołowana jak ty i staram się tylko
zrozumieć moje życie. Chcesz się po prostu poddać, nawet nie próbując odkryć, co to
znaczy? Proszę bardzo! Wróc na swoją cholerną farmę i wegetuj, ale nie mów mi, jak
mam postępować, dobrze?

- Chciałem ci tylko coś poradzić. Znasz inną osobę, która byłaby kompetentna w
tym zakresie?

Popatrzyła nań wilkiem, nie ochłonawszy jeszcze z gniewu.

- Możemy porozmawiać o tym później. Chcesz usłyszeć moją historię czy nie?

Jeff opadł z powrotem na miękkie poduszki, przyglądając jej się bacznie.

- Jasne, że chcę - odpowiedział spokojnym tonem.

Nie sposób było przewidzieć, co może ją zdenerwować. Rozumiał, co przeszła, mógł wziąć na to poprawkę.

Skinęła krótko głową.

- Przyniosę nam jeszcze po piwie.

Pamela Phillips, jak się dowiedział Jeff, przyszła na świat w Westport w stanie Connecticut w 1949 roku, jako córka zamożnego agenta handlu nieruchomościami.

Miała normalne dzieciństwo, przeszła typowe choroby, doświadczyła zwykłych radości i mąk dorastania. Pod koniec lat sześćdziesiątych studiowała sztuki

plastyczne w Bard College, paliła dużo trawy, maszerowała na Waszyngton, miała

wielu partnerów seksualnych jak inne młode kobiety z jej pokolenia. I jak większość

z nich „sporządniała” wkrótce po ustąpieniu Nucona; wyszła za męża za prawnika,

przeprowadziła się do New Rochelle. Urodziła dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę.

Czytała głównie romanse, uprawiała malarstwo w wolnym czasie, jako hobby, trochę udzielała się społecznie. Gryzła się, że nie pracuje zawodowo,

140

- Chwileczkę. Chyba nie po to zrobiłaś ten film, żeby przygotować ludzi na...

Nie zamierzasz...

- Nie wiem jeszcze, co zamierzam. Teraz, gdy cię poznałam, wszystko się zmieniło. Nie spodziewałam się tego.

- Chcesz założyć jakąś cholerną sektę? Nie wiesz, jaka katastrofa...

- Nie wiem nic! - syknęła. - Jestem równie skołowana jak ty i staram się tylko zrozumieć moje życie. Chcesz się po prostu poddać, nawet nie próbując odkryć, co to znaczy? Proszę bardzo! Wróć na swoją cholerną farmę i wegetuj, ale nie mów mi, jak mam postępować, dobrze?

- Chciałem ci tylko coś poradzić. Znasz inną osobę, która byłaby kompetentna w tym zakresie?

Popatrzyła nań wilkiem, nie ochłonawszy jeszcze z gniewu.

- Możemy porozmawiać o tym później. Chcesz usłyszeć moją historię czy nie?

Jeff opadł z powrotem na miękkie poduszki, przyglądając jej się bacznie.

- Jasne, że chcę - odpowiedział spokojnym tonem.

Nie sposób było przewidzieć, co może ją zdenerwować. Rozumiał, co przeszła, mógł wziąć na to poprawkę.

Skinęła krótko głową.

- Przyniosę nam jeszcze po piwie.

Pamela Phillips, jak się dowiedział Jeff, przyszła na świat w Westport w stanie Connecticut w 1949 roku, jako córka zamożnego agenta handlu nieruchomościami.

Miała normalne dzieciństwo, przeszła typowe choroby, doświadczyła zwykłych radości i mąk dorastania. Pod koniec lat sześćdziesiątych studiowała sztuki

plastyczne w Bard College, paliła dużo trawy, maszerowała na Waszyngton, miała

wielu partnerów seksualnych jak inne młode kobiety z jej pokolenia. I jak większość

z nich „sporządniała” wkrótce po ustąpieniu Nixona; wyszła za mąż za prawnika,

przeprowadziła się do New Rochelle. Urodziła dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę.

Czytała głównie romanse, uprawiała malarstwo w wolnym czasie, jako hobby, trochę udzielała się społecznie. Gryzła się, że nie pracuje zawodowo,

140

wypalała czasem skręta, kiedy dzieci już spały, ćwiczyła aerobik, by zachować dobrą figurę.

Umarła na zawał serca, mając trzydzieści dziewięć lat. W październiku 1988 roku.

- Kiedy dokładnie? - spytał Jeff.

- Osiemnastego. Tego samego dnia co ty, ale o pierwszej piętnaście.

- Dziewięć minut później. - Wyszczrzył zęby. - Widziałaś przyszłość. Więcej przyszłości niż ja.

Na jej wargach pojawił się cień uśmiechu.

- Było to nudne dziewięć minut - powiedziała. - Nie licząc umierania.

- Gdzie się obudziłaś?

- W salonie w domu moich rodziców, przed telewizorem. Leciła powtórka

jakiegoś starego sitcomu. Miałam czternaście lat.

- Jezu, i co zrobiłaś? Rodzice byli w domu?
- Mama poszła na zakupy. Ojciec był jeszcze w pracy. Przez godzinę chodziłam nieprzytomna po domu, przerzucałam ubrania w szafie, kartkowałam pamiętnik, który zgubiłam, kiedy poszłam na studia... przeglądałam się w lustrze. I cały czas płakałam. Myślałam, że umarłam i że Bóg w ten dziwaczny sposób pozwala mi ostatni raz spojrzeć na moje życie. Bałam się frontowych drzwi. Sądziłam, że jeśli je otworzę, znajdę się w niebie albo w piekle, albo w jakiejś otchłani.

- Byłaś katoliczką?
- Nie, po prostu kłębiły mi się w głowie wszystkie te mgliste obrazy i obawy. Nicość, to lepsze słowo. To spodziewałam się zastać na zewnątrz. Mgłę, pustkę... po prostu śmierć. Potem moja matka wróciła do domu, weszła przez drzwi, które tak mnie przerażały. Pomyślałam, że jest zjawą, która przyszła powlec mnie na zatracenie, i zaczęłam krzyczeć. Musiała mnie długo uspokajać. Wezwała lekarza rodzinnego, on dał mi jakiś zastrzyk - pewnie demerolu - i straciłam przytomność. Kiedy się ocknęłam, był przy mnie ojciec, stał nad łóżkiem, wyglądał na bardzo zaniepokojonego, i chyba wtedy zaczęło do mnie docierać, że nie umarłam. Ojciec nie chciał pozwolić mi wstać, ale zbiegłam na dół i otworzyłam drzwi, wyszłam na podwórze w noc-

141

nej koszuli... i oczywiście wszystko było zupełnie normalne. Okolica wyglądała tak, jak ją pamiętałam. Podbiegł do mnie pies sąsiadów, polizał moją rękę i z jakiegoś powodu znów zaczęłam wtedy płakać. Przez tydzień nie chodziłam do szkoły, leżałam w moim pokoju, udając chorą, i po prostu rozmyślałam... Najpierw próbowałam zrozumieć, co się stało, ale szybko stwierdziłam, że to beznadziejne. Potem, kiedy mijały dni i nic się nie zmieniało, zaczęłam kombinować, co mam zrobić dalej. Pamiętaj, że nie dysponowałam takimi możliwościami jak ty. Miałam raptem czternaście lat, nadal mieszkalam z rodzicami, nadal chodziłam do gimnazjum. Nie mogłam obstawić wyścigów konnych ani wyjechać do Paryża. Byłam uziemiona.

- To musiało być straszne - wtrącił współczująco Jeff.

- To było straszne, ale jakoś dałam sobie radę. Nie miałam wyboru. Stałam się...

Zmusiłam się, aby znów stać się nastolatką, starałam się zapomnieć o wszystkich doświadczeniach z pierwszego życia: o studiach, małżeństwie... o dzieciach.

Urwała, wbiła wzrok w podłogę. Jeff pomyślał o Gretchen i wyciągnął dłoń, chcąc ją położyć na ramieniu Pameli. Cofnęła się, więc zabrał rękę.

- Tak czy owak - mówiła dalej - po kilku tygodniach, kilku miesiącach, ta pierwsza egzystencja zaczęła blednąć w mojej pamięci, jakby była długim snem.

Wróciłam do szkoły, zaczęłam uczyć się wszystkiego od początku, jakby te rzeczy były dla mnie nowe. Stałam się osobą nieśmiałą, mołem książkowym. Kimś zupełnie innym niż za pierwszym razem. Nie umawiałam się na randki, zerwałam z moją paczką. Nie mogłam znieść wspomnień czy wizji dorosłych, którymi moi znajomi mieli się stać w przyszłości. Próbowałam wyrzucić to wszystko z myśli, udawać przed samą sobą, że nic nie wiem.

- Czy kiedykolwiek... komuś powiedziałaś?

Wypiła łyk piwa, skinęła głową.

- Po tych moich początkowych histeriach rodzice posłali mnie do psychiatry. Po kilku sesjach uznałam, że mogę tej lekarce zaufać, więc zaczęłam jej wyjaśniać, co przeszłam. Uśmiechała się, chrząkała zachęcająco i okazywała zrozumienie, ale wiedziałam, że uważa to wszystko za fantazję. A ja chciałam uwierzyć, że jest to fantazja... i prawie mi się to udało. Aż

14

as

opowiedziałam jej na tydzień wcześniej o zamachu na Kenne-dy'ego. To zupełnie wyprowadziło ją z równowagi. Bardzo się rozgniewała i nie chciała mnie więcej widzieć. Nie umiała sobie poradzić z tym, że opisałam wszystko w takich szczegółach, że moje „urojenia” nagle stały się rzeczywistością w tak okropny, druzgocący sposób.

Pamela przez chwilę patrzyła na Jeffa w milczeniu.

- Ja też się przeraziłam - podjęła. - Nie dlatego, że wiedziałam, że go zastrzela,

ale ponieważ byłam pewna, że zrobił to Lee Harvey Oswald. Nigdy nie słyszałam o tym Nelsonie Bennecie - oczywiście nie miałam pojęcia, że pojechałeś do Dallas i interweniowałeś - i to wydarzenie zmieniło całą moją percepcję rzeczywistości. Miałam wrażenie, że znam przyszłość, a tu nagle się okazało, że nie wiem zupełnie nic. Znalazłam się w innym świecie, w którym obowiązywały inne reguły. Mogło się zdarzyć wszystko - moi rodzice mogli umrzeć, mogła wybuchnąć wojna jądrowa... albo, na najprostszym poziomie, mogłam się stać zupełnie inną osobą niż ta, którą byłam albo którą, być może, tylko sobie uroiłam. Wybrałam Columbię zamiast Bard, skończyłam biologię, potem poszłam na medycynę. Było mi ciężko. Nigdy przedtem nie interesowały mnie nauki ścisłe. Za pierwszym razem całkowicie poświęciłam się sztuce. Ale, z tego samego powodu, studia były dużo ciekawsze, bo nie powtarzałam czegoś, co już znałam. Odkrywałam zupełnie nową dziedzinę, nowy świat, co licowało z moją nową egzystencją. Nie miałam wiele czasu na życie towarzyskie, ale podczas stażu w Szpitalu Prezbiteriańskim poznałam młodego ortopedę, który... nie to, że przypominał mi mojego pierwszego męża, ale... miał podobny entuzjazm, też był pełen pasji. A ja tę pasję, zamiłowanie do medycyny, podzielałam. Za pierwszym razem nawet nie bardzo wiedziałam, co mój mąż robi każdego dnia, a on zakładał, że mnie to nie obchodzi, więc nigdy mi nie opowiadał o swojej praktyce prawniczej. Z Davidem — tym ortopedą — było wręcz przeciwnie. Mogliśmy rozmawiać o wszystkim.

Jeff posłał jej badawcze spojrzenie.

- Chyba nie...

- Nie, nie. Nigdy mu nie powiedziałam, co mi się przytrafiło. Pomyślałby, że zwariowałam. Wciąż starałam się zapomnieć.

143

opowiedziałam jej na tydzień wcześniej o zamachu na Kenne-dy'ego. To zupełnie wyprowadziło ją z równowagi. Bardzo się rozgniewała i nie chciała mnie więcej widzieć. Nie umiała sobie poradzić z tym, że opisałam wszystko w takich szczegółach, że moje „urojenia” nagle stały się rzeczywistością w tak okropny, druzgocący sposób.

Pamela przez chwilę patrzyła na Jeffa w milczeniu.

- Ja też się przeraziłam - podjęła. - Nie dlatego, że wiedziałam, że go zastrzela, ale ponieważ byłam pewna, że zrobił to Lee Harvey Oswald. Nigdy nie słyszałam o tym Nelsonie Bennecie - oczywiście nie miałam pojęcia, że pojechałeś do Dallas i interweniowałeś - i to wydarzenie zmieniło całą moją percepcję rzeczywistości. Miałam wrażenie, że znam przyszłość, a tu nagle się okazało, że nie wiem zupełnie nic. Znalazłam się w innym świecie, w którym obowiązywały inne reguły. Mogło się zdarzyć wszystko - moi rodzice mogli umrzeć, mogła wybuchnąć wojna jądrowa... albo, na najprostszym poziomie, mogłam się stać zupełnie inną osobą niż ta, którą byłam albo którą, być może, tylko sobie uroiłam. Wybrałam Columbię zamiast Bard, skończyłam biologię, potem poszłam na medycynę. Było mi ciężko. Nigdy przedtem nie interesowały mnie nauki ścisłe. Za pierwszym razem całkowicie poświęciłam się sztuce. Ale, z tego samego powodu, studia były dużo ciekawsze, bo nie powtarzałam czegoś, co już znałam. Odkrywałam zupełnie nową dziedzinę, nowy świat, co licowało z moją nową egzystencją. Nie miałam wiele czasu na życie towarzyskie, ale podczas stażu w Szpitalu Prezbiteriańskim poznałam młodego ortopeda, który... nie to, że przypominał mi mojego pierwszego męża, ale... miał podobny entuzjazm, też był pełen pasji. A ja tę pasję, zamiłowanie do medycyny, podzielałam. Za pierwszym razem nawet nie bardzo wiedziałam, co mój mąż robi każdego dnia, a on zakładał, że mnie to nie obchodzi, więc nigdy mi nie opowiadał o swojej praktyce prawniczej. Z Davidem - tym ortopedą - było wręcz przeciwnie. Mogliśmy rozmawiać o wszystkim.

Jeff posłał jej badawcze spojrzenie.

- Chyba nie...

- Nie, nie. Nigdy mu nie powiedziałam, co mi się przytrafiło. Pomyślałby, że zwariowałam. Wciąż starałam się zapomnieć.

143

Chciałam się pozbyć wszystkich wspomnień i udawać, że nigdy ich nie miałam.

Wzięliśmy ślub, gdy tylko skończyłam staż, i przenieśliśmy się do Chicago, skąd

David pochodził. On otworzył prywatną praktykę, ja zaczęłam pracować na oddziale

intensywnej terapii w szpitalu dziecięcym. Nieodwracalnie straciwszy moje dzieci - wiesz, jakie to uczucie - nie chciałam znów zostać matką, ale miałam cały szpital przybranych synów i córek, którzy tak rozpaczliwie mnie potrzebowali... W każdym razie praca sprawiała mi ogromną satysfakcję. Robiłam dokładnie to, o czym marzyłam, będąc sfrustrowaną gospodynią domową w New Rochelle: wykorzystywałam moje zdolności, zmieniałam świat na lepsze, ratowałam życie... Głos jej się załamał. Odchrząknęła i zamknęła oczy.

- A potem znów umarłaś - powiedział łagodnie Jeff.
- Tak, znów umarłam. I znów wróciłam jako czternastolatka, kompletnie bezradna, nie mogąc nic zmienić.

Chciał jej powiedzieć, jak dokładnie ją rozumie - wie, iż najbardziej bolała ją świadomość, że chore i umierające dzieci, którymi się opiekowała, będą musiały cierpieć znowu, że jej wysiłki, by im pomóc, poszły na marne; ale nie były potrzebne żadne słowa. Ból malował się na jej twarzy, a on był jedyną osobą na Ziemi zdolną pojąć głębię jej straty.

- Może zrobimy sobie przerwę? - zaproponował. - I skoczmy coś zjeść.

Opowiesz mi resztę po kolacji.

- Dobrze - odparła, wdzięczna za ten przerywnik. - Mogę naszykować coś tutaj.
- Nie musisz. Pojedźmy nad ocean do jakiejś rybnej restauracji, minęliśmy ich sporo po drodze.
- Chętnie coś ugotuję, naprawdę...

Jeff pokręcił głową.

- Proszę. Ja stawiam.
- Będę musiała znów się przebrać.
- Możesz zostać w dzinsach. Jeśli chcesz być elegancka, po prostu włóż buty.

Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, Pamela się uśmiechnęła.

Zjedli kolację przy ustronnym stoliku na tarasie z widokiem na ocean. Kiedy pili kawę z Grand Marnier, nad Pacyfikiem

Chciałam się pozbyć wszystkich wspomnień i udawać, że nigdy ich nie miałam. Wzięliśmy ślub, gdy tylko skończyłam staż, i przenieśliśmy się do Chicago, skąd David pochodził. On otworzył prywatną praktykę, ja zaczęłam pracować na oddziale intensywnej terapii w szpitalu dziecięcym. Nieodwracalnie straciwszy moje dzieci - wiesz, jakie to uczucie - nie chciałam znów zostać matką, ale miałam cały szpital przybranych synów i córek, którzy tak rozpaczliwie mnie potrzebowali... W każdym razie praca sprawiała mi ogromną satysfakcję. Robiłam dokładnie to, o czym marzyłam, będąc sfrustrowaną gospodynią domową w New Rochelle: wykorzystywałam moje zdolności, zmieniałam świat na lepsze, ratowałam życie... Głos jej się załamał. Odchrząknęła i zamknęła oczy.

- A potem znów umarłaś - powiedział łagodnie Jeff.
- Tak, znów umarłam. I znów wróciłam jako czternastolatka, kompletnie bezradna, nie mogąc nic zmienić.

Chciał jej powiedzieć, jak dokładnie ją rozumie - wie, iż najbardziej bolała ją świadomość, że chore i umierające dzieci, którymi się opiekowała, będą musiały cierpieć znowu, że jej wysiłki, by im pomóc, poszły na marne; ale nie były potrzebne żadne słowa. Ból malował się na jej twarzy, a on był jedyną osobą na Ziemi zdolną pojąć głębię jej straty.

- Może zrobimy sobie przerwę? - zaproponował. -1 skoczmy coś zjeść.

Opowiesz mi resztę po kolacji.

- Dobrze - odparła, wdzięczna za ten przerywnik. - Mogę naszykować coś tutaj.
- Nie musisz. Pojedźmy nad ocean do jakiejś rybnej restauracji, minęliśmy ich sporo po drodze.
- Chętnie coś ugotuję, naprawdę...

Jeff pokręcił głową.

- Proszę. Ja stawiam.
- Będę musiała znów się przebrać.
- Możesz zostać w dzinsach. Jeśli chcesz być elegancka, po prostu włóż buty.

Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, Pamela się uśmiechnęła.

Zjedli kolację przy ustronnym stoliku na tarasie z widokiem na ocean. Kiedy pili

kawę z Grand Marnier, nad Pacyfikiem

144

wzeszedł księżyc. Na odbiciu w wysokich oknach restauracji jego biała tarcza zdawała się stapiać z czernią wody.

- Spójrz - powiedział Jeff, wskazując tę iluzję. - Zupełnie jak...
- ...plakat Gwiezdnego morza. Wiem. Skąd według ciebie wzięłam ten pomysł?
- Za pokrewieństwo umysłów.

Uśmiechnął się, podnosząc kieliszek z likierem. Pamela zawahała się chwilę, po czym podniosła swój i trąciła nim lekko o kieliszek Jeffa.

- Film naprawdę ci się podobał? - spytała. - Czy był to tylko pretekst, żeby dowiedzieć się, kim jestem?
- Nie musisz zadawać tego pytania - odparł szczerze. - Wiesz, jaki to dobry film. Byłem nim poruszony tak samo jak wszyscy, chociaż jestem pewien, że nikt inny nie przeżył takiego szoku.

- Teraz wiesz, jak się czułam, kiedy ktoś, o kim nigdy nie słyszałam, zabił prezydenta Kennedy'ego. Jak myślisz, co to znaczyło? Dlaczego doszło do zamachu po tym, co zrobiłeś, żeby mu zapobiec?

Jeff wzruszył ramionami.

- Dwie możliwości. Pierwsza: może naprawdę istniał potężny spisek na życie Kennedy'ego i Oswald był tylko narzędziem, pionkiem, który można poświęcić. Ktokolwiek to zaplanował, miał w zanadrzu Bennetta, i pewnie jeszcze paru innych snajperów, na wypadek gdyby coś poszło źle. Wszystko zostało dokładnie zaaranżowane z góry, łącznie z tym, że Jack Ruby zastrzelił kozła ofiarnego. Usunięcie Oswalda było jedynie drobną niedogodnością dla ludzi, którzy za tym stali. Kennedy zginąłby bez względu na to, co bym zrobił, ponieważ byli za dobrze zorganizowani, aby ktokolwiek mógł im przeszkodzić. To jedna możliwość. Druga jest mniej konkretna, ale ma dużo głębsze implikacje dla nas, i skłaniam się raczej ku niej.

- To znaczy?
- Nie jesteśmy w stanie wykorzystać naszej wiedzy, aby wprowadzić

jakiegokolwiek większe zmiany w historii. Są granice tego, co możemy zrobić. Nie wiem, jakie to granice ani w jaki sposób je narzucono, ale myślę, że istnieją.

145

- Przecież stworzyłeś międzynarodowy konglomerat. Połączyłeś firmy, które nigdy wcześniej nie miały wspólnego szyldu...

- Nie wpłynęło to na ogólny bieg rzeczy - odparł Jeff. - Te firmy funkcjonowały tak jak przedtem, wypuszczały te same produkty, zatrudniały tych samych ludzi. Ja tylko skierowałem ich zyski w trochę inną stronę, do siebie. Zmiany w moim życiu były ogromne, ale na szerszej płaszczyźnie to, co zrobiłem, nie miało znaczenia. Poza społecznością finansową większość ludzi - łącznie z tobą - nawet nie wiedziała o moim istnieniu.

Pamela w zamyśleniu miała papierową serwetkę.

- A Gwiazdne morze? Wie o nim połowa mieszkańców Ziemi. Wprowadziłam nową koncepcję, nowe spojrzenie na miejsce ludzkości we wszechświecie.

- Arthur Knight w „Variety”, tak?

Zaczerwieniła się, podniosła rękę, by to ukryć.

- Przed spotkaniem z tobą przeczytałem wszystkie recenzje. To wspaniały film, nie przeczę, ale zasadniczo jest tylko rozrywką, niczym więcej.

Jej oczy rozblęskły jak księżyc, ogniem gniewu i urażonej dumy.

- Mógłby być czymś więcej. Mógłby być początkiem... - Urwała, opanowała się.

- Nieważne. Nie podzielam twojego pesymizmu co do naszych możliwości działania i na tym poprzestańmy. Chcesz usłyszeć o mojej drugiej... „powtórcie” - tak nazywasz te cykle, prawda?

- Tak z czasem zacząłem o nich myśleć. Nazwa dobra jak każda inna. Masz ochotę kontynuować?

- Opowiedziałeś mi o swoich przeżyciach. Równie dobrze mogę opowiedzieć ci do końca o moich.

- A potem?

- Nie wiem - odrzekła. - Najwyraźniej mamy bardzo różny stosunek do tego wszystkiego.

- Ale nie możemy o tym porozmawiać z nikim innym, prawda?
- Pozwól mi dokończyć to, co mówiłam, dobrze?

Podarła już serwetkę na paski, teraz gniotła je i układała w popielniczkę.

146

- Przecież stworzyłeś międzynarodowy konglomerat. Połączyłeś firmy, które nigdy wcześniej nie miały wspólnego szyldu...
- Nie wpłynęło to na ogólny bieg rzeczy - odparł Jeff. - Te firmy funkcjonowały tak jak przedtem, wypuszczały te same produkty, zatrudniały tych samych ludzi. Ja tylko skierowałem ich zyski w trochę inną stronę, do siebie. Zmiany w moim życiu były ogromne, ale na szerszej płaszczyźnie to, co zrobiłem, nie miało znaczenia. Poza społecznością finansową większość ludzi - łącznie z tobą - nawet nie wiedziała o moim istnieniu.

Pamela w zamyśleniu miała papierową serwetkę.

- A Gwiazdne morze? Wie o nim połowa mieszkańców Ziemi. Wprowadziłam nową koncepcję, nowe spojrzenie na miejsce ludzkości we wszechświecie.
- Arthur Knight w „Variety”, tak?

Zaczerwieniła się, podniosła rękę, by to ukryć.

- Przed spotkaniem z tobą przeczytałem wszystkie recenzje. To wspaniały film, nie przeczę, ale zasadniczo jest tylko rozrywką, niczym więcej.

Jej oczy rozbłysły jak księżyc, ogniem gniewu i urażonej dumy.

- Mógłby być czymś więcej. Mógłby być początkiem... - Urwała, opanowała się.
- Nieważne. Nie podzielam twojego pesymizmu co do naszych możliwości działania i na tym poprzestańmy. Chcesz usłyszeć o mojej drugiej... „powtórcie” - tak nazywałeś te cykle, prawda?

- Tak z czasem zacząłem o nich myśleć. Nazwa dobra jak każda inna. Masz ochotę kontynuować?

- Opowiedziałeś mi o swoich przeżyciach. Równie dobrze mogę opowiedzieć ci do końca o moich.

- A potem?

- Nie wiem - odrzekła. - Najwyraźniej mamy bardzo różny stosunek do tego wszystkiego.

- Ale nie możemy o tym porozmawiać z nikim innym, prawda?

- Pozwól mi dokończyć to, co mówiłam, dobrze?

Podarła już serwetkę na paski, teraz gniotła je i układała w popielnicze.

146

- Zamieniam się w słuch - powiedział Jeff. - Chcesz jeszcze likieru? Albo jeszcze jedną serwetkę?

Spojrzała nań ostro, szukając w jego twarzy ironii. Nie znalazła jej, skinęła głową. Jeff kolistym ruchem ręki dał znak kelnerce, aby przyniosła im jeszcze dwa Grand Marnier.

- Kiedy umarłam drugi raz - zaczęła Pamela - byłam przede wszystkim wściekła. Gdy tylko się ocknęłam, w domu rodziców, znów mając czternaście lat, wiedziałam, co się stało, chociaż nie rozumiałam dlaczego. I miałam ochotę po prostu coś rozwalić. Miałam ochotę wrzeszczeć, ze złości, nie ze strachu. Mówiłeś, że czułeś się tak na początku swojej trzeciej... powtórki. Wszystko poszło na marne: studia medyczne, szpital, leczenie tych dzieci... wszystko było bez sensu. Stałam się potwornie konfliktowa, złośliwa, nawet wobec rodziców. Przeżyłam więcej lat jako osoba dorosła niż moja matka i ojciec razem wzięci, byłam dwukrotnie zameżna, pracowałam jako lekarz. A tu znów formalnie byłam dzieckiem, bez żadnych praw i możliwości. Ukradłam rodzicom trochę pieniędzy, uciekłam z domu. Ale było to okropne - nikt nie chciał wynająć mi mieszkania, nie mogłam dostać pracy... Dziewczyna w tym wieku może zrobić sama tylko jedną rzecz: iść na ulicę, a nie zamierzałam się skazywać jeszcze na takie piekło. Więc wróciłam z podkulonym ogonem do Westport, zdruzgotana, niewyobrażalnie samotna. Znów zaczęłam chodzić do szkoły, którą totalnie znienawidziłam, zwiewałam z połowy lekcji, bo nie potrafiłam się zmusić, żeby wkuwać te same cholerne wzory algebraiczne po raz trzeci. Rodzice posłali mnie do psychiatry, tej samej lekarki co poprzednio, tej, która tak się zdenerwowała, kiedy „przewidziałam” zamach na Kennedy'ego. Tym razem

nie powiedziałam jej o sobie nic prawdziwego. Znałam już wtedy większość klasycznych tekstów dotyczących psychologii i rozwoju dziecka, więc tak odpowiadałam na jej pytania, żeby wyjść na nastolatkę, która „przechodzi trudny okres”, trochę pokreconą, ale mieszczącą się w normie.

Pamela zamilkła, kiedy kelnerka przyniosła im drinki, zaczęła, aż dziewczyna oddali się od stolika, zanim podjęła swoją opowieść.

- Żeby zupełnie nie zwariować, wróciłam do mojej pierw-

147

szej miłości, malowania. Rodzice kupowali mi wszelkie materiały, o jakie prosiłam, i prosiłam o najlepsze. Ale byli dumni z mojego malarstwa. Ze wszystkiego, co robiłam, tylko tę jedną rzecz mogli uznać za konstruktywną. Mniejsza o to, że podkradałam im dzin z barku, włóczyłam się po nocach z dwudziestoletnimi chłopakami i co semestr miałam poprawki. Przestali mi czegokolwiek zabraniać.

Zrozumieli, że za moim buntem kryje się coś zbyt silnego i upartego, aby mogli sobie z tym poradzić. Ale miałam talent, autentyczny talent, i pracowałam nad nim równie ciężko jak poprzednim razem nad tym, aby zostać lekarzem. Nie mogli tego zignorować, nikt nie mógł. Rzuciłam szkołę, kiedy miałam siedemnaście lat, i rodzice znaleźli instytut sztuki w Bostonie, gdzie przyjęto mnie ze względu na mój dorobek, mimo okropnych wyników w nauce. Tam rozkwitłam. Wreszcie mogłam znów zacząć żyć jak osoba dorosła. Zamieszkałam na wynajętym strychu z jedną ze starszych koleżanek, poderwałam mojego nauczyciela kompozycji, malowałam dzień i noc. Moje prace były pełne dziwacznych, czasem brutalnych wyobrażeń: kalekie dzieci spadające w czarny wir, realistyczne zbliżenia mrówek wypełzających z nacięć chirurgicznych... Mocne rzeczy, jakich nastoletnie uczennice normalnie nie malują. Nikt nie wiedział, co o mnie myśleć. Miałam swoją pierwszą wystawę w Nowym Jorku jako dwudziestolatka. Tam poznałam Dustina. Kupił dwa moje płótna, a po zamknięciu galerii poszliśmy na drinka. Powiedział mi, że...

- Dustin?-przerwał jej Jeff.

- Dustin Hoffman.

- Ten aktor?

- Tak. No więc spodobały mu się moje obrazy, a ja zawsze podziwiałam jego aktorstwo - w tamtym roku wszedł na ekrany Nocny kowboj, i musiałam się pilnować, żeby nie napomknąć o Sprawie Kramerów czy Tootsie. Natychmiast przypadliśmy sobie do gustu. Zaczęliśmy się spotykać, ilekroć był w Nowym Jorku. Rok później wzięliśmy ślub.

Jeff nie potrafił ukryć zdumienia i rozbawienia.

- Wyszłaś za Dustina Hoffmana?

- Tak, w jednej z wersji jego życia - odparła z lekką irytacją. - To bardzo miły człowiek, bardzo inteligentny. Teraz oczy-

148

szej miłości, malowania. Rodzice kupowali mi wszelkie materiały, o jakie prosiłam, i prosiłam o najlepsze. Ale byli dumni z mojego malarstwa. Ze wszystkiego, co robiłam, tylko tę jedną rzecz mogli uznać za konstruktywną. Mniejsza o to, że podkradałam im dzin z barku, włóczyłam się po nocach z dwudziestoletnimi chłopakami i co semestr miałam poprawki. Przestali mi czegokolwiek zabraniać. Zrozumieli, że za moim buntem kryje się coś zbyt silnego i upartego, aby mogli sobie z tym poradzić. Ale miałam talent, autentyczny talent, i pracowałam nad nim równie ciężko jak poprzednim razem nad tym, aby zostać lekarzem. Nie mogli tego zignorować, nikt nie mógł. Rzuciłam szkołę, kiedy miałam siedemnaście lat, i rodzice znaleźli instytut sztuki w Bostonie, gdzie przyjęto mnie ze względu na mój dorobek, mimo okropnych wyników w nauce. Tam rozkwitłam. Wreszcie mogłam znów zacząć żyć jak osoba dorosła. Zamieszkałam na wynajętym strychu z jedną ze starszych koleżanek, poderwałam mojego nauczyciela kompozycji, malowałam dzień i noc. Moje prace były pełne dziwacznych, czasem brutalnych wyobrażeń: kalekie dzieci spadające w czarny wir, realistyczne zbliżenia mrówek wypełzających z nacięć chirurgicznych... Mocne rzeczy, jakich nastoletnie uczennice normalnie nie malują. Nikt nie wiedział, co o mnie myśleć. Miałam swoją pierwszą wystawę w Nowym Jorku jako dwudziestolatka. Tam poznałam Dustina. Kupił dwa moje płótna, a po zamknięciu galerii poszliśmy na drinka. Powiedział mi, że...

- Dustin? - przerwał jej Jeff.

- Dustin Hoffman.
- Ten aktor?
- Tak. No więc spodobały mu się moje obrazy, a ja zawsze podziwiałam jego aktorstwo - w tamtym roku wszedł na ekrany Nocny kowboj, i musiałam się pilnować, żeby nie napomknąć o Sprawie Kramerów czy Tootsie. Natychmiast przypadliśmy sobie do gustu. Zaczęliśmy się spotykać, ilekroć był w Nowym Jorku. Rok później wzięliśmy ślub.

Jeff nie potrafił ukryć zdumienia i rozbawienia.

- Wyszłaś za Dustina Hoffmana?
- Tak, w jednej z wersji jego życia - odparła z lekką irytacją. — To bardzo miły człowiek, bardzo inteligentny. Teraz oczy-

148

szej miłości, malowania. Rodzice kupowali mi wszelkie materiały, o jakie prosiłam, i prosiłam o najlepsze. Ale byli dumni z mojego malarstwa. Ze wszystkiego, co robiłam, tylko tę jedną rzecz mogli uznać za konstruktywną. Mniejsza o to, że podkradałam im dzin z barku, włóczyłam się po nocach z dwudziestoletnimi chłopakami i co semestr miałam poprawki. Przestali mi czegokolwiek zabraniać. Zrozumieli, że za moim buntem kryje się coś zbyt silnego i upartego, aby mogli sobie z tym poradzić. Ale miałam talent, autentyczny talent, i pracowałam nad nim równie ciężko jak poprzednim razem nad tym, aby zostać lekarzem. Nie mogli tego zignorować, nikt nie mógł. Rzuciłam szkołę, kiedy miałam siedemnaście lat, i rodzice znaleźli instytut sztuki w Bostonie, gdzie przyjęto mnie ze względu na mój dorobek, mimo okropnych wyników w nauce. Tam rozkwitłam. Wreszcie mogłam znów zacząć żyć jak osoba dorosła. Zamieszkałam na wynajętym strychu z jedną ze starszych koleżanek, poderwałam mojego nauczyciela kompozycji, malowałam dzień i noc. Moje prace były pełne dziwacznych, czasem brutalnych wyobrażeń: kalekie dzieci spadające w czarny wir, realistyczne zbliżenia mrówek wypełzających z nacięć chirurgicznych... Mocne rzeczy, jakich nastoletnie uczennice normalnie nie malują. Nikt nie wiedział, co o mnie myśleć. Miałam swoją pierwszą wystawę w Nowym Jorku jako dwudziestolatka. Tam poznałam Dustina. Kupił dwa moje płótna, a po

zamknięciu galerii poszliśmy na drinka. Powiedział mi, że...

- Dustin?-przerwał jej Jeff.

- Dustin Hoffman.

- Ten aktor?

- Tak. No więc spodobały mu się moje obrazy, a ja zawsze podziwiałam jego aktorstwo - w tamtym roku wszedł na ekrany Nocny kowboj, i musiałam się pilnować, żeby nie napomknąć o Sprawie Kramerów czy Tootsie. Natychmiast przypadliśmy sobie do gustu. Zaczęliśmy się spotykać, ilekroć był w Nowym Jorku. Rok później wzięliśmy ślub.

Jeff nie potrafił ukryć zdumienia i rozbawienia.

- Wyszłaś za Dustina Hoffmana?

- Tak, w jednej z wersji jego życia - odparła z lekką irytacją. -To bardzo miły człowiek, bardzo inteligentny. Teraz oczy-

148

wiście zna mnie wyłącznie jako scenarzystkę i producentkę. Nie ma pojęcia, że przeżyliśmy ze sobą siedem lat. W zeszłym miesiącu spotkałam go na jakimś przyjęciu. To dziwne uczucie, gdy nie rozpoznaje cię ktoś, z kim byłeś tak blisko, z kim spędziłeś tyle czasu. W każdym razie było to udane małżeństwo, ogólnie biorąc. Szanowaliśmy się nawzajem i wspieraliśmy... Ja nadal malowałam, odnosiłam skromne sukcesy. Moją najbardziej znaną pracą był tryptyk zatytułowany Echa przyszłego i przeszłego ja. Potem...

- Mój Boże, tak! Widziałem ten tryptyk w Whitney, podczas wyjazdu do Nowego Jorku z moją trzecią żoną, Judy! Podobał jej się, ale nie mogła pojąć, dlaczego tak mnie zauroczył. Do diabła, kupiłem reprodukcję i powiesiłem ją nad biurkiem w gabinecie! Wiedziałem, że skądś znam twoje nazwisko.

- Była to moja ostatnia większa praca. Potem, sama nie wiem, jakbym się wypaliła. Chciałam tyle wyrazić, ale nie miałam odwagi albo nie potrafiłam już uchwycić tego na płótnie. Nie wiem, czy to ja zdradziłam moją sztukę czy ona zdradziła mnie, ale w zasadzie koło 1975 roku przestałam malować. W tym samym roku rozstałam się z Dustinem. Bez huku i awantur, po prostu oboje wiedzieliśmy, że

to koniec. Jak z moim malarstwem. Pewnie miało to coś wspólnego z faktem, że byłam już w połowie tej powtórki i wiedziałam, że za kilka lat wszystkie moje osiągnięcia znów zostaną wymazane. Więc stałam się przelotnym ptakiem, jeździłam po świecie, obracałam się wśród takich ludzi, jak Roman Polański, Lauren Hutton i Sam She-pard. Była to jakby... społeczność przejściowa, sieć interesujących przyjaźni, które nigdy za bardzo się nie zacieśniają i można je zerwać lub odnowić w dowolnym momencie, w zależności od tego, jaki masz nastrój i w jakim akurat jesteś kraju. W gruncie rzeczy nie miały znaczenia.

- „Nic nie ma znaczenia” - wtrącił Jeff. - Sam się tak czułem, niejeden raz.

- To przygnębiający sposób życia - ciągnęła Pamela. - Masz złudzenie wolności i otwartych możliwości, ale po jakimś czasie wszystko po prostu się ze sobą zlewa. Ludzie, miasta, idee, twarze... składają się na jakąś płynną rzeczywistość, która nigdy nie nabiera ostrości i nigdy donikąd nie prowadzi.

149

- Wiem, o co ci chodzi - powiedział Jeff, myśląc o latach przypadkowego, przelotnego seksu, które przeżył z Sharlą. - Wydaje się to odpowiednie do naszej sytuacji, ale tylko w teorii. Rzeczywistość nie wygląda tak dobrze.

- Nie. W każdym razie dryfowałam tak przez kilka lat, a kiedy nadszedł czas, wynajęłam cichy, ustronny domek na Majorce. Mieszkałam tam sama przez miesiąc, po prostu czekając na śmierć. I obiecałam sobie... postanowiłam podczas tego miesiąca, że następnym razem, tym razem, będzie inaczej. Że muszę wyrzucić wpływ na świat i coś zmienić.

Jeff popatrzył na nią sceptycznie.

- Zrobiłaś to, kiedy byłaś lekarzem. A gdy zaczęła się następna powtórka, dzieci, które wyleczyłaś, były skazane na to samo cierpienie. Nic się nie zmieniło.

Niecierpliwie potrząsnęła głową.

- Tb fałszywe porównanie. W szpitalu zajmowałam się łataniem jednostek. Czysto fizyczna praca o ograniczonym zasięgu. Wykonywana w najlepszych intencjach, ale pozbawiona znaczenia.

- A teraz chcesz zbawić zbiorową duszę świata, tak?

- Chcę obudzić ludzi na to, co się dzieje. Chcę ich nauczyć, aby byli świadomi tych cykli, jak jesteśmy ich świadomi ty i ja. Nie rozumiesz, że to jedyny sposób, abyśmy mogli - wszyscy razem i każdy z osobna - wyrwać się z tego schematu?
- Nie - westchnął Jeff. - Nie rozumiem. Skąd pomysł, że można nauczyć ludzi przenosić tę świadomość z jednej powtórki do drugiej? Ty i ja przeszliśmy to już trzy razy i od początku wiedzieliśmy, co się z nami dzieje. Nikt nie musiał nam mówić.
- Wierzę, że mamy poprowadzić innych. W każdym razie wierzę, że ja mam to zrobić. Nie spodziewałam się, że poznam ciebie. Nie rozumiesz, jak ważne zadanie nam powierzono?
- Kto nam je powierzył albo co? Bóg? Po tym wszystkim jeszcze bardziej zgadzam się z Camusem: Jeśli Bóg istnieje, gardzę nim.
- Nazwij to bogiem, nazwij to brahmanem*, nazwij to, jak chcesz. Pamiętasz Bhagawadgītę:

* Brahman - w filozofii hinduskiej, praprzyczyna i podstawa wszelkiego istnienia, absolut.

150

To, co dla wszystkich ludzi jest mrokiem,
dostrzegalne jest dla tego,
kto panuje nad samym sobą.
To natomiast, co widzą inni,
mrokiem jest dla mędrca,
który widzi prawdę*.

Możemy oświecić ten mrok - powiedziała z nagłym żarem. -Możemy...

- Zostawmy na chwilę ten spirytualizm. Dokończ swoją historię. Co robiłaś podczas tej powtórki? Jak ci się udało zrealizować ten film?

Pamela wzruszyła ramionami.

- Nie było to trudne, bo większość pieniędzy wyłożyłam sama. Przeczekałam szkołę, robiąc plany. Film był oczywiście najbardziej skutecznym medium, aby przekazać moje idee masowej publiczności, i znałam już branżę dzięki Dustinowi oraz wszystkim ludziom, których spotkałam poprzednim razem. Więc kiedy

skończyłam osiemnaście lat, zaczęłam kupować te same akcje, o których mówiłeś ty: IBM, fundusze inwestycyjne, Polaroid... Wiesz, jak wyglądał rynek w latach sześćdziesiątych. Trudno było stracić pieniądze, nawet jeśli inwestowałeś na oślep, i osoba posiadająca jakąś wiedzę o przyszłości z łatwością mogła przez trzy czy cztery lata obrócić kilka tysięcy dolarów w kilkanaście milionów. Jestem dumna z mojego scenariusza, ale miałam wiele, wiele lat, żeby go przemyśleć. Kiedy go napisałam i założyłam firmę producencką, pozostała już tylko kwestia zatrudnienia odpowiednich ludzi. Wiedziałam, którzy to ludzie, i znałam ich mocne strony. Wszystko ułożyło się dokładnie tak, jak zaplanowałam.

- A teraz...

- A teraz przyszedł czas na następny krok. Przyszedł czas, aby zmienić świadomość świata, i mogę to zrobić. - Pochyliła się do przodu, spojrzała z determinacją na Jeffa. - My możemy to zrobić... jeśli się do mnie przyłączysz.

* Op. cit., s. 36.

151

12.

- ...morderstwo-samobójstwo. Wstępne doniesienia opisują scenę potwornej masowej rzezi, ciała rozrzucone po całej osadzie, zwłoki niemowląt wciąż w ramionach martwych matek. Kilka ofiar zastrzelono, ale większość najwyraźniej sama odebrała sobie życie w makabrycznym rytuale niepodobnym do...

Jeff sięgnął do gałki skali i kręcił nią, aż radiowe wiadomości BBC zastąpił jakiś program jazzowy.

Ekspres zaczął bulgotać. Nalał sobie kubek kawy, dodał kropelkę rumu Myersa, aby bardziej się rozgrzać. W nocy spadł świeży śnieg, sześć cali albo więcej; nawiana zaspą zasłaniała już połowę kuchennego okna. Pomyślał, że naprawdę powinien ją po południu odgarnąć. Był też najwyższy czas, aby pójść do szopy, porąbać następną partię cedrowych szczapek i przynieść więcej opałowej dębiny na tylny ganek. Nie miał jednak ochoty tego robić, przynajmniej nie w tej chwili.

Może uległ powszechnemu przygnębieniu, które zawsze ogarniało świat po masakrze w Jonestown, mimo że słyszał tę upiorną historię od nowa już trzy razy. Cokolwiek

to było, tego dnia chciał tylko siedzieć przy trzaskającym w piecu ogniu i czytać. Był w połowie drugiego tomu Życia umysłu Hannah Arendt, a potem zamierzał sobie przypomnieć Odległe zwierciadło, czyli rozlicznymi plagami nękane XTV stulecie. Obie pozycje wydano w tym roku, ale czytał książkę Tuchman ponad dwadzieścia lat wcześniej, w te wakacje, kiedy zabrał Judy i dzieci w podróż przez radziecką Azję koleją transsyberyjską. Już sama okładka przywoływała wspomnienia rozległych stepów, bezkresu srebrnych brzoź pod Nowosybirskiem i fascynacji małej April starym złotym samowarem stojącym w korytarzu ich wagonu. Konduktorka paliła pod nim kawałkami torfu i podawała niezliczone szklanki gorącej herbaty na sześciu tysiącach mil trasy

152

12.

- ...morderstwo-samobójstwo. Wstępne doniesienia opisują scenę potwornej masowej rzezi, ciała rozrzucone po całej osadzie, zwłoki niemowląt wciąż w ramionach martwych matek. Kilka ofiar zastrzelono, ale większość najwyraźniej sama odebrała sobie życie w makabrycznym rytuale niepodobnym do...

Jeff sięgnął do gałki skali i kręcił nią, aż radiowe wiadomości BBC zastąpił jakiś program jazzowy.

Ekspres zaczął bulgotać. Nalał sobie kubek kawy, dodał kropelkę rumu Myersa, aby bardziej się rozgrzać. W nocy spadł świeży śnieg, sześć cali albo więcej; nawiana zaspą zasłaniała już połowę kuchennego okna. Pomyślał, że naprawdę powinien ją po południu odgarnąć. Był też najwyższy czas, aby pójść do szopy, porąbać następną partię cedrowych szczapek i przynieść więcej opałowej dębiny na tylny ganek. Nie miał jednak ochoty tego robić, przynajmniej nie w tej chwili.

Może uległ powszechnemu przygnębieniu, które zawsze ogarniało świat po masakrze w Jonestown, mimo że słyszał tę upiorną historię od nowa już trzy razy. Cokolwiek to było, tego dnia chciał tylko siedzieć przy trzaskającym w piecu ogniu i czytać. Był w połowie drugiego tomu Życia umysłu Hannah Arendt, a potem zamierzał sobie przypomnieć Odległe zwierciadło, czyli rozlicznymi plagami nękane XIV stulecie. Obie pozycje wydano w tym roku, ale czytał książkę Tuchman ponad dwadzieścia lat

wcześniej, w te wakacje, kiedy zabrał Judy i dzieci w podróż przez radziecką Azję koleją transsyberyjską. Już sama okładka przywoływała wspomnienia rozległych stepów, bezkresu srebrnych brzoź pod Nowosybirskiem i fascynacji małej April starym złotym samowarem stojącym w korytarzu ich wagonu. Konduktorka paliła pod nim kawałkami torfu i podawała niezliczone szklanki gorącej herbaty na sześciu tysiącach mil trasy

152

z Moskwy do Chabarowska, na północ od Mandżurii. Na metalowych uchwytych na szklanki wygrawerowano kosmonautów i sputniki. Pod koniec podróży konduktorka dała April dwa takie uchwyty jako suvenir. Jeff pamiętał, jak jego adoptowana córka, zwinięta przed kominkiem w domu przy West Paces Ferry Road w Atlancie, sączyła gorące mleko ze szklanki w radzieckim uchwycie, zaledwie na tydzień przed jego śmiercią...

Odchrząknął, zamrugał, aby odpędzić te wspomnienia. Może byłoby lepiej, gdyby jednak popracował, zajął się czymś, zamiast siedzieć w chacie i myśleć. Będzie jeszcze dość takich dni, teraz, gdy przyszła zima...

Nadstawił ucha, wydało mu się, że słyszy silnik. Nie, to niemożliwe. Nikt nie byłby tak głupi, żeby się tu zapuszczać przed wiosną, chyba że Jeff nadałby przez krótkofalówkę SOS. Ale na Boga, usłyszał je znowu, wycie i ryk, głośniejsze, jakby ktoś nadjeżdżał jego drogą.

Włożył parkę i wełnianą czapkę, wyszedł przed dom. Czy coś się stało u Mazzinich? Ktoś zachorował albo miał wypadek, może wybuchł pożar?

Coś go tknęło, gdy ubłocony land-rover z trudem skręcił w otwartą bramę; potem zobaczył proste blond włosy kierowcy i już wiedział.

- Dzień dobry - powiedziała Pamela Phillips, stawiając stopę w botku na progu wysłużonego auta. - Masz cholerny podjazd.
- Nie ma tu dużego ruchu.
- Nie dziwię się - odparła, zeskakując na ziemię. - Podobno jakiś biedak wjechał tu samochodem na minę, dawno temu.
- Nazywał się Hector, George Hector. W czasach prohibicji zainstalował w

swoim fordzie „T” aparaturę destylacyjną i przenosił się z miejsca na miejsce, żeby go nie złapali. Pewnej nocy wszystko wyleciało w powietrze.

- A Hector? Też wyleciał w powietrze?

- Podobno nawet nie był ranny. Zmontował nową aparaturę, ale dał sobie spokój z jej wożeniem. Przynajmniej tak mówią.

- Tyle jeśli chodzi o nowatorskie myślenie, co? - Zaciągnęła się głęboko czystym, zimnym górskim powietrzem, wypuściła je powoli, patrząc na Jeffa. - Jak się miewasz?

153

- Nieźle. A ty?

- Byłam dość zajęta, odkąd się ostatnio widzieliśmy. Tb już... Jezu, trzy i pół roku. - Energicznie zatarła ręce. - Czy dama mogłaby się gdzieś tu rozgrzać?

- Przepraszam. Wejdz do środka, mam kawę. Po prostu mnie zaskoczyłaś.

Poszła za nim do chaty, zdjęła kurtkę i usiadła na krześle przy piecu, podczas gdy Jeff nalewał kawę. Uniósł butelkę My-ersa, patrząc na nią pytająco, i Pamela skinęła głową. Szczodrze chlusnął złotym płynem do kubka, podał go jej. Upiła łyk mieszanki, ściągnęła usta i brwi w niemej aprobacie.

- Jak mnie znalazłaś? - zapytał, siadając na krześle naprzeciwko niej.

- Powiedziałeś mi, że mieszkasz koło Redding. Mój prawnik zadzwonił do twojego maklera w San Francisco, a ten był uprzejmy bardziej to sprecyzować. Kiedy tu dotarłam, zaczęłam pytać w miasteczku. Trochę to potrwało, zanim znalazłam kogoś, kto był skłonny wskazać mi drogę.

- W tych stronach głęboko szanujemy prywatność.

- Domyśliłam się.

- Wielu ludzi nie lubi, kiedy ktoś wjeżdża na ich ziemię bez zapowiedzi.

Zwłaszcza, jeśli jest to ktoś obcy.

- Ja nie jestem dla ciebie obca.

- Prawie - odrzekł Jeff. - Sądziłem, że tak się rozstaliśmy w Los Angeles.

Pamela westchnęła, z roztargnieniem pogładziła baranka na kołnierzu wypłowiałej dzinsowej kurtki, którą trzymała na kolanach.

- Chociaż wiele nas łączy, przybyliśmy z przeciwnych kierunków. I pod koniec nieźle się wtedy na siebie wkurzyliśmy.

- Owszem, można tak to ująć. Można też powiedzieć, że byłeś po prostu zbyt uparta, żeby odłożyć na bok własne cholerne obsesje i...

- Hej! - syknęła, gwałtownie stawiając kubek z kawą obok krótkofalówki. - Nie utrudniaj mi tego jeszcze bardziej, dobrze? Przejechałam sześćset mil, żeby cię zobaczyć. Więc chociaż mnie wysłuchaj.

- W porządku. Mów.

154

- Wiem, że jesteś zaskoczony, widząc mnie tutaj. Ale spróbuj sobie wyobrazić, jaka ja byłam zaskoczona, kiedy ty zjawiłeś się u mnie. Obejrzałeś Gwiazdne morze. Miałeś czas się zastanowić i doszedłeś do oczywistych wniosków. Wiedziałeś, że prawdopodobnie też jestem powtórkowiczką, natomiast ja nie miałam pojęcia, że istnieje drugi powtórkowicz. Sądziłam, że znalazłam jedyne możliwe wyjaśnienie dla tego, co się ze mną dzieje - co się dzieje ze światem. Wierzyłam, że postępuję słusznie. A teraz nie wiem. Może miałam rację, może nie. Teraz to kwestia sporna.

- Dlaczego?

- Możesz mi dolać rumu? Kawy zresztą też.

- Jasne.

Napełnił kubki ich obojga i usiadł, aby słuchać dalej.

- Kiedy przyjechałeś do LA, pracowałam już nad scenariuszem następnego filmu. Scenopis był gotów w październiku. Naturalnie nie miałam kłopotów z budżetem. Na reżysera wybrałam Petera Weira. Nie nakręcił jeszcze Ostatniej fali, więc wszyscy uważali, że zwariowałam. - Uśmiechnęła się kwaśno i pochyliła do przodu, obejmując parujący kubek swymi smukłymi dłońmi. - Do efektów specjalnych skompletowałam ciekawą ekipę. Najpierw zatrudniłam Johna Whitneya. Miał już w małym palcu podstawy animacji komputerowej i wiele jego krótkometrażówek skupiało się na mandalach. Chciałam, żeby mandala była motywem przewodnim filmu. Zostawiłam mu wolną rękę, dałam do dyspozycji jeden z pierwszych prototypów superkomputera Cray. Potem ściągnęłam Douglasa Trum-

bull, który robił efekty specjalne w Odysei kosmicznej. I tak nim pokierowałam, że wynalazł Showscan kilka lat wcześniej. Nakręcił cały film w tym systemie, chociaż...

- Zaczekaj - przerwał jej Jeff. - Co to jest Showscan?

Pamela popatrzyła na niego ze zdziwieniem, w którym było

też trochę urażonej dumy.

- Nie widziałeś Kontinuum?

Przepraszająco wzruszył ramionami.

- Nie grali go w Redding.

- To prawda. W tym rejonie szło tylko w San Francisco i Sa-cramento.

Musieliśmy przystosować kina do projekcji.

155

- Dlaczego?

- Showscan daje na ekranie niezwykle realistyczny obraz, ale żeby uzyskać ten efekt, potrzebny jest specjalny sprzęt projekcyjny. Wiesz, jak powstaje ruchomy film, prawda? Dwadzieścia cztery klatki, dwadzieścia cztery nieruchome fotogramy na sekundę... Kiedy jeden obraz zaczyna blaknąć na siatkówce, pojawia się następny, co stwarza złudzenie płynnego, nieprzerwanego ruchu. Nazywa się to „ciągłość widzenia”. Ściśle biorąc, mamy czterdzieści osiem klatek na sekundę, bo każdy obraz jest powtarzany, żeby lepiej oszukać oko. Ale w gruncie rzeczy oszukuje się nie oko, tylko mózg. Chociaż myślimy, że oglądamy na ekranie ruch ciągły, na poziomie nieświadomości rejestrujemy przerwy. To jeden z powodów, dla których film wideo ma ostrzejszy, bardziej „prawdziwy” obraz. Wideokame-ra pracuje z prędkością trzydziestu klatek na sekundę, więc przerwy są krótsze. Showscan pozwala pójść krok dalej i uzyskać sześćdziesiąt klatek na sekundę, bez powtórek. Trumbull użył elektroencefalografów, aby skontrolować fale mózgowe ludzi oglądających filmy nakręcone i wyświetlane z różną prędkością, i przy sześćdziesięciu klatkach krzywe osiągały maksimum. Wygląda na to, że receptory wzrokowe są zaprogramowane do odbioru rzeczywistości właśnie z tą prędkością, sześćdziesiąt bodźców wizualnych na sekundę. Tak więc Showscan oddziałuje bezpośrednio na mózg. To nie kino trójwymiarowe, efekt jest bardziej subtelny. Obrazy potracają jakąś głęboką strunę,

wydają się znajome i autentyczne. W każdym razie cały film powstał w systemie Showscan, łącznie z komputerowymi mandalami, fraktalami Mandelbrota* i innymi efektami, które wymyślił Whitney i jego ludzie. Większość zdjęć nakręciliśmy w Studiach Pinewood w Londynie. Zatrudniłam nieznanych, utalentowanych aktorów, głównie z Królewskiej Akademii Teatralnej. Nie chciałam, aby ego czy obecność jakiejś gwiazdy usunęły w cień temat filmu, jego... przesłanie.

Dopiła kawę, wbiła wzrok w dno ciężkiego brązowego kubka.

* Skomplikowana figura geometryczna, o której trudno powiedzieć, ile ma wymiarów. Teorię fraktali zainicjował francuski matematyk B. Mandelbrot.

156

- Kontinuum miało premierę 11 czerwca, równocześnie na całym świecie. I okazało się kompletną klapą.

Jeff zmarszczył brwi.

- Co przez to rozumiesz?

- To, co powiedziałam. Film zrobił klapę. Miał publiczność przez jakiś miesiąc, a potem padł. Nie przypadł do gustu ani krytykom, ani widzom. Opinie widzów były jeszcze gorsze niż recenzje, a te były wystarczająco złe. „Odgrzewany mistycyzm lat sześćdziesiątych” - tak można mniej więcej podsumować ogólną reakcję. Często padały też słowa „mętny”, „niespójny” i „pretensjonalny”. Większość ludzi poszła do kina wyłącznie dla nowości, jaką był Showscan, i dla animacji komputerowej. Te rzeczy przyjęto dobrze, ale film jako taki nikomu się nie podobał.

Zapadła długa, niezręczna cisza.

- Przykro mi - powiedział w końcu Jeff.

Pamela roześmiała się z goryczą.

- Zabawne, prawda? Nie chciałeś mieć ze mną nic wspólnego, ponieważ się bałeś, że ten film może wyrzucić niebezpieczny wpływ na ludzi, spowodować globalne zmiany... a świat go zignorował, potraktował go jak dowcip z brodą.

- Dlaczego? - zapytał łagodnie.

- Trafiłam na zły czas: generacja „ja”, dyskoteki, kokaina i tak dalej. Ludzie mają już dość wykładów o jedności wszechświata i wiecznym łańcuchu bytu,

przerobili te tematy w latach sześćdziesiątych. Teraz chcą się tylko bawić. Ale przede wszystkim była to moja wina. Krytycy mieli rację. To był niedobry film. Zbyt abstrakcyjny, zbyt ezoteryczny, bez fabuły, bez prawdziwych postaci, z którymi widzowie mogliby się identyfikować. Było to czysto filozoficzne ćwiczenie, kaprys scenarzystki, film „z przesłaniem”, ale bez treści. Nie dziwię się, że nikt nie chciał go oglądać.

- Jesteś dla siebie dość surowa.

Ze spuszczonego wzrokiem obracała w dłoniach pusty kubek.

- Nie ucieknę przed prawdą. Była to bolesna lekcja, ale w końcu się z nią pogodziłam. Oboje musieliśmy się pogodzić z wieloma rzeczami. Z wielu rzeczy zrezygnować.

157

- Wiem, jak ważny był dla ciebie ten film, jak bardzo wierzyłaś w to, co robisz. Szanuję to, nawet jeśli nie pochwalam twoich metod.

Podniosła głowę, jej zielone oczy patrzyły łagodniej niż kiedykolwiek przedtem.

- Dziękuję ci. To wiele dla mnie znaczy.

Jeff wstał, zdjął swoją parkę z haczyka na drzwiach.

- Włóż kurtkę - powiedział. - Chcę ci coś pokazać.

Stali w świeżym śniegu na szczycie wzgórza, gdzie Jeff oczyszczał system irygacyjny na tydzień przed obejrzeniem Gwiezdnego morza. Rzeka Pit była teraz skuta lodem, trocie odpłynęły, a drzewa na zboczach gór uginały się pod ciężarem bieli. W oddali majestatyczny stożek Mount Shasta wzbijał się w bezchmurne listopadowe niebo.

- Miewałem sny o tej górze - powiedział Jeff do Pameli. - Śniło mi się, że ma mi coś ważnego do przekazania, że może mi wyjaśnić wszystko, co przeszedłem.

- Wydaje się... nierealna - odparła cicho. - Wręcz święta. Rozumiem, że taki widok mógł zdominować twoje sny.

- Tutejsi Indianie naprawdę uważali ją za świętą. Nie tylko dlatego, że jest wulkanem. Inne szczyty Gór Kaskadowych były bardziej aktywne, wywarły bardziej bezpośredni wpływ na otoczenie. Ale tylko Shasta miał taką siłę przyciągania.

- I ma ją nadal - wyszeptła Pamela, wpatrując się w milczącą górę. - Drzemie w nim jakaś... moc. Czuję to.

Jeff skinął głową, jak ona spoglądając na daleki, wyniosły wierzchołek.

- Pewna sekta - białych, nie Indian - nadal czci tę górę. Uważają, że ma coś wspólnego z Jezusem, ze zmartwychwstaniem. Inni wierzą, że w magmowych tunelach pod nią żyją kosmici albo jakaś starożytna gałąź rasy ludzkiej. Dziwne, szalone rzeczy. Mount Shasta zdaje się pobudzać do tego rodzaju myślenia.

Powiał zimniejszy wiatr i Pamela zadrżała. Jeff odruchowo objął ją ramieniem, przyciągnął do siebie.

- W różnych momentach - powiedział - wyobrażałem sobie wszelkie możliwe wyjaśnienia dla tego, co się ze mną dzieje -

158

co dzieje się z nami. Niektóre były bardzo dziwaczne: zakrzywienia czasoprzestrzeni, czarne dziury, szaleństwo Boga... Wspomniałem o ludziach, którzy wierzą, że pod Mount Shasta mieszkają kosmici. Kiedyś wmówiłem sobie, że jest to eksperyment prowadzony przez jakąś pozaziemską rasę. Tobie też musiało to przyjść do głowy. Dostrzegłem pewne sygnały w Gwiezdnym morzu. I może jest to prawda — może jesteśmy czującymi szczurami, które muszą znaleźć wyjście z tego labiryntu. Albo może pod koniec 1988 roku nastąpi zagłada nuklearna i zbiorowa wola psychiczna wszystkich mężczyzn i kobiet, jacy kiedykolwiek żyli, wybrała ten sposób, aby ratować ludzkość przed ostatecznym końcem. Nie wiem. I w tym właśnie rzecz: nie mogę wiedzieć. Więc z biegiem lat pogodziłem się z faktem, że tego nie zrozumieć ani nie zmienię.

- Tb nie znaczy, że nie możesz się dalej zastanawiać — odparła, z twarzą blisko jego twarzy.

- Oczywiście. I zastanawiam się bez przerwy. Ale poszukiwanie odpowiedzi już mnie nie pochłania, od dawna. Nasz dylemat, choć niezwykle, w gruncie rzeczy nie różni się od tego, przed którym stał każdy, kto kiedykolwiek chodził po ziemi: jesteśmy tu i nie wiemy dlaczego. Możemy filozofować, ile chcemy, tropić klucz do zagadki na tysiącu różnych dróg i nigdy nawet się nie zbliżymy do rozwiązania.

Otrzymaliśmy niezrównany dar, Pamela. Dar życia, dar większej świadomości i większych możliwości, niż miał ktokolwiek przed nami. Dlaczego nie możemy przyjąć tego daru takim, jaki jest?

- Ktoś, chyba Platon, powiedział: „Bezmyślnym życiem żyć człowiekowi nie warto”*.
- To prawda. Ale branie życia pod lupę prowadzi do szaleństwa, jeśli nie do samobójstwa.

Spojrzała na ich ślady w nieskalanym śniegu.

- Albo po prostu do porażki - powiedziała cicho.
- Nie poniosłaś porażki. Próboweś zjednoczyć świat i podczas tej próby stworzyłaś wspaniałe dzieła sztuki. Ten wysiłek, to tworzenie - te akty mają wartość same w sobie.

* Platon, Obrona Sokratesa, tłum. W. Witwicki, PWN, Warszawa 1984, s. 281.

159

- Dopóki znów nie umrę. Do następnej powtórki. Wtedy wszystko przepadnie. Jeff potrząsnął głową, mocno obejmując ją ramieniem.
- Znikną tylko owoce twojej pracy. Walka, poświęcenie, które włożyłaś w swoje przedsięwzięcia... To one mają prawdziwą wartość i na zawsze ją zachowają: w tobie. Jej oczy napełniły się łzami.
- Ale tyle strat, tyle bólu. Dzieci...
- Strata jest nieodłączną częścią życia. Wiele, wiele lat się uczyłem, jak mam sobie z tym radzić, i nie sądzę, abym kiedykolwiek w pełni się z tym pogodził. Ale to nie znaczy, że musimy odwrócić się od świata czy przestać się starać żyć jak najlepiej i być jak najlepszymi ludźmi. Jesteśmy sobie winni przynajmniej tyle i zasługujemy na dobro, które może z tego wyniknąć, choćby niewielkie.

Pocałował jej zalane łzami policzki, a potem, lekko, usta. Na zachodzie para jastrzębi krążyła po niebie nad Diabelskim Kanionem.

- Czy kiedyś szybowałaś? - zapytał Jeff.
 - To znaczy, czy latałam szybowcem? Nie, nigdy.
- Objął ją w talii obydwoma rękami i mocno przytulił.

- To poszybujemy - wyszeptał w jej miękkie piaskowe włosy. - Poszybujemy razem.

Za Revelstoke pociąg zaczął się wspinać w Góry Skaliste i pędził wzdłuż wielkich, posepnych lodowców. Okoliczne wzgórza były gęsto porośnięte choinami i jałowcami, a zza jednego zakrętu wyłoniło się nagle wrzosowisko, uwięzione między dwoma lodowcami. Różowopurpurowe kwiaty migotały, falowały na łagodnym wiosennym wietrze, ich efemeryczne piękno było niemym wyrzutem pod adresem obojętnych ścian lodu, które je otaczały.

Jeff pomyślał, że jest w tych wrzosach coś erotycznego: to, jak pieśczośliwie ocierają się o nieugięty lodowiec, ich żywa barwa, tak podobna do koloru kobiecych warg albo...

Uśmiechnął się do siedzącej obok Pameli, położył dłoń na jej nagim kolanie i wsunął palce pod spódnicę. Zarumieniła się, kiedy czule gładził wewnętrzną stronę jej uda. Rozejrzała się

160

po wagonie, aby sprawdzić, czy ktoś na nich patrzy, ale inni pasażerowie nie odrywali oczu od widowiska za oknami przeszklonego, kopułowego dachu.

Jeff przesunął dłoń wyżej, dotknął wilgotnego jedwabiu. Pamela cichutko jęknęła, gdy delikatnie przycisnął jej szparękę. Powoli cofnął rękę, przejeżdżając lekko koniuszkami palców po jej nodze.

- Chcesz się przespacerować? - zapytał, na co skinęła głową.

Wziął ją za rękę i poprowadził ku końcowi pociągu. Przystanęli na chwiejnej metalowej platformie między wagonem klubowym i restauracyjnym i zaczęli się całować, z trudem utrzymując równowagę. Wiatr siekący przez otwarte okno był o dobrych kilka stopni chłodniejszy, niż kiedy opuszczali rano Vancouver, i Pamela drżała w jego objęciach.

Wagon sypialny był pusty; najwyraźniej wszyscy inni pasażerowie podziwiali panoramę z wagonu widokowego albo restauracyjnego. Kiedy weszli do swojego przedziału, Jeff opuścił jedno ze składanych łóżek, a Pamela wyciągnęła rękę, aby zasunąć roletę. Powstrzymał ją, przyciągnął do siebie.

- Niech natchnie nas krajobraz - powiedział.

Zaprotestowała żartobliwie:

- Jeśli nie zasłonimy okna, sami będziemy częścią krajobrazu.

- Nikt nas nie zobaczy oprócz kilku ptaków i jeleni. Chcę cię oglądać w słońcu.

Pamela dała krok do tyłu. Na zmieniającym się tle stromych lodowych ścian i zasilanych topniejącym śniegiem strumieni rozpięła bluzkę, zsunęła ją z ramion.

Szarpnęła pasek i spódnica opadła bezszelestnie na podłogę.

- Dlaczego nie patrzysz na krajobraz? - zapytała z uśmiechem.

- Patrzę.

Zdjęła bieliznę, stanęła naga przed surową dziczą przesuającą się szybko za oknem.

Jeff pożerał ją wzrokiem, gdy się rozbierała, a potem przysunął się do niej, połączył się z nią, przycisnął ją natarczywie do miękkiego siedzenia obok otwartego okna, podczas gdy popołudniowe słońce migotało na ich twarzach, a stukot kół po szynach kołysał ich w równym rytmie.

161

Pociąg jechał do Montrealu cztery dni i noce, a tydzień później wrócili nim na zachód.

- A średniowiecze? - zapytała Pamela. - Pomyśl tylko, ta okropna jednostajność wciąż od nowa.

- Średniowiecze nie było wcale tak ponure, jak sądzi większość ludzi. Nadal uważam, że jakaś duża wojna i lata ją poprzedzające byłyby dużo gorsze. Wyobraź sobie, że zawsze wracasz do Niemiec w 1939 roku.

- Mógłbyś przynajmniej uciec, wyjechać do Stanów, i wiedziałbyś, że będziesz bezpieczny. ■•

- A gdybym był Żydem? Gdybym, na przykład, trafił już do Auschwitz?

Był to ich ulubiony temat w tym miesiącu: jakim przeżyciem byłyby powtórki dla ludzi w innych epokach historycznych, jak najlepiej można by sobie poradzić z wydarzeniami i okolicznościami bardzo różnymi od tych, które tak dobrze znali. Kiedy już pękły między nimi tamy, wydawało się, że nie ma końca rzeczom, o

których mogliby rozmawiać: rozmyślania, plany, wspomnienia... Wrócili do szczegółów swoich skomplikowanych życiorysów, rozwinęli krótkie historie, z których zwierzyli się sobie podczas tego pierwszego ostrożnego spotkania w Los Angeles w 1974 roku. Jeff opowiedział jej o pustym szaleństwie czasu spędzonego z Sharlą i o uzdrawiającej łasce lat samotności w Montgomery Creek. Z kolei Pamela podzieliła się z nim informacjami o swej pełnej poświęcenia pracy lekarza, frustracją wynikającą ze świadomości, że już nigdy nie będzie mogła w pełni wykorzystać swojej wiedzy medycznej, i twórczą radością produkowania Gwiazdowego morza. Wysoki, brodaty młody Murzyn przejechał obok nich na rolkach, zręcznie manewrując na zatłoczonym chodniku Wschodniej Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy w stronę wejścia do Central Parku. Cali Me grupy Blondie, w pulsującej aranżacji Giorgio Morodera, ryczące z dużego radia Panasonic, które trzymał na ramieniu, zagłuszyło odpowiedź Pameli na hipotetyczne pytanie Jeffa o przeżywanie w kółko piekła Auschwitz.

Byli w Nowym Jorku od półtora miesiąca, po ponad roku dzielenia swego czasu między chatę Jeffa w północnej Kalifor-

162

nii i dom Pameli w kanionie Topanga. Teraz, gdy byli razem, ustronność tych dwóch kryjówek odpowiadała im jeszcze bardziej. Mieli tyle zaległości do nadrobienia, tyle bardzo osobistych myśli i uczuć do przekazania sobie nawzajem. Nie odsunęli się jednak od świata, nie całkowicie. Jeff zaczął się bawić w ryzykowne inwestycje, finansować małe firmy i produkty, które nie otrzymały dostatecznego wsparcia w poprzednich powtórkach, i których sukcesu lub porażki nie mógł w żaden sposób przewidzieć. Jeden biurowy gadżet, sześcian z żywicy akrylowej wypełniony przezrzystym, zawieszistym płynem, w którym maleńkie magnesy tańczyły w zwolnionym tempie, już zyskał ogromną popularność; był odpowiednikiem kamienia-przyjariela* na Gwiazdkę 1979 roku. Nie mieli na razie tyle szczęścia z holograficznym systemem wideo, który zaproponowali dwaj filmowcy, znajomi Pameli. Ciągłe były jakieś problemy techniczne z kamerą: może dlatego ten wynalazek nigdy się nie upowszechnił. Nie miało to jednak znaczenia, właśnie

niepewność tych projektów, ich nieprzewidywalność podobała się Jef-fowi najbardziej.

Natomiast Pamela wróciła do realizacji filmów z nową przyjemnością i poczuciem swobody. Nie związana już swą misją wyniesienia rodzaju ludzkiego na wyższe poziomy świadomości i istnienia, napisała scenariusz lekkiej i wzruszającej komedii romantycznej o niedopasowanych, zakochujących się nie w porę ludziach. W głównej roli kobiecej obsadziła młodą nieznaną aktorkę Darryl Hannah i uparła się powierzyć obowiązki reżysera komikowi telewizyjnemu Robowi Reinerowi. Jej współpracownicy byli jak zwykle przerażeni wyborem niesprawdzonych artystów, ale jako pro-ducentka i jedyna inwestorka projektu miała w tych sprawach ostatnie słowo. Przyjechała z Jeffem do Nowego Jorku, aby nadzorować preprodukcję i wyszukiwanie plenerów. Zdjęcia miały się rozpocząć za kilka dni, w drugim tygodniu czerwca.

Kamień-przyjaciel, „pet rock”, pomysł Garrego Dahla z 1975, zwykły kamień lub kawałek skały sprzedawany w pięknym opakowaniu razem z instrukcją „opieki”, niekłopotliwy w porównaniu z psem czy kotem towarzysz człowieka. W ciągu kilku miesięcy Amerykanie kupili ich ponad milion, ale moda ta nie trwała długo.

163

Skęcili w prawo i ruszyli na północ Piątą Aleją, podejmując swoje historyczne fantazje.

- Pomyśl, co mógłby osiągnąć da Vinci, gdyby miał taką szansę jak my — powiedziała z zadumą Pamela. — Ile rzeźb i obrazów mógłby stworzyć w swoich powtórkach.

- Może miał tę szansę. Może świat istniał nadal na różnych liniach czasowych dla każdej z jego - i naszych - egzystencji. W jednej wersji dwudziestowiecznej rzeczywistości da Vinci mógł być pamiętany bardziej ze względu na swoje wynalazki niż dzieła sztuki, jeśli miał czas je udoskonalić. A w innej mógł popaść w zapomnienie, bo oddał się rozmyślaniom i nie zostawił po sobie absolutnie nic ważnego. Tak samo może istnieć jedna przyszłość, w której ludzie będą cię pamiętać jako producentkę Gwiezdnego morza, i inna, w której Future Inc. nadal działało jako

wielka korporacja.

- „Działo”? - Zmarszczyła brwi. - Nie „będzie działać”?

- Nie - odparł Jeff. - Jeśli dla reszty świata bieg czasu jest ciągły i nieprzerwany, ignoruje pętlę, w którą wpadamy ty i ja, i odgałęzia się z każdej wersji tej pętli w nowe linie rzeczywistości - zależne od zmian, które wprowadzamy za każdym razem - to historia posunęła się naprzód o dwadzieścia pięć lat dla każdej powtórki, którą przeżyliśmy.

Ściągnęła wargi, zastanowiła się chwilę.

- Gdyby to była prawda, indywidualne linie czasu byłyby zachwiane. Każda gałąź biegłaby swoim torem od 1988 roku, kiedy umarliśmy, ale gałąź poprzednia wyprzedzałaby ją o dwadzieścia pięć lat.

- Zgadza się. W świecie naszej poprzedniej powtórki, tej, w której ty wyszłaś za Dustina Hoffmana, a ja mieszkałem w Atlancie, minęło tylko siedemnaście lat od naszej śmierci. Jest rok 2005. Większość osób, które znaliśmy, jeszcze żyje. Ale zaczynając od pierwszej powtórki, życia, w którym ty byłaś lekarką w Chicago, a ja zbudowałem moją korporację, minęły czterdzieści dwa lata. Byłby rok 2029. Moja córka Gretchen skończyłaby pięćdziesiątkę, sama miałaby już pewnie dorosłe dzieci. Jeff zamilkł, otrzeźwiony myślą, że jego jedyne rodzone dziecko jeszcze żyje, ale, obiektywnie rzecz biorąc, jest o dziesięć lat starsze, niż on był kiedykolwiek.

164

Pamela dokończyła wywód za niego.

- A na linii czasu naszego pierwotnego życia minęłoby sześćdziesiąt siedem lat. Świat, w którym dorastaliśmy, wszedłby w drugą połowę dwudziestego pierwszego wieku. Moje dzieci... byłyby po siedemdziesiątce. Dobry Boże.

Zabawa w spekulacje stała się zbyt poważna, bardziej niepokojąca, niż się spodziewali. Pochłonięci każde swoimi refleksjami, omal nie przegapili elegancko ubranej trzydziestoparolet-niej blondynki i nastoletniego chłopca, którzy stali pod hotelem Sherry-Netherland, czekając, aby portier zatrzymał im taksówkę.

Gdy Jeff i Pamela ich mijali, kobieta z lekkim zaciekawieniem zmarszczyła brwi. Coś w wyrazie jej twarzy nagle go tknęło.

- Judy? - zapytał niepewnie, przystając pod hotelową markizą.

Kobieta cofnęła się o krok.

- Niestety, nie pamiętam... - zaczęła. - Nie, zaraz. Byłeś na Emory, prawda? Na Uniwersytecie Emory w Atlancie?

- Tak - odparł cicho Jeff. - Studiowaliśmy razem.

- No właśnie, wydałeś mi się znajomy. Mogłabym przysiąc...

Zarumieniła się, tak samo jak zawsze. Może nagle przypomniała sobie jakiś wieczór na tylnym siedzeniu starego chevro-leta albo na ławce pod Harris Hall przed zamknięciem akademika. Ale Jeff widział, że nie może znaleźć z pamięci jego nazwiska, i odezwał się szybko, żeby oszczędzić jej zawstydzenia.

- Jeff Winston. Czasami chodziliśmy razem do kina i na piwo do Moe & Joe.

- Oczywiście, Jeff. Pamiętam cię. Jak się miewasz?

- Świetnie. Doskonale. Pamela, to... ktoś, kogo znałem w college'u. Judy Gordon. Judy, to moja znajoma, Pamela Phillips.

Judy wybałuszyła oczy i przez chwilę znów wyglądała prawie jak osiemnastolatka.

- Ta reżyserka?

- Producentka - sprostowała Pamela z miłym uśmiechem.

Dokładnie wiedziała, kim jest Judy, i jak wiele znaczyła dla Jeffa w innej powtórce.

- Mój Boże, coś takiego! Sean, co ty na to? - spytała Judy

165

wysokiego, chudego chłopca, który stał obok niej. - To mój kolega ze studiów, Jeff Winston, a jego znajomą jest Pamela Phillips, ta producentka. To mój syn, Sean.

- Ogromnie mi miło panią poznać, panno Phillips - odezwał się chłopiec z nieoczekiwanym zapałem. — Chcę tylko powiedzieć... powiedzieć pani, ile znaczyło dla mnie Gwiazdne morze. Ten film odmienił moje życie.

- Wcale nie żartuje. - Judy uśmiechnęła się promiennie. - Miał dwanaście lat, kiedy go zobaczył, i wracał do kina chyba z dziesięć razy. Potem mówił wyłącznie o delfinach, o tym, jak można się z nimi porozumieć. I nie była to wcale przelotna fascynacja. Na jesieni Sean zaczyna studia, na Uniwersytecie Kalifornijskim w San

Diego, i będzie się specjalizował w... sam im powiedz, kochanie.

- W biologii morza. W połączeniu z lingwistyką i informatyką. Chciałbym pracować kiedyś z doktorem Lillym nad komunikacją międzygatunkową. I jeśli mi się powiedzie, będę to zawdzięczał pani. Nie wie pani, ile to dla mnie znaczy, a zresztą, może pani wie. Mam taką nadzieję.

Z hotelu wyszedł wysoki mężczyzna o siwiejących skroniach, a za nim boy pchający wózek z bagażami. Judy przedstawiła im swojego męża, wyjaśniła, że kończą właśnie wakacje w Nowym Jorku. Czy Jeff i Pamela bywają w Atlancie? Jeśli tak, muszą ich koniecznie odwiedzić, nazywają się Christiansen, tu jest adres i numer telefonu. Jaki tytuł będzie nosił nowy film? Na pewno go obejrzą i polecą wszystkim znajomym.

Kiedy taksówka odjechała, Jeff i Pamela spleli ramiona, przywarli do siebie.

Uśmiechali się, idąc dalej Piątą Aleją w stronę hotelu Pierre, ale w ich oczach malował się wspólny żal za wszystkimi światami, które niegdyś znali i do których już nigdy nie powrócą.

Jeff nalał sobie kolejny kieliszek Montecillo, przyglądając się, jak stojące nisko słońce oświetla strome, skaliste wybrzeże na zachodzie. Poniżej stoku, na którym przycupnęła ich willa, i za innym wzgórzem, zielonym od migdałowców i drzew oliwnych, widział łodzie rybackie powracające do Puerto de Andraitx, wioski o czerwonych dachach. Ciepły jeszcze październikowy

166

wiatr zmienił nagle kierunek i przyniósł przez otwarte okno zapach morza, który zmieszał się z dolatującym z kuchni mocnym aromatem paelli.

- Jeszcze wina? - zawołał.

Pamela wychyliła się z drzwi kuchni z dużą drewnianą łyżką w ręce. Pokręciła głową.

- Kucharz musi być trzeźwy - odparła. - Przynajmniej, dopóki kolacja nie będzie na stole.

- Na pewno nie potrzebujesz pomocy?

- Mmm... jeśli chcesz, możesz pokroić paprykę. Wszystko inne jest prawie

gotowe.

Jeff przeszedł do kuchni, zaczął kroić słodkie czerwone papryki na cienkie paski. Pamela zanurzyła łyżkę w płytkiej żelaznej patelni, podsunęła mu paellę do spróbowania. Wypił esen-cjonalny czerwony bulion, przeżuł kęs miękkiego mięsa cala-mari.

- Nie za dużo szafranu w ryżu? - zapytała.

- W sam raz.

Uśmiechnęła się zadowolona, dała mu znak, aby naszykował talerze. Trudno było im obojgu poruszać się w ciasnej kuchni. Mały dom na wzgórzu, ochrzczony „willą” przez agenta, był o wiele mniejszy i skromniejszy, niż sugerowała wspaniała nazwa. Ale Pamela wynajęła go w konkretnym celu. Jeff starał się o nim nie myśleć, choć nie było to łatwe.

Dojrzała wyraz jego oczu, lekko dotknęła koniuszkami palców jego policzka.

- Chodź-powiedziała.-Czas jeść.

Trzymał talerze, gdy nakładała na nie parującą paellę, a potem zwieńczyła sutą potrawkę z owoców morza zielonym groszkiem i paskami pociętej przez niego papryki. Zanieśli kolację do stołu przy oknie we frontowym pokoju. Kiedy Jeff dolewał im wina, Pamela zapaliła świece i nastawiła kasetę Laurinda Almeidy, Concierto de Aranjuez. Jedli w milczeniu, obserwując światła, które zapalały się w rybackiej wiosce w dole.

Kiedy skończyli, Jeff sprzątnął talerze, a Pamela przyniosła półmisek sera manchego z plasterkami melona. Bez przekonania skubał deser i sączył brandy Soberano, starając się, bez powodzenia, nie myśleć o tym, dlaczego są na Majorce.

167

- Rano wyjadę - powiedział w końcu. - Nie musisz mnie odwozić. Złapię prom do Palmy,-a potem taksówkę na lotnisko.

Przez stół wzięła go za rękę.

- Wiesz, że wolalabym, żebyś został.

- Wiem. Ale nie chcę... skazywać cię na to.

Pamela uściśnęła jego dłoń.

- Zniosłabym to. Mogłabym być przy tobie... Ale z drugiej strony, gdybym to ja miała być pierwsza, nie chciałabym, żebyś to widział. Więc rozumiem, co czujesz. Szanuję to.

Odchrząknął, rozejrzał się po urządzonym w kolorach ziemi pokoju. Nie mógł oprzeć się myśli, że w słabym świetle świec wygląda dokładnie jak to, czym jest: miejsce do umierania. Tutaj Pamela umarła, ćwierć wieku wcześniej, i umrze znowu za niecałe dwa tygodnie, wkrótce po tym, jak jego serce kolejny raz odmówi mu posłuszeństwa.

- Dokąd pojedziesz? - zapytała cicho.

- Chyba do Montgomery Creek. Myślę, że miałaś dobry pomysł, aby wybrać ustronne miejsce na... zakończenie. Wyjątkowe miejsce.

Uśmiechnęła się, ciepłym, szczerym uśmiechem czułości i radosnych wspomnień.

- Pamiętasz, jak pierwszy raz przyjechałam do twojej chaty? Boże, jak ja się bałam.

- Bałaś się? - powtórzył, też już się uśmiechając. - Czego?

- Pewnie ciebie. Tego, co powiesz, jak zareagujesz. Byłeś na mnie taki zły, kiedy się rozstawaliśmy w Los Angeles.

Ujął jej dłoń w obie ręce.

- Nie byłem zły na ciebie. Po prostu obawiałem się konsekwencji tego, co chciałaś zrobić.

- Teraz to wiem. Ale wtedy... Kiedy zjawileś się w moim biurze, tak znienacka, nie wiedziałam, jak mam zareagować. Chyba nie zdawałam sobie sprawy, jaka byłam samotna, jaka zrozpaczona. Przyjęłam już, że nigdy nie spotkam człowieka podobnego do mnie, kogoś, kto mógłby uwierzyć, co przeszłam, nie mówiąc o kimś, kto przeżyłby to samo. Ty schroniłeś się w naturalnej głuszy, wśród swoich gór i upraw... Ja wybrałam inne bariery emocjonalne, bariery skierowane na zewnątrz, bardzo publiczną formę samotności. Próba ratowania świata była

168

moim sposobem ucieczki przed własnymi potrzebami. Trudno było mi się do tego przyznać — przed tobą i przed samą sobą.

- Cieszę się, że zdobyłaś się na odwagę. To mnie nauczyło, że nie muszę

ukrywać moich uczuć i obaw.

Pamela posłała mu długie, głębokie spojrzenie, w jej oczach i na twarzy malowała się czułość.

- Szybowaliśmy, prawda? Naprawdę szybowaliśmy.

- Tak - wyszeptał. -1 poszybujemy znowu, już wkrótce. Trzymaj się tej myśli.

Nie zapominaj o tym.

Jeff stał na rufie promu, patrząc na oddalającą się wioskę i wzgórze za nią. Patrzył, dopóki mógł dojrzeć sylwetkę Pameli na drewnianym pomoście. Wtedy podniósł wzrok na czerwo-no-białą plamkę, którą była jej mała willa, i przyglądał się jej, dopóki ona również nie przestała być widoczna.

Wiatr od otwartego morza ukłuł go w oczy, więc przeszedł do zamkniętej części promu, kupił piwo i usiadł z dala od nielicznych tu poza sezonem francuskich i niemieckich turystów.

To wcale nie jest koniec, powtarzał sobie, jak kazał też robić Pameli. Kończyła się jedynie ta powtórka; wkrótce znów będą razem, zaczną wszystko od początku. Ale, Boże, jak bardzo żałował, że zostawia za sobą tę rzeczywistość, to życie, w którym poznali się i pokochali. Tak daleko zaszli, tyle zdziałali; filmowe osiągnięcia Pameli napawały go taką dumą, jakby były jego własnymi. Jakże bolesna była myśl o wejściu w świat, w którym Gwiazdne morze oraz niezwykle udane, wzruszające i głęboko ludzkie komedie i dramaty zrealizowane przez nią w następnych latach nigdy nie istniały i nigdy nie będą istnieć.

Uporczywie trzymał się koncepcji linii czasu, o której dyskutowali przed laty w Nowym Jorku. Był pewien, że odgałęzi się rzeczywistość, w której artystyczna spuścizna Pameli będzie żyła dalej, będzie poruszała i oświecała następne pokolenia widzów. Być może syn Judy, Sean, naprawdę znajdzie sposób, aby inteligentne gatunki z oceanów Ziemi i jej lądów nauczyły się ze sobą porozumiewać. Jeśli mu się to uda, planeta będzie zawdzięczać ów najwyższy dar wspólnej mądrości właśnie wizji Pameli.

Była to nadzieja warta podsycania, marzenie godne rojeń.

Ale teraz będą musieli się skupić na nowych nadziejach, nowych marzeniach, na innym, jeszcze nie przeżyтым życiu.

Wyjął z kieszeni marynarki małą, płaską paczuszkę, którą wręczyła mu Pamela, gdy wsiadał na prom. Ostrożnie odwinął ją z papieru i wzruszenie ścisnęło go za gardło, kiedy zobaczył, co mu dała.

Był to obraz, precyzyjna miniatura przedstawiająca Mount Shasta widzianą ze wzgórza na terenie jego posiadłości. Po pogodnym niebie nad górą szybowwały na cudownie pierzastych skrzydłach dwie postaci: Jeff i Pamela, niczym ożywione mitologiczne stworzenia, w wiecznym wspólnym locie ku przeznaczeniu, jakiego nie znała dotąd ani rzeczywistość, ani mit.

Wpatrywał się w to maleńkie dzieło sztuki i miłości dłuższą chwilę, po czym zapakował je z powrotem i schował do kieszeni. Zamknął oczy, wsłuchał się w szum promu tnącego fale Ba-hia de Palma i spokojnie rozpoczął pierwszy etap swej podróży do domu i do śmierci.

13.

Nikłe szare światło wczesnego poranka sączyło się przez żaluzje i niebiesko-zielone zasłony. W nogach olbrzymiego łóżka spał spokojnie smukły, kremowo-brązowy syjamski kot. Gdy Jeff się poruszył, kot podniósł łebek, po czym ziewnął i wydał z siebie zirytowane i wyraźnie pytające „Mrauuu?”

Jeff usiadł, włączył nocną lampkę i rozejrzał się po pokoju: konsolka z wieżą stereo i telewizorem naprzeciwko, po obu jej stronach półki z modelami samolotów i rakiet; regał z książkami pod ścianą z prawej strony; pustawa toaleta pod oknem z lewej. Wszystko schludne, uporządkowane, dobrze utrzymane.

Cholera, pomyślał; był w swoim pokoju w domu rodziców w Orlando. Coś poszło źle, straszliwie źle. Dlaczego nie obudził się w akademiku w Emory? Dobry Boże, a jeśli tym razem powrócił jako dziecko? Odrzucił kołdrę, spojrzął na siebie. Nie, miał włosy łonowe, miał nawet poranną erekcję; potarł podbródek, wyczuł zarost.

Przynajmniej przeszedł już okres dojrzewania.

Wyskoczył z łóżka, pospieszył do przyległej łazienki. Kot poszedł za nim, z nadzieją na wczesne śniadanie, skoro już wstali o tej porze. Jeff pstryknął światło, popatrzył w

lustro: wyglądał tak, jak wyglądał zawsze, mając osiemnaście lat. Więc co, do diabła, robił w domu?

Wciągnął wypłowiałe dzinsy i T-shirt, wbił stopy bez skarpetek w jakieś stare adidas. Zegar przy łóżku pokazywał za kwadrans siódmą. Może jego matka już wstała; lubiła spokojnie wypić kawę przed codzienną krzątaniną.

Pogłaskał kota po karku. Był to oczywiście Szach, który wpadł pod samochód, kiedy Jeff studiował na trzecim roku; będzie musiał powiedzieć rodzicom, żeby nie wypuszczali go na dwór. Królewskie zwierzę dumnie kroczyło obok niego, gdy szedł ko-

171

rytarzem, przez typowy florydzki salon z podłogą z kawałków marmuru, do kuchni.

Jego matka tam była, czytała „Orlando Sentinel”, pijąc kawę.

- Wielkie nieba - powiedziała, podnosząc brwi. - Sowa zerwała się ze skowronkami?

- Nie mogłem spać, mamusiu. Mam dzisiaj dużo spraw do załatwienia.

Chciał zapytać, jaki jest dzień, który rok, ale nie śmiał.

- Co jest takie ważne, że obudziło cię o świcie? Mnie nie udało się to od lat.

Chodzi o jakąś dziewczynę, prawda?

- Mniej więcej. Dasz mi kawałek gazety? Może pierwszą stronę, jeśli ją przeczytałaś.

- Weź całą, skarbie. I tak miałam już szykować śniadanie. Chcesz francuskie grzanki? Czy jajka i parówki?

Zamierzał powiedzieć, że nic, ale uświadomił sobie, jaki jest głodny.

- Z przyjemnością zjem jajka i parówki, mamusiu. I może owsiankę?

Matka przybrała udawaną obrażoną minę.

- Czy zrobiłam ci kiedyś śniadanie bez owsianki? Wiesz, że owsianka wypełnia żebra.

Jeff uśmiechnął się, słysząc ten stary śniadaniowy żart, i kiedy matka przystąpiła do szykowania posiłku, sięgnął po gazetę.

Nagłówki mówiły o manifestacjach w obronie praw obywatelskich w Savannah i

całkowitym zaćmieniu słońca na północnym wschodzie Stanów. Była połowa lipca 1963 roku. Letnie wakacje; dlatego był w Orlando. Ale, Chryste, wrócił trzy miesiące później, niż powinien był! Pamela musi odchodzić od zmysłów, zastanawiając się, dlaczego jeszcze się do niej nie odezwał.

Połknął śniadanie w pośpiechu, ignorując napomnienia matki, by jadł powoli.

Kuchenny zegar wskazywał parę minut po siódmej; za chwilę wstaną jego ojciec i siostra. Nie chciał się wplątać w rodzinną dyskusję na temat czegoś, co musiał zrobić.

- Mamusiu...

- Mm hmm? - mruknęła z roztargnieniem, wbijając na patelnię następne jajka dla śpiochów.

- Będę musiał wyjechać na parę dni.

172

- Co? Dokąd? Jedziesz do Miami do Martina?

- Nie, muszę wyskoczyć bardziej na północ.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Co znaczy „bardziej na północ”? Tak wcześnie wracasz do Atlanty?

- Muszę jechać do Connecticut. Nie chcę mówić o tym tacie, ale potrzebuję pieniędzy na podróż. Niedługo ci oddam.

- Co, u licha, jest w Connecticut? Chociaż pewnie powinnam spytać kto. Jakaś dziewczyna za szkoły?

- Tak - skłamał. - Dziewczyna z Emory. Jej rodzice mieszkają w Westport.

Zaprosili mnie, żebym wpadł na tydzień.

- Co to za dziewczyna? Nie pamiętam, żebyś wspominał o kimś z Connecticut.

Myślałam, że nadal spotykasz się z tą ślicznotką z Tennessee, Judy.

- Już nie - odparł Jeff. - Zerwaliśmy ze sobą przed egzaminami.

Matka wyraźnie się zmartwiła.

- Nic mi nie mówiłeś. To dlatego od przyjazdu nie masz apetytu?

- Nie, mamusiu, nic mi nie jest. To nic poważnego, rozstaliśmy się i tyle.

Naprawdę lubię tę dziewczynę z Westport i muszę się z nią zobaczyć. Pożyczysz mi pieniądze?

- Nie wróci do szkoły? Nie możesz poczekać do września?
- Naprawdę chciałbym zobaczyć się z nią teraz. I nigdy nie byłem w Nowej Anglii. Mówiła, że moglibyśmy pojechać do Bostonu. Razem z jej rodzicami - dodał pospiesznie, przypomniawszy sobie o obyczajach tych czasów i poglądach matki na kwestię „przyzwoitości”.
- Czyja wiem...
- Proszę, mamó. Bardzo byś mi pomogła. Ta naprawdę ważne.

Z rozdrażnieniem potrząsnęła głową.

- W twoim wieku wszystko jest ważne. Wszystko musi się dzieć natychmiast. W przyszłym tygodniu miałeś jechać z ojcem na ryby. Wiesz, jak bardzo...
- Pojedziemy na ryby, kiedy wrócę. Muszę się z nią zobaczyć tak czy inaczej. Po prostu chciałem, żebyś wiedziała, dokąd wyjeżdżam, i bardzo byś mi pomogła, gdybyś pożyczyła mi trochę pieniędzy. Ale jeśli nie chcesz...

173

- Skoro jesteś dostatecznie dorosły, żeby studiować, jesteś też dostatecznie dorosły, żeby jechać, gdzie ci się podoba. Po prostu martwię się o ciebie. Od tego są matki... oprócz pożyczania pieniędzy.

Mrugnęła do niego i otworzyła torebkę.

Jeff wrzucił do walizki trochę ubrań, wepchnął w zwinięte skarpetki dwieście dolarów, które dała mu matka. Wyszedł z domu, zanim jego ojciec i siostra się obudzili.

Stary Chevrolet stał na łukowatym podjeździe, za wielkim buickiem elektry ojca i pontakiem matki. Silnik zakaszłał znajomo, kiedy Jeff go włączył, po czym z warkotem zapalił.

Wydostał się z podmiejskiego osiedla, na którym mieszkali jego rodzice, przejechał wzdłuż jeziora Conway i zatrzymał się na chwilę z włączonym silnikiem na skrzyżowaniu Hoffner Road z Orange Avenue. Czy zbudowano już autostradę Beeline na Przylądek? Nie pamiętał. Jeśli tak, byłby to prostszy dojazd do drogi 1-95. Według gazety nie startowała tego ranka żadna rakietka, więc nie powinien trafić na korki pod Cocoa i Titusville. Ale jeśli autostrada jeszcze nie istnieje, utknie na zbyt

długo na starej, dziurawej, jednopasmowej szosie. Postanowił nie ryzykować, wjechać do miasta i skierować się 1-4 do Daytony.

Przejechał przez senne Orlando, nie dotknięte jeszcze di-sneyowskim boomem i dopiero zaczynające się rozbudowywać na skutek obecności NASA czterdzieści mil dalej. Dotarł do 1-95 prędzej, niż się spodziewał, nastawił w radiu rozgłośnie WAPE z Jacksonville: „Mały” Stevie Wonder śpiewał Fingertips, Part II, a potem ryknęło Pride and Joy Marvinina Gaye'a.

Trzy miesiące. Jak, do diabła, mógł tym razem stracić trzy miesiące? Co to oznacza? No cóż, nie było sensu się przejmować; nie miał na to wpływu. Pamela będzie zdenerwowana, i słusznie, ale przynajmniej wkrótce ją zobaczy. Skup się na tym, powiedział sobie, pędząc na północ przez długie odcinki sosnowych lasów i gęstych zarośli.

Dotarł do Savannah przed dwunastą w południe i brak obwodnicy trochę go przystopował. Widok nachmurzonych policjantów w hełmach, stojących wzdłuż ulic tego pięknego starego miasta, był dość nieprzyjemny. Jeff ostrożnie przejechał obok

174

barykad, świadom, że w tym tygodniu doszło tu do demonstracji i aktów rasistowskiej przemocy. Było mu przykro, że zaczyna się to po raz kolejny, ale jedyne, co mógł zrobić, to uniknąć udziału w krwawych zamieszkach.

Trochę po trzeciej zatrzymał się na szybką kanapkę u Howarda Johnsona pod Florence w Karolinie Południowej. Miał już za sobą niziny Florydy i wybrzeże Georgii i jechał przez pagórkowate wiejskie okolice, wyciskając z potężnego starego silnika trochę więcej niż przepisowe siedemdziesiąt mil na godzinę.

Było już ciemno, kiedy minął skręt do swojej szkoły z internatem w Wirginii, dokąd to wybrał się przed tylu laty ze spontaniczną pielgrzymką, aby zobaczyć mały mostek, który stał się dla niego symbolem straty i daremności. Widział z autostrady światła domu Rendellów. Jego dawna nauczycielka i obiekt uwielbienia szykowała pewnie kolację mężowi i dziecku, którego narodziny wprawiły niegdyś Jeffa w młodzieńczy szal zazdrości. Kochaj swoją rodzinę, życzył jej w myślach, zostawiając w tyle spokojny dom na malowniczym pagórku; na świecie jest już dosyć bólu.

Późnym wieczorem zjadł smażonego kurczaka ze słodkimi ziemniakami w restauracji dla kierowców ciężarówek na północ od Richmond, kupił termos i poprosił kelnerkę, aby napełniła go czarną kawą. Objechał Waszyngton obwodnicą Beltway i dotarł do Baltimore tuż po północy. W Wilmington w stanie Delaware zjechał z 1-95 na Jersey Turnpike, aby ominąć Filadelfię i Trenton. Z upływem nocy znów zaczął się dziwić - jak na początku każdej powtórki - swej młodzieńczej wytrzymałości. Po trzydziestce potrzebowałby na tę podróż co najmniej dwóch dni i nawet wtedy byłby wyczerpany. Most Waszyngtona był niemal pusty o czwartej rano i Jeff odkręcił radio na cały regulator, kiedy Cousin Brucie wykrzykiwał i zawodził z grupą Essex Easier Said than Done. Przejeżdżając New England Thruway przez New Rochelle, zobaczył w myślach obrazy Pameli, jakiej nigdy nie znał. Mieszkała tu w swoim pierwszym życiu, wychowywała dzieci... tutaj umarła, sądząc, że jest to koniec, nieświadoma, że jej wielokrotna egzystencja dopiero się zaczyna.

175

Zastanawiał się, jak zniosła śmierć tym razem, tam, na Majorce. Miał nadzieję, że tak jak on w chacie koło Montgomery Creek: spokojniej, z większą akceptacją dzięki świadomości, że będą mogli do siebie wrócić. Nie chciał jednak rozmyślać o jej agonii, nawet nieostatecznej. Tę część mieli na razie za sobą i czekała ich nieskończona wspólna przyszłość.

Jeff dotarł do Westport, gdy pierwszy świt zaczynał barwić niebo na wschodzie. Odszukał adres rodziców Pameli w książce telefonicznej na stacji Shella. Pora była jeszcze o wiele za wczesna na wizytę. Znalazł kawiarnię otwartą całą dobę, dla zabicia czasu przeczytał od deski do deski „New York Times”. W Savannah nadal panowało napięcie; Ralph Ginzburg wnosił apelację od wyroku, w którym uznano wydawane przezeń pismo „Eros” za pornograficzne; rosły kontrowersje wokół niedawnego zniesienia przez Sąd Najwyższy obowiązku modlitwy w szkołach. Spojrzał na zegarek: 7.25. Czy o ósmej będzie za wcześnie? Phillipsowie powinni być już wstać, może jedzą śniadanie. Czy ma im przeszkodzić? Co za różnica, pomyślał. Pamela przedstawi go jako swojego znajomego i zaprosi do stołu.

Wysiedział nerwowo nad kawą do dwadzieścia po ósmej, a potem spytał kasjerkę, jak

trafić pod adres, który sobie zapisał.

Dom Phillipsów był piętrową, neokolonialną willą wyższej klasy średniej stojącą przy cienistej ulicy. Niczym się nie różnił od tysięcy innych domów w tysiącach innych miast w całym kraju; tylko Jeff wiedział, do jakiego cudownego zdarzenia tu doszło.

Zadzwoił do drzwi, upychając T-shirt w dżinsach. Nagle dotarło do niego, że powinien był się przebrać; powinien był się chociaż ogolić w jakiejś toalecie.

- Słucham?

Kobieta była zdumiewająco podobna do Pameli; tylko fryzurę miała inną, lekko utapirowaną, zamiast prostego pazia, którego Jeff tak polubił. Była mniej więcej w tym samym wieku co Pamela, kiedy widział ją po raz ostatni, i wytrąciło go to z równowagi.

- Czy zastałem Pamelę Phillips?

Kobieta zmarszczyła brwi, nieco ściągnęła wargi w tym sa-

176

mych wyrazie lekkiej konsternacji, który Jeff tak często oglądał na twarzy Pameli.

- Jeszcze śpi. Jesteś jej kolegą ze szkoły?

- Niezupełnie ze szkoły, ale...

- Kto przyszedł, Beth? - zapytał z głębi domu męski głos. - Wreszcie ten monter od klimatyzacji?

- Nie, skarbie, to kolega Pam.

Jeff niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

- Przepraszam, że niepokoję państwa tak wcześnie, ale to naprawdę ważne, żeby porozmawiał z Pamelą.

- Nawet nie wiem, czy już wstała.

- Może mógłbym wejść i poczekać? Nie chcę sprawiać kłopotu, ale...

- No dobrze, wejdź i usiądź na chwilę.

Jeff przeciął mały przedpokój, poszedł za kobietą do wygodnie urządzonego salonu, gdzie mężczyzna w szarym garniturze w prążki poprawiał przed lustrem krawat.

- Jeśli ten facet raczy się zjawić - mówił - powiedz mu, że termostat... - Urwał,

zobaczywszy Jeffa w lustrze. - Jesteś kolegą Pam? - zapytał, odwracając się do niego.

- Tak, proszę pana.

- Spodziewa się ciebie?

- Chyba tak.

- Co znaczy „chyba”? Nie uważasz, że jest trochę za wcześnie na wizytę bez zapowiedzi?

- Davidzie... - zmitygowała go żona.

- Spodziewa się mnie - powiedział Jeff.

- Pierwsze słyszę. Beth, czy Pam mówiła ci wczoraj, że ktoś ma dziś rano do niej przyjść?

- Nie przypominam sobie, skarbie. Ale jestem pewna, że...

- Jak się nazywasz, młodzieńcze?

- Jeff Winston, proszę pana.

- Nie pamiętam, żeby Pam wspominała o kimś takim. Aty, Beth?

- Davidzie, nie bądź taki nieuprzejmy. Zjesz cynamonową grzanekę, Jeff? I właśnie zaparzyłam kawę.

- Bardzo pani dziękuję, ale jadłem śniadanie.

- Skąd znasz naszą córkę? - zapytał ojciec Pameli.

177

Z Los Angeles, pomyślał Jeff, rozkojarzony po nieprzespanej nocy, zbyt wielu filiżankach kawy i tysiącu mil autostrad. Znam ją z Montgomery Creek, chciał powiedzieć; z Nowego Jorku i Majorki.

- Spytałem, gdzie poznałeś Pam. Wyglądasz na starszego od niej, więc chyba nie chodzicie do jednej klasy.

- Poznaliśmy się... przez wspólnego kolegę. W klubie tenisowym.

To powinno zabrzmieć wiarygodnie; mówiła mu, że grała w tenisa od dwunastego roku życia.

- A któż to był? Znamy większość przyjaciół Pam i...

- Tatusiu! Czy nie zostawiłam mojej książeczki z kuponami w twoim samochodzie? Była prawie pełna, a teraz nie mogę jej nigdzie...

Stała na szczycie schodów: pająkowane nogi i ręce nastolatki w białych bermudach i żółtej koszulce polo, piękne blond włosy zebrane nad uszami w dwa cienkie kucyki.

- Możesz tu zejść, Pam? - powiedział jej ojciec. - Ktoś do ciebie przyszedł.

Pamela zeszła powoli po schodach, patrząc na Jeffa. Pragnął podbiec do niej, chwycić ją w ramiona i scałować całą udrekę, którą musiała przeżyć; ale będzie jeszcze na to dość czasu. Uśmiechnął się szeroko i odwzajemniła uśmiech.

- Znasz tego młodego człowieka, Pam?

Jej pełne obietnicy i młodości oczy napotkały kochające spojrzenie Jeffa.

- Nie - odparła. - Nie sędzę.

- Mówi, że poznał cię w klubie tenisowym.

Potrząsnęła głową.

- Chybabym to pamiętała. Znasz Dennisa Whitmire'a?-spytała Jeffa niewinnie.

- Majorka - wyszeptał Jeff głosem ochryplym z napięcia. -Obraz, góra...

- Słucham?

- Będzie lepiej, jeśli wyjdiesz, kimkolwiek jesteś - wtrącił się jej ojciec.

- Pamela. Jezu, Pamela...

178

Z Los Angeles, pomyślał Jeff, rozkojarzony po nieprzespanej nocy, zbyt wielu filiżankach kawy i tysiącu mil autostrad. Znam ją z Montgomery Creek, chciał powiedzieć; z Nowego Jorku i Majorki.

- Spytałem, gdzie poznałeś Pam. Wyglądasz na starszego od niej, więc chyba nie chodzicie do jednej klasy.

- Poznaliśmy się... przez wspólnego kolegę. W klubie tenisowym.

To powinno zabrzmieć wiarygodnie; mówiła mu, że grała w tenisa od dwunastego roku życia.

- A któż to był? Znamy większość przyjaciół Pam i...

- Tatusiu! Czy nie zostawiłam mojej książeczki z kuponami w twoim samochodzie? Była prawie pełna, a teraz nie mogę jej nigdzie...

Stała na szczycie schodów: pająkowane nogi i ręce nastolatki w białych bermudach i żółtej koszulce polo, piękne blond włosy zebrane nad uszami w dwa cienkie kucyki.

- Możesz tu zejść, Pam? - powiedział jej ojciec. - Ktoś do ciebie przyszedł. Pamela zeszła powoli po schodach, patrząc na Jeffa. Pragnął podbiec do niej, chwycić ją w ramiona i scałować całą udrekę, którą musiała przeżyć; ale będzie jeszcze na to dość czasu. Uśmiechnął się szeroko i odwzajemniła uśmiech.

- Znasz tego młodego człowieka, Pam?

Jej pełne obietnicy i młodości oczy napotkały kochające spojrzenie Jeffa.

- Nie - odparła. - Nie sędzę.

- Mówi, że poznał cię w klubie tenisowym.

Potrząsnęła głową.

- Chybabym to pamiętała. Znasz Dennisa Whitmire'a? - spytała Jeffa niewinnie.

- Majorka - wyszeptał Jeff głosem ochryplym z napięciem. - Obraz, góra...

- Słucham?

- Będzie lepiej, jeśli wyjdiesz, kimkolwiek jesteś - wtrącił się jej ojciec.

- Pamela. Jezu, Pamela...

178

Ojciec mocno chwycił Jeffa za ramię i pociągnął go w stronę drzwi.

- Posłuchaj, koleś - powiedział spokojnym, ale stanowczym tonem - nie wiem, w co pogrywasz, ale nie chcę cię tu więcej widzieć. Nie życzę sobie, żebyś zaczepiał moją córkę, ani tu, w domu, ani w szkole, ani w klubie tenisowym. Nigdzie.

Kapujesz?

- To nieporozumienie, proszę pana, i przepraszam za kłopot. Ale Pamela naprawdę mnie zna. Ona...

- Wszyscy znajomi nazywają moją córkę „Pam”, nie „Pamela”. I pozwól, że ci przypomnę, że ma dopiero czternaście lat. Czy to jest jasne? Bo nie chcę, żebyś twierdził, że zaszło jakieś „nieporozumienie” co do tego, że napastujesz nieletnią.

- Nie chcę nikogo niepokoić. Ja tylko...

- Więc wynoś się z mojego domu, zanim wezwę policję.

- Pamela wkrótce sobie przypomni, kim jestem. Gdybym mógł zostawić numer telefonu, pod którym może mnie złapać...

- Nie zostawisz żadnego numeru. Masz nas tylko zostawić w spokoju.

Natychmiast.

- Przykro mi, że poznaliśmy się w taki sposób. Naprawdę bym chciał, żebyśmy polubili się w przyszłości, i mam nadzieję- Ojciec Pameli brutalnie wypchnął go na ganek i zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Przez okno salonu Jeff słyszał podniesione głosy: oszołomiona Pamela płakała, jej matka błagała o spokój, ojciec, przemawiał ostrym tonem, na przemian opiekuńczym i oskarżycielskim.

Jeff wrócił do samochodu, usiadł za kierownicą i oparł o nią swą zmęczoną, skołowaną głowę. Po jakimś czasie włączył silnik i ruszył na południe.

Droga Pamelu,

Przepraszam, że wprawilem Cię wczoraj w zakłopotanie i zdenerwowałem Twoich rodziców. Mam nadzieję, że już wkrótce wszystko zrozumiesz. Kiedy ten czas nadejdzie, będziesz mogła się ze mną skontaktować przez moich rodziców, którzy mieszkają w Orlando na Florydzie. Ich numer telefonu to 555 9561. Będą wiedzieli, gdzie jestem.

179

Proszę, nie zgub tego listu. Schowaj go w bezpiecznym miejscu. Zorientujesz się, kiedy będzie Ci potrzebny.

Serdecznie Cię pozdrawiam, JeffWinston

Lipiec i sierpień były otchłanią inercji, florydzkimi „psimi dniami” wilgotnego upału, który łagodziły tylko gwałtowne burze z piorunami przechodzące prawie codziennie po południu. Jeff jeździł z ojcem na ryby, uczył siostrę prowadzić samochód; ale większość czasu spędzał w swoim pokoju, oglądając powtórki starych seriali.

Czekając na dzwonek telefonu.

Matkę trapiła jego bezczynność, nagła utrata zainteresowania kolegami, dziewczynami i nocnymi rajdami po miejscowych barach. Jeff chciał wyjechać, uciec od męczącej rodzicielskiej troski i oglupiającej nudy Orlando, ale nie miał dokąd. Swobodę ruchów, do której tak przywykł, boleśnie ograniczał mu brak funduszy. Derby Kentucky i Belmont już się odbyły i na razie nie miał jak zdobyć pieniędzy. Lato minęło, Pamela się nie odezwała. Jeff wrócił do Atlanty, teoretycznie po to, aby

rozpocząć drugi rok studiów na Emo-ry. Zapisał się na wszystkie przedmioty kursu, aby przyznano mu miejsce w akademiku, ale w ogóle nie chodził na zajęcia.

Ignorował ostrzegawcze listy z dziekanatu, czekał na październik.

Frank Maddock w czerwcu zrobił dyplom i studiował teraz prawo na Columbi, nawet nie poznawszy swego niegdysiejszego współnika. Jeff znalazł innego hulaszczego hazardzistę z ostatniego roku, skłonno go obstarwić w jego imieniu finały baseballu. Ale tylko za żywą gotówkę płatną z góry; nikt nie chciał procentu, nawet największego, od tak ewidentnie głupiego zakładu. Jeff postawił niecałe dwa tysiące dolarów i wygrał sto osiemdziesiąt pięć tysięcy. Przynajmniej przez jakiś czas nie będzie musiał się martwić o pieniądze.

Wyjechał do Bostonu, wynajął mieszkanie w dzielnicy Bea-con Hill. Historia posuwała się naprzód znajomymi krokami: w Sajgonie obalono Diema; John Kennedy został jeszcze raz zamordowany. Sobór Watykański zdelatynizował katolicką mszę, a Beatlesi przyjechali rozweselić Amerykę.

180

Jeff zadzwonił do Phillipsów w marcu, w tygodniu, kiedy Jack Ruby został skazany na śmierć za zabójstwo Lee Harveya Oswalda; o Nelsonie Bennecie nikt nigdy nie słyszał. Telefon odebrała matka Pameli.

- Halo, czy mogę prosić... Pam?
- Można wiedzieć, kto dzwoni?
- Alan Cochran, jej kolega ze szkoły.
- Chwileczkę, sprawdzę, czy nie jest zajęta.

Czekając, aż Pamela podejdzie do telefonu, Jeff nerwowo zwijał i rozwijał kabel.

Wygrzebał to fałszywe nazwisko w pamięci. Pamela wspomniała kiedyś, że chodziła z tym chłopcem w liceum; ale czy znała go już teraz? Nie miał pojęcia.

- Alan? Cześć, co słyhać?
- Pam, proszę, nie rozłączaj się. To nie Alan, ale muszę z tobą porozmawiać.
- Więc kto mówi?

W jej kokieteryjnym tonie dźwięczała raczej ciekawość niż irytacja.

- Jeff Winston. Byłem u ciebie zeszłego lata, wcześniej rano, i...

- Tak, pamiętam. Tata powiedział, że nie wolno mi z tobą rozmawiać, nigdy.
- Jestem w stanie go zrozumieć. Ale nie musisz mu mówić, że dzwoniłem. Po prostu... byłem ciekaw, czy zaczęłaś coś sobie przypominać.
- O co ci chodzi? Przypominać co?
- Na przykład Los Angeles.
- Jasne. .
- Naprawdę?
- Jasne. Byłam z rodzicami w Disneylandzie, kiedy miałam dwanaście lat. Jak mogłabym tego nie pamiętać?
- Myślałem raczej o czymś innym. Pamiętasz pewien film, Gwiezdne morze? Czy ten tytuł brzmi znajomo?
- Chyba go nie widziałam. Jesteś dosyć dziwny, wiesz? Dlaczego właściwie chcesz ze mną rozmawiać?
- Bo cię lubię, Pamelu. To wszystko. Mogę cię nazywać Pamelą?
- Wszyscy mówią na mnie Pam. A poza tym, nawet nie powinnam z tobą rozmawiać. Lepiej odłożę słuchawkę.

181

- Pamelu...
- Co?
- Masz jeszcze list, który do ciebie wysłałem?
- Wyrzuciłam go. Gdyby tatą go znalazł, dostałby szau.
- W porządku. Nie mieszkam już na Florydzie, przenieśliśmy się do Bostonu. Wiem, że nie będziesz chciała zapisać mojego numeru, ale jestem w książce telefonicznej. Gdybyś miała kiedyś ochotę skontaktować się ze mną...
- Dlaczego sądzisz, że chciałabym to zrobić? Rany, naprawdę jesteś dziwny.
- Chyba tak. Ale pamiętaj, możesz do mnie zadzwonić o każdej porze, w dzień i w nocy.
- Odkładam słuchawkę. Chyba nie powinieneś więcej do mnie dzwonić.
- Nie będę. Ale mam nadzieję, że wkrótce się odezwiesz.
- Cześć.

Powiedziała to z żalem w głosie. Ten uparty młody człowiek zadający dziwaczne pytania podniecił jej dziewczęcą ciekawość. Ale ciekawość nic nie oznacza, pomyślał smutno Jeff; nadal był dla niej kimś obcym.

Sprzedawca w Spółdzielni Harwardzkiej zadzwonił kasą, podał Jeffowi resztę i kupione przezeń pismo „Candy”. Na zewnątrz roilo się od studentów rozpoczynających nowy rok akademicki. Celowo niechlujne towarzystwo, pomyślał Jeff. A gdy spojrział w stronę Kina Uniwersyteckiego, w którym szło A Hard Day's Night, zobaczył, jak jakiś brodaty młodzieniec dyskretnie upłynnia pięciodolarowe pudełka zapalek z marihuaną. Minęło już półtora roku, odkąd Leary i Alpert* wylecieli z Harvardu i założyli za rzeką, przy Emerson Place, swoją efemeryczną Federację na rzecz Wewnętrznej Wolności. Lata sześćdziesiąte, jakimi miały zostać zapamiętane, zawitały do Cambridge wcześniej niż do Emory. Niemniej transformacja epok nie była jeszcze kompletna. Tylko jeden samotny pacyfista stał na Harvard Square i spokojnie rozdawał ulotki, które potępiały rosnące

* Timothy Leary i Richard Alpert - dwaj guru kontrkultury, popularyzatorzy środków psychodelicznych.

182

zaangażowanie Ameryki w Wietnamie. Przy stoliku ustawionym koło kiosku z prasą dwójka studentów sprzedawała znaczki do przypinania z hasłami „Powstrzymać Goldwatera” i „LBJ 64”. Jakże szybko tracą złudzenia.

Jeff zszedł po schodach na stację metra, wsiadł do jednego ze starych, trolejbusowatych wagonów. Za Kenmore Square pociąg wyjechał na powierzchnię, przetoczył się nad rzeką Charles po moście Longfellowa. Z prawej strony Jeff widział robotników na rusztowaniu, wykańczających nowe Prudential Center. Budowa John Hancock Tower, z jej nieszczęsnymi wypadającymi z ram oknami, była nadal kwestią dalekiej przyszłości.

Co ma zrobić z tą przyszłością, pomyślał, z długimi latami, którym musiał stawić czoło, znów samotnie? Minął ponad rok, odkąd rozpoczął czwartą powtórkę swego życia, i utracił już cały optymizm, z jakim oczekiwał dzielenia tego cyklu z osobą, którą w pełni kochał, która dorównywała mu doświadczeniem i zrozumieniem.

Pamela pozostawała obcym dzieckiem, nieświadomym tego, kim i czym byli oboje poprzednio.

Może jej poglądy oparte na religiach Wschodu były słuszne, w sposób niezgłębiony dla nich obojga. Może w swoim ostatnim życiu osiągnęła pełne oświecenie i jej dusza czy esencja, czy cokolwiek to było, rozplynęła się w jakiejś formie nirwany. Kim jednak czyniło to niewinną dziewczynę, która mieszkała teraz w Westport? Czy była tylko skorupą ciała pozbawioną wszelkiej duchowości? Kopią prawdziwej Pameli Phillips, idącą przez to życie bez celu? Może należało ją porównać do ruchomego rekwizytu w sztuce czy filmie, do bezdusznego robota. Niepojęta zewnętrzna siła, która uruchomiła te powtórki, mogła się posługiwać ową fałszywą Pamelą wyłącznie po to, aby podtrzymać iluzję, że świat odgrywa swe normalne, pierwotne schematy, a jego wielomiliardowa obsada pozostaje bez zmian.

Ale na czyj benefis? Kto był publicznością, która miała zostać oszukana? Jeff? Sądził, że jest pierwszym i, dopóki nie spotkał Pameli, jedynym, któremu się to przytrafiło; ale może był ostatnim albo jednym z ostatnich ludzi zdających sobie sprawę z tych nie kończących się powtórzeń. Pamela wyznawała teorię, że powtórki będą trwałe, dopóki wszyscy mieszkańcy Ziemi nie uświadomią sobie, co się dzieje. Ale może to uświadomienie

183

miało się dokonywać po trochu, po jednej osobie, zamiast nagle objąć całą ludzkość. I gdy ta osoba pojmie prawdę, zacznie się zbliżać do uwolnienia od nieskończonych powrotów tego, co uważała niegdyś za rzeczywistość.

Oznaczało to, że cała historia ludzkości, przeszła i przyszła, mogła być jednym wielkim oszustwem: fałszywe świadectwa i wszczepione wspomnienia, zwodnicze nadzieje na przyszłość. Stworzenie gatunku ludzkiego, jego kultur, technologii i annałów, z góry wybranych przez jakąś niewidzialną moc, mogło nastąpić w 1963 roku... a całkowity okres pobytu ludzkości na Ziemi mógł nie sięgać w czasie subiektywnym dalej niż do roku 1988 albo niedługo potem. Ta rytmiczna pętla mogła obejmować całość ludzkiego doświadczenia i uzmysłowienie sobie tego faktu mogło być znakiem osiągnięcia przez daną jednostkę zenitu świadomości.

Co by oznaczało, że Jeff i wszyscy inni byli bezwiednymi po-wtórkowiczami od wieków, dosłownie od początku czasu; i że ten cykl mógł być jego ostatnim, jak poprzednia powtórka była ostatnim cyklem Pameli. Pozostali zaś ludzie istnieli albo w stanie przedświadomości, albo jako marionetki, których prawdziwe dusze i umysły przerosły ciała, co się zdarzyło Pameli. I nie sposób było odróżnić, które ze spotykanych przezeń osób nadal „spały”, jeśli można tak powiedzieć, a które weszły już na inny poziom bytu, pozostawiając swoje żywe podobizny jako część olbrzymiej dekoracji, jaką była Ziemia.

Nie mógł ogarnąć tego myślą naraz. Ale nawet zakładając, że była to prawda, miał na uporanie się z tą koncepcją jeszcze co najmniej dwadzieścia pięć lat powtórki. Teraz musiał zdecydować, jak poradzi sobie z codziennością tych lat, straciwszy jedyną idealną towarzyszkę życia, jaką kiedykolwiek miał.

Jeff wysiadł z metra na najbliższej stacji, szedł Charles Street, mijając kwaciarnie i kawiarnie. Z otwartych drzwi Turk's Head dolatywał nosowy głos jakiegoś folkowego pieśniarza, tablica wystawiona przed Loft obiecywała muzykę skiffle'ową w weekendy. Na Chestnut Street dostojne stare rezydencje, z których dużą część przerobiono na domy wielorodzinne, prezentowały fasadę miejskiego spokoju.

Co miał zrobić? Wrócić do Montgomery Creek? Spędzić resztę

184

tego życia - być może swego ostatniego - na kontemplowaniu niepojętości wszechświata? Może powinien podjąć jeszcze jeden, choć ostatecznie daremny, wysiłek, aby poprawić los ludzkości: ponownie założyć Future Inc. jako fundację charytatywną, wpompować wszystkie te setki milionów w Etiopię albo w Indie. Gdy wspinał się po schodach na swoje pierwsze piętro, jego umysł płynął pod prąd setek współzawodniczących ze sobą myśli i nierealnych opcji. A gdyby po prostu się poddał, popełnił samobójstwo, co wtedy? Czy...

Spod drzwi jego mieszkania wystawał na korytarz róg żółtej koperty. Jeff podniósł telegram, rozerwał go:

DZWONIĘ CAŁY DZIEŃ. GDZIE SIĘ PODZIEWASZ?

WRÓCIŁAM. WRÓCIŁAM. WRÓCIŁAM. NATYCHMIAST

TU PRZYJEDŹ. KOCHAM CIĘ.

PAMELA

Kiedy zajechał pod dom Phillipsów w Westport, było po jedenastej wieczorem. Chciał polecieć z lotniska Logan do Bridge-port, ale musiałby długo czekać na samolot. Uznał, że samochodem będzie na miejscu szybciej, i pokonał tę krótką trasę w rekordowym czasie.

Drzwi otworzył mu ojciec Pameli i Jeff zorientował się natychmiast, że nie będzie łatwo.

- Wiedz, że zgodziłem się na to spotkanie wyłącznie na skutek nalegań żony - oświadczył mężczyzna bez wstępów. - A ona ustąpiła wyłącznie z powodu gróźb Pam, że ucieknie z domu, jeśli nie pozwolimy jej z tobą porozmawiać.

- Przykro mi, że wynikła z tego taka kwestia - odparł Jeff z całą żarliwością, na jaką mógł się zdobyć. - Jak mówiłem w zeszłym roku, nigdy nie zamierzałem stwarzać problemów państwu rodzinie. To wszystko było przykrym nieporozumieniem.

- Żadne „nieporozumienie” już się nie powtórzy. Rozmawiałem z moim prawnikiem. Mówi, że jeszcze przed końcem tygodnia możemy uzyskać nakaz sądowy ograniczający ci swobodę ruchów. To oznacza, że zostaniesz aresztowany, jeśli choć zbliżysz się do mojej córki, zanim skończy osiemnaście lat. Więc

185

cokolwiek masz jej do powiedzenia, lepiej powiedz to dzisiaj. Rozumiemy się?

Jeff westchnął, spróbował zajrzeć do domu przez uchylone drzwi.

- Czy mógłbym się już zobaczyć z Pamelą, proszę pana? Nie będzie żadnych problemów. Długo czekałem, żeby z nią porozmawiać.

- Wejdz. Pam jest w salonie. Macie godzinę.

Matka Pameli musiała wcześniej płakać; jej oczy miały czerwone obwódki i wyraz przegranej. Piętnastoletnia córka, siedząca obok niej na kanapie, była dla odmiany całkowicie spokojna i tylko jej szeroki uśmiech zdradzał, że z trudem opanowuje radosną ulgę, którą wreszcie poczuła. Kucyki zniknęły; uczesała się mniej więcej w taką fryzurę, jaką nosiła po trzydziestce. Miała na sobie kaszmirowy sweter, beżową

węlnianą spódnicę, pończochy, buty na obcasie i była lekko, ale wprawnie umalowana. Zmiana, jaka w niej zaszła od czasu jego poprzedniej wizyty, dotyczyła jednak nie tylko wyglądu zewnętrznego. Spojrzawszy w jej czujne, mądre oczy, Jeff przekonał się natychmiast, że naprawdę jest to kobieta, którą kochał i z którą żył przez dziesięć lat.

- Cześć — powiedział, odwzajemniając jej uśmiech. — Chcesz poszybować? Wybuchnęła głębokim, gardłowym śmiechem pełnym dojrzałej ironii i wyrafinowania.

- Mamo, tato - powiedziała - to mój drogi przyjaciel Jeff Winston. Jak sądzę, już się spotkaliście.

- Jakim cudem nagle stwierdziłaś, że jednak znasz tego... człowieka?

Jeff widział, że ojciec również zauważył te zasadnicze zmiany w głosie i zachowaniu Pameli, i jest bardzo niezadowolony, że w jakiś niewytłumaczalny sposób jego córka stała się z dnia na dzień osobą dorosłą.

- Sądzę, że w zeszłym roku moja pamięć trochę szwankowała. Obiecałeś mi godzinę. Możecie nas już zostawić samych?

- Nie próbujcie wychodzić z domu - warknął ojciec, zwracając się do nich obojga. - Nawet nie ruszajcie się z salonu.

Pani Phillips z ociąganiem opuściła miejsce obok córki.

186

- Gdybyś nas potrzebowała, Pam, będziemy z ojcem w gabinecie.

- Dziękuję, mammo. Wszystko jest w porządku, zapewniam cię.

Rodzice wyszli z pokoju i Jeff chwycił Pamelę w ramiona, uściskał ją, jak mógł najmocniej, nie dusząc jej.

- Mój Boże - wychrypiął jej do ucha. - Gdzie byłaś? Co się stało?

- Nie wiem - odparła, odsuwając się, by na niego spojrzeć. - Umarłam na Majorce osiemnastego, tak jak się spodziewałam. I wróciłam dopiero dziś rano. Oślupiałam, gdy odkryłam, który jest rok.

- Ja też wróciłem później - wtrącił Jeff - ale tylko o jakieś trzy miesiące.

Czekałem na ciebie ponad rok.

Dotknęła jego twarzy, patrząc nań z tkliwym współczuciem.

- Wiem. Rodzice mi opowiedzieli, co się stało tamtego lata.
- Sama tego nie pamiętasz? Nie, oczywiście, że nie.

Ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Moje jedyne wspomnienia tego czasu pochodzą z mojego pierwszego życia i późniejszych powtórek. Jeśli o mnie chodzi, widziałam cię po raz ostatni dwanaście dni temu, na przystani w Puerto de Andraitx.

- Ta miniatura - powiedział z ciepłym uśmiechem. - Była doskonała. Żałuję, że nie mogłem jej zachować.

- Zachowałeś ją - odparła cicho. - Tam, gdzie najbardziej się to liczy.

Jeff skinął głową, znów ją uściskał.

- Jak mnie znalazłaś w Bostonie?
- Zadzwoiłam do twoich rodziców. Sprawiali wrażenie, jakby mniej więcej wiedzieli, kim jestem.
- Kiedy wybierałem się tu po raz pierwszy, powiedziałem im, że znam z uczelni dziewczynę, która pochodzi z Connecticut.
- Boże, Jeff, musiałeś się czuć okropnie, kiedy cię nie rozpoznałam.
- Owszem. Ale teraz, kiedy wróciłaś, cieszę się, że zobaczyłem, jaka naprawdę byłaś, mając czternaście lat.

Uśmiechnęła się szeroko.

187

- Na pewno pomyślałam, że przystojniak z ciebie, kimkolwiek jesteś. Nawet trochę się dziwię, że nie skłamałam i nie powiedziałam rodzicom, że cię znam.
- Zadzwoiłem do ciebie w marcu. Stwierdziłaś, że jestem „dziwny”... ale byłaś wyraźnie zaintrygowana.
- Nie wątpię.
- Pam? - zawołał z korytarza' ojciec. - Wszystko w porządku?
- Zero problemu - odparła.
- Masz jeszcze czterdzieści pięć minut - przypomniał jej i wycofał się w głąb

domu.

- Mamy spory problem - powiedział Jeff, z troską marszcząc czoło. - Według prawa jesteś nieletnia. Twój ojciec mówił o sądowym uniemożliwieniu mi kontaktów z tobą.

- Wiem - westchnęła. - To po części moja wina. Kiedy im powiedziałam dziś po południu, że spodziewam się twojego telefonu lub wizyty, wybuchła okropna awantura. Nie sądziłam, że kiedykolwiek o tobie słyszeli. Ojciec dostał szału, gdy wymieniłam twoje nazwisko, i obawiam się, że nie zareagowałam na to najlepiej. Nigdy nie słyszeli, żebym tak mówiła w tym wieku, nie licząc drugiej powtórki, kiedy się zbuntowałam. I oczywiście nie pamiętają tego.

- Myślisz, że twój ojciec naprawdę chce nas rozdzielić? Jeśli się uprze, może nieźle zatruć nam życie.

- Niestety, mówi poważnie. Przez jakiś czas może nam być ciężko.

- Moglibyśmy... uciec razem.

Pamela roześmiała się sucho.

- Nie. Zapomniałaś, że już tego próbowałam? Nie udało się wtedy i nie uda się teraz.

- Teraz mam pieniądze i mogę zdobyć ich tyle, ile będziemy potrzebować. Nie mieszkalibyśmy na ulicy.

- Pamiętaj, że jestem niepełnoletnia. Gdyby nas złapali, miałbyś duże kłopoty. Jeff zdobył się na uśmiech.

- Lolitka. Nawet mi się to podoba.

- Nie wątpię - zakpiła. - Ale to nie są żarty, zwłaszcza w tej epoce. „Lato miłości” będzie dopiero za trzy lata. W 1964 roku traktowano takie rzeczy bardzo, bardzo poważnie.

188

- Masz rację - zgodził się niechętnie. - Więc co, do diabła, zrobimy?

- Będziemy po prostu musieli trochę zaczekać. Za kilka miesięcy skończę szesnaście lat. Może wtedy, jeśli ich udobrucham, grając rolę posłusznej córeczki, pozwolą nam się spotykać.

- Chryste... Czekałem półtora roku, żeby być z tobą.
 - Nie wiem, co innego moglibyśmy zrobić - powiedziała ze współczuciem w głosie. - Ja też nie jestem tym zachwycona, ale nie sędzę, abyśmy mieli w tej chwili jakiś wybór.
 - Nie - przyznał. - Nie mamy.
 - Czym się będziesz zajmował przez ten czas?
 - Chyba wrócę do Bostonu. To miłe miasto, niezbyt daleko stąd, i jakoś się tam urządziłem. Pewnie popracuję nad budowaniem naszego kapitału, żebyśmy nie musieli zawracać sobie głowy zarabianiem pieniędzy, kiedy już pozwolą nam być razem. Mogę chociaż do ciebie dzwonić? Pisać?
 - Ale nie tutaj, jeszcze nie. Założę sobie skrytkę pocztową, żebyśmy mogli korespondować, i będę do ciebie dzwonić tak często, jak się da. Spoza domu, po szkole.
 - Jezu. Naprawdę znowu wracasz do liceum?
 - Muszę. - Wzruszyła ramionami. - Jakoś to wytrzymam. Chodziłam do szkoły tyle razy, że chyba znam wszystkie odpowiedzi do wszystkich testów.
 - Będę za tobą tęsknił... Wiesz o tym.
- Pocałowała go, długo i namiętnie.
- Ja też, kochanie. Ja też. Ale wiem, że warto zaczekać.

14.

Pamela poprawiła wstążkę biretu, popatrzyła na zatłoczoną salę i spostrzegła Jeffa, siedzącego obok jej rodziców. Matka promieniała radosną dumą. Pamela pochwyciła wzrok Jeffa, mrugnęła do niego i dostała w odpowiedzi kwaśny uśmiech. Oboje byli świadomi komicznej ironii tej uroczystości: ona, kobieta, która była już praktykującym lekarzem, wziętą malarką i sławną producentką filmową, miała wreszcie otrzymać dyplom ukończenia szkoły średniej. Po raz trzeci.

Wymagało to sporego hartu ducha i cieszyła się, że Jeff rozumie, jak męczące były dla niej minione trzy lata. On też musiał wrócić do szkoły, na poziomie college'u, podczas swojej drugiej powtórki; ale przechodzenie po raz czwarty przez liceum było

swoistym podkreśleniem piekła.

Wytrwałość jednak się opłacała, zgodnie z przewidywaniami Pameli. Jej rodzice trochę zmiękli, gdy skończyła szesnaście lat jako grzeczna, piątkowa uczennica nie zdradzająca żadnego zainteresowania chłopcami ze swojej domniemanej grupy wiekowej, i pozwolili im się widywać dwa razy w tygodniu. Jeff wynajął dla nich mieszkanie w Bridgeport i w każdy piątek i sobotę skrupulatnie odwoził ją do domu przed północą. Państwu Phillips mówili, że chodzą do kina. Gdyby ci zechcieli to kiedyś sprawdzić, mogli im z łatwością wyrecytować streszczenia takich filmów jak Morgan!, Georgy Girl czy Oto jest głowa zdrajcy, bo widzieli je w ciągu minionych lat co najmniej po dwa razy.

Kiedy negatywna rodzicielska presja zelżała, cały ten układ stał się nawet osobliwie zabawny. Ograniczenia czasowe i konieczna potajemność ich związku rodziły słodkie erotyczne napięcie. Kochali się swymi świeżymi młodymi ciałami, jakby nigdy dotąd nie uprawiali seksu, jakby nigdy nie przeżywali takiej zmysłowej rozkoszy - ze sobą ani z nikim innym.

190

Jeśli rodzice Pameli mieli jakieś podejrzenia, że ich córka współżyje z Jeffem - a musieli je mieć, teraz już na pewno - zachowywali godne podziwu milczenie. Ich pierwotną ostrożną tolerancję wobec Jeffa szybko zastąpiła akceptacja, potem aproba i w końcu szczerą sympatią. Czteroletnia przepaść wiekowa, która tak ich niepokoiła, kiedy on miał lat osiemnaście, a ona czternaście, stała się całkowicie konwencjonalną różnicą, kiedy skończyli po dwadzieścia dwa i osiemnaście. Poza tym, w tej epoce LSD i swobody seksualnej rodzice musieli czuć ulgę, że Pamela związała się na stałe z takim porządnym, dobrze wychowanym i zamożnym młodym człowiekiem.

Ostatnie dyplomy zostały wręczone i świeżo upieczeni absolwenci zbiegli z podium, wydając hałaśliwe okrzyki. Pamela spokojnie skierowała się w stronę Jeffa i rodziców.

- Och, Pam - zawołała matka - wyglądałaś tam tak ślicznie! Przyćmiłaś wszystkich innych.

- Gratulacje, kochanie - dodał ojciec, obejmując ją.
- Oddam biret i togę - powiedziała Pamela do Jeffa - i możemy startować.
- Naprawdę musicie już jechać? - spytała ze smutkiem matka. - Moglibyście zostać na kolacji i wyruszyć jutro wcześniej rano.
- Rodzice Jeffa spodziewają się nas w czwartek wieczorem, mamó. Naprawdę powinniśmy dziś dotrzeć co najmniej do Waszyngtonu. Potrzymaj to - zwróciła się do Jeffa, podając mu zrolowany dyplom. - Zaraz wracam.

W szatni dla dziewcząt zdjęła czarną bawełnianą togę, włożyła niebieską spódnicę i białą bluzkę. Kilka koleżanek pogratulowało jej nieśmiało, a ona im, ale była subtelnie wyłączona z ich wspólnoty, z ich podnieconej paplaniny o chłopcach, planach na lato i college'ach, do których miały pójść na jesieni. Przyjaźniła się z tymi dziewczętami w swoim pierwotnym życiu; w pełni dzieliła z nimi wszystkie przygody, żarty i ostrożne pierwsze kroki w kobiecość. Ale tym razem, podobnie jak wtedy, gdy wróciła do liceum na początku pierwszej powtórki, istniała między nimi przepaść, którą koleżanki wyczuwały, choć nie były w stanie zrozumieć, na czym polega. Pamela zachowywała dystans, ignorowała towarzyskie aspekty wieku dojrzewania, ro-

191

biła to, co musiała robić, aby spełnić złożoną rodzicom obietnicę, że skończy szkołę, zanim opuści dom, aby być z Jeffem. Teraz ten dzień nadszedł i miała nadzieję, że ograniczy krępujące pożegnania do minimum.

Skończyła się przebierać, wróciła do stopniowo pustoszejącej auli, gdzie czekali na nią rodzice i mężczyzna, z którym miała spędzić resztę życia.

- Więc naprawdę uważasz - mówił jej ojciec do Jeffa - że powinienem przytrzymać te ćwierćdolarówki?

- Tak, proszę pana - odparł Jeff. - To doskonała inwestycja długoterminowa. Za dziesięć do dwunastu lat przyniesie bardzo duże zyski.

Pamela domyśliła się, że ojciec zadał to pytanie, aby rozładować napięcie, i była mu wdzięczna. Ta wymiana zdań potwierdziła, że nauczył się szanować Jeffa jako przenikliwego, pomysłowego inwestora, który dobrze zadba o jego córkę. Jeff sam

kupił wycofywane z obiegu srebrne dziesięciocentówki i ćwierćdolarówki wartości kilku tysięcy dolarów i poradził panu Phillipsowi, aby zrobił to samo. Było to logiczne, konserwatywne posunięcie finansowe, które nie mogło go przestraszyć podejrzaną prędkością zysku ani zaniepokoić jako zbyt ryzykowne. Niemniej miało zapocentować w swoim czasie, konkretnie w styczniu 1980 roku, kiedy nielegalne manipulacje braci Hunt na rynku srebra wywindują cenę tego szlachetnego metalu do pięćdziesięciu dolarów za uncję. Jeff powiedział Pamelii, że skontaktuje się wówczas z jej ojcem i dopilnuje, aby pozbył się monet przed gwałtownym spadkiem ceny, który nastąpi wkrótce potem.

- Długo zostanieie w Orlando, kochanie? - zapytała matka.
- Tylko kilka dni - odparła Pamela. - Potem pojedziemy na Keys, może na parę tygodni wynajmiemy łódź.
- Postanowiliście już, gdzie zamieszkacie... po wakacjach?

Był to nadal punkt zapalny. Chociaż rodzice wiedzieli, że pod względem materialnym niczego Pamelii nie zabraknie, ubolewali nad tym, że nie chce pójść na studia.

- Nie, mamó. Może w Nowym Jorku, ale nie jesteśmy pewni.
- Zdażysz się jeszcze zapisać na Uniwersytet Nowojorski. Wiesz, że wyniki egzaminu państwowego dają ci wstęp automatycznie.

192

- Zastanowię się nad tym. Co z samochodem, Jeff?
- Spakowany, z pełnym bakiem, gotów do drogi.

Pamela uściskała rodziców, nie mogąc powstrzymać łez, które nabiegły jej do oczu. Chcieli dla niej jak najlepiej, nie wiedzieli, że ich płynące z serca wskazówki i zakazy były od dawna niepotrzebne; nie mogła ich za to winić. Ale teraz, nareszcie, ona i Jeff byli naprawdę wolni: wolni, aby być sobą, aby wyruszyć w ten znajomy świat jako niezależni dorośli - dorośli po wiele-kroć - którymi zawsze byli pod swą zwodniczo młodzieńczą powierzchownością. Po tym wszystkim, co przeszli, był to obiecujący dzień.

Pamela wydzwignęła się z wody jednym zwinnym ruchem, wspięła się po krótkiej

drabince przy rufie łodzi i złapała ręcznik, który Jeff jej rzucił, gdy stanęła na pokładzie.

- Piwo? - zapytał, sięgając do lodówki.

- Bardzo chętnie - odparła, owijając nagie ciało wielkim niebieskim ręcznikiem i energicznie potrząsając włosami.

Jeff otworzył dwie butelki Dos Equis, podał jej jedną i wyciągnął się na płóciennym leżaku.

- Przyjemna kąpiel? - Uśmiechnął się szeroko.

- Mmm - zamruczała z zadowoleniem, przyciskając lodowatą butelkę do twarzy.

- Ta woda jest niemal jak jacuzzi.

- Gólsztrom. Tu zaczyna się ciepły prąd biegnący przez cały Atlantyk. Siedzimy dokładnie nad grzejnikiem, który chroni Europę przed nową epoką lodowcową.

Pamela wystawiła twarz do słońca, zamknęła oczy i zaciągnęła się świeżym, słonym powietrzem. Nagle jakiś dźwięk wyrwał ją z zadumy i podniósłszy wzrok, zobaczyła, jak wielka biała czapla śmiga elegancko nad łodzią, wyciągając długie nogi i spiczasty dziób w aerodynamicznej symetrii, i pikuje ku brzegowi bezimiennej wysepki, przy której zacumowali tego ranka.

- Boże - westchnęła. - Chciałabym zostać tu na zawsze.

Jeff uśmiechnął się, podniósł swoją butelkę piwa w niemym znaku zgody.

Pamela podeszła do burty, oparła się o reling i popatrzyła na migocące niebieskozielone morze, z którego przed chwilą

193

wyszła. W oddali, ku zachodowi, spokojną wodę kotłowały baraszkuje delfiny.

Obserwowała je przez kilka chwil, po czym odwróciła się do Jeffa.

- Unikamy pewnego tematu - powiedziała. - Powinniśmy coś przedyskutować i nie robimy tego.

- O co ci chodzi?

- Dlaczego tym razem minęło tyle czasu, zanim wróciłam. Dlaczego straciłam półtora roku. Ignorowaliśmy ten problem zbyt długo.

Była to prawda. Nie rozmawiali dotąd o tym niepokojącym odchyleniu od cyklicznego schematu, do którego tak oboje przywykli. Jeff po prostu się cieszył, że ją odzyskał, a ona odłożyła swoje zmartwienia na bok, koncentrując się na żmudnym zadaniu ukończenia szkoły i delikatnej dyplomacji przekonywania rodziców, że musi być z Jeffem.

- Dlaczego chcesz mówić o tym teraz? - zapytał i jego opalone czoło przecięła zmarszczka.

Wzruszyła ramionami.

- Prędzej czy później będziemy musieli.

Spojrzał na nią błagalnie.

- Nie musimy się o to martwić jeszcze przez dwadzieścia lat. Nie możemy po prostu cieszyć się życiem? Rozkoszować się chwilą obecną?

- Nie będziemy w stanie całkowicie tego zignorować - odparła łagodnie. - Wiesz o tym.

- Uważasz, że dojdziemy, dlaczego tak się stało, skoro nie potrafimy rozszyfrować innych aspektów powtórek? Sądziłem, że już to uzgodniliśmy.

- Nie chodzi mi o „dlaczego” ani „jak”. Ale zastanawiałam się nad tym i myślę, że może być to część jakiegoś ogólnego schematu, a nie jednorazowa aberracja.

- Dlaczego? Wiem, że sam wróciłem tym razem trzy miesiące później niż zwykle, ale nigdy dotąd się to nie zdarzyło żadnemu z nas.

- Na pewno nigdy do tego stopnia, ale praktycznie od początku w powtórkach występował pewien... skok. Teraz po prostu zaczął przyspieszać.

- Skok?

194

Skinęła głową.

- Zastanów się. Na początku drugiej powtórki nie znalazłeś się w swoim pokoju w akademiku, tylko w kinie, z Judy.

- Było to tego samego dnia.

- Tak, ale... osiem, dziewięć godzin później. A ja za pierwszym razem wróciłam wczesnym popołudniem, a za drugim w środku nocy. Jakies dwanaście godzin

później.

Jeff zamyślił się.

- Za trzecim razem - czyli ostatnim przed tym - kiedy byłem w samochodzie Martina z Judy...

- Tak? - ponagliła go.

- Założyłem, że jest to ten sam wieczór, że wracamy do domu z kina po obejrzeniu Ptaków. Byłem tak przygnębiony stratą córki, Gretchen, że nie zwracałem na nic większej uwagi. Po prostu się upiłem i nie trzeźwiałem przez kilka dni. Ale miałem wrażenie, że Derby Kentucky nadeszło tym razem dużo szybciej.

Obstawiłem je przez Franka Maddocka za ledwie w przeddzień wyścigu. I chociaż byłem roztrzęsiony, ulżyło mi, że przynajmniej nie zmarnowałem tej okazji.

Myślałem, że straciłem poczucie czasu przez picie, ale mogłem zacząć powtórkę dwa, trzy dni później. Mogłem wracać do domu z zupełnie innej randki z Judy.

Pamela skinęła głową.

- Ja też nie spojrzalam wtedy w kalendarz - powiedziała. - Ale pamiętam, że oboje rodzice byli tego ranka w domu, więc musiał być weekend. A poprzednią powtórkę zaczęłam we wtorek, 30 kwietnia. Więc skok wynosił ze cztery dni, może pięć.

- Jak to możliwe, że zwiększył się od kilku dni do... miesięcy? Do ponad roku w twoim przypadku?

- Może skok rośnie w postępie geometrycznym. Sądzę, że gdybyśmy znali dokładne różnice czasowe między naszymi powtórkami, moglibyśmy to rozgryźć, może nawet przewidzieć, ile wyniesie... następnym razem.

Na myśl o śmierci i o kolejnej, być może jeszcze dłuższej, rozłące oboje nagle zamilkli. Czaple na ustronnej plaży majestatycznie stąpały tam i z powrotem na swoich wrzecionowatych nogach, samotne i dalekie. Delfiny odpłynęły, morze na zachodzie znów było spokojne.

195

- Ale już na to za późno, prawda? - odezwał się Jeff. Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. - Nie będziemy w stanie odtworzyć tych odchyłeń. Nie zwracaliśmy na

nie wtedy uwagi.

- Nie mieliśmy powodu. Wszystko było takie nowe, a skok był niewielki.

Martwiliśmy się o inne rzeczy.

- Więc nie ma sensu spekulować. Jeśli skok rośnie w postępie geometrycznym, od godzin i dni do miesięcy, to wyliczając go w przybliżeniu, możemy się pomylić o całe lata.

Pamela utkwiała w nim długie, nieruchome spojrzenie.

- Może ktoś inny potraktował skok z większą uwagą.

- Jak to „ktoś inny”?

- Ty i ja odnaleźliśmy się właściwie przypadkiem, ponieważ zorientowałeś się, że Gwiezdne morze to coś nowego, i byłeś w stanie załatwić sobie spotkanie ze mną. Ale mogą istnieć inni powtórkowicze, wiele osób. Nigdy nie próbowaliśmy ich odszukać.

- Skąd wiesz, że istnieją?

- Nie wiem tego, ale nie spodziewałam się również, że spotkam ciebie. Jeżeli jest nas dwoje, to dlaczego nie więcej?

- Nie sądzisz, że już byśmy o nich usłyszeli?

- Niekoniecznie. O moich filmach było bardzo głośno i twoja interwencja w zamach na Kennedy'ego odbiła się w szerokich kręgach. Ale poza tym, jaki dostrzegalny wpływ którekolwiek z nas wywarło na społeczeństwo? Nawet twoja firma była pewnie znana tylko w kołach finansowych. Wiem, że ja o niej nie słyszałam, gdy studiowałam medycynę i pracowałam w szpitalu. Inni powtórkowicze mogli spowodować rozmaite drobne, lokalne zmiany, których po prostu nie zauważyliśmy.

Jeff zastanawiał się chwilę.

- Oczywiście często o tym myślałem. Ale byłem zbyt pochłonięty własnymi przeżyciami, żeby coś w tej sprawie zrobić -dopóki nie zobaczyłem Gwiezdnego morza i nie spotkałem ciebie.

- Może już czas, żebyśmy coś zrobili. Coś prostszego i bardziej bezpośredniego niż to, czego próbowałam dokonać, kiedy się poznaliśmy. Jeśli są gdzieś inni

powtórkowicze, moglibyśmy wszyscy dużo się dowiedzieć. Mielibyśmy się czym podzielić.

196

- To prawda - przyznał Jeff z uśmiechem. - Ale w tej chwili jedyną osobą, z którą chcę cokolwiek dzielić, jesteś ty. Długo czekaliśmy, żeby znowu być razem.

- Za długo.

Odwzajemniła jego uśmiech, odwiązała niebieski ręcznik frotté i pozwoliła, aby opadł na zalany słońcem drewniany pokład.

Zamieścili to drobne ogłoszenie w „New York Times”, „Post” i „Daily News”; w „Los Angeles Times” i „Herald - Examiner”; w „Le Monde”, „L'Express” i „Paris Match”; w „Asahi Shimbun” i „Yomiuri Shimbun”; w „London Times”, „Evening Standard” i „Sun”; w „O Estado de Sao Paulo” i „Jornal do Brasil”. Biorąc pod uwagę swoje zainteresowania podczas różnych powtórek, drukowali je też regularnie w „Journal of the American Medical Association”, „Lancet” i „Le Concours Médical”; w „Wall Street Journal”, „Financial Times” i „Le Nouvel Economiste”; w „Daily Variety” i „Cahiers du Cinéma”; w „Playboy”, „Penthouse”, „Mayfair” i „Lui”.

W sumie w ponad dwustu gazetach i czasopismach na świecie ukazywał się pozornie niewinny tekst, całkowicie niezrozumiały dla wszystkich, oprócz nielicznych, nieznanych, być może nie istniejących osób, do których był skierowany.

Pamiętasz Watergate? Lady Dianę? Katastrofę promu kosmicznego?

Ajatollaha? Rocky'ego? Flashdance?

Jeśli tak, nie jesteś sam.

Kontakt: skrytka poczt. 1988, Nowy Jork, NY 10001.

- Następny list z banknotem jednodolarowym - powiedział Jeff, odkładając kopertę na bok. - Dlaczego, do diabła, tylu z nich sądzi, że coś sprzedajemy?

Pamela wzruszyła ramionami.

- Bo większość ludzi coś sprzedaje.

- Jeszcze gorsi są ci, którzy myślą, że to jakiś konkurs. Jeśli nie będziemy ostrożni, możemy mieć kłopoty.

- Jakie kłopoty?

- Z dyrekcją poczty. Trzeba ułożyć list z wyjaśnieniem, że
197

nie chcemy nikogo na nic naciągnąć, i wysłać go do wszystkich tych ludzi. Zwłaszcza do tych, którzy przysłali pieniądze. Musimy je wszystkie zwrócić. Nie potrzeba nam żadnych skarg.

- Przecież niczego nie oferujemy - zaprotestowała Pamela.

- Nie szkodzi — odparł Jeff. — Jak w 1967 roku wytłumaczysz inspektorowi pocztowemu, co znaczy „Watergate”?

- Chyba masz rację. - Otworzyła kolejną kopertę, przebiegła list wzrokiem i wybuchnęła śmiechem. - Posłuchaj tego. „Przyślijcie mi, proszę, więcej informacji o waszym kursie doskonalenia pamięci. Nie przypominam sobie żadnej z rzeczy, które wymieniliście w ogłoszeniu”.

Jeff zachichotał jej do wtóru, zadowolony, że nie straciła poczucia humoru. Wiedział, ile te poszukiwania dla niej znaczą. Różnice między początkowymi datami jej powrotów były dużo większe niż w jego przypadku i jeśli postępowały wzdłuż krzywej, która jednym skokiem wydłużyła cztery dni opóźnienia aż do półtora roku, czas trwania jej następnej powtórki mógł ulec poważnemu skróceniu. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale oboje zdawali sobie sprawę, że Pamela może już w ogóle nie wrócić.

Przez minione cztery miesiące dostali setki listów, których autorzy w większości zakładali, że jest to jakiś konkurs albo reklama - nakłaniająca do rozmaitych rzeczy: od zaprenumerowania czasopisma po przystąpienie do różokrzyżowców. Kilka było intrygująco niejasnych, ale po sprawdzeniu okazały się nic nie warte. Najbardziej obiecująca ze wszystkich, choć irytująca, była lakoniczna odpowiedź ze stemplem pocztowym z Sydney w Australii, bez podpisu i adresu zwrotnego: „Nie tym razem”, głosiła. „Czekajcie”.

Jeff zaczął wątpić w całe to przedsięwzięcie. Warto było spróbować i uważał, że zrobili to najlepiej, jak mogli, ale nie uzyskali spodziewanych rezultatów. Może inni powtórkowicze naprawdę nie istnieli albo, jeśli istnieli, nie chcieli się ujawnić. Jeff utwierdzał się jednak w przekonaniu, że on i Pamela są w tym sami i sami pozostaną.

Otworzył następną kopertę z dziennej sterty, gotów dorzucić ją do innych bezużytecznych odpowiedzi od dezorientowanych ludzi; ale pierwsza linijka przykuła jego uwagę i przeczytał krótki list zdumiony i oszołomiony.

198

Drogi ogłoszeniodawco,

Zapomniałeś wymienić Chappaquiddick*. Powtórzy się już niedługo. I co z tylenolowymi morderstwami** albo z zestrzeleniem koreańskiego 747 przez Sowieców? Wszyscy o tym pamiętają.

Gdybyś chciał pogadać, wpadnij do mnie. Będziemy mogli wspominać dobre stare przyszłe czasy.

Stuart McCowan, 382 Strathmore Drive, Crossfield, Wisconsin

Jeff przyjrzał się podpisowi, porównał adres ze stemplem pocztowym. Zgadzały się.

- Pamela - wyszeptał.

- Hmm? - Podniosła wzrok znad koperty, którą zamierzała rozerwać. - Znów coś zabawnego?

Jeff popatrzył na tę ładną, uśmiechniętą twarz, którą znał i kochał tak dziwnie nie po kolei: najpierw dojrzał, a dopiero teraz młodą. Ogarnęło go jakieś mgliste złe przecucie, jakby ktoś obcy miał wtargnąć w ich bliskość, zniszczyć ich wspólną wyjątkowość. Znaleźli to, czego szukali, ale teraz nie był pewien, czy w ogóle powinni byli rozpocząć poszukiwania.

- Przeczytaj to - powiedział i podał jej list.

Kiedy ich wielki plymouth fury wjechał do Crossfield, jakieś trzydzieści pięć mil na południe od Madison, ze stalowo-szarego nieba zaczął sypać lekki śnieg. Siedząca na fotelu pasażera Pamela darła chusteczkę higieniczną na cienkie paski,

* Chappaquiddick - wyspa u wybrzeży Massachusetts, gdzie w 1969 roku Edward Kennedy, brat Johna, miał wypadek - prowadzone przez niego auto spadło z mostu. Kennedy się uratował, a jego towarzyszka podróży, 27-letnia Mary Jo Kopechue utonęła, Kennedy zgłosił wypadek dopiero dzień później. W wyniku tego zdarzenia jego kariera polityczna załamała się.

** W 1982 r. w rejonie Chicago siedem osób zmarło na skutek zażycia kapsulek

środka przeciwbólowego Tylenol zatrutych cyjankiem przez nieznanego sprawcę i podrzuconych na sklepowe półki.

199

które zgniatała pojedynczo w kulki i wkładała do popielniczki. Jeff nie był świadkiem tego jej nerwowego zwyczaju od owego wieczoru w restauracji w Malibu, kiedy się poznali, dziewiętnaście lat wstecz i za lat pięć jednocześnie.

- Nadal uważasz, że to tylko jeden człowiek? - zapytała, patrząc na nagie zimowe szkielety brzoź, którymi wysadzone były ulice tego małego miasteczka.

- Raczej tak - odparł Jeff, wypatrując przez śnieg czarno-szarych tabliczek z nazwami ulic. - Według mnie ta uwaga, że „wszyscy” pamiętają sprawę Tylenolu i koreański samolot, nic nie znaczyła. Jestem pewien, że miał na myśli ludzi w ogóle, po tych wydarzeniach, a nie jakąś grupę powtórkowiczów, których zebrał razem.

Pamela skończyła rwać jedną chusteczkę, sięgnęła po następną.

- Nie wiem, czy chcę, żeby to była prawda, czy wręcz przeciwnie - powiedziała z zakłopotaniem. - Z jednej strony, niesamowicie by mi ulżyło, gdybym poznała całą sieć ludzi, którzy rozumieją, co przeszliśmy. Ale nie jestem pewna, czy dojrzałam do tego, żeby sobie poradzić z... z taką ilością tak znajomego bólu. Albo usłyszeć wszystkie rzeczy, których mogli się dowiedzieć o powtórkach.

- Sądziłem, że właśnie o to ci chodzi.

- Tak, ale teraz, gdy jesteśmy tak blisko, trochę się boję. Czułabym się dużo pewniej, gdybyśmy mogli do niego zadzwonić, zorientować się, kim jest. Nie znoszę takich spotkań w ciemno.

- Na pewno się nas spodziewa. Wie, że nie odrzucimy jego zaproszenia, skoro zadaliśmy sobie tyle trudu, aby go odnaleźć.

- Strathmore! - zawołała Pamela, wskazując przecznicę, która biegła pod górę z lewej strony.

Jeff minął już skrzyżowanie, więc zawrócił i skręcił w szeroką, pustą ulicę.

Numer 382 był samotnym dwupiętrowym wiktoriańskim domem po drugiej stronie wzgórza. A właściwie całą posiadłością z rozległymi, dobrze utrzymanymi gruntami za murem z grubo ciosanego kamienia. Gdy przejeżdżali przez okazałą

bramę, Pamela zaczęła drzeć kolejną chusteczkę, ale Jeff przytrzymał jej nerwową dłoń i uśmiechnął się serdecznie, by dodać jej otuchy.

Zaparkowali pod szerokim portykiem, zadowoleni z osłony przed syjącym coraz mocniej śniegiem. Na frontowych drzwiach wisiała ozdobna mosiężna kołatka, ale Jeff znalazł dzwonek i nacisnął go.

Drzwi otworzyła starsza, tęga kobieta w poważnej brązowej sukni z białym kołnierzykiem.

- Słucham państwa? - powiedziała.
- Czy zastaliśmy pana McCowana?

Kobieta zmarszczyła brwi ponad dwuogniskowym pince-nez.

- Kogo?
- Pana McCowana, Stuarta McCowana. Mieszka tutaj?
- Boże, chodzi o Stuarta. Oczywiście. Czy są państwo umówieni?
- Nie, ale sądzę, że się nas spodziewa. Gdyby zechciała mu pani powiedzieć, że przyjechali jego znajomi z Nowego Jorku, na pewno...
- Znajomi? - Jej mars się pogłębił. - Są państwo znajomymi Stuarta?
- Tak, z Nowego Jorku.

Kobieta była wyraźnie spłoszona.

- Obawiam się, że... Może wejdą państwo do środka z tego zimna i na chwilę usiądą? Zaraz wracam.

Jeff i Pamela weszli do pachnącego stęchlizną hallu i usiedli na twardej kanapie z wysokim oparciem, a kobieta zniknęła w jakimś korytarzu.

-Jest ich więcej - wyszeptala Pamela. - Ten dom nawet nie należy do niego.

Pokojówka zna tylko jego imię. To jakaś komuna albo...

Z korytarza wyłonił się wysoki, siwowłosy mężczyzna w twee-dowym garniturze; pulchna kobieta w pince-nez przydreptała za nim.

- Mówią państwo, że są znajomymi Stuarta McCowana? -zapytał.
- Jesteśmy... Korespondujemy z nim - odparł Jeff, wstając.

- Kto zainicjował tę korespondencję?
- Jesteśmy tu na wyraźne zaproszenie pana McCowana. I przyjechaliśmy aż z Nowego Jorku, więc gdyby mógł pan dać mu znać, że...
- Czego dotyczyła państwa korespondencja ze Stuartem?
- Nie sądzę, aby była to pana sprawa. Proszę spytać jego samego.
- Sprawy Stuarta są moimi sprawami. Jest pod moją opieką.

Jeff i Pamela wymienili szybkie spojrzenia.

- Jak to, pod pana opieką? Jest pan lekarzem? Pan McCo-wan jest chory?
- Dość poważnie. Dlaczego interesuje państwa jego przypadek? Jesteście dziennikarzami? Nie toleruję naruszania prywatności moich pacjentów, więc jeśli reprezentują państwo jakąś gazetę, proszę natychmiast stąd odejść.
- Nie, żadne z nas nie jest dziennikarzem.

Jeff podał mu wizytówkę, na której figurował jako doradca finansowy, i przedstawił Pamelę jako swoją współpracowniczkę.

Wyraz napięcia na twarzy mężczyzny zastąpił przeproszający uśmiech.

- Proszę mi wybaczyć, panie Winston. Gdybym wiedział, że chodzi o interesy... Jestem lekarzem, nazywam się Joel Pfeiffer. Rozumieją państwo, że starałem się tylko ochronić Stuarta. To bardzo ekskluzywna, bardzo dyskretna placówka i...
- Więc nie jest to dom pana McCowana? To jakiś szpital?
- Tak, to klinika.
- Ma kłopoty z sercem? Jest pan kardiologiem?

Lekarz zmarszczył czoło.

- Nie znają państwo jego historii?
- Nie. Nasze powiązania mają charakter czysto... biznesowy. Chodzi o inwestycje.

Pfeiffer skinął głową ze zrozumieniem.

- Mimo swych innych problemów Stuart zachowuje znakomite wyczucie rynku. Popieram jego zaangażowanie w sprawy finansowe. Oczywiście wszystkie zyski przejmuje zarząd powierniczy, ale może kiedyś, jeśli jego stan nadal będzie się poprawiał...

- Chce pan powiedzieć, że jest to... szpital dla umysłowo chorych?

- Nie szpital. Prywatna klinika psychiatryczna.

Chryste, pomyślał Jeff. Więc o to chodzi; w którymś momencie McCowan powiedział za dużo niewłaściwym ludziom i ci oddali go do zakładu. Zerknął na Pamelę, zorientował się, że ona również pojęła to w lot. Oboje od początku zdawali sobie sprawę, że jeśli zbyt otwarcie wyznają, co przeżyli, osoby postronne mogą ich uznać za pomyłonych. Teraz uzyskali żywy dowód tego niebezpieczeństwa.

Lekarz błędnie zinterpretował ich wymianę spojrzeń.

- Mam nadzieję, że nie zrazili się państwo do Stuarta - powiedział z troską w głosie. - Zapewniam, że jego zmysł finansowy pozostaje przez cały ten czas bez zarzutu.

- Jego... stan nie ma dla nas znaczenia - odrzekł Jeff. - Doskonale wiemy, jak rozsądnie zarządza swoim portfelem akcji.

To kłamstwo wyraźnie uspokoiło Pfeiffera. Jeff domyślał się, że fundusz powierniczy McCowana odgrywa znaczną rolę w utrzymaniu kliniki, być może nawet powstała ona dzięki niemu.

- Możemy się z nim teraz zobaczyć? - zapytała Pamela. - Gdybyśmy znali sytuację wcześniej, naturalnie umówilibyśmy się na tę wizytę za pana pośrednictwem, ale skoro już przyjechaliśmy z tak daleka...

- Oczywiście - zapewnił ją doktor Pfeiffer. - Nie mamy sztywnych godzin odwiedzin, mogą państwo zobaczyć się z nim natychmiast. Marie - zwrócił się do siwowłosej kobiety - zechcesz poprosić, aby przyprowadzono Stuarta do salonu? W okiennej wnęce pokoju, do którego wprowadził ich doktor Pfeiffer, siedziała ładna młoda kobieta w żółtej sukience z koronki. Obserwowała padający śnieg, ale odwróciła się z nadzieją w oczach, kiedy weszli.

- Dzień dobry - powiedziała. - Przyszliście do mnie?

- Państwo przyszli do Stuarta, Melindo - wyjaśnił jej łagodnie lekarz.

- Nie szkodzi - stwierdziła z radosnym uśmiechem. - Ktoś przyjdzie do mnie w środę, prawda?

203

- Tak, twoja siostra będzie tu w środę.
- Ale mogę poczęstować gości Stuarta herbatą i ciastem, prawda?
- Jeśli mają ochotę, oczywiście.

Melinda oderwała się od białego tła okna.

- Macie ochotę na herbatę i ciasto? - zapytała uprzejmie.
- Tak, dziękujemy - odparła Pamela. - To bardzo miło z twojej strony, Melindo.
- Więc pójdę po nie. Herbata jest w kuchni, a ciasto w moim pokoju. Upiekła je moja mama. Zaczekacie?

- Oczywiście. Nie ruszymy się stąd.

Wyszła z salonu bocznymi drzwiami i po chwili dały się słyszeć jej szybkie kroki na schodach. Jeff i Pamela rozejrzeli się po otoczeniu: wygodne skórzane fotele ustawione w półkolu przed ceglanym kominkiem, w którym płonęły jasno dwa polana; stonowana niebieska tapeta w delikatny deseń fleur-de-lis; lampa Tiffany'ego wisząca w przeciwległym rogu pokoju, nad mahoniowym stołem, na którym ktoś zostawił nie dokończony puzzle przedstawiający motyla, monarcha wędrownego. Pluszowe, ciemnoniebieskie kotary odsłaniały zaśniewany widok ze wzgórza.

- Całkiem tu miło - powiedział Jeff. - To miejsce wcale nie wygląda jak...
- Jak to, czym jest? - Lekarz się uśmiechnął. - Staramy się stworzyć naszym pensjonariuszom możliwie normalne i przyjemne środowisko. Jak państwo widzą, w oknach nie ma krat, personel nie chodzi w kitlach. Uważam, że taka atmosfera przyspiesza proces zdrowienia i ułatwia powrót do codziennego życia, gdy pacjent może już iść do domu.

- A co ze Stuartem? Sądzi pan, że będzie mógł niedługo stąd odejść?

Pfeiffer ściągnął wargi, spojrział przez okno na padający równo śnieg.

- Odkąd został tu przeniesiony, jego stan ogromnie się poprawił. Jestem bardzo dobrej myśli. Naturalnie są komplikacje, kilka kwestii prawnych, które...

Do pokoju wszedł drobny, trzydziestoparoletni mężczyzna o ziemistej cerze, a za nim

muskularny młody człowiek w dżin-

204

A

sach i szarym wełnianym swetrze. Mężczyzna był ubrany w niebieskie spodnie, wyglansowane do połysku włoskie buty i białą koszulę bez krawata. Włosy nieco rzedniały mu na czubku głowy i miał zakola.

- Stuart - odezwał się lekarz wylewnym tonem. - Masz niespodziewanych gości. Zdaje się, że to twoi partnerzy w interesach, z Nowego Jorku. Jeff Winston, Pamela Phillips. Stuart McCowan.

Przedwcześnie łysiejący mężczyzna uśmiechnął się sympatycznie i wyciągnął rękę.

- Nareszcie - powiedział, ściskając najpierw dłoń Jeffa, a potem Pameli. - Długo czekałem na tę chwilę.

- Wiem, co czujesz - odparł cicho Jeff.

- To ja już pójdę - oświadczył doktor Pfeiffer. - Niestety, Mike musi zostać. To wymóg narzucony nam przez sąd. Nie mam wyboru w tej kwestii. Ale nie będzie wam przeszkadzał. Możecie rozmawiać jak najbardziej prywatnie.

Krzepki pielęgniarz skinął głową, usiadł przy stole pod lampą Tiffany'ego i kiedy lekarz wyszedł z salonu, zaczął pracować nad puzzlami.

- Usiądźmy - zaproponował Stuart, wskazując fotele przy kominku.

- Boże - powiedział Jeff ze współczuciem - to musi być dla ciebie okropne. Stuart zmarszczył brwi.

- Jest tu całkiem nieźle. Dużo, dużo lepiej niż w innych miejscach.

- Nie chodzi mi o sam ten szpital, tylko o to, że w ogóle cię to spotkało. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby cię stąd jak najszybciej wyciągnąć. Mam w Nowym Jorku znakomitego prawnika. Dopilnuję, żeby przyleciał tu jutro pierwszym samolotem. Na pewno uda mu się to załatwić.

- Doceniam twoją troskę, ale to nie takie proste.

- W jaki sposób...

- Herbata i ciasto - oznajmiła pogodnie Melinda, wchodząc do pokoju ze srebrną

tacą.

- Dziękuję, Melindo - powiedział Stuart. - Jesteś bardzo

205

kochana. Przedstawiam ci moich znajomych, Jeffa i Pamelę. Pochodzą z moich czasów, z lat osiemdziesiątych.

- Och! - wykrzyknęła radośnie. - Stuart opowiadał mi o przyszłości. O Patty Hearst i terrorystach, i co się stało w Kambodży i...

- Nie mówmy o tym teraz - przerwał jej Jeff, spoglądając przez ramię na pielęgniarkę, całkowicie pochłoniętego układaniem puzzli. - Dziękujemy za poczęstunek. Wezmę tę tacę.

- Gdybyście chcieli więcej, będę w pokoju od frontu. Było mi miło was poznać. Porozmawiamy o przyszłości później?

- Może - odparł krótko Jeff.

Melinda uśmiechnęła się i wyszła.

- Jezu, Stuart - westchnął Jeff. - Nie powinieneś był tego robić. Nie powinieneś był jej się zwierzać, a co dopiero mówić, kim jesteście. Co będzie, jeśli to komus powtórzy?

- Nikt nie zwraca uwagi na to, co mówimy. Hej, Mike-zawołał Stuart i pielęgniarka podniósł głowę. - Wiesz, kto wygra finały baseballu trzy razy z rzędu, zaczynając od 1972 roku? Oakland.

Pielęgniarka skinął tępo głową i wrócił do swojej układanki.

- Widzisz? - Stuart uśmiechnął się szeroko. - Nawet nie słuchają. Kiedy Athletics zaczną wygrywać, nie będzie pamiętał, że mu o tym mówiłem.

- Mimo wszystko to nie jest dobry pomysł. Może nam to utrudnić zabranie cię stąd.

Stuart wzruszył ramionami.

- To nie ma znaczenia. - Odwrócił się do Pameli. - Zrobiłaś Gwiazdne morze, prawda?

- Tak - odrzekła z uśmiechem. - Miło wiedzieć, że ktoś je pamięta.

- Pamiętam je bardzo, bardzo dobrze. Omal nie napisałem do ciebie listu.

Natychmiast się zorientowałem, że musisz być powtarzaczka, a twój film potwierdził wiele rzeczy, których sam się dowiedziałem. Przywrócił mi poczucie celu.

- Dziękuję. Mówisz, że dowiedziałeś się wielu rzeczy. Aczy... doświadczyłeś skoku? Przyspieszenia początku powtórek czy powtórzeń, jak je nazywasz?

206

- Tak - odparł Stuart. - Tym razem wróciłem prawie rok później.

- Ja spóźniłam się półtora roku, Jeff tylko trzy miesiące. Sądzymy, że gdyby udało nam się sporządzić wykresy z datami kolejnych początków, moglibyśmy przewidzieć... ile czasu stracimy w następnym cyklu. Ale trzeba by to zrobić bardzo dokładnie. Czy notowałeś...

- Nie byłem w stanie.

- Może rozmowa z nami odświeżyłaby ci pamięć. Moglibyśmy przynajmniej trochę to zawęzić.

Potrząsnął głową.

- Nic z tego nie będzie. Podczas pierwszych trzech powrotów byłem nieprzytomny. Byłem w śpiączce.

- Co?

- W moim pierwotnym życiu miałem w 1963 roku wypadek samochodowy. Zaczęliście wracać w sześćdziesiątym trzecim, prawda? - zapytał, przenosząc wzrok z Pameli na Jeffa i z powrotem.

- Tak - potwierdził Jeff. - Na początku maja.

- No właśnie. W kwietniu miałem wypadek, skasowałem wóz. Zaczynałem powtarzać, odzyskując przytomność po dwóch miesiącach śpiączki. I sądziłem, że powoduje to śpiączka. Więc nie wiem, czy mój... jak to nazwałaś? Tę różnicę między początkowymi datami?

- Skok.

- Nie wiem, czy mój skok za pierwszymi trzema razami był kwestią godzin, dni czy tygodni. Czy w ogóle następował. - Rozczarowanie na twarzy Pameli było czytelne nawet dla McCowa-na. - Przykro mi - powiedział. - Żałuję, że nie mogę ci pomóc.

- To nie twoja wina - odparła. - Nie wątpię, że było to dla ciebie okropne, budzić się w ten sposób w szpitalu, a teraz...

- To wszystko jest częścią spektaklu. Akceptuję to.

- Jakiego spektaklu? Nie rozumiem.

Stuart ze zdumieniem zmarszczył brwi.

- Mielicie kontakt ze statkiem, prawda?

- Nie wiem, o co ci chodzi. Z jakim statkiem?

- Antareańskim. Daj spokój, zrobiłaś Gwiazdne morze. Ja też jestem powtarzaczem, nie musisz przede mną udawać.

207

- Naprawdę nie wiemy, o czym mówisz - włączył się Jeff. -Chcesz powiedzieć, że jesteś w kontakcie z... ludźmi czy istotami, które za to wszystko odpowiadają? Że są to kosmici?

- Oczywiście. Mój Boże, myślałem, że... Więc nie uczestniczcie w zaspokajaniu?

Jego blada twarz stała się jeszcze bielsza.

Jeff i Pamela popatrzyli na siebie i na niego z konsternacją. Oboje brali pod uwagę możliwość, że za powtórkami stoi jakaś obca inteligencja, ale nigdy nie otrzymali nawet najdrobniejszego sygnału, że tak jest.

- Obawiam się, że będziesz musiał nam wyjaśnić wszystko od początku - stwierdził Jeff.

McCowan zerknął na młodego pielęgniarza, wciąż obojętnie zgarbionego nad puzzlami w odległym kącie pokoju. Przysunął swój fotel bliżej Jeffa i Pameli i ściszył głos.

- Powtórzenia czy powtórki w ogóle ich nie obchodzą - powiedział, ruchem głowy wskazując pielęgniarza. - Ale zaspokajanie ich denerwuje. - Westchnął, badawczo spojrzawszy Jeffowi w oczy. - Naprawdę musicie usłyszeć całą historię? Od początku?

15.

- Dorastałem w Cincinnati - powiedział im Stuart McCowan. - Mój ojciec był

robotnikiem budowlanym, ale był też alkoholikiem, więc nie zawsze udawało mu się znaleźć pracę. Kiedy miałem piętnaście lat, upił się na budowie, wypuścił z ręki jakiś kabel i stracił nogę. Potem żyliśmy tylko z tego, co zarabiała moja matka - szyła na akord dla firmy produkującej mundury policyjne - i z moich napiwków pakowacza u Krogera.

Ojciec zawsze mi dokuczał, że jestem taki chudy i słabowity. On sam był wielkim, silnym mężczyzną, miał ramiona grubsze niż Mike. Kiedy stracił nogę, nasze stosunki jeszcze się pogorszyły. Nie mógł pogodzić się z tym, że chociaż jestem drobny, mam wszystko na swoim miejscu. Musiałem czasem coś za niego nosić, gdy nie mógł dać sobie rady z pakunkami i kulami jednocześnie. Nie cierpiał tego. Po jakimś czasie naprawdę mnie znienawidził i zaczął jeszcze więcej pić...

Odszedłem z domu, kiedy miałem osiemnaście lat, w 1954. Pojechałem na zachód, do Seattle. Nie byłem zbyt silny, ale miałem dobre oczy i zręczne ręce. Udało mi się zatrudnić u Boeinga, nauczyłem się obrabiać lżejsze części do samolotów, przycinać klapki i tak dalej. Poznałem pewną dziewczynę, ożeniłem się, mieliśmy dwoje dzieci. Nie żyło mi się źle.

Aż wiosną 1963 miałem wypadek, ten, o którym wam mówiłem. Sam trochę popijałem, nie tyle co ojciec, ale strzelałem sobie parę piw po fajrancie i drinka albo dwa wieczorem w domu... I byłem pijany, kiedy wjechałem na to drzewo.

Odzyskałem przytomność dopiero po dwóch miesiącach i nic już nie było potem takie samo. Wstrząs mózgu schrzanił mi koordynację ręka-oko, więc przestałem sobie radzić w pracy. Jakbym wpadł w to samo błędne koło co mój ojciec. Zacząłem więcej pić, wrzesz-

209

czeń na żonę i dzieci... W końcu spakowała się i wyniosła, zabrała dzieciaki ze sobą. Wkrótce potem straciłem dom, odebrał mi go bank. Ruszyłem w drogę, włóczyłem się, piłem. Żyłem tak prawie dwadzieścia pięć lat. Jeden z „bezdomych”, jak nazwano takich w latach osiemdziesiątych. Aleja zawsze wiedziałem, kim jestem -po prostu włóczęgą, menelem. Umarłem w jakimś zaułku w Detroit, nie pamiętając nawet, ile mam lat. Wykombinowałem to później: miałem pięćdziesiąt dwa.

A potem się ocknałem, w tym samym szpitalnym łóżku, wychodząc ze śpiączki. Jakby te wszystkie złe lata po prostu mi się przyśniły - bardzo długo sądziłem, że naprawdę tak było, w sumie niewiele z nich pamiętałem. Ale pamiętałem dość i w końcu dotarło do mnie, że dzieje się coś naprawdę dziwnego.

McCowan spojrział na Jeffa z nagłym błyskiem w oczach, dotąd przygasłych pod wpływem opowiadania historii jego pierwszego życia.

- Jesteś kibicem baseballu? - zapytał. - Postawiłeś w tamtym roku na finały?
Jeff uśmiechnął się szeroko.

- No jasne.

- Ile?

- Dużo. Wcześniej obstawiłem Chateaugaya w Derby Kentucky i w Belmont, zgarnąłem sporą wygraną.

- Ile postawiłeś? - dopytywał się Stuart.

- Miałem wtedy współnika - nie powtórkowicza, po prostu znajomego ze studiów - i razem postawiliśmy prawie sto dwadzieścia pięć.

- Patyków?

Jeff skinął głową i McCowan wydał przeciągły, cichy gwizd.

- Miałeś fart - powiedział. - Ja wyskrobałem tylko kilkaset dolców, a gdy dowiedziała się o tym moja żona, omal nie opuściła mnie wcześniej. Ale kiedy wygrałem dwadzieścia tysięcy, przestała się już dokądkolwiek wybierać. Więc obstawiałem dalej - tylko duże, oczywiste rzeczy - mistrzostwa wagi ciężkiej, finały futbolu, wybory prezydenckie, wydarzenia, o których nawet nałogowy pijak nie mógł zapomnieć. Przestałem pić, odstawiłem alkohol na dobre. Przez wszystkie powtórzenia

210

nie tknąłem nawet piwa. Przeprowadziliśmy się do dużego domu w Alderwood Manor w okręgu Snohomish, na północ od Seattle. Kupiłem ładną łódź, trzymałem ją na przystani Shil-shole Bay. Każdego lata żeglowałem po zatoce Puget, czasem aż do Victorii w Kolumbii Brytyjskiej. Rajskie życie, wiecie, jak to jest. Aż nagle - nagle odezwali się do mnie.

- Kto?-spytałJeff.

McCowan pochylił się do przodu, zniżył głos.

- Antareańczycy, ci, którzy to robią.

- W jaki sposób... kontaktowali się z tobą? - zapytała ostrożnie Pamela.

- Najpierw przez telewizor. Zwykle podczas wiadomości. W ten sposób odkryłem, że to wszystko jest spektaklem.

Jeff czuł coraz większy niepokój.

- Co jest spektaklem?

- Wszystko, co pokazują w wiadomościach. I Antareańczy-kom tak się to podoba, że puszcza ją to sobie raz po raz.

- Co im się podoba? - spytała Pamela, marszcząc brwi.

- Wszystko, co krwawe. Strzelanie, zabijanie itepe. Wietnam, jak Richard Speck załatwił te pielęgniarki w Chicago, sprawa Mansona, Jonestown... i terroryści. Jezu, terroryzm naprawdę ich rajcuje: lotnisko Lod*, wszystkie zamachy IRA, ta bomba w sztabie piechoty morskiej w Bejrucie i tak dalej. Ciągłe im mało.

Jeff i Pamela wymienili szybkie spojrzenie, krótkie skinienie głową.

- Dlaczego? - zapytał Jeff. - Dlaczego kosmitom tak bardzo podoba się przemoc na Ziemi?

- Bo sami stali się słabi. Pierwsi to przyznają. Mimo całej swojej potęgi, mimo władzy nad czasem i przestrzenią są słabi!

McCowan walnął chudą pięścią w stół, aż zadzwoniły filiżanki i spodeczki. Mike spojrzał w ich stronę, pytająco podnosząc brwi, ale Jeff zamachał, że wszystko jest w porządku, i muskularny pielęgniarz wrócił do swojej układanki.

- Antareańczycy przestali umierać - podjął beznamiętnie

* W 1972 roku czterech członków Japońskiej Czerwonej Armii zabiło 29 osób na lotnisku Lod w Tel Awiwie.

211

Stuart. - I stracili geny odpowiedzialne za zabijanie, więc na ich planecie nie ma już wojen ani morderstw. Ale zwierzęca część ich umysłów nadal tego wszystkiego potrzebuje, przynajmniej zastępczo. I tu zaczyna się nasza rola. Dostarczamy im

rozrywki, jak telewizja czy kino. A ten segment dwudziestego wieku jest najlepszy, najbardziej bezsensownie krwawy, więc powtarzają go w kółko. Ale wiedzą o tym tylko uczestnicy spektaklu, ludzie, którzy są na scenie, powtarzacze. Manson jest jednym z nas. Czytam to w jego oczach i Antareañczycy mi powiedzieli. Lee Harvey Oswald też i Nelson Bennett, który raz dopadł Kennedy'ego pierwszy. Jest nas teraz wielu.

Jeff odezwał się tak spokojnie i łagodnie, jak tylko potrafił.

- A co z tobą i ze mną, i z Pamelą? - zapytał, odwołując się do resztek zdrowego rozsądku Stuarta. - My nie robimy tych wszystkich okropnych rzeczy. Więc dlaczego powtarzamy nasze życie?

- Ja wykonałem moją część zaspokajania - oświadczył z dumą McCowan. - Nikt nie może mi zarzucić, że się objąłem.

Jeff nagle poczuł się chory, nie chciał zadać następnego pytania, pytania, które należało zadać.

- Użyłeś już tego słowa wcześniej. „Zaspokojenie”. Co przez to rozumiesz?

- Przecież to nasz obowiązek. Powtarzacze nie mogą dopuścić do tego, żeby Antareañczycy się znudzili. Bo wtedy wyłączą odbiór i nastąpi koniec świata.

Musimy ich zaspokajać, zabawiać, żeby nadal nas oglądali.

- A... jak to robiłeś? Jak ich zaspokajałeś?

- Zawsze zaczynam od tej małej dziewczynki w Tacomie. Załatwiam ją nożem. Jest to łatwe i nigdy mnie nie łapią. Potem likwiduję parę prostytutek w Portlandzie albo w Van-couverze... nigdy zbyt wiele blisko domu, ale dużo podróżuję. Czasem pracuję w Europie, ale głównie tutaj, w Stanach: autostopowicze w Teksasie, bezdomne dzieciaki w LAi San Francisco... Chyba już odpuszczę sobie Wisconsin, tym razem złapali mnie dość szybko. Ale za cztery, pięć lat stąd wyjdę. Zawsze mówią, że jestem chory psychicznie, i ląduję w szpitalu, ale nabrałem wprawy w oszukiwaniu lekarzy i komisji do spraw zwolnień

212

warunkowych. Zawsze w końcu mnie wypuszczają i mogę wrócić do zaspokajania.

Gdy jechali przez śnieżną zawieję, Pamela szlochała, wtulona w drzwi auta; nie

wstrzymywane łzy płynęły jej po twarzy.

- To moja wina! - wykrzyknęła. - Powiedział, że Gwiazdne morze dało mu „poczucie celu”. Tyle chciałam poprzez ten film osiągnąć, a zainspirowałam tylko wielokrotnego mordercę!

Jeff mocno trzymał kierownicę wynajętego plymoutha, ponieważ szosa była oblodzona.

- Nie natchnął go twój film. Zaczął zabijać nad długo przedtem, podczas swojej pierwszej powtórki. Był obłąkany już wcześniej. Nie wiem, czy spowodował to ten wypadek samochodowy czy szok powtórki, czy połączenie obu tych rzeczy. Może wiele różnych czynników. Nie sposób tego stwierdzić. Ale na miłość boską, nie obwiniaj się o to, co zrobił.

- Zabił jakąś małą dziewczynkę! S t a l e ją zabija, zakłuwa ją nożem, za każdym razem!

- Wiem. Ale to nie twoja wina, rozumiesz?

- Nie obchodzi mnie, czyja to wina. Musimy go powstrzymać.

- W jaki sposób? - zapytał Jeff, wytyżając wzrok, by dojrzeć drogę przez tumany śniegu.

- Nie dopuścimy do tego, żeby wyszedł. Dopadniemy go następnym razem, zanim zacznie zabijać.

- Jeśli uznają, że jest „wyleczony”, zwolnią go bez względu na to, co powiemy. Dlaczego lekarze czy sędziowie mieliby nas posłuchać? Oświadczymy, że jesteśmy powtórkowiczami jak McCowan, ale my nie zwariowaliśmy, a on tak? Wiesz, jak by się to skończyło.

- Więc następnym razem...

- Pójdziemy na policję w Seattle albo w Tacomie i powiemy, że porządny obywatel, który posiada drogi podmiejski dom i jacht, wkrótce zacznie jeździć po kraju i zabijać przypadkowe osoby? To nic nie da, Pamelu, wiesz, że nie.

- Zróbmy coś! - błagała.

- Co mamy zrobić? Zabić go? Nie zdobyłbym się na to i ty też nie.

Łkała cicho, zamknawszy oczy na śmiertelną białość zimowej zamieci.

- Nie możemy siedzieć z założonymi rękami - wyszeptała w końcu.

Jeff ostrożnie skręcił w lewo, na szosę prowadzącą z powrotem do Madison.

- Niestety, będziemy musieli - powiedział. - Musimy się z tym pogodzić.

- Jak możesz godzić się z czymś takim?! - warknęła. - Giną niewinni ludzie, ten szaleniec ich morduje, kiedy z góry wiemy, że to zrobi!

- Zawsze się z tym godziliśmy, od samego początku: Man-son, Berkowitz, Gacy, Buono i Bianchi*... takie bezsensowne bestialstwo jest częścią naszych czasów. Znieczuliliśmy się na nie. Nie pamiętam nawet połowy nazwisk wielokrotnych morderców, którzy pojawiają się w ciągu najbliższych dwudziestu lat, a ty? Pamela milczała; oczy miała czerwone od płaczu, a zęby zaciśnięte.

- Nie próbowaliśmy zapobiec wszystkim tym morderstwom, prawda? - ciągnął Jeff. - Nawet nie przyszło nam to do głowy, oprócz tego pierwszego razu, kiedy starałem się powstrzymać zamach na Kennedyego, i była to sprawa zupełnie innego kalibru. Żyjemy - nie tylko ty i ja, ale całe społeczeństwo - żyjemy na co dzień z brutalnością, z przypadkową śmiercią. Ignorujemy je, chyba że zagrażają nam bezpośrednio. Co gorsza, dla niektórych osób stanowi to rozrywkę, zastępczą podniechę. Co najmniej osiemdziesiąt procent tak zwanych wiadomości służy dostarczaniu Amerykanom dziennej dawki tragedii, krwi i udręki innych ludzi. My jesteśmy „Antareańczykami” z obłąkanych fantazji Stuarta McCowana. On i wszyscy inni nieludzcy rzeźni-cy rzeczywiście są aktorami na scenie, ale żadna makabry publiczność jest tutaj, nie gdzieś w kosmosie. IV i ja w żaden sposób nie możemy tego zmienić, nie możemy zatamować nawet najmniejszego strumyka z tej fali krwi. Więc zrobimy to, co

* David Berkowitz, John Wayne Gacy, Angelo Buono i Kenneth Bianchi - słynni amerykańscy wielokrotni mordercy.

214

robiliśmy zawsze i co zawsze będziemy robić: pogodzimy się z tym, spróbujemy o tym zapomnieć i żyć dalej. Przywykniemy do tego, jak przywykamy do całej reszty beznadziejnego, nieuniknionego bólu.

Odpowiedzi na ogłoszenie nadal nadchodziły, ale wszystkie były pomyłkami. W 1970 roku ograniczyli liczbę publikacji, w których anons się ukazywał; w połowie dziesięciolecia zamieszczali go już tylko raz na miesiąc, w mniej niż dziesięciu gazetach i czasopismach o największym nakładzie.

Ich mieszkanie przy Bank Street, w zachodniej części Greenwich Village, zdominowały rzędy szafek na akta. Przechowywali nawet najbardziej mgliście obiecujące odpowiedzi, jak również wycinki z potężnych stert periodyków, nad którymi codziennie ślęczeli w poszukiwaniu potencjalnych anachronizmów, mogących świadczyć o działalności innego powtórkowicza gdzieś na świecie. Często trudno im było stwierdzić, czy jakieś drobne wydarzenie, towar lub dzieło sztuki pojawiły się w poprzednich powtórkach czy nie, ponieważ nigdy dotąd nie skupiali się tak intensywnie na takich szczegółach. Kontaktowali się z wieloma wynalazcami i przedsiębiorcami, których projekty i produkty nie były im znane, lecz wszystkie te pozorne tropy okazywały się fałszywe.

W marcu 1979 roku znaleźli w „Chicago Tribune” następujący artykuł:

MORDERCA Z WISCONSIN WOLNY „ZDROWY PSYCHICZNIE”, MÓWIĄ LEKARZE

Crossfield, Wise. (AP) Wielokrotny morderca Stuart McCowan, uznany z powodu niepoczytalności za niewinnego zabójstwa czterech studentek w akademiku w Madison w 1966 roku, został dziś zwolniony z prywatnego zakładu psychiatrycznego, w którym spędził ostatnie dwanaście lat. Dr Joel Pfeiffer, dyrektor Kliniki Crossfield, stwierdził, że McCowan „nie prezentuje już systemu urojeniowego i nie stanowi zagrożenia dla społeczeństwa”.

McCowan został oskarżony o okaleczenie i zabicie czte-

215

rech studentek, gdy świadek rozpoznał jego samochód jako pojazd, który widział odjeżdżający z parkingu pod akademikiem żeńskiego stowarzyszenia Kappa Gamma we wczesnych godzinach rannych 6 lutego 1966 roku, w dniu, w którym odkryto zwłoki. Policja stanu Wisconsin zatrzymała McCo-wana tego samego dnia pod miastem Chippewa Falls. W bagażniku jego auta znaleziono zakrwawiony szpikulec

do lodu, piłkę do metalu i inne narzędzia tortur.

McCowan przyznał się do morderstwa w Madison i oświadczył, że działał na polecenie istot pozaziemskich. Twierdził też, że kilkakrotnie dostąpił reinkarnacji i popełnił inne zbrodnie w każdym ze swoich „poprzednich powtórzeń”.

Był podejrzany o podobne wielokrotne zabójstwa w Minnesocie i Idaho w 1964 i 1965 roku, ale nigdy nie udowodniono mu winy. 11 maja 1966 roku uznano go za niepoczytalnego i osadzono w Stanowym Szpitalu dla Chorych Psychiczenie Przystępców w Wisconsin. W marcu 1967 roku został przeniesiony na własny koszt do Kliniki Crossfield.

Pamela mocniej zacisnęła gumkę wokół ramienia Jeffa, pokazała mu, w którą żyłę ma się wkłuć, jak wprowadzić igłę pod odpowiednim kątem.

— A co z uzależnieniem psychicznym? - zapytał. — Wiem, że kiedy wrócimy, nasze ciała będą wolne od nałogu, ale czy nie będzie nam brak tych odczuć?

Potrząsnęła głową, przyglądając się, jak robi sobie ćwiczebny zastrzyk, jak nieszkodliwy roztwór soli fizjologicznej gładko spływa do wypukłej błękitnej żyły w zgięciu łokcia.

- Nie, jeśli zrobimy to tylko kilka razy - odparła. - Zaczekaj do rana osiemnastego. Weź tylko tyle, ile potrzebujesz, żeby się uspokoić. Potem zwiększ dawkę tak, jak ci pokazałam, i wstrzyknij ją na kilka minut przed pierwszą.

Powinieneś być nieprzytomny, kiedy... nastąpi zatrzymanie akcji serca.

Jeff opróżnił strzykawkę, odczekał chwilę, zanim wyjął igłę. Wyrzucił sprzęt do kosza na śmieci, przetaił miejsce wkłucia wacikiem nasączonym alkoholem. Na stoliku do kawy leżały dwa identyczne zestawy w skórzanych futerałach; każdy zawierał sterylne igły i strzykawki, pudełko wacików i cztery ampułki

216

wysokooczyszczonej heroiny. Bez trudu zdobyli narkotyk i akcesoria do jego użycia.

Makler Jeffa polecił mu godnego zaufania dilera kokainy, który był też dobrze zaopatrzony w heroinę, coraz bardziej popularną wśród wyższej klasy średniej.

Jeff popatrzył na kosztowne śmiertelne przyborniki, a potem na twarz Pameli. Jej

czoło znaczyła siateczka delikatnych linii. Gdy znał ją w tym wieku poprzednim razem, maleńkie zmarszczki rysowały się w kąciach jej oczu i ust, ale czoło miała gładkie jak nastolatka. Różnica między życiem szczęśliwym i życiem pełnym niemal bezustannego niepokoju wyryła się na jej skórze.

- Nie najlepiej się spisaliśmy, prawda? - powiedział markotnie.

Pamela spróbowała się uśmiechnąć, bez powodzenia.

- Nie. Chyba nie.

- Następnym razem... - zaczął, ale załamał mu się głos.

Wyciągnęła rękę i uściśnęli sobie dłonie.

- Następnym razem - podjęła - będziemy myśleć o naszych własnych bieżących potrzebach.

Skinął głową.

- Jakoś się tym razem zagubiliśmy, życie wymknęło nam się spod kontroli.

- Pochłonęło mnie to poszukiwanie innych powtórkowiczów. Byłeś miły, że tak mi pobłażałeś, ale...

- Chciałem, żeby nam się udało, nie mniej niż ty - wtrącił, podnosząc jej dłoń do ust. - Musieliśmy spróbować. To nie nasza wina, że wyszło tak, jak wyszło.

- Pewnie nie... ale z perspektywy czasu te lata wydają mi się takie bierne, wręcz martwe. Prawie nie opuszczaliśmy Nowego Jorku z obawy, że przegapimy sygnał, na który wciąż czekaliśmy.

Jeff przyciągnął ją do siebie, objął ramionami.

- Następnym razem znów przejmujemy stery - obiecał. - Będziemy działać dla nas samych.

Kołysali się łagodnie na kanapie we wzajemnym uścisku, nie mówiąc o tym, co dręczyło ich najbardziej: że nie mają pojęcia, ile czasu minie, zanim Pamela dołączy do niego po swojej nowej śmierci... i czy w ogóle się spotkają w tej następnej powtórcie.

217

Heroinowy sen został przerwany z szokującą gwałtownością. Ze wszystkich stron otaczały go kaskady rozgrzanych do białości płomieni, cylindryczna Niagara

mlecznego ognia, w którego jądrze był niewytłumaczalnie zawieszony. Jednocześnie jego uszy poraził ryk trąbek i przesadne harmonie meksykańskich mariachi, grających, rozdzierająco głośno, Feliz Navidad.

Tym razem Jeff nie pamiętał swojej śmierci, nie pamiętał agonii, której doświadczał za każdym razem, gdy jego serce przestawało bić. Narkotyki go znieczuliły, ale nie ułatwiły mu przejścia z sennego otępienia w tę zaskakującą i nieznaną jawę. Nowe młode ciało, które znów zamieszkiwał, było całkowicie wolne od heroiny, i musiał oprzytomnieć natychmiast, bez łagodnej, przejściowej fazy zamroczenia.

Muzyka i dookólna ściana ognia osaczały jego sponiewierane zmysły, trzymały go w przerażającej otchłani dezorientacji. W tym miejscu nie było światła, nie licząc owej płonącej katarakty wokół, ale na jej jaskrawym, fosforyzującym tle zaczynał dostrzegać sylwetki innych ludzi: siedzących, stojących, tańczących. On sam siedział, przy małym stoliku; w drżącej dłoni trzymał lodowatego drinka. Wypił łyk, poczuł słony smak marga-ryty.

- Do diabła! - ktoś wrzasnął mu do ucha, przekrzykując zgiełk muzyki. - Niezły widok, co? Ciekawe, jak to wygląda z zewnątrz.

Jeff odstawił kieliszek, odwrócił się, by zobaczyć, kto to powiedział. W białej poświacie rozpalonych płomieni rozpoznał ostre rysy Martina Baileya, swojego współlokatora z Emory. Ponownie rozejrzał się wokół, jego oczy przyzwyczajały się powoli do dziwnie rozżarzonego oświetlenia wnętrza. Był to bar albo nocny klub; roześmiane pary siedziały przy dziesiątkach innych stolików, obok parkietu do tańca stał zespół mariachi ubranych w zwariowane stroje, a na suficie wisiały krzykliwie pomalowane piñatas* w kształcie osiołków i byczków.

Miasto Meksyk. Ferie bożonarodzeniowe w 1964 roku, spontaniczna wycieczka z Martinem. Wąskie pustynne drogi, po któ-

* Pojemnik z papier-máché wypełniony słodyczami, które wysypują się na uczestników zabawy.

rych błąkało się chude bydło, górskie przełęcz ze ślepych zakrętami, cysterny z benzyną zostawiające ich chevroleta w białej mgłę pyłu. Burdel w Zona Rosa, długa wspinaczka po kamiennych schodach Piramidy Słońca.

Uświadomił sobie, że wirująca światłość za oknami to pokaz fajerwerków, pirotechniczne potoki tryskające z dachu hotelu, na którego szczycie przycupnął nocny klub. Martin miał rację, z dołu musiało to wyglądać niesamowicie. Hotel stał się ognistą igłą, strzelającą na trzydzieści czy czterdzieści pięter w nocne niebo. Co to było? Wigilia Bożego Narodzenia? Sylwester? Właśnie w te wieczory tak świętowano w Meksyku. W każdym razie był przełom 1964 i 65 roku. Stracił tym razem czternaście miesięcy, tyle ile Pamela poprzednio. Bóg jeden wiedział, co mogło to oznaczać dla niej, i dla nich.

Martin uśmiechnął się szeroko i serdecznie, po przyjacielsku szturchnął go w ramię. Tak, Jeff pamiętał, że dobrze się wtedy bawili. Nic się nie popsuło, byli pewni, że nic w ich życiu nie może pójść źle. Udana terażniejszość, udana przyszłość -tak to widzieli. Przynajmniej w każdej powtórcie Jeff zapobiegał samobójstwu przyjaciela, bez względu na własną sytuację. Chociaż nie był w stanie uratować go przed pechowym małżeństwem i nie kierował już międzynarodową korporacją, w której mógłby mu zapewnić dożywną posadę, zawsze pomagał Martinowi unikać bankructwa, zaopatrując go zawczasu w dochodowe akcje.

Co podnosiło kwestię, skąd sam weźmie teraz gotówkę. Finały baseballu w 1963 roku, jego stary pewniak, należały już do historii, i żaden z najbliższych zakładów nie będzie nawet w połowie tak zyskowny. Sezon futbolowy już się skończył, a mecze o mistrzostwo Narodowej Ligi nie będą rozgrywane jeszcze przez dwa lata. Jeżeli był to sylwester, może nie zdążyć postawić w Meksyku na zwycięstwo studenckiej drużyny Illinois nad Waszyngtonem na Rose Bowl następnego dnia. Wyglądało na to, że na razie będzie musiał się zadowolić tym, co wyciągnie z koszykówki, ale nie wygra żadnej przyzwoitej sumy, stawiając na Boston Celtics, mistrzów NBA po raz ósmy z rzędu.

Kaskada ognia za oknami zmieniała się w wąski strumień

i z trzaskiem zgasła, w nocnym klubie zapalono przyćmione światła, mariacki zaczęli grać Cielito Lindo. Martin gapił się na smukłą blondynkę siedzącą kilka stolików dalej i podniósł brew, aby spytać, czy Jeffowi podoba się jej rudowłosa koleżanka. Jeff pamiętał, że były turystkami z Holandii. Nie uda im się zaciągnąć ich do łóżka, ale spędzą - spędzili - całkiem przyjemny wieczór na picu i tańcach. Jasne, wzruszył ramionami, czemu nie?

Co do pieniędzy, cóż, pieniądze nie miały aż tak dużego znaczenia, nie w tym momencie. Potrzebował tylko tyle, żeby przeżyć, dopóki... dopóki nie wróci Pamela. Od tej chwili po prostu musiał czekać.

Pam była na haju, na totalnym haju. Peter i Ellen załatwili naprawdę zabójczy towar, ostatni raz paliła tak dobrą trawę z tym chłopakiem w Electric Circus w zeszłym miesiącu, a pewnie wydawała się lepsza, niż była, z powodu wszystkich tych świateł, muzyki, połykaczy ognia na parkiecie i tak dalej. Teraz też muzyka jest świetna, pomyślała, kiedy Clapton zagrał dynamiczny riff rozpoczynający Sunshine of Your Love. Żałowała tylko, że na małym przenośnym sprzęcie nie może puścić go głośniej.

Podwinęła bosc stopy pod uda, oparła się o wielki plakat Petera Maxa, wiszący na ścianie za jej łóżkiem, i spojrzała na tył okładki albumu Disraeli Gears. To oko było naprawdę niesamowite, z kwiatami wyrastającymi z rzęs i tytułami piosenek ledwie widocznymi na tle białka i tęczówki i... O Boże, jeszcze jedno oko. Im dłużej patrzyłaś, tym więcej się ich pojawiało; tylko je widziałaś. Nawet kwiaty wyglądały tak, jakby miały oczy, skośne, jakby kocie albo azjatyckie...

- Hej, spójrz! - zawołał Peter.

Podniosła wzrok; Peter i Ellen oglądali program Lawrence'a Welka z wyłączonym dźwiękiem. Pam popatrzyła, jak staruszkowie na czarno-białym ekranie tańczą polkę czy coś, i faktycznie, wyglądało to tak, jakby poruszali się do muzyki z płyty. Potem pokazano Welka machającego pałeczką i Pam wybuchnęła śmiechem. Stary przytrzymał rytm, jakby dyrygował grupą Cream w utworze Dance the Night Away.

220

- Proszę, chodźmy na dół - powiedziała Ellen, znudzona telewizją. - Będą tam dziś

wszyscy.

Od godziny próbowała ich namówić, żeby wybrali się do Adolpha. Miała rację: zapowiadał się udany wieczór w studenckim barze; było co świętować. W tym tygodniu Eugene McCarthy omal nie pokonał Johnsona w wyborach wstępnych w New Hampshire, a dziś Bobby Kennedy ogłosił, że zmienił zdanie i jednak będzie się ubiegał o nominację demokratów.

Pam włożyła buty, chwyciła z wieszaka na drzwiach grubą wełnianą szalik i swoją starą kurtkę z demobilu. Ellen powoli pokonywała kręte schody prowadzące do hallu; pod wpływem trawy uroiła sobie, że przerobiona na akademik stara rezydencja jest Tarą z Przemiętło z wiatrem. Kiedy wyszli na dwór, Peter przyłączył się do zabawy. Powędrował do francuskiego ogrodu i zaczął deklamować prawdziwe i wymyślone kwestie z filmu z ciężkim, udawanym południowym akcentem. Ale mroźne marcowe powietrze wkrótce ich otrzeźwiło i wszyscy troje ruszyli po skrzypiącym śniegu w stronę kuszącego swym ciepłem drewnianego budynku na skraju kampusu, naprzeciwko urzędu pocztowego.

U Adolpha panował tłok, jak zwykle w sobotni wieczór. Kto nie pojechał na weekend do Nowego Jorku, prędzej czy później lądował tutaj. Był to jedyny bar, do którego dało się dojść z kampusu pieszo, i jedyny lokal po tej stronie rzeki Hudson, gdzie długowłosi, niekonwencjonalnie ubrani studenci Bard mogli się odprężyć i poczuć jak u siebie. W tym zasadniczo konserwatywnym regionie na północ od Poughkeepsie istniał poważny konflikt między miastem i uczelnią. Stali mieszkańcy, młodzi i starzy, nienawidzili krzykliwie nonkonformistycznego wyglądu i zachowania studentów i opowiadali historie - wiele z nich prawdziwszych, niż mogli sobie wyobrazić, pomyślała z rozbawieniem Pam - o powszechnym zażywaniu narkotyków i rozpasaniu seksualnym w kampusie.

Miejscowi chłopcy przychodzili czasem do Adolpha, już pijani, żeby podrywać „hipisiarzy”. Pam stwierdziła z ulgą, że tego wieczoru ich nie widać, nie licząc tego dziwnego faceta, który kręcił się wokół kampusu cały rok, ale on wydawał się w porządku. Był samotnikiem, zachowywał się bardzo spokojnie,

nigdy się nikogo nie czepiał. Czasami miała wrażenie, że ją obserwuje; nie śledził jej ani nic w tym rodzaju, ale celowo pojawiał się kilka razy na tydzień w miejscach, gdzie mógł ją spotkać: w bibliotece, w galerii na wydziale sztuki, tutaj... Nigdy jej się jednak nie naprzykrzał, nawet się do niej nie odzywał. Czasem uśmiechał się i kiwał głową, a ona odwzajemniała uśmiech, tylko troszeczkę, na tyle, aby wiedział, że go poznaje. Tak, był w porządku; byłby nawet przystojny, gdyby zapuścił włosy. W szafie grającej lecieli Sly and the Family Stone, Dance to the Music, i parkiet do tańca w sali od frontu był pełen. Pam, Ellen i Peter przepychali się przez tłum, szukając wolnego miejsca, żeby usiąść.

Pam wciąż była na haju. Wypalili kolejnego skręta, idąc przez campus, i nagle zobaczyła jaskrawą barową scenę jako malowidło, a raczej cykl malowideł.

Podkreślić wirującą kamizelkę z frędzlami tutaj, zamach długich czarnych włosów tam, twarze i ciała, i muzykę, i hałas... tak, chciałyby spróbować uchwycić na płótnie brzmienie tego przyjemnie znajomego miejsca, przełożyć je na obraz, oddać transformację, która tak często dokonywała się w jej umyśle, gdy była na takim haju. Rozejrzała się po barze, wyławiając pojedyncze osoby i szczegóły scen, i jej wzrok spoczął na tym dziwnym facecie, którego ciągle spotykała.

- Hej - powiedziała, trącając Ellen łokciem - wiesz, kogo chciałabym namalować?
- Kogo?
- Tego faceta.

Ellen spojrzała w kierunku, który Pam dyskretnie jej wskazała.

- Którego? Chyba nie chodzi ci o tego sztywniaka? Tego miejscowego?
- Tak, o niego. Ma coś takiego w oczach... sama nie wiem, jakby były strasznie stare czy coś, jakby miał więcej lat, niż ma naprawdę, i dużo widział...
- Jasne - mruknęła Ellen ze zjadliwą ironią. - Pewnie służył w piechocie morskiej i widział dużo martwych dzieci i kobiet, które zabił w Wietnamie.

222

- Znów mówicie o ofensywie Tet*? - zapytał Peter.
- Nie. Pam napaliła się na miejscowego.

- To perwersja - stwierdził Peter i wybuchnął śmiechem.

Pam zaczerwieniła się z gniewu.

- Niczego takiego nie mówiłam. Powiedziałam tylko, że ma ciekawe oczy i że chciałabym je namalować.

Z szafy grającej popłynęło Dock of the Bay i większość tancerzy wróciła do stolików.

Pam była ciekawa, kto puścił ten żalobnie kontemplacyjny utwór Otisa Reddinga, ironiczne autoepi-tafium piosenkarza, który zmarł, zanim płyta się ukazała. Może ten facet o dziwnych oczach. Wyglądał na człowieka, który lubi taką muzykę.

- „Marnując czas...” - Peter zawtórował płycie, a potem uśmiechnął się szelmowsko. Zdjął zegarek, teatralnym gestem wrzucił go do na wpół pełnego dzbanka z piwem. - My topimy czas! - oświadczył, podniósł swoją szklanę i stuknął się z dziewczętami.

- Słyszałam, że Bobby też popała - odezwała się Ellen bez związku, kiedy spełnili toast. - Kupuje trawę od tego samego dilerka, który zaopatrywał Stonesów, kiedy tutaj byli.

Weszli na jeden z ulubionych tematów Petera.

- Podobno R. J. Reynolds w tajemnicy... jak to się mówi, opatentował?

Wszystkie dobre marki.

- Zarejestrował.

- Tak, zarejestrował. „Złote Acapulco”, „Czerwona Panama”... Producenci papierosów zastrzegli sobie wszystkie dobre nazwy na wszelki wypadek.

Pam, z zainteresowaniem słuchająca tych znanych pogłosek, skinęła głową.

- Ciekawe, jak by wyglądały opakowania i reklamy.

- Kartony w psychodelicznych kolorach - podsunęła Ellen z uśmiechem.

- Hendrix mógłby wystąpić w reklamówkach - dorzucił Peter.

* Operacja oddziałów północnowietnamskich przeciwko Amerykanom i południowym Wietnamczykom, przeprowadzona od 30 stycznia do 24 lutego 1968 roku, w czasie uroczystości księżycowego nowego roku, stąd nazwa.

223

Zaczęli się śmiać, dostali jednej z tych nie kończących się wspólnych głupawek,

które Pam tak bardzo lubiła. Śmiała się tak mocno, że łzy napłynęły jej do oczu, kręciło jej się w głowie, oddychała coraz szybciej...

Gdzie, do diabła, jestem tym razem, pomyślała Pamela, i dlaczego mam zawroty głowy? Zamrugła powiekami, aby osuszyć niezrozumiałe łzy, rozejrzała się po nowym otoczeniu. Jezu Chryste, była u Adolpha.

- Pam? - spytała Ellen, widząc, że przyjaciółka nagle przestała się śmiać. -
Dobrze się czujesz?

- Tak - odparła Pamela, powoli nabierając powietrza w płuca.

- Chyba nie odjeżdżasz czy coś?

- Nie.

Zamknęła oczy, spróbowała się skupić, ale jej umysł nie chciał znieruchomieć, wciąż odpływał. Muzyka była wyjątkowo głośna, a cały lokal, nawet jej ciuchy, cuchnęły... Dotarło do niej, że jest na haju. Zazwyczaj była na haju, kiedy szła do Adolpha, „na dół”, jak mówili, tak, zjeżdż na dół, zjeżdż na dół...

- Napij się jeszcze piwa - powiedział Peter z troską w głosie. - Dziwnie wyglądasz. Na pewno dobrze się czujesz?

- Na pewno.

Zaprzyjaźniła się z Peterem i Ellen dopiero po zimowych praktykach studenckich na pierwszym roku. Peter zrobił dyplom, a Ellen rzuciła uczelnię i wyjechała z nim do Londynu, kiedy Pamela była na drugim roku studiów. To oznaczało, że jest rok 1968 albo 1969.

W szafie grającej leciała nowa płyta, Linda Ronstadt w utworze Different Drum. Nie, pomyślała Pamela, Linda Ronstadt ze Stone Poneys. Zachowaj spokój, powiedziała sobie, aklimatyzuj się powoli, nie pozwól, żeby marihuana utrudniła ci to jeszcze bardziej. Nie próbuj podejmować teraz żadnych decyzji ani nawet zbyt dużo mówić. Zaczekaj, aż oprzytomniejesz, zaczekaj, aż...

Boże, to był on, zaledwie kilka metrów dalej, patrzył prosto na nią. Pamela z niedowierzaniem wytrzeszczyła wzrok na nie pasujący tutaj, niemożliwie cudowny widok: Jeff Winston siedzący w milczeniu pośród młodzieńczego zgiefku jej starej studenckiej knajpki. Zauważyła, że dostrzegł zmianę wyrazu jej

oczu i uśmiechnął się ciepłym, powolnym uśmiechem powitania i otuchy.

- Hej, Pam? - odezwała się Ellen. - Dlaczego płaczesz? Może lepiej wróćmy do akademika.

Pamela potrząsnęła głową, uspokajająco ucisnęła ramię przyjaciółki. A potem wstała od stolika i przeszła przez salę, i przez lata, prosto w objęcia Jeffa.

- Moja hipiska- zachichotał Jeff, całując różową różę na wewnętrznej stronie jej uda. - Nie pamiętam tego tatuażu.

- To nie tatuaż, tylko kalkomania. Zmyje się.

- Można ją zlizać? - zapytał, spoglądając na nią z szelmowskim błyskiem w oku.

Uśmiechnęła się.

- Spróbuj, jeśli chcesz.

- Może później - powiedział, podciągając się do góry, aby oprzeć się obok niej o poduszkę. - Podobasz mi się jako dziec-ko-kwiat.

- Jasne - mruknęła i dała mu kuksańca w żebra. - Dolej nam szampana.

Wziął z nocnego stolika butelkę Mumm'sa, napełnił kieliszki.

- Skąd wiedziałeś, kiedy wrócę? - zapytała Pamela.

- Nie wiedziałem. Czekałem na ciebie od miesiący. Na początku roku akademickiego wynająłem ten dom w Rhinebeck i czekałem. Było to frustrujące, zaczynałem tracić cierpliwość. Ale czas spędzony tutaj pomógł mi się uporać z dawnymi wspomnieniami. Mieszkałem w górze rzeki, w jednej z tych starych posiadłości, kiedy byłem z Dianę... i z Gretchen. Nigdy nie sądziłem, że będę w stanie tu wrócić, ale dzięki tobie miałem powód, by to zrobić, i cieszę się z tego. Cieszę się też, że zobaczyłem, jaka naprawdę byłaś w tym okresie.

Wykrzywiła się.

- Byłam hipisiarą. Nosiałam skórzane frędzle i farbowane w domu ciuchy. Mam nadzieję, że nigdy nie słyszałeś, jak rozmawiam z przyjaciółmi. Pewnie bez przerwy mówiłam „wdechowy”.

Jeff pocałował ją w czubek nosa.

- Byłaś urocza. Jesteś urocza - poprawił się, odgarnia-

jąc jej z twarzy długie, proste włosy. - Ale nie mogłem nie wyobrazić sobie tych dzieciaków' za piętnaście lat, jak chodzą w trzydziściowych garniturach i jeżdżą do pracy bmw.

- Nie wszyscy - zaprotestowała. - Bard wydało wielu pisarzy, aktorów, muzyków... Poza tym - dodała z uśmiechem żalu -mój mąż i ja nie mieliśmy bmw. Jeździliśmy audi i mazdą.

- W porządku.

Uśmiechnął się i wypił łyk szampana. Leżeli zadowoleni obok siebie, ale Jeff dostrzegął powagę, kryjącą się pod jej radosnym wyrazem twarzy.

- Siedemnaście miesięcy - powiedział.

- Co?

- Tym razem straciłem siedemnaście miesięcy. Nad tym się zastanawiasz, prawda?

- Chciałam cię o to spytać - przyznała. - Nie mogę się nie zastanawiać. Mój skok wynosi... Mówiłeś, że jest marzec? Sześćdziesiąty ósmy?

Jeff skinął głową.

- Trzy i pół roku.

- Licząc od ostatniej powtórki. Pięć lat od pierwszej. Jezu. Następnym razem mogę...

Położył palec na jej wargach.

- Mieliśmy się skupić na t y m razie, pamiętasz?

- Oczywiście - odrzekła, przytulając się do niego pod kołdrą.

- Zastanawiałem się nad tym - powiedział. - Miałem czas do namysłu i chyba ułożyłem pewien plan.

Odchyliła głowę, popatrzyła na niego, marszcząc z ciekawością brwi.

- Jaki plan?

- Najpierw pomyślałem, że moglibyśmy zwrócić się z tym wszystkim do naukowców: do Państwowej Fundacji Nauki, prywatnych organizacji badawczych... Cokolwiek wyda nam się najbardziej odpowiednie, może MIT albo wydział fizyki w

Princeton, jakiś ośrodek prowadzący badania nad naturą czasu.

- Nigdy nam nie uwierzą.
- Wiem. Było to przeszkodą od początku. A my powiększaliśmy tę przeszkodę, utrzymując wszystko w tajemnicy.

226

- Musieliśmy być dyskretni. Ludzie wzięliby nas za wariatów. Spójrz na Stuarta McCowana, on...
- McCowan jest wariatem... i mordercą. Ale przepowiadanie wydarzeń nie jest przestępstwem. Nikt nas za to nie zamknie. A kiedy rzeczy, które przewidzimy, się zdarzą, dowiedzimy, że znamy przyszłość. Będą musieli nas posłuchać. Uwierzą, że naprawdę coś się dzieje, choć jest to niezrozumiałe.
- Ale jak w ogóle do nich dotrzemy? - zaproponowała Pamela. - W takiej instytucji jak MIT nikt nawet nie spojrzy na nasze przepowiednie. Z miejsca wrzucą nas do jednego worka z ufologami i spirytystami.
- Na tym polega mój plan. Nie zwrócimy się do nich. Oni przyjdą do nas.
- Dlaczego mieliby... Nie rozumiem - powiedziała Pamela, w oszołomieniu potrząsając głową.
- Ogłosimy to publicznie - wyjaśnił Jeff.

16.

Tym razem nie musieli zamieszczać ogłoszenia w tak wielu gazetach jak poprzednio, gdy mieli nadzieję zainteresować nim innych powtórkowiczów. Zbędne stały się również aluzyjność i anonimowość.

„New York Times” nie chciał wydrukować tego jednorazowego, całostronicowego anonsu, ale zamieściły go „New York Daily News”, „Chicago Tribune” i „Los Angeles Times”.

W CIĄGU NAJBLIŻSZEGO ROKU:

Pod koniec maja amerykański atomowy okręt podwodny Scorpion zaginie na morzu.

W czerwcu poważna tragedia przerwie kampanię prezydencką.

Morderca Martina Luthera Kinga zostanie aresztowany poza granicami Stanów Zjednoczonych.

Prezes Sądu Najwyższego Earl Warren ustąpi ze stanowiska 26 czerwca i jego miejsce zajmie sędzia Abe Fortas.

21 sierpnia Związek Radziecki poprowadzi wojska Układu Warszawskiego do inwazji na Czechosłowację.

1 września podczas trzęsienia ziemi w Iranie zginie 15 tysięcy osób.

Bezzałogowy radziecki statek kosmiczny okrąży Księżyc i spadnie do Oceanu Indyjskiego 22 września.

W październiku dojdzie do wojskowych zamachów stanu w Peru i w Panamie.

Richard Nixon pokona Huberta Humphreya w wyborach prezydenckich nieznaczną przewagą głosów.

W okresie Bożego Narodzenia trzej amerykańscy astronauty okrążą Księżyc i bezpiecznie powrócą na Ziemię.

228

W styczniu 1969 roku dojdzie do nieudanej próby zamachu na życie radzieckiego przywódcy Leonida Breżniewa.

W lutym obfity wyciek ropy zanieczyści plażę południowej Kalifornii.

Pod koniec kwietnia Charles de Gaulle złoży rezygnację z urzędu prezydenta Francji.

Nie będziemy się wypowiadać na temat tych stwierdzeń do 1 maja 1969 roku. W tym dniu spotkamy się z przedstawicielami mediów, a miejsce spotkania podamy za rok od dzisiaj.

Jeff Winston i Pamela Phillips, Nowy Jork, 19 kwietnia 1968

Wszystkie miejsca siedzące w dużej sali konferencyjnej nowojorskiego Hiltona były zajęte, a ci, którym nie udało się znaleźć krzesła, krążyli niecierpliwie w przejściach i po bokach, starając się nie zaplątać w węzowe kable mikrofonów i kamer telewizyjnych.

Punktualnie o piętnastej Jeff i Pamela weszli do sali i stanęli na mównicy. Pamela uśmiechała się nerwowo, oślepią blaskiem telewizyjnych reflektorów, i Jeff dodał jej otuchy niewidocznym dla innych uściskiem dłoni. Gdy tylko się pojawili, wybuchnął zgiełk wykrzykiwanych pytań, reporterzy na wyścigi próbowali zwrócić na siebie ich uwagę. Jeff kilka razy poprosił o ciszę i w końcu złagodził hałas do

przytłumionego szmeru.

- Odpowiemy na wszystkie państwa pytania - oznajmił zebranym dziennikarzom
- ale zaprowadźmy tu jakiś porządek. Może zaczniemy od ostatniego rzędu, od lewej do prawej, każdy zadaje jedno pytanie. Potem następny rząd, w tej samej kolejności.

- A co z tymi, którzy nie mają miejsc?

- Będą pytać ostatni, od lewej do prawej, od końca sali do frontu. A teraz - Jeff wyciągnął rękę - prosimy o pierwsze pytanie panią w niebieskiej sukience. Nie musi się pani przedstawiać, proszę pytać, o co pani chce.

Kobieta wstała, z długopisem i notesem w dłoni.

- Najbardziej oczywiste pytanie. Jakim cudem byliście

229

w stanie tak dokładnie przepowiedzieć tak wiele różnych wydarzeń? Czy podajecie się za jasnowidzów?

Jeff wziął głęboki oddech, odezwał się jak najspokojniej.

- Miało to być jedno pytanie, ale tym razem odpowiem na oba. Nie, nie jesteśmy jasnowidzami w potocznym rozumieniu tego terminu. Pani Phillips i ja mamy szczęście — lub pecha -doświadczając pewnego powtarzającego się zjawiska, w które było nam początkowo równie trudno uwierzyć, jak niewątpliwie będzie trudno uwierzyć państwu dzisiaj. Mówiąc najkrócej, przeżywamy nasze życie, a raczej pewne jego fragmenty, od nowa. Oboje umarliśmy - i umrzemy - w październiku 1988 roku, po czym wróciliśmy do życia i umarliśmy znowu, już kilka razy.

Hałas, który ich przywitał, gdy weszli do sali, był niczym w porównaniu z pandemonium, jakie się rozpętało po tym oświadczeniu, i ogólny ton tej kakofonii był bez wątpienia drwiący. Jedna ekipa telewizyjna wyłączyła reflektory i zaczęła pakować sprzęt, kilku obrażonych reporterów wymaszerowało z sali, ale na zwolnione przez nich miejsca było wielu chętnych. Jeff ponownie poprosił o ciszę i wskazał następnego dziennikarza.

- Moje pytanie też będzie oczywiste - powiedział krępy, naburmuszony mężczyzna. - Jak, do diabła, możecie oczekiwać, że uwierzymy w tę bzdurę?

Jeff zachował opanowanie, uśmiechnął się uspokajająco do Pameli i cierpliwie

przemówił do wzdorliwego tłumu:

- Uprzedzałem, że to, co mamy do powiedzenia, wyda się państwu niewiarygodne. Mogę jedynie zwrócić uwagę na całkowitą słuszność naszych ubiegłorocznych „przepowiedni” - które dla nas były wspomnieniami - i prosić, abyście wstrzymali się z oceną, dopóki nas nie wysłuchacie.

- Czy wygłosicie dzisiaj dalsze przepowiednie? - zapytał następny reporter.

- Tak - odparł Jeff i wrzawa znów zaczęła się podnosić. - Ale dopiero wtedy, gdy odpowiemy na państwa pytania i uznamy, że wyjaśniliśmy wszystko, co należy wyjaśnić.

Przez prawie godzinę przedstawiali podstawowe, pobieżne zarysy swoich biografii: kim byli w pierwszym życiu, czego znaczącego dokonali w każdej z powtórek, jak się poznali, istnienie niepokojącego „skoku”. Jak ustalili wcześniej, pominęli sporo

230
szczegółów osobistych, jak również sprawy, które ich zdaniem byłoby niebezpiecznie lub nierozsądnie ujawnić. Nagle jednak padło pytanie, którego się obawiali, ponieważ nie wiedzieli, jak z niego wybrnąć.

- Czy znacie kogoś innego, kto jest... powtórkowiczem, jak to nazywacie? - rzucił jakiś cyniczny głos w trzecim rzędzie.

Pamela zerknęła na Jeffa i zanim zdążył odpowiedzieć, przemówiła dobitnie:

- Tak. To niejaki Stuart McCowan z Seattle w stanie Waszyngton.

Na chwilę zapadła cisza; sto długopisów notowało nazwisko w stu notesach. Jeff ostrzegawczo zmarszczył brwi, co Pamela zignorowała.

- O ile wiemy, jest jedynym powtórkowiczem oprócz nas - podjęła. - Szukaliśmy innych takich osób przez większą część poprzedniej powtórki, ale udało nam się odnaleźć tylko jego. Zdecydowanie nie zgadzamy się z poglądami McCowana na całą tę kwestię i dlatego nie ma go tu dzisiaj z nami. Sądzę jednak, że powinni państwo z nim porozmawiać, a nawet obserwować wszystko, co robi, żeby zobaczyć, jak radzi sobie z tą sytuacją, w której się we troje znajdujemy. To człowiek co najmniej niezwykły.

Ponownie spojrzała na Jeffa, a on skomplementował ją uśmiechem zadowolenia. Nie

powiedziała o McCowanie nic oszczerczego ani obciążającego, ale doprowadziła to tego, że jego przeszłość zostanie dokładnie zbadana, a każdy krok będzie od tej pory śledzony. Nikogo już nie zabije, nie tym razem.

- Co spodziewacie się na tym wszystkim zyskać? - zapytał kolejny reporter. -
Lansujecie jakieś przedsięwzięcie zarobkowe, jakąś sektę?

- Absolutnie nie - zaprzeczył stanowczym tonem Jeff. -Możemy zarobić tyle, ile chcemy czy potrzebujemy, zwykłymi kanałami inwestycyjnymi, i chciałbym, aby w państwa artykułach znalazła się nasza wyraźna prośba o nieprzysyłanie nam pieniędzy, w żadnej ilości, na żaden cel. Będziemy zwracać wszystkie takie dary.

Pragniemy uzyskać wyłącznie wiedzę, wyjaśnienie, jeśli to możliwe, co się z nami dzieje i jak się to skończy. Chcielibyśmy, aby kręgi naukowe, zwłaszcza fizycy i ko-

231

smolodzy, wiedzieli, co przeżywamy, i podzielili się z nami swoimi opiniami na ten temat. Tylko dlatego podajemy tę niezwykłą sytuację do wiadomości publicznej.

Nigdy wcześniej się nie ujawniliśmy i nie zrobilibyśmy tego teraz, gdyby nie nasze bardzo realne obawy, o których już mówiliśmy.

Sala zaszumiała sceptycyzmem. Jak spostrzegła kiedyś Pamela, każdy coś sprzedaje. Mimo ich oczywistej szczerości i niezbitych dowodów niewyobrażalnie dokładnej wiedzy o przyszłych wydarzeniach zatwardziałym dziennikarzom trudno było uwierzyć, że Jeff i Pamela nie planują jakiegoś szwindlu.

- Więc co zamierzacie zrobić, jeśli nie próbujecie się wzbogacić na tych twierdzeniach? - zapytał ktoś.

- Zależy, czego się dowiemy dzięki temu, że wyszliśmy z ukrycia - odparł Jeff. -
Na razie po prostu poczekamy i zobaczymy, co się stanie, kiedy rozpowszechnicie naszą historię. Są jeszcze jakieś pytania? Jeśli nie, mam tu egzemplarze naszych najnowszych... przepowiedni, jak je nazywacie.

Ludzie rzucili się w stronę mównicy, wyciągając ręce po odbite na ksero kartki, wykrzykując nowe, bardziej podchwytliwe pytania.

- Czy wybuchnie wojna jądrowa?

- Czy będziemy na Księżycu przed Rosjanami?

- Czy znajdziemy lekarstwo na raka?
- Przykro mi - krzyknął Jeff. - Żadnych pytań dotyczących przyszłości.

Wszystko, co mamy do powiedzenia, jest w tym dokumencie.

- Ostatnie pytanie — zawołał mężczyzna w okularach i kapeluszu, który wyglądał tak, jakby wcześniej na nim siedział. -Kto wygra Derby Kentucky w tę sobotę?

Jeff uśmiechnął się szeroko, odprężył się po raz pierwszy od początku tej pełnej napięcia konferencji prasowej.

- Zrobię wyjątek dla tego dżentelmena - powiedział. - Majestic Prince zwycięży w Derby i Preakness, ale Arts & Letters nie pozwoli mu zdobyć Potrójnej Korony. I obawiam się, że mówiąc to panu, przekreśliłem sens mojego własnego zakładu. Majestic Prince przyniósł graczom dwa dolary dziesięć centów za dolara, najniższą wygraną, jaką dopuszczają przepisy.

232

Po tym, jak wiadomości o Jeffie i Pameli trafiły do telewizji i prasy, prawie nikt nie postawił w Derby na inne konie. Komisja Wyścigowa Stanu Kentucky zarządziła dochodzenie w tej sprawie, a w Marylandzie i Nowym Jorku mówiło się o odwołaniu Preakness i Belmont.

W poniedziałek po wyścigu aparaty telefoniczne w ich nowym biurze w budynku Pan Am-u zaczęły dzwonić o szóstej rano. Przed dwunastą wezwali z agencji jeszcze dwie sekretarki, aby odbierały telefony i telegramy i odprawiały ciekawskich, którzy zjawiali się bez zapowiedzi.

- Mam listę z ostatniej godziny - powiedziała oszołomiona młoda kobieta w plisowanej minispódnicy, nerwowo obracając w palcach długie sznurki koralików.

- Możesz mi ją streścić? - poprosił ze znużeniem Jeff, odkładając wstępniak „New York Timesa”, który wzywał do „racjonalnego sceptycyzmu wobec współczesnych Nostradamusów i ich manipulacji zbiegami okoliczności”.

- Tak, proszę pana. Miałyśmy czterdzieści dwie prośby o prywatne konsultacje - od ludzi, którzy są ciężko chorzy, rodziców zaginionych dzieci i tak dalej. Dzwoniło dziewięć domów maklerskich, proponujących swoje usługi i obniżkę prowizji.

Odebrałyśmy dwanaście telefonów i osiem telegramów od osób gotowych wyłożyć pieniądze na różne zakłady sportowe. Jedenaście wiadomości od innych jasnowidzów, którzy chcą się podzielić...

- Nie jesteśmy jasnowidzami, panno... Kendall, tak?
- Tak. Elaine, jeśli pan woli.
- W porządku, Elaine. Chcę, żebyśmy się dobrze rozumieli. Pamela i ja nie przypisujemy sobie zdolności jasnowidzenia i jeśli ktoś tak uważa, trzeba go wyprowadzić z błędu. Jest to coś zupełnie innego i jeżeli masz tu pracować, musisz wiedzieć, jak życzymy sobie być przedstawiani.
- Rozumiem, proszę pana. Ale...
- Zdaję sobie sprawę, że może być ci trudno to zaakceptować. Nie powiedziałem, że sama musisz nam wierzyć. Postaraj się jednak nie przekręcać istoty tego, co mieliśmy do powiedzenia, kiedy rozmawiasz z interesantami. Co dalej? Dziewczyna wygładziła bluzkę, spojrzała w swoje notatki.

233

- Było też jedenaście telefonów od państwa... przeciwników, niektóre z nich wulgarne.
- Nie musicie znosić takich rzeczy. Powiedz innym dziewczętom, że mogą odłożyć słuchawkę, jeśli ktoś zacznie je obrażać. Zawiadomcie policję, gdyby któryś rozmówca był natarczywy.
- Dziękuję panu. Było też kilka telefonów od jakiejś organizacji futurystów z Kalifornii. Chcą, żeby przyjechali państwo do nich.

Jeff z zainteresowaniem uniósł brwi.

- Korporacja Rand?
- Nie, proszę pana. Jakaś Outlook Group.
- Przekaż to mojemu adwokatowi. Niech sprawdzi, co to za jedni.

Elaine zapisała polecenie w notatniku i wróciła do listy.

- Skoro będę rozmawiała z panem Wade'em, muszę mu powiedzieć o tych wszystkich liniach lotniczych, które grożą państwu sądem: Aeronaves de México, Allegheny Airlines, Philip-pine Airlines, Air France, Olympic Airways... Dzwonili też

prawnicy stanowych komisji do spraw turystyki z Missisipi i Ohio. Wszyscy są bardzo rozgniewani. Pomyślałam sobie, że powinnam pana ostrzec.

Jeff z roztargnieniem kiwnął głową.

- To wszystko?

- Tak, proszę pana, nie licząc następnych czasopism, które proszą o wywiad z panem albo panią Phillips, albo obojgiem.

- Są wśród nich jakieś pisma naukowe?

Elaine potrząsnęła głową.

- „National Enquirer, „Fate”... Najpoważniejsze z nich to chyba „Esquire”.

- Nadal nie odezwał się żaden uniwersytet? Żadna fundacja badawcza oprócz tej z Kalifornii, czymkolwiek jest?

- Nie, proszę pana. To już wszystko.

- W porządku. - Westchnął. - Dziękuję, Elaine. Informuj mnie dalej.

- Dobrze, proszę pana. - Złożyła notatnik, odeszła kilka kroków, ale przystanęła.

- Proszę pana... Zastanawiam się, czy...

- Tak?

234

- Sądzi pan, że powinnam wyjść za mąż? Myślałam o tym, mój chłopak już dwa razy prosił mnie o rękę, ale chciałabym wiedzieć... chciałabym wiedzieć, czy będę z nim szczęśliwa.

Jeff uśmiechnął się pobłaźliwie, widząc w oczach młodej kobiety rozpaczliwe pragnienie przewidzenia przyszłości.

- Chciałbym ci pomóc - odparł. - Ale jest to coś, co musisz odkryć sama.

Aeronaves de México wycofały pozew piątego czerwca, dzień po tym, jak jeden z ich odrzutowców wbił się w górskie zbocze koło Monterrey, zgodnie z zapowiedzią Jeffa i Pameli. Meksykański polityk Carlos Madrazo i sławny tenisista Rafael Osuna nie polecili samolotem, w którym zginęli już pięciokrotnie. Bilety na pechowy lot kupiło tym razem tylko jedenaście osób, nie siedemdziesiąt dziewięć.

Z pozostałych linii lotniczych jedynie Air Algerie i Royal Nepal Airlines zignorowały ostrzeżenie i nie odwołały lotów. Ich wypadki były ostatnimi katastrofami samolotów

pasażerskich w 1969 roku.

Marynarka Stanów Zjednoczonych nie chciała się ugiąć przed „przesadami”, jak nazwał to minister obrony narodowej Laird, i niszczyciel Evans nie zmienił kursu na Morzu Południo-wochińskim. Ale rząd Australii po cichu polecił, aby lotniskowiec Melbourne wyłączył silniki i zarzucił kotwicę na pierwszy tydzień czerwca, tak więc nie doszło do kolizji, która zawsze przecinała Evansa na pół.

Liczba ofiar śmiertelnych wylewu jeziora Erie czwartego lipca spadła z czterdziestu jeden do pięciu, ponieważ mieszkańcy usłuchali mocno nagłośnionych ostrzeżeń i wycofali się na wyżej położone tereny północnego Ohio, zanim nadciągnęły burze. Podobnie było w Missisipi; w połowie sierpnia turyści unikali nadmorskich kurortów Gulfport i Biloxi, a miejscowa ludność uciekła w głąb lądu, do czego nigdy nie udało się doprowadzić komunikatom obrony cywilnej. Huragan Camille uderzył w opustoszałe wybrzeże i sto trzydzieści osiem z jego poprzednich stu czterdziestu dziewięciu ofiar ocalało.

Życie wielu ludzi się zmieniło. Życie wielu ludzi trwało dłużej niż kiedyś. I świat to zauważył.

235

- Sądzi pan, że powinnam wyjść za mąż? Myślałam o tym, mój chłopak już dwa razy prosił mnie o rękę, ale chciałabym wiedzieć... chciałabym wiedzieć, czy będę z nim szczęśliwa.

Jeff uśmiechnął się pobłaźliwie, widząc w oczach młodej kobiety rozpaczliwe pragnienie przewidzenia przyszłości.

- Chciałbym ci pomóc - odparł. - Ale jest to coś, co musisz odkryć sama.

Aeronaves de México wycofały pozew piątego czerwca, dzień po tym, jak jeden z ich odrzutowców wbił się w górskie zbocze koło Monterrey, zgodnie z zapowiedzią Jeffa i Pameli. Meksykański polityk Carlos Madrazo i sławny tenisista Rafael Osuna nie polecili samolotem, w którym zginęli już pięciokrotnie. Bilety na pechowy lot kupiło tym razem tylko jedenaście osób, nie siedemdziesiąt dziewięć.

Z pozostałych linii lotniczych jedynie Air Algerie i Royal Nepal Airlines zignorowały ostrzeżenie i nie odwołały lotów. Ich wypadki były ostatnimi katastrofami samolotów

pasażerskich w 1969 roku.

Marynarka Stanów Zjednoczonych nie chciała się ugiąć przed „przesadami”, jak nazwał to minister obrony narodowej Laird, i niszczyciel Evans nie zmienił kursu na Morzu Południo-wochińskim. Ale rząd Australii po cichu polecił, aby lotniskowiec Melbourne wyłączył silniki i zarzucił kotwicę na pierwszy tydzień czerwca, tak więc nie doszło do kolizji, która zawsze przecinała Evansa na pół.

Liczba ofiar śmiertelnych wylewu jeziora Erie czwartego lipca spadła z czterdziestu jeden do pięciu, ponieważ mieszkańcy usłuchali mocno nagłośnionych ostrzeżeń i wycofali się na wyżej położone tereny północnego Ohio, zanim nadciągnęły burze. Podobnie było w Missisipi; w połowie sierpnia turyści unikali nadmorskich kurortów Gulfport i Biloxi, a miejscowa ludność uciekła w głąb lądu, do czego nigdy nie udało się doprowadzić komunikatom obrony cywilnej. Huragan Camille uderzył w opustoszałe wybrzeże i sto trzydzieści osiem z jego poprzednich stu czterdziestu dziewięciu ofiar ocalało.

Życie wielu ludzi się zmieniło. Życie wielu ludzi trwało dłużej niż kiedyś. I świat to zauważył.

235

- Wnieś pozew, Mitchell! W tym tygodniu, jeśli dasz radę. Najpóźniej w połowie następnego.

Prawnik skupił się na swoich okularach, polerował grube szkła z taką precyzją, jakby był to kosztowny teleskop.

- Nie wiem, Jeff - powiedział. - Wątpię, aby było to możliwe.

- Więc jak szybko uda nam się ich powstrzymać? - zapytała Pamela.

- Możemy nie być w stanie - przyznał Wade.

- To znaczy wcale? Publikują absurdalne fantazje na nasz temat, a my nie możemy nic zrobić?

Prawnik znalazł inną niewidoczną plamkę na jednym ze szkieł, przetaił je delikatnie małym kawałkiem irchy.

- Chroni ich pierwsza poprawka.

- Tuczą się na nas jak pijawki! - wybuchnął Jeff, machając broszurką, która była powodem ich spotkania. Na okładce widniało jego duże zdjęcie i nieco mniejsza fotografia Pameli. - Wykorzystują nasze nazwiska i stwierdzenia bez naszej zgody i robią parodię ze wszystkiego, co próbujemy osiągnąć.

- Są organizacją non profit - przypomniał im Wade. -1 wystąpili o zwolnienie od podatku jako instytucja religijna. W takich przypadkach walka jest bardzo trudna. Procesy ciągną się latami i szanse wygranej są minimalne.

- Nie możemy ich oskarżyć o zniesławienie? - upierała się Pamela.

- Jesteście teraz osobami publicznymi. Sami się odsłoniście. Nie jestem zresztą pewien, czy naprawdę was zniesławiają. Ława przysięgłych może nawet uznać, że jest wręcz przeciwnie. Ci ludzie was czczą. Wierzą, że jesteście wcieleniem Boga na Ziemi. Będzie lepiej, jeśli po prostu ich zignorujecie. Proces przysporzyłby im tylko rozgłosu.

Jeff wydał z siebie nieartykułowany okrzyk obrzydzenia, zmiął broszurkę w dłoni i cisnął ją w kąt biura.

- Właśnie takich rzeczy chcieliśmy uniknąć - powiedział,

i kipiąc gniewem. - Nawet jeśli zignorujemy te bzdury albo im

zaprzeczymy, już zostaliśmy zdyskredytowani. Żadna szanująca się instytucja naukowa nie będzie chciała mieć z nami nic wspólnego.

236

Prawnik włożył okulary, poprawił je na nosie grubym palcem wskazującym.

- Rozumiem wasz dylemat - zaczął - ale nie...

Interkom na biurku Jeffa zabrzączał dwa razy krótko i raz długo, co oznaczało pilną wiadomość.

- Tak, Elaine?

- Przyszedł do państwa jakiś pan. Mówi, że reprezentuje rząd federalny.

- Co konkretnie? Obronę cywilną, Państwową Fundację Nauki?

- Departament Stanu. Chce rozmawiać z panem osobiście. Z panem i z panią Phillips.

- Jeff? - Wade zmarszczył brwi. - Chcesz, żebym przy tym był?
- Może - odparł Jeff. - Dowiedzmy się, czego chce. - Nacisnął guzik interkomu. - Wpuść go, Elaine.

Mężczyzna, którego sekretarka wprowadziła do gabinetu, miał czterdzieści parę lat, łysinę, czujne niebieskie oczy i poplamione nikotyną palce. Zmierzył Jeffa i Pamelę szybkim, przenikliwym spojrzeniem, po czym przeniósł wzrok na Mitchella Wade'a.

- Wolałbym porozmawiać z państwem bez świadków - powiedział.

Wade wstał, przedstawił się.

- Jestem adwokatem pana Winstona. Reprezentuję też panią Phillips.

Mężczyzna wyjął z kieszeni marynarki cienki portfel, wręczył Wade'owi i Jeffowi swoje wizytówki.

- Russell Hedges, Departament Stanu. Sprawa, którą muszę poruszyć, ma charakter poufny. Zechce pan nas zostawić, panie Wade?

- Nie, nie zechcę. Moi klienci mają prawo...

- Doradztwo prawne nie będzie tu potrzebne - przerwał mu Hedges. - W grę wchodzi bezpieczeństwo narodowe.

Adwokat zaczął protestować, ale Jeff go powstrzymał.

- W porządku, Mitchell. Chcę go wysłuchać. Zastanów się nad tym, o czym rozmawialiśmy wcześniej, i daj mi znać, jeśli wymyślisz jakieś rozwiązanie.

Zadzwoń do ciebie jutro.

237

- Zadzwon dzisiaj, jeśli zajdzie potrzeba - odrzekł Wade, patrząc wilkiem na wysłannika władz. - Będę w biurze do późna, co najmniej do szóstej albo wpół do siódmej.

- Dzięki. W razie czego skontaktujemy się z tobą.

- Czy mogę zapalić? - spytał Hedges po wyjściu prawnika, wyciągając paczkę cameli.

- Proszę bardzo.

Jeff wskazał mu jedno z krzeseł stojących naprzeciwko biurka i podsunął dużą szklaną popielniczkę. Hedges wyjął pudełko zapalek, przypalił sobie papierosa.

Pozwolił zapalce zmienić się powoli w poczerniały kikut, który wrzucił, wciąż się tłący, do popielniczki.

- Oczywiście słyszeliśmy o was - odezwał się w końcu. -Trudno byłoby nie słyszeć, zważywszy na szum, jaki zrobiły wokół was media przez ostatnie cztery miesiące. Ale większość moich kolegów uważała wasze oświadczenia za niepoważne. Do tego tygodnia.

- Libia? - zapytał Jeff, znając odpowiedź.

Hedges skinął głową, zaciągnął się papierosem.

- Ludzie z wydziału bliskowschodniego nie odzyskali jeszcze mowy.

Najbardziej wiarygodne doniesienia wywiadu głosiły, że reżim król Idrysa jest stabilny. Mało, że podaliście datę zamachu. Sprecyzowaliście, że junta będzie się wywodzić ze średniego szczebla libijskiej armii. Musicie mi powiedzieć, skąd to wszystko wiedzieliście.

- Wyjaśniłem to już tak dokładnie, jak tylko potrafię.

- Ta historia, że żył pan... - Objął chłodnym spojrzeniem Pamelę. - Że żyliście wiele razy. Chyba nie oczekujecie, że w to uwierzemy?

- Nie macie wyboru - odparł rzeczowo Jeff. - I my też nie. Wiemy tylko tyle, że coś takiego się dzieje. Zrobiliśmy z siebie takie widowisko wyłącznie dlatego, że chcemy dowiedzieć się o tym więcej. Dałem już to wszystko jasno do zrozumienia.

- Spodziewałem się, że pan tak powie.

Pamela z determinacją pochyliła się do przodu.

- Z pewnością jacyś rządowi naukowcy mogliby zbadać to zjawisko, pomóc nam znaleźć odpowiedzi, których szukamy.

- To nie mój wydział.

238

- Ale mógłby pan nas do nich skierować, dać im znać, że traktujecie nas poważnie. Są fizycy, którzy mogliby...

- W zamian za co? - zapytał Hedges, strząsając z papierosa długi popiół.

- Słucham?

- Mówimy o zaangażowaniu funduszy, siły roboczej, sprzętu laboratoryjnego...
Co dostalibyśmy w zamian?

Pamela ściągnęła wargi, popatrzyła na Jeffa.

- Informacje - powiedziała po chwili. - Wiedzę o przyszłych wydarzeniach, które zachwieją światową gospodarkę i doprowadzą do śmierci tysięcy niewinnych ludzi. Hedges zgniótł papierosa w popielniczce, utkwiał w Pameli swoje czujne niebieskie oczy.

- Na przykład?

Znów zerknęła na Jeffa; jego twarz nie wyrażała ani aprobaty, ani sprzeciwu.

- Ten zamach w Libii - podjęła - będzie miał katastrofalne, dalekosiężne skutki. Przywódca junty, pułkownik Kadafi, na początku przyszłego roku mianuje się premierem. To szaleniec, najbardziej złowieszczą postacią następnego dwudziestu lat. Zrobi z Libii wylęgarnię terrorystów i schronienie dla nich. Dojdzie przez niego do okropnych, niewyobrażalnych rzeczy.

Hedges wzruszył ramionami.

- Jest to strasznie mgliste. Mogą minąć lata, zanim tego rodzaju stwierdzenia okażą się prawdziwe lub fałszywe. Poza tym bardziej interesują nas wydarzenia w południowo-wschodniej Azji, nie wloty i upadki tych małych arabskich państweczek. Pamela z przekonaniem potrząsnęła głową.

- Mylicie się. Wietnam to przegrana sprawa. Przez najbliższe dwadzieścia lat kluczowym regionem będzie Bliski Wschód.

Popatrzył na nią z namysłem, wyciągnął ze zmiętej paczki drugiego papierosa.

- Mamy w Departamencie mniejszościową frakcję, która też jest tego zdania - powiedział. - Ale twierdzi pani, że nasza sytuacja w Wietnamie jest beznadziejna... Przedwczoraj umarł Ho Szi Min. Czy to nie osłabi morale NFW? Nasi analitycy mówią...

- Przeciwnie - wtrącił się Jeff. - Jego śmierć wzmocni ich

239

determinację. Niemalże kanonizują Ho, zrobią zeń męczennika. Nazwą jego imieniem Sajgon w... kiedy zajmą miasto.

- Chciał pan podać datę - zauważył Hedges, przyglądając mu się przez chmurę dymu.

- Wydaje mi się, że powinniśmy bardziej uważać, co panu mówimy - odparł ostrożnie Jeff, posyłając Pameli ostrzegawcze spojrzenie. - Nie chcemy powiększyć kłopotów świata, tylko pomóc mu uniknąć nadciągających nieszczęść.

- Czyja wiem... Wciąż jest w Departamencie sporo niewiernych Tomaszów i jeśli możecie nam zaoferować same ogólniki...

- Kosygin i Czou En-laj - oznajmił dobitnie Jeff. - W przyszłym tygodniu spotkają się w Pekinie, a na początku przyszłego miesiąca Związek Radziecki i Chiny zgodzą się odbyć oficjalne rozmowy na temat swoich sporów granicznych.

Hedges z niedowierzaniem zmarszczył brwi.

- Kosygin nigdy nie pojedzie do Chin.

- Pojedzie - zapewnił Jeff z cierpkim uśmiechem. - I wkrótce zrobi to także Richard Nixon.

Marcowy wiatr wiejący od Chesapeake Bay rozbijał krople lekkiego deszczu na delikatną, chłodną mgiełkę, nie pozwalając, by spadały, i miotając nimi we wszystkie strony, aż łączyły się z atmosferycznym mikrokosmosem białogrzywych fal przelatujących po wzburzonej zatoce. Czarny płaszcz przeciwdeszczowy Jeffa lśnił od wszechobecnej wilgoci, a zimna, przejrzysta mżawka siekła go ożywczo po twarzy mimo kaptura.

- Co z Allende? - zapytał Hedges, bez powodzenia próbując przypalić mokrego camela. - Ma szanse?

- Mimo że maczacie palce w chilijskiej polityce?

Jeff i Pamela już dawno zrozumieli, że Russell Hedges ma bardzo luźne powiązania z Departamentem Stanu. Czy był w CIA czy w NSA*, czy w jeszcze innej organizacji, tego nie wiedzieli. Nie miało to jednak większego znaczenia, rezultat był taki sam.

Hedges odpowiedział mu jednym ze swoich dwuznacznych półuśmiechów, w końcu przypalił papierosa.

* NSA, National Security Agency - Agencja ds. Bezpieczeństwa Narodowego.

- Nie musisz mi mówić, czy wygra wybory czy nie. Chcę tylko wiedzieć, czy ma jakieś szanse.

- A jeśli powiem, że tak, co dalej? Skończy jak Kadafi?

- Nasz kraj nie miał nic wspólnego z zamachem na Kadafie-go. Mówiłem ci to wiele razy. Była to czysto wewnętrzna sprawa libijska. Wiesz, jak w Trzecim Świecie wygląda walka o władzę.

Nie było sensu znów się o to spierać; Jeff wiedział aż nadto dobrze, że Kadafi zginął, zanim jeszcze ogłosił się premierem, w wyniku tego, co on i Pamela powiedzieli Hedgesowi o jego przyszłej polityce. Nie, żeby Jeff opłakiwał śmierć takiego krwiożerczego szaleńca, ale uzasadnione pogłoski, że za zamachem stało CIA, doprowadziły do utworzenia nie istniejącej przedtem organizacji terrorystycznej o nazwie Brygada Listopadowa z młodszym bratem Kadafiego na czele. Terrorysty ślubowali pomścić swego przywódcę i nieopanowany pożar szalał już na pustyni na południe od Trypolisu, gdzie trzy miesiące wcześniej Brygada Listopadowa wysadziła w powietrze szyby naftowe Mobil Oil, zabijając jedenastu Amerykanów i dwudziestu trzech libijskich robotników.

Ale Salvador Allende nie był Kadafim; był przyzwoitym człowiekiem pełnym najlepszych intencji, pierwszym marksistowskim prezydentem w historii wybranym w wolnych wyborach. I tak miał wkrótce zginąć, prawdopodobnie z poduszczenia Amerykanów. Jeff nie zamierzał przyspieszać tego godnego pożalowania dnia.

- Nie mam nic do powiedzenia na ten temat. Allende nie zagraża Stanom Zjednoczonym i na tym poprzestańmy.

Hedges spróbował się zaciągnąć wilgotnym camelem, ale mokra bibułka zaczęła się rozpadać i papieros zgasł. Cisnął go z niesmakiem do niespokojnej wody.

- Nie miałeś takich skrupułów, mówiąc nam, że Heath zostanie tego lata premierem Anglii.

Jeff uśmiechnął się sardonicznie.

- Może chciałem mieć pewność, że nie każecie zastrzelić Harolda Wilsona.

- Do diabła! - wybuchnął Hedges. - Od kiedy jesteś arbitrem moralnym naszej polityki zagranicznej?! Masz nam do-

starczać informacji i tyle. Niech władze decydują, co jest ważne, a co nie, i jak należy postępować.

- Widziałem już skutki niektórych z tych decyzji - odparł Jeff. - I wolę nie ujawniać wam wszystkiego. A poza tym -dodał - miała to być uczciwa wymiana. Co z waszą częścią umowy - są jakieś postępy?

Hedges zakaszłał, odwrócił się plecami do wiatru.

- Może wrócimy i napijemy się czegoś ciepłego?

- Mnie się tu podoba - powiedział wyzywająco Jeff. - Czuję, że żyję.

- Ale ja umrę na zapalenie płuc, jeśli zostaniemy tu dłużej. Chodźmy do domu i powiem ci, co wykombinowali naukowcy.

Jeff ustąpił i ruszyli w stronę starego budynku, będącego własnością rządu. Spędzili na wybrzeżu Marylandu, na południe od Annapolis, już półtora miesiąca, rozmawiając o skutkach odzyskania niepodległości przez Rodezję i zbliżającym się obaleniu księcia Sihanouka w Kambodży. Z początku on i Pamela traktowali pobyt tutaj jako rozrywkę, swego rodzaju wakacje, ale Jeffa coraz bardziej niepokoiły natarczywe pytania Hedge-sa, który najwyraźniej został do nich przydzielony na stałe. Uważali, aby nie powiedzieć nic, co administracja Nixona mogłaby wykorzystać w szkodliwy sposób, ale coraz trudniej było im się zorientować, gdzie leży granica. Nawet wymijające „bez komentarza” Jeffa dotyczące jesiennych wyborów prezydenckich w Chile mogło zostać słusznie zinterpretowane przez Hedgesa i jego zwierzchników jako wskazówka, że Allende rzeczywiście wygra; a jakie tajne działania Amerykanów spowoduje to założenie? Balansowali nad niebezpieczną przepaścią i Jeff zaczynał żałować, że w ogóle zgodzili się na te spotkania.

- No więc? - zapytał, kiedy zbliżyli się do domu o zamkniętych okiennicach, z kominem z czerwonej cegły, z którego podnosił się zapraszający słup dymu. - Jakie są najnowsze wieści?

- W Bethesdzie nie mają jeszcze nic konkretnego - wymamrotał Hedges za postawionym kołnierzem płaszcza od deszczu. -Chcieliby przeprowadzić więcej

badan.

- Przeszliśmy już wszystkie możliwe badania lekarskie -zaprotestował Jeff ze zniecierpliwieniem w głosie. - Jeszcze zanim wy się nami zajęliście. Nie w tym tkwi sedno sprawy.

242

Jest to coś poza nami, coś na płaszczyźnie kosmicznej albo sub-atomowej. Co mówią fizycy?

Hedges wszedł na drewniany ganek, strząsnął paciorki wody z kapelusza i płaszcz jak przerośnięty pies.

- Pracują nad tym - powiedział wymijająco. — Berget i Cam-pagna z Cal Tech sądzą, że może to mieć coś wspólnego z pulsa-rami... ale potrzebują więcej danych. Pamela czekała w salonie o dębowym belkowaniu, zwinięta w kłębek na kanapie przed buzującym kominkiem.

- Gorący jabłecznik? - zaproponowała, podnosząc swój kubek i pytająco przechylając głowę na bok.

- Z przyjemnością - odparł Jeff, a Hedges skinął głową.

- Zajmę się tym - powiedział młody mężczyzna w ciemnym garniturze, jeden z kilku stałych funkcjonariuszy ochrony.

Pamela wzruszyła ramionami, podwinęła rękawy obszernego swetra i wypła łyk z parującego kubka.

- Russell mówi, że fizycy robią postępy - oznajmił Jeff.

Rozpromieniła się, jej zarumienione od ognia policzki załśniły na tle zbitej niebieskiej wełny swetra i lnianych włosów.

- A co ze skokiem? - zapytała. - Przeprowadzili ekstrapolację?

Hedges wetknął do ust świeżego, suchego papierosa, opuścił powieki w cynicznym spojrzeniu z ukosa. Jeff znał ten wyraz twarzy, wiedział już, że agent nie bardzo wierzy w to, że żyli wiele razy i będą żyli znowu. Nie miało to znaczenia. Hedges i reszta mogli myśleć, co sobie chcieli, byle tylko inne umysły, wnikliwe i wytrwałe umysły naukowe, nadal skupiały się na zjawisku, które było aż

nadto realne.

- Mówią, że dane są zbyt niepewne - odrzekł Hedges. - Mogą co najwyżej podać prawdopodobny przedział.

- Jaki to przedział? - zapytała cicho Pamela, do białości zaciskając palce wokół gorącego kubka.

- Dwa do pięciu lat dla Jeffa, pięć do dziesięciu w twoim przypadku. Mówią, że na pewno nie mniej, ale być może więcej, jeśli krzywa nadal będzie się wznosić.

- O ile więcej? - spytał Jeff.

- Nie sposób tego przewidzieć.

Pamela westchnęła, jej oddech podnosił się i opadał jak wiatr na dworze.

243

- To zwykle zgadywanie - stwierdziła. - Tyle mogliśmy wymyślić sami.

- Może nowe badania...

- Do diabła z nowymi badaniami! - warknął Jeff. - Będą równie „nierozstrzygające” jak wszystkie poprzednie, prawda?

Milczący młody człowiek w ciemnym garniturze wrócił do salonu z dwoma grubymi kubkami. Jeff wziął swój, gniewnie zamieszał w nim aromatyczną laską cynamonu.

- W Bethesdzie chcą pobrać więcej próbek tkanki - powiedział Hedges, ostrożnie upiwszy łyk gorącego jabłeczniaka. - Jeden z zespołów uważa, że struktura komórkowa...

- Nie wrócimy do Bethesdy - przerwał mu Jeff stanowczym tonem. - Mają nad czym pracować i bez tego.

- Nie musicie znów iść do szpitala - wyjaśnił Hedges. - Potrzebują tylko próbek. Przesłali sprzęt, możemy pobrać je tutaj.

- Wracamy do Nowego Jorku. Od miesiąca nie widzieliśmy poczty ani innych wiadomości. Może być wśród nich coś użytecznego. Załatwicie nam samolot z Andrews na dziś wieczór?

- Przykro mi, ale...

- Jeśli transport rządowy nie jest osiągalny, polecimy samolotem pasażerskim.

Pamela, zadzwoń do Eastern Airlines i zapytaj, o której...

Mężczyzna, który przyniósł jabłecznik, dał krok naprzód, podnosząc rękę do rozpiętej marynarki. Drugi ochroniarz wszedł przez frontowe drzwi niczym na jakiś cichy znak, a trzeci stanął na schodach.

- Nie o to mi chodziło - powiedział ostrożnie Hedges. - Obawiam się, że... nie możemy pozwolić wam wyjechać.

17.

- ...zdobyć ambasadę Stanów Zjednoczonych w Teheranie, lecz zostali odparci przez oddziały Osiemdziesiątej Drugiej Dywizji Powietrzno-Desantowej, chroniące amerykańską placówkę dyplomatyczną od lutego zeszłego roku. Co najmniej stu trzydziestu dwóch irańskich rewolucjonistów zginęło, a straty amerykańskie wynoszą siedemnastu zabitych i dwudziestu sześciu rannych. Prezydent Reagan polecił wznowić naloty na bazy rebeliantów w górach na wschód od Tabrizu, gdzie ajatollah Cho-meini...

- Zgaś to cholerstwo - powiedział Jeff do Russella Hedgesa.

- ...dowództwo rewolucjonistów. Liczba ofiar zamachu terrorystycznego w Madison Square Garden wzrosła od zeszłego tygodnia do sześciuset osiemdziesięciu dwóch, a tak zwana Brygada Listopadowa grozi dalszymi atakami na amerykańskiej ziemi, dopóki wszystkie siły Stanów Zjednoczonych nie wycofają się z Bliskiego Wschodu. Radziecki minister spraw zagranicznych Gromyko zadeklarował „sympatię swego narodu dla bojowników islamskiego dżihadu” i stwierdził, że obecność amerykańskiej Szóstej Floty na Morzu Arabskim jest równoznaczna z...” Jeff pochylił się do przodu, wyłączył telewizor. Hedges wzruszył ramionami, włożył do ust miętowego dropsa i zaczął bawić się ołówkiem, który trzymał w palcach tak, jak dawniej nieodłączne papierosy.

- Co z przygotowaniem Rosjan w Afganistanie? - zapytał. - Planują konfrontację z naszymi wojskami w Iranie?

- Nie wiem - odparł ponuro Jeff.

- Jak silni są zwolennicy Chomeiniego? Utrzymamy szacha u władzy, przynajmniej do przyszłorocznych wyborów?

- Nie wiem, kurwa! - wybuchnął Jeff. - Skąd miałbym wie-

dzieć? Reagan nigdy przedtem nie był prezydentem w 1979 roku. Tym pasztetem zajmował się Jimmy Carter i nie posłaliśmy naszych żołnierzy do Iranu. Wszystko się zmieniło. Nie wiem, co, do diabła, może się teraz stać.

- Ale musisz się orientować, czy...
- Nie. Nie mam bladego pojęcia.

Popatrzył na Pamelę, która mierzyła Hedgesa gniewnym spojrzeniem. Jej twarz była mizerna, blada; przez te kilka lat straciła kobiecą krągłość, stała się niemal tak kanciasta jak twarz Jeffa. Pociągnął ją za rękę, żeby wstała.

- Idziemy na spacer - oznajmił Hedgesowi.
- Mam jeszcze kilka pytań.
- Wsadź sobie swoje pytania. Skończyły mi się odpowiedzi.

Hedges posłał dropa, przyjrzał się Jeffowi swymi zimnymi niebieskimi oczyma.

- Dobrze - mruknął. - Porozmawiamy przy kolacji.

Jeff chciał mu po raz kolejny powiedzieć, że nic to nie da, że świat idzie teraz dziwnym i nieokreślonym nowym kursem, co do którego ani on, ani Pamela nie byli w stanie udzielić żadnych rad, ale wiedział, że protesty nie miałyby sensu. Hedges nadal uważał, że posiadają zdolność jasnowidzenia i potrafią przepowiedzieć przyszłe wypadki na podstawie dowolnej bieżącej sytuacji. Kiedy ich wiedza stała się bezużyteczna wobec drastycznych zmian światowych wydarzeń, milcząco, lecz wyraźnie obwinił ich o zatajanie informacji. Badania, którym ich poddawano - z solą sodową tiopentalu i wykrywaczem kłamstw - przynosiły niewiele użytecznych danych, ale po jakimś czasie przestali się im sprzeciwiać. Może, myśleli, kiedy wartość ich odpowiedzi zmaleje, Hedges i jego szefowie dadzą im spokój, może nawet któregoś dnia zwolnią ich z tego „aresztu ochronnego”. Oboje wiedzieli, że jest to słaba nadzieja, ale wciąż się jej trzymali. Było to lepsze niż alternatywa: pogodzenie się z oczywistą prawdą, że zostaną tu, dopóki znów nie umrą.

Woda była tego dnia gładka i niebieska i spacerując wzdłuż wydm, mogli dostrzec garb wyspy Poplar. Łodzie rybackie krążyły między bojami, wyławiając ostrygi z

bogatyh ławic zatoki Chesapeake. Jeff i Pamela starali się czerpać otuchę ze zwodniczego spokoju znajomego otoczenia i ignorować mężczyzn

246

w ciemnych garniturach, idących dwójkami dwadzieścia jardów przed i za nimi.

- Może go okłamiemy? - zaproponowała Pamela. - Powiedzmy, że jeśli nie wycofamy wojsk z Iranu, wybuchnie wojna. Chryste, przecież jest to całkiem prawdopodobne.

Jeff przystanął, aby podnieść cienkie drewnienko wyrzucone przez ocean na brzeg.

- Przejrzą nas, zwłaszcza kiedy dostaniemy tiopental.

- Moglibyśmy spróbować.

- Kto wie, jakie byłyby skutki takiego kłamstwa? Reagan mógłby się zdecydować na atak wyprzedzający. Wywołalibyśmy wojnę, do której może nie dojść.

Pamela wzruszyła ramionami.

- Stuart McCowan musi być szczęśliwy - powiedziała z goryczą w głosie. - Gdziekolwiek jest.

- Uważaliśmy, że postępujemy słusznie. Nikt nie mógł przewidzieć takiego rozwoju sytuacji. Poza tym nie wszystko było złe. Uratowaliśmy wielu ludzi.

- Nie możesz wpisywać istnień ludzkich do księgi rachunkowej!

- Nie, ale...

- Nie chcą już nawet ostrzegać o huraganach i katastrofach lotniczych - ciągnęła z odrazą, kopiąc stertę piasku. - Wszyscy, a zwłaszcza Sowieci, mają myśleć, że zniknęliśmy, więc pozwalają, żeby ci ludzie bezsensownie umierali.

- Tak jak umierali zawsze przedtem.

Odwróciła się do niego, z twarzą pełną wściekłości, jakiej nigdy u niej nie widział.

- To żaden argument, Jeff! Mieliśmy sprawić, aby świat stał się lepszy i bezpieczniejszy, a w gruncie rzeczy dbaliśmy wyłącznie o siebie, o to, żeby się dowiedzieć, jak długo będzie trwało nasze cenne małe życie. I nie udało nam się osiągnąć nawet tego.

- Naukowcy mogą jeszcze odkryć...

- Mam to gdzieś! Kiedy oglądam wiadomości, wszystkie te śmierci, które są skutkiem tego, co powiedzieliśmy Hedgesowi: ataki terrorystyczne, działania wojskowe, może już wkrótce prawdziwa wojna... Kiedy to widzę, żałuję... żałuję, że zrobi-

247

łam ten cholerny film, żałuję, że przyjechałeś do Los Angeles i że mnie odnalazłeś! Jeff odrzucił drewno, popatrzył na nią z bolesnym niedowierzaniem.

- Nie mówisz poważnie - powiedział.

- Owszem, mówię! Żałuję, że cię spotkałam!

- Pamela, proszę...

Jej ręce drżały, twarz była zaczerwieniona z gniewu.

- Nie będę więcej rozmawiać z Hedgesem. I nie chcę też więcej rozmawiać z tobą. Przenieś się do któregoś z pokoi na drugim piętrze. Możesz im powiedzieć, co ci się, kurwa, podoba. Proszę bardzo, wciągnij nas w wojnę, wysadź w powietrze cały ten cholerny świat!

Odwróciła się i zaczęła biec, pośliznęła się na piasku i odzyskała równowagę, pomknęła ku domowi, który był ich więzieniem. Dwaj ochroniarze popędzili za nią, dwaj pozostali stanęli po bokach Jeffa. Przyglądał się, jak biegnie, jak mężczyźni wprowadzają ją do domu; Hedges stał w drzwiach i Jeff słyszał, że Pamela wrzeszczy na niego, ale podmuch letniego wiatru od zatoki porwał jej słowa, zagłuszył sens jej okrzyków.

Obudził się w strumieniu zimnego, sztucznie pachnącego powietrza. Ostre, cienkie promienie jaskrawego słońca przeciskały się przez na wpół zamknięte listewki żaluzji pobliskiego okna, oświetlając skromnie umeblowaną sypialnię. Milczący radiomagnetofon stał na podłodze naprzeciwko łóżka, a na stercie ubrań na toalecie leżał jak na poduszce stary kaseciak i mikrofon z logo WIOD.

Przez szum klimatyzacji przebił się jakiś dźwięk i Jeff rozpoznał w nim dzwonek u drzwi. Ktokolwiek to był, odejdzie, jeśli go zignoruje. Spojrzał na książkę, którą trzymał w dłoniach: Incydent w motelu Johna Herseya. Odrzucił ją, spuścił nogi z łóżka i podszedł do okna. Podniósł jedną z białych listewek żaluzji, wyjrzał na dwór i

zobaczył kępę wysokich palm; za nimi były tylko płaskie bagna, po sam horyzont. Dzwonek zadzwonił ponownie, a potem Jeff usłyszał ryk zbliżającego się odrzutowca, zobaczył, jak przelatuje kilkaset jardów za palmami. Schodzi do lądowania na Fort Lauderdale-

248

A

-Hollywood International, uświadomił sobie. Było to jego mieszkanie w Danii, milę od plaży i zbyt blisko lotniska, ale pierwsze, jakie mógł naprawdę nazwać własnym, pierwsze całkowicie samodzielne i „dorosłe” lokum. Pracował na swoim pierwszym pełnym dziennikarskim etacie w Miami, zaczynał karierę.

Wciągnął w płuca nieświeże, chłodne powietrze, usiadł z powrotem na skotłowanym łóżku. Umarł w terminie, sześć minut po pierwszej 18 października 1988 roku; wojna światowa jeszcze nie wybuchła, chociaż...

Dzwonek odezwał się znowu, tym razem długo, natarczywie. Do diabła, dlaczego ten ktoś po prostu nie odejdzie? Dzwonek umilkł i natychmiast zadzwonił po raz czwarty. Jeff włożył jakiś T-shirt i dżinsy z obciętymi nogawkami ze sterty ubrań na toaletce, wymaszerował gniewnie z pokoju z zamiarem pozbycia się natręta. Kiedy wszedł do saloniku, uderzyła go nieruchoma ściana dusznego, wilgotnego powietrza; musiała tu nawalić klimatyzacja, dlatego był w sypialni w środku dnia. Nawet szerokolistna paprotka w kącie zwiotczała, poddając się sile klaustrofobicznego gorąca. Jeff otworzył drzwi wejściowe, kiedy uparty dzwonek rozdzwonił się po raz kolejny.

W progu stała Linda, uśmiechnięta, słońce rozświetlało złote pasemka w falach jej rudawych włosów. Jego żona, była żona, przyszła żona: Linda, promieniejąca nie ukrywanym bezmiarem swej nowo narodzonej miłości do niego i trzymająca w wyciągniętej ręce pęk margerytek. Wszystkie margerytki świata, jak się wydawało, a jej twarz ze słodkich wspomnień błyszczała całym płomiennym szczęściem i szczodrością młodości.

Jeff poczuł, że łzy napływają mu do oczu, ale nie mógł oderwać od niej wzroku, nie mógł się nawet zmusić, aby mrugnąć, w obawie, że straci jedną cenną sekundę tego

obrazu, który żył w jego pamięci przez tyle dziesięcioleci, a teraz pojawił się przed nim znowu w całym blasku miłości. Tak dawno, to było tak cholernie dawno...

- Nie zaprosisz mnie do środka? - spytała; jej dziewczęcy głos brzmiał jednocześnie nieśmiało i prowokująco.

- Aaa... tak, jasne, przepraszam, wejdź. Cudownie... że jesteś. Kwiaty są wspaniałe. Dziękuję. Co za niespodzianka.

249

- Masz w co je wstawić? Boże, tu jest bardziej gorąco niż na zewnątrz!

- Zepsuła się klimatyzacja. Zaczekaj, poszukam czegoś na kwiaty.

Rozejrzał się z roztargnieniem po pokoju, usiłując sobie przypomnieć, czy ma wazon.

- Może w kuchni? - podpowiedziała mu Linda.

- Tak, to dobry pomysł, pójdę sprawdzić. Chcesz piwa, coli?

- Wystarczy woda z lodem.

Poszła za nim do ciasnej małej kuchni i wyszperała wazon, kiedy nalewał jej wysoką szklankę wody z dzbanka, który znalazł w lodówce.

- Dzięki - powiedziała, wachlując się ręką, gdy Jeff wziął od niej kwiaty. - Może otworzymy okna czy coś?

- W sypialni klimatyzacja działa. Chodźmy tam.

- Dobrze. Lepiej weźmy tam też kwiaty. Zwiędłyby w tym upale.

Jeff postawił margerytki na nocnym stoliku, popatrzył, jak Linda kręci piruety przed klimatyzatorem. Była w letniej sukience bez pleców i jej naga skóra lśniła brylancikami potu.

- Oooh, jak cudownie - westchnęła, podnosząc szczupłe ręce nad głowę; jej małe, jędrne piersi podjechały do góry pod cienkim białym materiałem.

Jeff pamiętał, że przedtem zrobili dokładnie to samo: znaleźli wazon na kwiaty, poszli się ochłodzić do sypialni, Linda wirowała i pozowała w ten sam sposób...

Kiedy to było? W zaprzeszłym życiu, w zaprzeszłym świecie.

Jej wielkie brązowe oczy, ich wilgotne ciepło, gdy na niego patrzyła: Jezu, nikt nie patrzył tak na niego od lat. Pamela odizolowała się na ostatnim piętrze rządowego domu w Marylandzie, tak jak zagroziła, oziębłe unikała jego wzroku podczas tych

rzadkich okazji, kiedy jadła kolację ze wszystkimi. Oczami, które Jeff najlepiej pamiętał z minionych dziewięciu lat, były niebezpieczne błękitne tęczówki Russella Hedgessa, wpatrujące się weń z coraz większą złością, gdy świat pogrążał się w piekielnym bagnie ataków terrorystycznych, starć granicznych i konfrontacji amerykańsko-radzieckich, o których Jeff nic nie wiedział i których następstw nie mógł przewidzieć.

250

Co się teraz stanie z tym drastycznie zmienionym światem, pomyślał, jeśli nadal istnieje na swej obocznej linii czasu i idzie kursem, na który on i Pamela, mając jak najlepsze intencje, niechcący go pchnęli? Stan wojenny wprowadzono w Stanach Zjednoczonych już przed trzema laty, kiedy Biygada Listopadowa zniszczyła most Golden Gate i urządziła masakrę w gmachu ONZ. Wybory prezydenckie 1988 roku odłożono na czas nieokreślony z powodu nowego zakazu zgromadzeń publicznych i szefowie trzech głównych agencji wywiadowczych praktycznie przejęli rządy, „póki zagrożenie nie minie”.

Zanosilo się na to, że powstanie amerykańskie państwo faszystowskie, co oczywiście od początku było celem międzynarodowego terrorystycznego podziemia. Jego członkowie niczego nie pragnęli bardziej, niż doprowadzić do narodzenia się w Stanach Zjednoczonych prawdziwie ciemńskiego reżimu, jaki nawet zwykli obywatele mogą zechcieć obalić z bronią w rękę. Jeśli, rzecz jasna, wojowniczo antykomunistyczna trójka CIA/NSA/FBI sprawująca rząd tymczasowy nie wywoła wcześniej globalnego konfliktu jądrowego, którego wybuch groził światu od końca lat siedemdziesiątych.

Linda wystawiła swe nagie jedwabiste plecy na prąd chłodnego powietrza, zamknęła oczy i jedną ręką przytrzymała włosy, aby kojący powiew muskał też jej szczupły kark. Wpadające przez żaluzje wiązki słonecznych promieni prześwietlały białą sukienkę, pokazując jej nogi tancerki.

Pamela miała rację, że odwróciła się od niego, pomyślał z bólem Jeff. Miała rację, że potępiła ich oboje za to, co wprawili w ruch, choćby nawet mimowolnie czy z altruistycznych pobudek. Ujawniając publicznie, kim są, i godząc się na współpracę z

rządem w zamian za mizerne informacje, zasiali ziarno katastrofy, której skutki poniesie jakiś inny świat. Dopiero się okaże, czy kiedykolwiek będą w stanie wybaczyć sobie rozpętanie brutalnej globalnej przemocy w imię życzliwości i zrozumienia... I miną lata, może nawet całe dziesięciolecie, zanim będzie miał szansę spróbować znów porozmawiać z Pamelą, spróbować się z nią pojednać i zaakceptować tragiczną totalność klęski ich wysiłków, aby poprawić los ludzkości. Ten świat był

251

stracony, tak jak Pamela była stracona dla niego na nie wiadomo jak długie lata, być może na zawsze.

- Połaskocz mnie - powiedziała Linda swym słodkim, czystym głosem i przez chwilę Jeff nie wiedział, o co jej chodzi.

Potem przypomniał sobie, jak uwielbiała, gdy delikatnie, powoli muskał koniuszkami palców jej skórę, tak lekko, że prawie jej nie dotykał. Wyjął jedną margerytkę z bukietu, który mu dała, powiódł pierzastymi płatkami wzdłuż jej szyi i barku, w dół prawego ramienia i z powrotem w górę lewego.

- Ooch, jak dobrze - wyszeptała. - Teraz tutaj.

Opuściła cienkie ramiączka sukienki, pozwoliła jej opaść ze swych młodzieńczych piersi. Jeff popieścił ją kwiatem, pochylił się, aby pocałować sterczące sutki.

- Och, uwielbiam to - westchnęła Linda. - Uwielbiam ciebie!

I tak w ten idealny, przeżywany po raz drugi dzień znalazł tak bardzo potrzebną mu pociechę w ufnej namiętności i serdeczności tej kobiety, której uczuć był przez lata pozbawiony. W jej miłości do niego odkrył na nowo swą miłość do niej i znów zaczął żyć.

Po dniach spędzonych na marokańskim słońcu cytrynowe pasemka Lindy przybrały kolor jeszcze bledszej żółci i wydawało się, że jej włosy odbijają urojone światło z wielkiego złotego kilimu wiszącego za długim barem. Trzymała się barowej poręczy, chichocząc, kiedy statek huśtał się delikatnie na falach północnego Atlantyku. Jej dżin z tonikiem zaczął się zsuwać po przechylonym dębowym blacie i gdy go

zręcznie złapała, lód w szklance zadzwonił do wtóru jej śmiechowi.

- Encore, madame*? - zapytał barman.

Linda odwróciła się do Jeffa.

- Chcesz jeszcze jednego drinka?

Potrząsnął głową, dokończył swojego Jacka Danielsa z wodą sodową.

- Może przejdziemy się po pokładzie? Noc jest ciepła. Chciał-

* Encore... (franc.) - Jeszcze, proszę pani?

252

bym popatrzeć na ocean. - Podpisał rachunek z numerem ich kajuty, podał go barmanowi. - Merci, Raymond, a demain*.

- A demain, monsieur. Merci**.

Jeff wziął Lindę pod ramię i przeszli przez lekko rozkołysany bar Riviera na pokład.

Imponujące czerwono-czarne kominy S.S. France strzelały ponad nimi w nocne niebo, ich zgrabne poziome żebra wyglądały jak nieruchome płetwy dwóch

olbrzymich wielorybów zastygłych w pół skoku. Potężny statek podniósł się do góry, po czym opadł gładko w dolinę między ogromnymi, lecz równymi falami. Niebo było tu pogodne, pełne gwiazd, ale ku południowi burzowe chmury raz po raz rozjaśniały horyzont zygzakami błyskawic. Sztorm przesunął się w ich stronę, jednak płynąc z prędkością trzydziestu węzłów, zdążą uciec, zanim gwałtowny wiatr i ulewny deszcz dotrą na ten obszar oceanu.

Heyerdahl, pomyślał Jeff, znajdzie się w nieporównywalnie trudniejszej sytuacji.

Będzie patrzył na nadciągający sztorm innymi oczami, czujny i zaniepokojony przy sterze swej maleńkiej papirusowej łodzi, tak daleko od lądu. Właśnie taki sztorm przeszkodził mu przed rokiem, zmusił go do opuszczenia uszkodzonego „Ra I” na wzburzonym morzu, zaledwie sześćset mil od celu.

- Naprawdę sądzisz, że tym razem mu się uda? - zapytała Linda, wpatrując się w oświetlone węzowato chmury.

Myślała o tym samym, obawiała się o los sympatycznego brodatego Norwega, z którym dzielili wysiłki i osiągnięcia minionych trzech tygodni w starożytnym porciefortecy Safi, gdzie zbudował - i przed tygodniem zwodował - swą historyczną,

celowo prymitywną łódź.

- Uda mu się - zapewnił ją Jeff.

Cienka sukienka Lindy zatrzepotała na sztormowym wietrze i dziewczyna mocniej przytrzymała się relingu.

- Dlaczego on tak cię fascynuje?

- Z tego samego powodu co Michael Collins i Richard Gordon - odparł. I Roosa, mógłby dodać, i Worden, i Mattingly,

* Merci... (franc.) - Dziękuję, Raymond, do jutra.

** A demain... (franc.) — Do jutra, proszę pana.

253

i Evans*, i jeńcy wojenni, którzy za trzy lata, w 1973, zaczną wracać z Wietnamu. -

Fascynuje mnie ich izolacja, całkowite odseparowanie od reszty ludzkości...

- Przecież Heyerdahl ma ze sobą siedmioosobową załogę -zauważyła. - Collins i Gordon byli zupełnie sami w tych kapsułach, przynajmniej przez jakiś czas.

- Czasem można z kimś dzielić izolację - stwierdził Jeff, patrząc na zbałwaniony ocean.

Ciepły zapach nadciągającej tropikalnej burzy przywiódł mu na myśl Morze Śródziemne, dzień, kiedy ten sam aromat wpadał przez otwarte okno willi na Majorce. Pieprzny smak paelli, przeszywający smutek gitary Laurinda Almeidy, radość i ból w oczach Pameli, jej konających oczach.

Linda spostrzegła cień, który przemknął po twarzy Jeffa, i chwyciła go za rękę, równie mocno, jak trzymała się relingu.

- Chwilami martwię się o ciebie - powiedziała. - Wszystkie te rozmowy o izolacji i samotności... Nie wiem, czy ten projekt był takim dobrym pomysłem. Mam wrażenie, że za bardzo cię przygnębia.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek głowy.

- Nie - zaprzeczył, uspokajając ją serdecznym uśmiechem. -Nie przygnębia mnie. Po prostu wprawia mnie w zadumę.

Wiedział jednak, że nie jest to do końca prawda; to jego refleksyjne nastroje dały początek przedsięwzięciu, które go teraz pochłaniało, a nie na odwrót. Obecność

Lindy, jej niezwykła, nie ukrywana czułość, kołysała jego obolałą duszę od owego sierpniowego dnia w 1968 roku, kiedy podjąwszy to życie, zastał ją na swoim progu z naręczem świeżo ściętych margerytek. Ale nawet niespodziewane odrodzenie uczuć, które łączyły ich tak dawno temu, nie wystarczyło, by zapomniał o cierpieniach, jakie w poprzedniej powtórcie zadał światu za pośrednictwem Russella Hedgessa, i o będącym tego skutkiem zerwaniu z Pamelą. Nie mógł się uwolnić od poczucia winy i wyrzutów sumienia; tworzyły one nieprzerwany wewnętrzny prąd podmywający fundamenty jego zmartwychwstałej miłości do ko-

* Michael Collins, Richard Gordon, Stuart Roosa, Alfred Worden, Thomas Mattingly i Ronald Evans - astronauta amerykańscy.

254

biety, którą niegdyś poślubił. A to z kolei budziło nowe wyrzuty sumienia, nowe poczucie winy, potęgowane jeszcze przez przeświadczenie, że powinien być w stanie zmienić swoje emocje, puścić przeszłość w niepamięć i oddać się Lindzie tak całkowicie, jak ona oddała się jemu.

Natychmiast rzucił posadę reportera w rozgłośnię WIOD w Miami. Nie mógł strawić codziennego wyszukiwania, obserwowania i relacjonowania ludzkich tragedii, nie po tym wszystkim, za co czuł się odpowiedzialny podczas martwych lat spędzonych w rządowej kryjówce w Marylandzie. W październiku zaczekał, aż Detroit przegra trzy mecze z czterech i postawił wszystkie oszczędności na to, że Tigersi zwyciężą w trzech ostatnich pojedynkach finałów. Mickey Lolich go nie zawiódł, nie było takiej możliwości.

Dzięki tej wygranej mógł się przenieść do nowego lokum przy plaży w Pompano Beach, gdzie Linda nadal mieszkała z rodzicami i chodziła do college'u. Spotykał się z nią każdego popołudnia, gdy kończyła zajęcia, pływał z nią w spokojnym oceanie albo siedział obok niej nad swoim basenem, kiedy się uczyła. Na wiosnę wprowadziła się do niego, mówiąc rodzicom, że „wynajmie coś sobie sama”. Ci udali, że wierzą w to kłamstwo, nie odwiedzali ich apartamentu na dziewiątym piętrze i nadal zapraszali Jeffa na obiad w każdą niedzielę.

Właśnie latem 1969 roku wpadł na pomysł projektu, który go teraz zaprzętał.

Podsunał mu go ojciec Lindy, pewnego niedzielnego wieczoru, gdy pili kawę przy stole w jadalni. Jeff zwyczajowo ignorował teraz wiadomości, grzecznie wyłączał się z wszelkich dyskusji o krajowych czy światowych wydarzeniach. Ale tej niedzieli jego były-przyszły teść uczeplił się jednego tematu, którego nie chciał poniechać: przerwanej niedawno wyprawy Thora Heyerdahla i donkichotowskich wysiłków Norwega, aby dowieść, że starożytni eksploratorzy, żeglujący w łodziach z papirusowej trzciny, mogli przywieźć egipską kulturę do obu Ameryk na ponad trzy tysiące lat przed Kolumbem.

Ojciec Lindy wyśmiał tę teorię, zlekceważył bliską sukcesu próbę Heyerdahla jako całkowitą porażkę. Jeff nie ujawnił się ze swą wiedzą, że żądny przygód antropolog zatriumfuje rok później, podczas drugiej ekspedycji. Niemniej ta rozmowa dała

255

mu do myślenia i w nocy nie spał do świtu, słuchając, jak fale biją o brzeg pod oknami jego mieszkania, i wyobrażając sobie siebie dryfującego po tym ciemnym morzu w lekkiej, własnoręcznie zbudowanej łodzi, w kruchej łupince, która wprawdzie uległa tegorocznym sztormom, ale powróci i pokona ocean.

W tym samym miesiącu, tak jak poprzednio, pojechali z Lindą na przylądek Canaveral, aby zobaczyć kontrolowaną furie potężnej rakiety Saturn V, która wyniosła Apolla 11 na Księżyc. Po starcie, kiedy posuwali się powoli wzdłuż nadmiernie już rozwiniętego Złotego Wybrzeża razem z setkami tysięcy innych samochodów pełnych widzów, głowę Jeffa wypełniały myśli o izolacji, odsunięciu od codziennych spraw ludzkości. Nie o takim odosobnieniu i ucieczce, jakich szukał niegdyś w Montgomery Creek, lecz o wyprawie w pojedynkę, samotnej epickiej podróży ku celowi, do którego nie dotarł jeszcze nikt.

Jeff był pewien, że Heyerdahl zna to uczucie, podobnie jak załoga misji, której start obserwowali, a wśród tej załogi nikt nie znał go lepiej niż Michael Collins. Na Armstronga, i w mniejszym stopniu na Aldrina, spłynie chwała, oni zrobią te historyczne pierwsze kroki, wypowiedzą zniekształcone pierwsze słowa, zatkną flagę w lunarnej glebie... Ale podczas tych dramatycznych godzin, które jego koledzy spędzą na powierzchni Księżyca, Michael Collins będzie bardziej samotny niż

jakikolwiek człowiek przed nim: ćwierć miliona mil od Ziemi, na orbicie wokół obcego świata, gdy najbliżsi ludzie są gdzieś w dole na wrogim ciełe niebieskim. Kiedy jego moduł dowodzenia znajdzie się po drugiej stronie Księżyca, Collins nie będzie miał nawet łączności radiowej z innymi istotami ludzkimi, nie będzie mógł nawet dojrzeć dalekiego niebiesko-białego globu, na którym się urodził. Będzie musiał stawić czoło mrocznej nieskończoności kosmosu w całkowitej samotności i ciszy, jakich doświadczy prócz niego tylko pięciu ludzi.

Wtedy właśnie, tkwiąc w trzydziestomilowym korku na autostradzie nr 1 koło Melbourne, Jeff pojął, że musi poznać tych ludzi, musi ich zrozumieć. Być może w ten sposób lepiej zrozumie samego siebie i samotną podróż przez czas, na którą on i Pamela zostali skazani.

W następnym tygodniu odbył pierwszą z wielu wypraw do

256

Houston. Dzięki swemu wywiadowi z Earlem Warrenem z poprzedniego roku otrzymał referencje z NBC i uzyskał dostęp do NASA jako niezależny dziennikarz. Przeprowadził kilka rozmów ze Stuartem Roosą i z czasem się z nim zaprzyjaźnił, a przez niego dotarł do Richarda Gordona, Alfreda Wordena i reszty. Zgodził się z nim spotkać nawet Michael Collins; uwaga i podziw świata nadal skupiały się na ludziach, którzy stanęli na Księżycu, nie na tych, którzy pozostali - lub mieli pozostać - na orbicie.

To, co było z początku osobistą próbą zrozumienia własnego stanu umysłu, wkrótce zmieniło się w coś więcej. Po raz pierwszy od wielu lat Jeff wykorzystywał swoje dziennikarskie talenty, umiejętnie wnikał w myśli i wspomnienia swych rozmówców, uzyskując najlepsze rezultaty w chwilach, gdy zapominali, że udzielają wywiadu, gdy opuszczali gardę w obliczu jego najwyraźniej szczerzego zainteresowania i zaczęli z nim rozmawiać w sposób głęboko ludzki. Patos, humor, gniew, strach: wydobywał z tych ludzi całą gamę żywych emocji, których astronauta nigdy przedtem nie ujawnili. I wiedział, że ich szczególna wizja wszechświata jest częścią całości, której nie może zachować dla siebie, lecz musi ją przekazać całemu światu.

Jesienią napisał do Heyerdahla, umówił się na pierwsze z licznych spotkań z nim w

Norwegii, potem w Maroku. Kiedy początkowy impuls, który pchnął Jeffa do nawiązania kontaktu z tymi wyjątkowymi ludźmi, rozrósł się w jego umyśle, kiedy obrazy i uczucia, w które uzyskał dzięki nim wgląd, nabrały własnej mocy, uzmysłowił sobie wreszcie, że nieświadomie, lecz uparcie pracuje nad książką o sobie samym, posługuje się metaforą tych samotnych podróżników, aby uporać się z własnym niepowtarzalnym doświadczeniem i objaśnić różnobarwny gobelin utkany z własnych zysków, strat i żalów.

Nowy zygzak błyskawicy oświetlił dalekie burzowe chmury, jego przyćmione białe odbicie zaigrało na anielskiej twarzy Lindy.

I radości, pomyślał, muskając czubkami palców jej policzek, gdy uśmiechnęła się do niego. Musi też przekazać radości.

Z gabinetu Jeffa, jak z większości pokoi domu w Hillsboro Beach, na południe od Boca Raton, rozciągał się widok na oce-

257

an. Jeff znajdował oparcie w niezmienności tego obrazu i bezustannym szumie fal, tak jak niegdyś w panoramie ośnieżonego szczytu Mount Shasta ze swej chaty w Montgomery Creek. Ten widok go uspokajał, zakotwiczał, z wyjątkiem nocy, gdy księżyc wynurzał się z oceanu, przywodząc mu na myśl pewien film, który w tym świecie nie powstał, i czasy, o których lepiej było zapomnieć.

Nacisnął nożny pedał dyktafonu Sony i nawet przez maleńki głośniczek odtwarzacza dało się słyszeć, jak głęboki i dźwięczny jest ten głos przemawiający z silnym rosyjskim akcentem. Jeff był w trakcie spisywania z taśmy wywiadu i ilekroć słyszał ów głos, przypominał sobie zdumiewająco skromne mieszkanie swego rozmówcy w Zurychu, półmiski z blinami i kawiozem, dobrze schłodzoną butelkę pieprzówki na stole między nimi. I słowa, potoczysty opis globalnego smutku przerywany niespodziewanymi perłami dowcipu, a nawet wybuchami śmiechu krzepkiego mężczyzny z charakterystyczną rudą brodą. Wiele razy podczas tego szwajcarskiego tygodnia kontaktu z namiętnie wyrażaną mądrością kusilo Jeffa, by powiedzieć panu Aleksandrowi, jak głęboko podziela jego żal, jak dobrze rozumie bezsilną wściekłość w obliczu bezpowrotnej straty. Ale oczywiście nie zrobił tego. Nie mógł. Gryzł się w

język, grał nie-opierzonego, choć wnikliwego dziennikarza, i po prostu nagrywał przemyślenia wielkiego człowieka, zostawiając go samego z jego bólem, jak on był sam ze swoim.

Rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi i wołanie Lindy:

- Skarbie? Chcesz zrobić sobie przerwę?
- Jasne - odparł, wyłączając maszynę do pisania i dyktafon. -Wejdz.

Otworzyła drzwi i weszła do środka, niosąc tacę z dwoma kawałkami limonowego placka i dwiema filiżankami kawy Ja-maica Blue Mountain.

- Posiłek regeneracyjny - powiedziała z uśmiechem.
- Mmmm. - Jeff wciągnął w nozdrza mocny aromat kawy i orzeźwiający, kwaskowy zapach świeżego ciasta. - To coś więcej. Nieskończenie więcej.
- Jak ci idzie z Sołżenicynem? - zapytała Linda, siadając z tacą na kolanach na wielkiej otomanie obok jego biurka.

258

- Doskonale. Mam mnóstwo materiału i cały jest wprost znakomity. Nawet nie wiem, gdzie zacząć ciąć czy streszczać.
- To lepszy wywiad niż ten z Thieu?
- Znacznie lepszy - wymamrotał między kęsami nieludzko pysznego placka. - W wywiadzie z Thieu jest dostatecznie dużo dobrych cytatów, żeby warto go było zamieścić, ale trzonem książki będzie rozmowa z Sołżenicynem. Jestem naprawdę podniecony.

I wiedział, że słusznie; ów nowy projekt nabierał kształtu w jego umyśle, odkąd zaczął pisać swoją pierwszą książkę, tę

0 Heyerdahlu i astronautach. Kiedy ją wydał przed dwoma laty, w 1973 roku, zyskała spore uznanie krytyków i czytelników. Był przekonany, że nowa książka, do której już prawie skończył zbierać materiały, prześcignie nawet najlepsze ustępy poprzedniej.

Tym razem napisze o wygnaniu wymuszonym, o rozłące z domem, krajem i rodakami. Czuł, że poruszając ten temat, potrafi wyrazić i wywołać powszechną empatię, iskrę zrozumienia, ponieważ istnieje metaforyczne wygnanie, którego

doświadczamy wszyscy i które Jeff poznał lepiej niż ktokolwiek przed nim: nasze wspólne i nieuniknione rozstanie z latami, które przeżyliśmy i zostawiliśmy za sobą, z ludźmi, którymi byliśmy i których utraciliśmy na zawsze.

Obszerne rozważania Aleksandra Sołżenicyna - o emigracji, nie o gułagu - były, jak powiedział Lindzie, bez wątpienia najbardziej głębokie ze wszystkich obserwacji, jakie do tej pory zebrał. Chciał też włączyć do książki fragmenty swojej korespondencji ze zdetronizowanym kambodżańskim księciem Si-hanoukiem i wywiady, przeprowadzone w Madrycie i Buenos Aires, z Juanem Peronem, jak również refleksje, które uzyskał od Nguyena Van Thieu po upadku Sajgonu.

Rozmawiał nawet z ajatollahem Chomeinim w jego schronieniu pod Paryżem. Aby książka była w pełni demokratyczna, poprosił o wypowiedź kilkunastu zwykłych uchodźców politycznych, kobiety

1 mężczyzn, którzy uciekli przed reżimami zarówno prawicy, jak i lewicy.

Notatki i kasety, które zgromadził, obfitowały w przejmujące, poruszające do głębi opowieści i uczucia. Teraz musiał wy-

259

dobyć istotę tych milionów szczerych słów, zmaksymalizować ich surową siłę poprzez ograniczenie ich do minimum i umieszczenie w najbardziej przekonującym kontekście. Zamierzał zatytułować swoją książkę Harfy na topolach, za sto trzydziestym siódmym psalmem:

Nad rzekami Babilonu -tam myśmy siedzieli i płakali, kiedyśmy wspominali Syjon.

Na topolach tamtej krainy zawiesiliśmy nasze harfy... Jakże możemy śpiewać pieśń Pańską w obcej krainie ?*

Jeff skończył swój kawałek placka, odstawił talerz i wypił łyk mocnej, aromatycznej, świeżo zaparzonej jamajskiej kawy.

- Jak sądzisz, kiedy... - zaczęła Linda, ale jej pytanie przerwał ostry dzwonek telefonu stojącego na biurku Jeffa.

Podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Witaj, Jeff - odezwał się głos, który znał w trzech różnych życiach.

Nie wiedział, co powiedzieć. Przez minione osiem lat myślał o tej chwili tyle razy, lękał się jej, czekał na nią z utęsknieniem, na poły już uwierzył, że się nie doczeka. Teraz, kiedy nadeszła, po prostu oniemiał, wszystkie starannie przeciwiczone kwestie uleciały mu z głowy niczym strzępki chmury na wietrze.

- Możesz teraz rozmawiać? - zapytała Pamela.
- Raczej nie - odparł, zerkając niepewnie na Lindę.

Widział, że dostrzegła zmianę wyrazu jego twarzy i przyglądała mu się ciekawie, ale bez cienia podejrzliwości.

- Rozumiem - powiedziała Pamela. - Mam zadzwonić później czy gdzieś się spotkamy?
- Tak byłoby lepiej.

* Biblia Tysiąclecia, wyd. III poprawione.

260

- Jak? Gdybym zadzwoniła później?
- Nie. Myślę, że powinniśmy się spotkać, jak najszybciej.
- Możesz przyjechać do Nowego Jorku? - spytała.
- Tak. W każdej chwili. Kiedy i gdzie?
- Pasuje ci ten czwartek?
- Nie ma sprawy - odrzekł.
- Więc w czwartek po południu... u Pierre'a? W barze?
- Może być. O drugiej?
- Wolalabym o trzeciej - stwierdziła Pamela. - Jestem umówiona o pierwszej na West Side.
- W porządku. Do zobaczenia w czwartek.

Jeff odłożył słuchawkę, zdając sobie sprawę, jaki musi być blady i poruszony.

- To... mój stary przyjaciel ze studiów, Martin Bailey - skłamał, nienawidząc się za to.
- Prawda, twój dawny współlokator. Czy coś się stało?

Niepokój w głosie i na twarzy Lindy był szczery.

- Ma poważne problemy z żoną. Wygląda na to, że się rozwiodą. Jest tym niezłe

przybity, musi z kimś porozmawiać. Pojadę na parę dni do Atlanty, może będę mógł mu jakoś pomóc.

Linda uśmiechnęła się współczująco, niewinnie, ale Jeffowi nie sprawiło ulgi to, że tak skwapliwie uwierzyła w jego zaimprovizowane kłamstwo. Poczł tylko wyrzuty sumienia, ostre, niemal fizyczne ich ukłucie. I, wzmagający je jeszcze, przypływ niezaprzeczalnej radości, że znów zobaczy Pamelę, już za trzy dni. .

18.

Jeff zjechał windą ze swojego pokoju w hotelu Pierre o drugiej dwadzieścia, skręcił w lewo i minął ścienną płytę z szarego włoskiego marmuru z mosiężnymi literami „Café Pierre”. Znalazł cichy stolik w głębi długiej, wąskiej sali, zamówił drinka i czekał zdenerwowany, obserwując wejście. Tyle jego wspomnień wiązało się z tym hotelem: tutaj oglądał z Sharlą decydujące mecze finałów baseballu w 1963 roku, na początku swojej pierwszej powtórki, i zatrzymywał się tu regularnie w minionych dziesięcioleciach, najczęściej z Pamelą.

Zjawiła się za pięć trzecia. Jej proste blond włosy wyglądały dokładnie tak, jak pamiętał, oczy również. Na pełnych wargach malował się znajomy wyraz powagi, ale nie były zaciśnięte z goryczą jak podczas tych ostatnich lat w Marylandzie. Miała delikatne szmaragdowe kolczyki dobrane kolorem do oczu, białe futro z lisa... i jasnoszarą, elegancko skrojoną sukienkę ciążową. Pamela była w piątym, może szóstym miesiącu ciąży.

Zbliżyła się do stolika, wzięła dłonie Jeffa w swoje i trzymała je w milczeniu długą chwilę. Zerknął na dół, zobaczył prostą złotą obrączkę ślubną.

- Witaj po powrocie - powiedział, gdy usiadła naprzeciwko niego. - Wyglądasz... uroczo.

- Dziękuję - odparła ostrożnym tonem, ze wzrokiem wbitym w stolik.

Podszedł do nich kelner, zamówiła białe wino. W ciszy czekali, aż je dostanie.

Wypiła łyk, po czym zaczęła mieć serwetkę w palcach.

Jeff uśmiechnął się, widząc ten znajomy gest.

- Podrzesz ją?-zapytał lekko.

Pamela spojrzała na niego, odwzajemniła uśmiech.

- Może.

262

- Kiedy... - zaczął i umilkł.

- Kiedy co? Kiedy wróciłam czy kiedy urodzę?

- Chyba i to, i to. Od czego sama chcesz zacząć.

- Wróciłam dwa miesiące temu, Jeff.

- Ach tak.

Teraz on odwrócił wzrok, utkwił go w jednym ze złotych kinkietów umocowanych na pokrytej satyną ścianie. Pamela wyciągnęła rękę nad stolikiem, dotknęła jego ramienia.

- Zrozum, nie potrafiłam zdobyć się na to, żeby zadzwonić. Nie tylko dlatego, że poróżniliśmy się ostatnim razem, lecz także... przez to. Przeżyłam ogromny szok emocjonalny.

Jeff zmiękł, znów spojrzał jej w oczy.

- Przepraszam - powiedział. - Zdaję sobie z tego sprawę.

- Byłam w sklepie z dziecięcymi ubrankami w New Rochelle. Kupowałam wyprawkę. Mój synek, Christopher - ma trzy latka - był ze mną. Nagle dotknęłam brzucha, zrozumiałam, co się dzieje i... po prostu zalałam się łzami, co oczywiście przestraszyło Christophera. Zaczął płakać i wołać: „Mamo, mamo”...

Głos jej się załamał i otarła oczy serwetką. Jeff ujął jej dłoń, gładził ją, dopóki się nie uspokoiła.

- To będzie Kimberly - odezwała się w końcu, niemal szeptem. - Moja córka. Urodzi się w marcu, 18 marca 1976 roku. Dzień będzie piękny, bardziej jak pod koniec kwietnia czy na początku maja. Jej imię znaczy „z królewskiej łąki” i zwykłam mawiać, że przyniosła ze sobą wiosnę.

- Pamelu...

- Nigdy nie sądziłam, że jeszcze zobaczę moje dzieci. Nie wyobrażasz sobie - nawet ty nie możesz sobie wyobrazić, co to dla mnie znaczyło, co to nadal znaczy i będzie znaczyć przez następne jedenaście, prawie dwanaście lat. Bo kocham je bardziej niż kiedykolwiek przedtem i tym razem wiem, że je stracę.

Znów zaczęła łkać i Jeff wiedział, że nie pomogą jej żadne słowa. Pomyślał, jak by to było, gdyby ponownie mógł wziąć w ramiona Gretchen i patrzeć, jak się bawi w ogrodzie domu w okręgu Dutchess, cały czas znając dokładny dzień i godzinę, kiedy znów zniknie z jego życia. Nieopisane szczęście, niewymowny ból i żadnej nadziei na oddzielenie ich od siebie. Pame-

263

la miała rację; zrozumienie, czym jest nieznośna, nieustanna szarpanina tych dwóch uczuć, przekraczało nawet jego wyostrzoną zdolność empatii.

Po chwili przeprosiła go, wstała od stolika, aby wytrzeć łzy na osobności. Kiedy wróciła, miała suche oczy, a jej lekki makijaż był świeży i nieskazitelny. Jeff zamówił dla niej tymczasem drugi kieliszek wina, kolejnego drinka dla siebie.

- A ty? - zapytała beznamiętnym tonem. - Kiedy wróciłeś tym razem?

Zawahał się, odchrząknął.

- W 1968. Byłem w Miami.

Pamela zastanawiała się chwilę, posłała mu przenikliwe spojrzenie.

- Z Lindą - stwierdziła.

- Tak.

- A teraz?

- Nadal jesteśmy ze sobą. Nie pobraliśmy się, jeszcze nie, ale... mieszkamy razem.

Obdarzyła go smutnym uśmiechem zrozumienia, obrysowała palcem brzeg kieliszka.

- I jesteś szczęśliwy.

- Tak - przyznał. - Oboje jesteśmy.

- Cieszę się - powiedziała Pamela. - Naprawdę.

- Ty™ razem jest inaczej - ciągnął. - Podałem się wazek-tomii, więc Linda nie będzie musiała przechodzić przez poprzednie kłopoty z ciążą. Może adoptujemy dziecko. To mógłbym znieść, zniosłem to podczas małżeństwa z Judy, bo nie było to to samo co... Wiesz, co mam na myśli. - Zamilkł na moment, żałując, że poruszył kwestię dzieci, i podjął pospiesznie: - Bezpieczeństwo materialne dobrze robi naszemu związkowi. Nie chciało mi się inwestować na dużą skalę, ale powodzi nam

się całkiem nieźle. Mamy bardzo ładny dom nad oceanem, dużo podróżujemy. I teraz piszę, co sprawia mi wielką satysfakcję. Jak również działa zbawiennie, jeszcze bardziej niż tamten samotny pobyt w Montgomery Creek.

- Wiem - wtrąciła. - Czytałam twoją książkę. Jest bardzo poruszająca. Pomogła mi puścić w niepamięć wiele z tego, co popsulo się między nami poprzednim razem, całą tę gorycz.

264

- Czytałaś... Prawda, zapominam, że wróciłaś już dwa miesiące temu. Dziękuję. Cieszę się, że ci się podobała. Teraz pracuję nad książką o wygnaniu. Rozmawiałem z Sołżenicynem, z Peronem... Przyślę ci egzemplarz sygnałny.

Spuściła oczy, dotknęła dłonią podbródka.

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

Jeff zrozumiał ją dopiero po chwili.

- Twój mąż?

Skinęła głową.

- Nie jest mężczyzną zazdrosnym, ale... Boże, jak mam to powiedzieć?

Gdybyśmy pozostali w kontakcie, zaczęli do siebie pisać i dzwonić, i widywać się, wymagałoby to zbyt wielu wyjaśnień. Nie widzisz, jak niezręczna byłaby taka sytuacja?

- Kochasz go? - zapytał Jeff, z trudem przelękając ślinę.

- Nie tak, jak ty najwyraźniej kochasz Lindę - odparła tonem spokojnym, ale chłodnym. - Steve to przyzwoity człowiek. Na swój sposób o mnie dba. Ale myślę głównie o dzieciach. Christopher ma dopiero trzy lata, Kimberly nawet się jeszcze nie urodziła. Nie mogłabym pozbawić ich ojca, zanim w ogóle zdążą go poznać. - W jej oczach błysnął płomień gniewu, ale zaraz go zgasła. - Nawet gdybyś mnie o to poprosił - dodała.

- Pamelu...

- Nie mogę mieć ci za złe twoich uczuć do Lindy - ciągnęła. - Za długo żyliśmy osobno, abym stała się zaborcza, i wiem, ile musi znaczyć dla ciebie to, że tak dobrze się wam układa, po problemach, jakie mieliście za pierwszym razem.

- Nie zmienia to mojego stosunku do ciebie.
- Wiem - powiedziała łagodnie. - To nie ma nic wspólnego z nami, ale jest realne i w tej chwili dla ciebie ważniejsze. Tak jak dla mnie są ważniejsze moje dzieci, moja rodzina. I muszę być z nimi.
- Chyba nie jesteś nadal wściekła o...
- O wszystko, co zdarzyło się poprzednim razem, z Russellem Hedgesem? Nie. Nie jestem wściekła na ciebie. Nadaliśmy temu bieg wspólnie i staraliśmy się postępować jak najlepiej. Wiele razy, zwłaszcza podczas ostatnich miesięcy, chciałam z tobą porozmawiać, przeprosić za to, że cię oskarżałam... ale byłam uparta. Nie mogłam dać sobie rady z poczuciem winy. Żeby nie

265

zwariować, musiałam nim obarczyć kogoś innego, i powinien był to być Hedges, nie ty. Wybacz mi.

- Rozumiem - odparł. - Wtedy też rozumiałem, choć było to trudne.

Tęsknota i głęboki żal w jej oczach odbijały jego własne uczucia.

- Teraz będzie jeszcze trudniej - westchnęła, nakrywając jego rękę swą gładką dłonią. - Oboje będziemy musieli wykazać wiele zrozumienia.

Galeria mieściła się przy Chambers Street w dzielnicy Tri-BeCa, która zajęła miejsce Soho jako główna manhattańska enklawa artystów. Ale proces, który doprowadził wcześniej do exodusu z Soho, rozpoczął się w połowie lat osiemdziesiątych tutaj: przy przecznicach Hudson i Varick wyrastały modne bary i restauracje, ceny w sklepach i galeriach zaczynały odbijać siłę nabywczą klientów z Górnego Manhattanu, lokale do wynajęcia były na wagę złota. Wkrótce młodzi malarze, rzeźbiarze i performerzy, dzięki którym ten zakątek rozkwitł, będą musieli stworzyć nową dzielnicę bohemy, wynieść się do jakiejś zaniedbanej, a przez to taniej części zatłoczonej wyspy.

Jeff dostrzegł skromną mosiężną tabliczkę z nazwą Galerii Hawthorne i pociągnął Lindę ku drzwiom odrestaurowanego budynku, który był dawniej czynszową kamienicą i sąsiedował z jakimś magazynem. Weszli do urządzonej z surową elegancją recepcji o białych ścianach i suficie, z niską czarną kanapą naprzeciwko

łukowatego czarnego biurka. Jediną ozdobą wnętrza było wiszące na ścianie zdumiewająco delikatne dzieło kowalstwa artystycznego o wydłużonych, cienkich zawijasach, które przywodziły na myśl misterne żelazne filigrany typowe dla bram i balkonów Nowego Orleanu.

- Czym mogę służyć? - zapytała chuda jak chart młoda kobieta siedząca za biurkiem.

- Przyszliśmy na wernisaż — odparł Jeff, podając jej tłoczone zaproszenie.

- Proszę bardzo - powiedziała, odkreślając ich nazwiska na drukowanej liście. - Zapraszam do środka.

Jeff i Linda minęli biurko, weszli do sali wystawienniczej.

266

Tutaj też ściany były śnieżnobiałe, lecz wisiały na nich obrazy, które mogłyby razić pstrokacizną, gdyby nie rozmieszczono ich tak starannie. Z ogromnego pomieszczenia wydzielono tu i ówdzie intymne małe wnęki do spokojnego studiowania małych płócien, natomiast otwarte przestrzenie podkreślały okazałość większych prac.

Głównym dziełem był ogromny podmorski pejzaż, jaki mógł istnieć tylko w wyobraźni artysty: majestatyczny górski szczyt głęboko poniżej fal, z zachowaną charakterystyczną symetrią i dziewiczym mimo wody śniegiem na wierzchołku. Między szczelinami jego niższych partii pływały delfiny. Przyglądając im się z bliska, Jeff spostrzegł, że dwa mają wyraźnie ludzkie oczy, oczy ludzi w nieokreślonym wieku

- Jest... niesamowity - powiedziała Linda. - A spójrz na ten tutaj.

Odwrócił się, aby zobaczyć, co mu pokazuje. Mniejszy obraz był równie uderzający jak wizerunek zatopionej góry. Przedstawiał panoramę z szybowca, rozciągniętą na sto osiemdziesiąt stopni, jakby sfotografowano ją szerokokątnym obiektywem. Na pierwszym planie widać było ster i stójki maszyny, a przez okienka drugi samolot... i obydwie szybowały nie po błękitnym niebie, lecz w nieskończoności kosmosu, na orbicie jakiejś planety otoczonej ciemnopomarańczową poświatą.

- Cieszę się, że przyszedłeś - odezwał się jakiś głos za plecami Jeffa.

Tym razem czas obszedł się z nią łaskawie. Nie miała wymi-zerowanej twarzy o pustym, udreńczonym wyrazie jak w Marylandzie i w Nowym Jorku, kiedy poznali Stuarta McCowana. Choć niewątpliwie wyglądała jak kobieta dobiegająca czterdziestki, bił od niej wyraźny blask zadowolenia.

- Lindo, chciałbym ci przedstawić Pamelę Phillips. Pamelo, to moja żona Linda.

- Bardzo mi miło panią poznać - powiedziała Pamela, ujmując dłoń Lindy. - Jest pani jeszcze ładniejsza, niż mówił Jeff.

- Dziękuję. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo podobają mi się pani prace. Są po prostu wspaniałe!

Pamela uśmiechnęła się uprzejmie.

- Zawsze miło jest to usłyszeć. Proszę też rzucić okiem na

267

ir

mniejsze obrazy. Nie wszystkie są takie przytłaczające i surowe. Myślę, że niektóre mogą nawet panią rozbawić.

- Obejrzę dokładnie całą wystawę - odparła z zapalem Landa. - Dziękuję, że nas pani zaprosiła.

- Cieszę się, że mogliście tu przyjechać z Florydy. Podziwiałam książki pani męża od lat, jeszcze zanim się poznaliśmy w zeszłym miesiącu. Pomyślałam, że obejrzenie moich prac może sprawić wam obojgu przyjemność.

Pamela odwróciła się ku grupie ludzi, którzy stali w pobliżu, sącząc wino i skubiąc z małych talerzyków makaron z orzeszkami pinii i sosem pesto.

- Steve - zawołała - chodź tutaj. Chcę ci kogoś przedstawić.

Przyjaźnie wyglądający mężczyzna w okularach i szarym

garniturze z materiału o diagonalnym splocie oderwał się od tłumu i podszedł do nich.

- To mój mąż, Steve Robinson - oznajmiła Pamela. - Używam nazwiska panińskiego jako malarka, a Robinson na co dzień. Steve, to Jeff Winston i jego

żona Linda.

- To dla mnie zaszczyt. - Mężczyzna rozpromienił się, ściskając dłoń Jeffa. - Prawdziwy zaszczyt. Harfy na topolach to jedna z najlepszych książek, jakie kiedykolwiek czytałem. Dostała Pulitzera, prawda?

- Tak - potwierdził Jeff. - Ucieszyłem się, że przemówiła do tylu osób.

- Znakomita książka - ciągnął Robinson. - A ta najnowsza, o ludziach powracających do miejsc, w których dorastali, zajmuje u mnie drugie miejsce.

Pamela i ja jesteśmy wielbicielami pana pisarstwa od dawna. Sądzę, że pana przemyślenia wywarły nawet wpływ na jej twórczość. Nie mogłem uwierzyć, kiedy mi powiedziała parę tygodni temu, że spotkała pana w samolocie z Bostonu. Cóż za cudowny przypadek!

- Musi pan być bardzo dumny z Pameli - powiedział Jeff, nie chcąc się zagłębiać w bajeczkę, którą wysmażyli, aby wyjaśnić, skąd się znają.

Napisała do niego na początku lata, chciała się z nim spotkać, choć na krótko, przed tą ostatnią jesienią, chciała, aby zobaczył wernisaż. Jeff nawet nie był tego roku w Bostonie. Pamela poleciała tam sama, aby zapewnić sobie alibi, a on spędził

268

tydzień w Atlancie, spacerując po kampusie Emory i rozmyślając o wszystkim, co przeszedł od tego pierwszego poranka, gdy obudził się tam w akademiku.

- Jestem z niej ogromnie dumny - stwierdził Robinson, obejmując żonę ramieniem. - Nie znosi, kiedy mówię o niej w ten sposób, narzeka, że brzmi to tak, jakby była nieobecna. Ale po prostu nie mogę jej nie chwalić, gdy pomyślę, ile osiągnęła, w tak krótkim czasie i wychowując dwoje dzieci.

- Skoro o nich mowa - wtrąciła z uśmiechem Pamela - to one, tam przy rzeźbie feniksa. Mam nadzieję, że są grzeczne.

Jeff popatrzył przez galerię, zobaczył dzieci. Chłopiec, Christopher, był uroczo niezgrabnym czternastolatkiem stojącym na progu męskości, a jedenastoletnia Kimberly wyglądała już jak młodsza replika Pameli. Jedenastoletnia. Tylko dwa lata młodsza niż Gretchen, kiedy...

- Jeff - powiedziała Pamela - jest tu jeden eksponat, który szczególnie chcę ci

pokazać. Steve, może zaproponujesz pani Winston makaron i kieliszek wina?

Linda poszła za Robinsonem w stronę bufetu, a Pamela zaprowadziła Jeffa pod małą cylindryczną kabinę, jakby salę w sali, ustawioną w centrum galerii. Kilko zwiedzających czekało przed wejściem, na którym wisiała mała tabliczka z prośbą, aby do środka nie wchodziły więcej niż cztery osoby naraz. Pamela odwróciła tabliczkę i pokazał się napis: „Chwilowo nieczynne z powodu naprawy”. Przepraszyła oczekujących, wyjaśniła, że musi „dostroić sprzęt”. Ci współczująco pokiwali głowami, powędrowali ku innym częściom wystawy. Po kilku chwilach czwórka gości wyłoniła się z kabiny, Pamela weszła z Jeffem do środka i zamknęła za nimi drzwi.

Ekspozycja była instalacją wideo; w wewnętrzne ściany zaciemnionego cylindra wprawiono tuzin kolorowych monitorów różnej wielkości, a pośrodku stało okrągłe skórzane siedzenie. Ekrany migotały ze wszystkich stron, na odległość wyciągniętej ręki od widza. Jeff na chybił trafił wodził oczami od jednego do drugiego, wyęzając, dostrajając wzrok. Po chwili zaczął pojmywać, co ogląda.

Przeszłość. Ich przeszłość, jego i Pameli. Najpierw zauważył materiały dokumentalne: Wietnam, zamach na Kennedy'ego-

269

go, Apollo 11. Potem zorientował się, że wyświetlane są również fragmenty rozmaitych filmów, programów telewizyjnych, starych wideoklipów... I nagle dostrzegł na jednym z monitorów swoją chatę w Montgomery Creek, a na innym mignęło mu zdjęcie Judy Gordon z uczelnianej kroniki i film wideo pokazujący ją jako dorosłą kobietę. Machała ręką do kamery razem ze swoim synem, Seanem, który w innym życiu badał delfiny, do czego zainspirowało go Gwiezdne morze.

Jeff szybko przenosił spojrzenie z ekranu na ekran, próbując ogarnąć wszystko, niczego nie przegapić: Chateaugay wygrywający Derby Kentucky w 1963 roku, dom jego rodziców w Orlando, klub jazzowy w Paryżu, gdzie klarnet Sidneya Be-cheta przeszył mu duszę, studencki bar, w którym był świadkiem, jak Pamela rozpoczyna powtórkę, jego pobliska posiadłość... Na jednym z monitorów zobaczył długie ujęcie górskiej wioski na Majorce, powolny najazd kamery na willę, w której Pamela

umarła, a potem gwałtowne cięcie do migawki z amatorskiego filmu, na którym miała czternaście lat i była z rodzicami w ich domu w Westport.

- Mój Boże - powiedział, porażony stale zmieniającym się montażem z ich powtórek. - Gdzie to wszystko znalazłaś?

- Z częścią rzeczy nie miałam problemu - odparła. - Materiały archiwalne są łatwo dostępne. Co do reszty, większość zdjęć nakręciłam sama, w Paryżu, w Kalifornii, w Atlancie... - Uśmiechnęła się; jej twarz oświetlały migoczące ekrany. - Sporo się najeździłam. Do miejsc znanych i do takich, o których tylko słyszałam od ciebie.

Jeden z ekranów pokazywał teraz korytarze i sale jakiegoś szpitala. We wszystkich łóżkach leżały dzieci i Jeff domyślił się, że jest to klinika w Chicago, gdzie Pamela była lekarką podczas swojej pierwszej powtórki. Na innym monitorze pojawiła się łódź wynajęta przez nich kiedyś na Key West, przycumowana w tej samej pustej zatoczce, w której postanowili, że zaczną szukać innych powtórkowiczów. I tak dalej, i tak dalej, nie kończący się ruchomy kolaż ich wielu egzystencji, wspólnych i oddzielnych.

- Niewiarygodne - wyszeptał. - Nie potrafię wyrazić, jaki jestem ci wdzięczny, że mogłem to zobaczyć.

270

- Zrobiłam to dla ciebie. Dla nas. Nikt inny tego nie zrozumie. Rozbawiłyby cię interpretacje niektórych krytyków.

Oderwał wzrok od ekranów, popatrzył na nią.

- To wszystko... cała ta projekcja...

Pamela skinęła głową, odwzajemniając jego spojrzenie.

- Myślałeś, że zapomniałam? Że już mnie nie obchodzisz?

- Minęło tyle czasu.

- Zbyt dużo. A za miesiąc zaczniemy od nowa.

- Następny raz. Następny raz będzie nasz, jeśli tylko zechcesz.

Spojrzała na monitor, który pokazywał sceny z przybrzeżnej restauracji w Malibu, gdzie odbyli swoją pierwszą długą rozmowę, gdzie toczyli pierwszy spór o film,

który Pamela chciała nakręcić, aby przekonać świat o cyklicznej naturze rzeczywistości.

- Może to być moja ostatnia powtórka - powiedziała cicho. - Tym razem mój skok wyniósł prawie osiem lat. Wrócę dopiero w latach osiemdziesiątych. Czy zaczekasz na mnie? Czy...

Przyciągnął ją do siebie, uciszył jej trwożliwe słowa ustami, dłońmi, pieszcząc ją, uspokajając. Przytulili się we wnętrzu cichej kabiny, oświetleni blaskiem swoich wielokrotnych egzystencji i rozgrzani ograniczoną obietnicą jednego krótkiego życia, które im pozostało.

- Nie słyszysz, co mówię? Ścisz ten cholerny telewizor. Od kiedy w ogóle interesujesz się łyżwiarstwem?

Był to głos Lindy, lecz nie taki, do jakiego przywykł. Był to głos sprzed wielu lat, pełen napięcia i sarkazmu.

Wmaszerowała do pokoju, wyłączyła dźwięk telewizora. Na niemyim ekranie Dorothy Hamill z wdziękiem skakała i wirowała na lodzie, jej równo podcięte włosy nienagannie opadały na miejsce, ilekroć nieruchomiała.

- Powiedziałam, że kolacja jest gotowa. Chcesz jeść, weź ją sobie. Mogę być twoją kucharką, ale nie jestem służącą.

- W porządku - powiedział Jeff, z wysiłkiem dostrajając się do sytuacji, próbując rozpoznać nowe otoczenie. - Właściwie nie jestem głodny.

Linda posłała mu drwiące, gniewne spojrzenie.

271

- To znaczy, nie chcesz zjeść tego, co ugotowałam. Może wolałbyś homara? I świeże szparagi? Szampana?

Dorothy Hamill kręciła ostatni szybki piruet, jej krótka czerwona spódniczka zmieniła się w wirującą plamę powyżej ud. Kiedy skończyła program, uśmiechnęła się i mrugnęła do kamery, a telewizja pokazała to jeszcze raz w zwolnionym tempie: słodka radość, uśmiech stopniowo rozjaśniający twarz niczym wschodzące słońce, spowolnione mrugnięcie stające się wyrazem jednocześnie skromności i zmysłowości. W tej jednej wydłużonej chwili dziewczyna wydała się Jeffowi

prawdziwym symbolem świeżej, żywej młodości.

- No powiedz - warknęła Linda - powiedz mi, jakie eleganckie danie życzysz sobie jutro zamiast klopa. I powiedz mi też, skąd mam wziąć na nie pieniądze.

Powiesz mi to?

Zastygły uśmiech Dorothy Hamill rozpląnął się w czerni, zastąpiły go migawki ABC z Innsbrucku w Austrii. Zimowa Olimpiada, 1976 rok. Byli z Lindą w Filadelfii. A właściwie w Camden w stanie New Jersey; tam mieszkali, kiedy pracował w rozgłośni WCAU za rzeką.

- No słucham - przynagliła go. - Masz jakieś genialne sugestie, za co moglibyśmy kupić w przyszłym tygodniu coś innego niż mielona wołowina albo kurczak?

- Lindo, proszę... nie róbmy tego.

- Czego, Jeffrey?

Wiedziała, jak nie cierpi pełnej formy swojego imienia; ilekroć jej używała, otwarcie prowokowała go do sprzeczki.

- Nie kłóćmy się - powiedział pojednawczym tonem. - Nie ma się już o co kłócić. Wszystko... wszystko się zmieniło.

- Naprawdę? Tak po prostu? - Wzięła się pod boki i powoli obróciła w koło, udając, że ogląda ciasne mieszkanie, wypożyczone meble. - Nie widzę żadnych zmian. Chyba że mi powiesz, że wreszcie dostałeś lepiej płatną pracę.

- Mniejsza o pracę. To nieistotne. Nie będziemy się już martwić o pieniądze.

- A co to niby znaczy? Wygrałeś na loterii? Jeff westchnął, wyłączył pilotem rozpraszający go telewizor.

- Nieważne - odparł. - Nie będziemy już mieli kłopotów finansowych i tyle. O nic nie pytaj, po prostu mi zaufaj.

272

I _

- To znaczy, nie chcesz zjeść tego, co ugotowałam. Może wolałbyś homara? I świeże szparagi? Szampana?

Dorothy Hamill kręciła ostatni szybki piruet, jej krótka czerwona spódniczka

zmieniła się w wirującą plamę powyżej ud. Kiedy skończyła program, uśmiechnęła się i mrugnęła do kamery, a telewizja pokazała to jeszcze raz w zwolnionym tempie: słodka radość, uśmiech stopniowo rozjaśniający twarz niczym wschodzące słońce, spowolnione mrugnięcie stające się wyrazem jednocześnie skromności i zmysłowości. W tej jednej wydłużonej chwili dziewczyna wydała się Jeffowi prawdziwym symbolem świeżej, żywej młodości.

- No powiedz - warknęła Linda - powiedz mi, jakie eleganckie danie życzysz sobie jutro zamiast klopsa. I powiedz mi też, skąd mam wziąć na nie pieniądze.

Powiesz mi to?

Zastygły uśmiech Dorothy Hamill rozplynał się w czerni, zastąpiły go migawki ABC z Innsbrucku w Austrii. Zimowa Olimpiada, 1976 rok. Byli z Lindą w Filadelfii. A właściwie w Camden w stanie New Jersey; tam mieszkali, kiedy pracował w rozgłośni WCAU za rzeką.

- No słucham - przynagliła go. - Masz jakieś genialne sugestie, za co moglibyśmy kupić w przyszłym tygodniu coś innego niż mielona wołowina albo kurczak?

- Lindo, proszę... nie róbmy tego.

- Czego, Jeffrey?

Wiedziała, jak nie cierpi pełnej formy swojego imienia; ilekroć jej używała, otwarcie prowokowała go do sprzeczki.

- Nie kłóćmy się - powiedział pojednawczym tonem. - Nie ma się już o co kłócić. Wszystko... wszystko się zmieniło.

- Naprawdę? Tak po prostu? - Wzięła się pod boki i powoli obróciła w koło, udając, że ogląda ciasne mieszkanie, wypożyczone meble. - Nie widzę żadnych zmian. Chyba że mi powiesz, że wreszcie dostałeś lepiej płatną pracę.

- Mniejsza o pracę. To nieistotne. Nie będziemy się już martwić o pieniądze.

- A co to niby znaczy? Wygrałeś na loterii?

Jeff westchnął, wyłączył pilotem rozprasający go telewizor.

- Nieważne - odparł. - Nie będziemy już mieli kłopotów finansowych i tyle. O nic nie pytaj, po prostu mi zaufaj.

- Wielkie słowa. Łatwo ci przychodzi, co? Od wieków trujesz mi o „dziennikarstwie radiowym”, że zostaniesz wziętym spikerem, nowym Edwardem R. Murrowem. Boże, ale wciskałeś mi kit! I do czego się to sprowadza? Jedna marna rozgłosnia po drugiej, przeprowadzki po całym kraju, żeby mieszkać w takich obskurnych norach jak ta. Ty się boisz sukcesu, Jeffreyu L. Winstonie. Boisz się przenieść do telewizji albo do produkcji, bo drżysz, że jesteś za cienki. I zaczynam myśleć, że to prawda.

- Przestań, Lindo, natychmiast przestań. To bezcelowe, nic nam nie pomoże.

- Dobrze, przestanę. Mogę w ogóle nic nie mówić.

Wypadła do kuchni. Słyszał, jak gniewnie szykuje kolację dla siebie, trzaska drzwiczkami piecyka, nakrywa do stołu, specjalnie tłukąc talerzami. Znowu uciekała w milczenie. Takie „ciche dni” zaczęły się mniej więcej w tym czasie i z biegiem lat stawały się coraz dłuższe, coraz częstsze. Przedzielające je kłótnie prawie zawsze dotyczyły pieniędzy, ale brak pieniędzy był tylko najbardziej uchwytną przyczyną ich małżeńskich kłopotów. Prawdziwe problemy miały dużo głębsze korzenie, powstawały i narastały przez to, że nie umieli rozmawiać ze sobą o sprawach, które naprawdę ich dręczyły, takich jak ciąża pozamaciczna Lindy. Choć minął już rok, nigdy otwarcie nie porozmawiali o tym, co to rozczarowanie znaczy dla każdego z nich, jak mogliby je wspólnie przezwyciężyć i pozostawić za sobą. Jeff zerknął do kuchni, zobaczył Lindę zgarbioną z goryczą nad stołem, grzebiącą widelcem w talerzu; nie zadała sobie trudu, aby na niego spojrzeć. Zamknął oczy, przypomniał ją sobie stojącą z pękiem margerytek w drzwiach jego mieszkania i na pokładzie S.S. France w ciepłą noc. Natychmiast jednak pojął, że była to inna osoba. Ktoś, z kim od początku dzielił się jeśli nie szczegółami swego wielokrotnego życia, to przynajmniej najskrytszymi myślami. Teraz zacięli się w milczeniu; nie pomogłyby im już nawet wszystkie pieniądze świata, skoro nie potrafili rozmawiać o sprawach, które były ważne.

Znalazł jakiś płaszcz w maleńkiej szafie ściennej w przedpokoju, włożył go i wyszedł z mieszkania. Nie zamienili przez ten czas ani jednego słowa.

Śnieg na dworze był brudny, łaciaty, tak niepodobny do prze-

273

ścieradeł nieskazitelnej bieli, które telewizja pokazywała z Inns-brucku, jak kobieta w kuchni do Lindy, którą kochał przez minione dziewiętnaście lat.

Tym razem wzbogaci się szybko, postanowił, i dopilnuje, aby Linda miała dość pieniędzy na dostatnie życie, ale za nic nie zmusi się do tego, żeby z nią zostać. Tylko co miał ze sobą robić, dopóki nie wróci Pamela, i kiedy może to nastąpić?

19.

Najpierw Pamela zobaczyła sójkę błękitną, która uwijała się przy budowie gniazda w gałęziach rosnącego za kuchennym oknem wiązu. Poobserwowała barwny powietrzny taniec ptaka, wzięła kilka długich, głębokich oddechów, aby ochłonać, zanim rozejrzy się dookoła czy poruszy.

Robiła sobie kawę, miała właśnie włożyć filtr do ekspresu. Kuchnia była przytulna, znajoma. Trochę inna niż ostatnim razem, ale dobrze ją pamiętała ze swego pierwszego życia. Podczas ostatniej powtórki nie spędzała tu dużo czasu, była zbyt zajęta malowaniem i rzeźbieniem w pracowni. Charakter pomieszczeniu nadała bardziej gospoia, którą zatrudnili, niż ona sama. Ta kuchnia, teraz, nosiła piętno jej własnej osobowości, a przynajmniej osobowości, jaką miała za pierwszym razem. Na stole leżała otwarta powieść Barbary Cartland, a obok niej egzemplarz „Domu i Ogrodu”. Małe magnesy wyobrażające kolby kukurydzy i łodygi selera przytrzymały rozmaite wycinki i notatki na drzwiach lodówki. Do jednej z szafek przyklejony był taśmą ołówkowy portret dzieci: poprawny, ale - na skutek braku praktyki artystki w tym jej życiu - pozostawiający nieco do życzenia, jeśli idzie o światłocień i kompozycję. Nad stołem wisiał duży kuchenny kalendarz, otwarty na marcu 1984 roku, z dniami równiutko przekreślonymi niemal do końca miesiąca. Pamela miała trzydzieści cztery lata. Jej córka, Kim-berly, właśnie skończyła osiem, a Christopher jedenaście.

Odłożyła filtr, ruszyła do drzwi kuchni, ale przystanąła z uśmiechem, przypomniawszy coś sobie. Otworzyła jedną z szuflad pod kuchenną ladą, sięgnęła za pudełka mąki i ryżu... I faktycznie, była tam, w miejscu, w którym ją zawsze

chowała: plastikowa torebka z prawie uncją marihuany i paczuszką bibułek.

275

Jej jedyna słabość w tamtych czasach, jedyna prawdziwa ucieczka od monotonii prac domowych i wychowywania dzieci.

Pamela odłożyła trawę na miejsce, przeszła do salonu. Wisiały tam zdjęcia rodzinne i dwa jej obrazy z college'u. Tak dobrze się zapowiadała i nic z tego nie wynikło.

Dlaczego pozwoliła, aby jej talent się zmarnował?

Z góry dobiegły ją przytłumione dźwięki muzyki: Cyndi Lau-per śpiewała sztucznie entuzjastycznym głosem Girls Just Want to Have Fun. Kimberly musiała już wrócić ze szkoły. Christopher siedzi pewnie w swoim pokoju, gra w jakąś grę na komputerze Apple II, który kupili mu na Gwiazdkę.

Pamela usiadła na krześle w przedpokoju, wzięła ze stolika notes i ołówek i wykreśliła numer informacji w Nowym Jorku. W spisie nie figurował żaden Jeff ani Jeffrey Winston na Manhattanie ani w Queens. Linda lub L. Winston też nie. Był to zresztą strzał w ciemno; niby dlaczego Jeff miałby znów mieszkać w Nowym Jorku. Ponownie zadzwoniła do informacji, tym razem w Orlando, i uzyskała numer jego rodziców. Kiedy go wykreśliła, telefon odebrała matka Jeffa.

- Dzień dobry, nazywam się Pamela Phillips i...

- Wielkie nieba! Jeff mówił, że będziesz próbowała się z nim skontaktować, ale, Boże, to było tak dawno. Chyba trzy lata temu, może nawet cztery. - Jej głos zanikł, najwyraźniej odwróciła się od słuchawki i zawołała na stronie: — Skarbie! To ta panna Phillips, o której mówił nam Jeff, pamiętasz? Możesz podać mi list, który przysłał? - Wróciła do telefonu. - Pamela? Zaczekaj chwilkę, kochanie. Jeff przysłał wiadomość dla ciebie. Mój mąż jej szuka.

- Dziękuję. Czy może mi pani powiedzieć, gdzie Jeff teraz jest, gdzie mieszka?

- W Kalifornii, w małym miasteczku - właściwie pod nim, jak mówi -

Montgomery Creek, blisko granicy Oregonu.

- Tak - wtrąciła Pamela. - Wiem, gdzie to jest.

- Mówił, że będziesz wiedziała. Nawet nie ma tam telefonu, wyobrażasz sobie? Umieram z niepokoju, gdy pomyślę, co będzie, jeśli zachoruje czy coś, ale mówi, że

gdyby coś się stało, ma krótkofalówkę. Naprawdę nie wiem, co w niego wstąpiło. Żeby dorosły mężczyzna rzucił pracę, opuścił żonę i... Och, bar-

276

dzo cię przepraszam. Mam nadzieję, że nie powiedziałam nic niestosownego.

- Wszystko jest w porządku, proszę pani. Naprawdę.

- W każdym razie było to strasznie dziwne. Można się spodziewać takich szaleństw po jakimś studenciaku, ale mężczyzna w jego wieku, niedługo skończy czterdziestkę i... Dziękuję, skarbie. Pamela? Mam list, który przysłał dla ciebie. Powiedział, że mamy go otworzyć i przeczytać ci go. Chcesz pójść po coś do pisania?

- Mam wszystko.

- Dobrze, chwileczkę... Hmm. Sądziłam, że po takim czasie i takich tajemnicach będzie tu coś więcej.

- Co napisał?

- Tylko jedną linijkę. „Jeśli przyjedziesz, koniecznie przywieź dzieci. Kocham cię, Jeff”. I to wszystko. Zapisałaś? Przeczytać ci to jeszcze raz?

- Nie - odrzekła Pamela, a na jej nagle zarumienioną twarz wypłynął szeroki uśmiech. - Bardzo pani dziękuję, ale zrozumiałam wszystko doskonale.

Odłożyła słuchawkę, popatrzyła na schody. Christopher i Kim-berly byli już dostatecznie duzi. Z początku nie będą zachwyceni, że opuszczają dom, ale wiedziała, że szybko pokochają Montgomery Creek i Jeffa.

Poza tym, pomyślała, przygryzając wargę, nie wyjadą na długo. Wrócą do New Rochelle i do ojca, zanim zaczną liceum.

Trzy i pół roku. Jej ostatnia powtórka, ostatnie miesiące i dni jej wyjątkowo przedłużonego życia.

Zamierzała wykorzystać je w pełni.

Był to jeden z tych deszczów, które ani nie ustają, ani nie przybierają na sile, żeby się w końcu wypadać, tylko po prostu siąpią, uporczywie i jednostajnie.

Tkwili tak w chacie od dwóch dni; powietrze zaczynało pachnieć wilgocią, stęchlizną skórzanej kamizelki, którą Christopher zostawił na noc na ganku i rano przyniósł do

środka, aby wyszła przy kominku.

- Kimberly! - zawołała z irytacją Pamela. - Przestań, proszę, bębnić w ten talerz!

277

- Nie słyszy cię - powiedział Christopher i nachylił się przez stół, aby zdjąć małą piankową słuchawkę z lewego ucha siostry. - Mama mówi, żebyś przestała - wrzasnął, przekrzykując Like a Virgin Madonny.

- Najlepiej w ogóle to wyłącz - poleciła Pamela. - Niegrzecznie jest samemu słuchać muzyki, kiedy jemy razem lunch.

Dziewczynka przybrała swoją najbardziej nadąsaną minę, ale zdjęła słuchawki i odłożyła walkmana, jak jej kazano.

- Chcę się jeszcze napić mleka - oświadczyła rozdrażnionym tonem.

- Mleko się skończyło - przypomniał jej Jeff. - Jutro rano jadę do miasta, to je kupię. Jeśli chcecie, zabierzcie się ze mną. Może przestanie padać i przejdziemy się do wodospadów.

- Już je widziałam - jęknęła Kimberly. - Chcę pooglądać MTV.

Jeff uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Masz pecha, dziecino. Ale możemy posłuchać radia. Dowiemy się, co mówią w Chinach albo w Afryce.

- Nie obchodzą mnie Chiny i Afryka! Nudzę się!

- Może po prostu porozmawiamy? - zaproponowała Pamela. - Dawniej ludzie tak robili.

- Jasne - mruknął Christopher. - A skąd brali tematy do tyłu rozmów?

- Czasem opowiadali sobie historie - wtrącił Jeff.

- Świetny pomysł - stwierdziła Pamela, odzyskując humor. - Chcecie, żebym coś wam opowiedziała?

- Jezu, mamó! - zaprotestował Christopher. - Nie jesteśmy już w przedszkolu.

- Czyja wiem... - powiedziała Kimberly z namysłem. - Może byłoby fajnie posłuchać jakiejś historii. Dawno tego nie robiliśmy.

- Pozwolisz mi chociaż spróbować? - zapytała Pamela syna.

Chłopiec wzruszył ramionami, nie odpowiedział.

- No więc - zaczęła Pamela - przed tysiącami lat żyła sobie delfinica imieniem Cetacea. I pewnego dnia ogarnęła ją nagle dziwna nowa świadomość, która jakby spłynęła z nieba ponad oceanem. A działo się to w czasach, kiedy delfiny i ludzie czasem ze sobą rozmawiali, ale...

278

- Nie słyszy cię - powiedział Christopher i nachylił się przez stół, aby zdjąć małą piankową słuchawkę z lewego ucha siostry. - Mama mówi, żebyś przestała - wrzasnął, przekrzykując Like a Virgin Madonny.

- Najlepiej w ogóle to wyłącz - poleciła Pamela. - Niegrzecznie jest samemu słuchać muzyki, kiedy jemy razem lunch.

Dziewczynka przybrała swoją najbardziej nadąsaną minę, ale zdjęła słuchawki i odłożyła walkmana, jak jej kazano.

- Chcę się jeszcze napić mleka - oświadczyła rozdrażnionym tonem.

- Mleko się skończyło - przypomniał jej Jeff. - Jutro rano jadę do miasta, to je kupię. Jeśli chcecie, zabierzcie się ze mną. Może przestanie padać i przejdziemy się do wodospadów.

- Już je widziałam - jęknęła Kimberly. - Chcę pooglądać MTV.

Jeff uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Masz pecha, dziecino. Ale możemy posłuchać radia. Dowiemy się, co mówią w Chinach albo w Afryce.

- Nie obchodzą mnie Chiny i Afryka! Nudzę się!

- Może po prostu porozmawiamy? - zaproponowała Pamela. - Dawniej ludzie tak robili.

- Jasne - mruknął Christopher. - A skąd brali tematy do tyłu rozmów?

- Czasem opowiadali sobie historie - wtrącił Jeff.

- Świetny pomysł - stwierdziła Pamela, odzyskując humor. - Chcecie, żebym coś wam opowiedziała?

- Jezu, mamó! - zaprotestował Christopher. - Nie jesteśmy już w przedszkolu.

- Czyja wiem... - powiedziała Kimberly z namysłem. - Może byłoby fajnie posłuchać jakiejś historii. Dawno tego nie robiliśmy.

- Pozwolisz mi chociaż spróbować? - zapytała Pamela syna.

Chłopiec wzruszył ramionami, nie odpowiedział.

- No więc - zaczęła Pamela - przed tysiącami lat żyła sobie delfinica imieniem Cetacea. I pewnego dnia ogarnęła ją nagle dziwna nowa świadomość, która jakby spłynęła z nieba ponad oceanem. A działo się to w czasach, kiedy delfiny i ludzie czasem ze sobą rozmawiali, ale...

278

I podczas gdy letni deszcz bębnił łagodnie w tle, opowiedziała im scenariusz Gwiezdnego morza, historię o więzi czulej nadziei łączącej inteligentne istoty z lądów i mórz Ziemi oraz z gwiazd... i o katastrofalnej stracie, która ostatecznie doprowadziła ludzi do smutnej, lecz podniosłej chwili pierwszego pełnego kontaktu z ich oceanicznymi krewnymi.

Z początku dzieci trochę się wierciły, ale potem słuchały, coraz bardziej zafascynowane, jak ich matka odtwarza słowami film, który przyniósł jej niegdyś światowe uznanie i połączył ją z Jeffem. Kiedy skończyła, Kimberly otwarcie płakała, ale jej młode oczy błyszczały niebiańskim zachwytem. Christopher odwrócił twarz do okna i długo się nie odzywał.

Tuż przed zmierzchem pojedynczy promień słońca przebił się przez zachmurzone niebo i Jeff wyszedł z Pamelą na ganek, aby popatrzeć, jak światło powoli gaśnie. Dzieci wołały zostać w domu; Kimberly malowała gwiazdy i delfiny pożyczonymi od matki akwarelami, a Christopher zatonął w jednej z książek Johna Lill'ego. Zmieniające się światło igrało żywo na mokrej od deszczu łące, miliony kropelek na źdźbłach świeżo ściętej trawy migotały niczym jakieś nieziemskie klejnoty na polu zielonego ognia. Jeff stał w milczeniu za Pamelą, obejmując ją w talii, opierając policzek o jej włosy. Nim słońce zaszło, wyszeptał jej do ucha fragment wiersza Blake'a:

- „Zobaczyć świat w ziarenku piasku, niebiosą w jednym kwiecie z lasu”.

Nakiyla jego ręce swoimi, cichutko dokończyła cytat:

- „W ściśniętej dłoni zamknąć bezmiar, w godzinie - nieskończoność czasu”*.

Kiedy cessa zakończyła kołowanie i zatrzymała się na pasie, pomocnik podbiegł do

niej, aby przyczepić do haka na ogonie sześćdziesięciometrową nylonową linę holowniczą szybowca.

- Christopher, chcesz sprawdzić przyrządy? - zapytał Jeff chłopca, który siedział przed nim w fotelu ucznia.

* W. Blake, Wróżby niewinności, tłum. Z. Kubiak, Wyd. „Noir Sur Blanc”, Warszawa 2002, b. 152.

279

- Jasne - odparł syn Pameli, tonem poważnym z dumy, że nie jest zwykłym pasażerem, lecz uczestniczy w przygotowaniach.

Chłopiec przesunął wolant w lewo i w prawo i lotki na końcówkach obu skrzydeł zareagowały. Potem pchnął wolant w tył i w przód i Jeff, odwróciwszy się, zobaczył, że ster wysokości na ogonie szybowca porusza się tak jak powinien, i ster kierunku również, gdy Christopher nacisnął stopami pedały. Wszystkie przyrządy były sprawne i Jeff uśmiechnął się z aprobatą.

Samolot holujący zaczął sunąć naprzód, powoli naprężając linę. Pilot zakołysał sterem w prawo i w lewo, jakby pytał „gotowi?”, i Jeff odpowiedział mu

identycznym ruchem swojego steru. Cessna jechała po pasie, ciągnąc ich za sobą.

Pomocnik biegł obok, wyrównując szybowiec i kierując go na wiatr. Jeff patrzył na samolot holujący, oceniając poziom swoich skrzydeł według Unii horyzontu. Nabrali prędkości, pomocnik został w tyle i Jeff lekko przesunął wolant; byli w powietrzu.

Kątem oka Jeff zauważył kłęby niskich białych obłoczków u podnóża góry przed nimi. Dobry znak, w wilgotnym powietrzu powstawały już cieplejsze warstwy. Ale nie miał teraz czasu ich szukać; wpatrywał się bacznie w samolot holujący, pilnował, aby lina była prosta jak drut, i gładko skręcał, gdy skręcała cessna.

Osiągnęli wysokość dziewięciuset metrów powyżej stoków Mount Shasta. Jeff przesunął dźwignię, zaczekał chwilę, by zobaczyć, jak zwolniona lina strzela do przodu niczym gumka re-cepturka, a potem pociągnął szybowiec do góry i w prawo, podczas gdy samolot holujący skręcił w lewo w dół. Cessna zawróciła na małe

lotnisko, które opuścili, warkot jej silnika stopniowo cichł i wkrótce słyhać było już tylko płynne uderzenia powietrza o osłonę z pleksiglasu. Lecieli równym, samoistnym lotem.

- Boże, Jeff! Jest super!

Jeff uśmiechnął się, skinął głową, gdy Christopher odwrócił się w fotelu, aby na niego spojrzeć; chłopiec miał szeroko otwarte i błyszczące oczy. Robili długą pętlę, wykorzystując energię położenia, aby uzyskać jak największą wysokość. Nieziemski biały stożek Mount Shasta przesunął się z ich lewej strony, potem pojawił się ponownie z przodu, niczym rozświetlona słońcem latarnia przynaglająca ich, by poszybowali wyżej.

280

Jeff obejrzał się na południowy zachód, gdzie wśród wielkich sosnowych lasów przycupnęło miasteczko noszące nazwę góry. Zbliżała się do nich druga jednosilnikowa cessna, holująca inny biało-niebieski szybowiec. Jeff krążył leniwie, zwalniając do normalnej prędkości przelotowej czterdziestu-pięćdziesięciu mil na godzinę, aby dać się dogonić.

Kiedy drugi szybowiec był milę czy dwie od nich, odczepił swą nylonową pępowinę i oderwał się od holownika takim samym manewrem, jaki wykonał wcześniej Jeff. Christopher przycisnął twarz do przezroczystej osłony i patrzył, jak przybysz ciągnie naprzód, aby znaleźć się obok nich.

Pamela uśmiechnęła się z tylnego fotela drugiego szybowca i podniosła kciuki do góry, a siedząca przed nią, bezbrzeżnie rozpromieniona Kimberly pomachała do Jeffa i swojego brata.

Jeff delikatnie nacisnął lewy pedał steru kierunku i wolantem przechylił skrzydła w lewo, aby skrócić ku ogromnej symetrycznej bryle góry. Pamela powtórzyła manewr, utrzymując się tuż za nim, z prawej strony.

Ośnieżone wierzchołki drzew na stoku zdawały się do nich wyciągać, gdy nadlecieli bliżej, a zbocza pod nimi stały się bardziej strome. Samotny jeleń przypadkiem spojrział w górę i zadrzał z przerażenia, po czym znieruchomiał, wpatrzony w wielkie ptaki, szybujące bezszelestnie niezbyt wysoko nad nim. Trochę dalej, w ćwierci

obwodu góry, Christopher z podnieceniem wskazał palcem ospałego czarnego niedźwiedzia, który nawet nie zwrócił uwagi na dziwne metalowe stwory lecące po niebie.

Znaleźli wstępujący prąd odbitego wiatru, przed granią i powyżej grani skały, która sterczała z bardziej urwistego zbocza góry, i przez kilka minut szybowali tam i z powrotem, patrząc na niemy, nietknięty śnieg, który zdawał się leżeć tak blisko, że można by wyciągnąć rękę i nabrać jego sypką garść. Potem Jeff zauważył cienką smugę chmury formującej się na tle błękitnego nieba odrobinę na wschód od szczytu. Złamał szyk, skierował się w jej stronę.

Gdy do niej dotarł, końcówka prawego skrzydła poderwała się lekko, więc natychmiast skręcił w prawo. Kiedy to zrobił, cała maszyna wzleciała wyżej i Jeff wszedł w powolną, ciasną pętlę. Szybowiec zaczął się ostro wznosić.

281

Pamela zobaczyła to samo co Jeff. Gwałtownie odpadła od łagodnego prądu przy skale, poleciała w tamtym kierunku. Jej szybowiec zdawał się maleć z każdą sekundą, kiedy Jeff i Christopher wzbijali się coraz wyżej, cały czas skręcając z ostro przechylonymi skrzydłami, aby utrzymać się w niewielkim ośrodku prądu termicznego.

Pamela zataczała kręgi, szukając fali, która wyniosła Jeffa. W końcu złapała mglisty prąd wstępujący i odległość między nimi zaczęła maleć. Jej szybowiec wznosił się szybko i bezgłośnie ku niemu, aż skrzydło w skrzydło poszybowali razem po czystym, jasnym niebie ponad wiecznym i zagadkowym szczytem Mount Shasta. Kimberly przestała płakać i wyszła na dwór, aby nazrywać wrześniejących polnych kwiatów, które chciała zabrać ze sobą na wschód. Christopher zachowywał się jak mężczyzna. Miał już piętnaście lat i od dawna naśladował postawę Jeffa: akceptacja, gdy przeciwności losu nie da się pokonać, i niepohamowana radość, gdy - jak często bywało w ciągu ostatnich kilku lat - jest się z czego cieszyć.

- Traperki nie mieszczą mi się do walizki, mamó.
- W New Rochelle raczej nie będziesz ich potrzebował, skarbie - powiedziała

Pamela.

- Pewnie nie. Chyba że tata zabierze nas na wycieczkę w Berkshires, tak jak obiecał. Wtedy by mi się przydały.
- Chcesz, żebym wysłała ci je pocztą?
- Czyja wiem... Nie, w porządku, nie rób tego. I tak wrócimy tu przed Bożym Narodzeniem i musiałbym wysłać je z powrotem.

Pamela skinęła głową, odwróciła się, aby syn nie zobaczył jej oczu.

- Wiem, że chciałbyś mieć je ze sobą - wtrącił Jeff. - Więc może jednak je wyślemy i... kupimy ci drugie, które będziesz trzymał tutaj.
- Byłoby świetnie! - wykrzyknął Christopher, rozpromieniając się.
- Ma to sens - dodał Jeff.
- Jasne, skoro będę spędzał pół roku z tatą, a drugie pół

282

tutaj z tobą i z mamą... Nie sprawi wam to kłopotu? Zgadzasz się, mamo?

- Sądzę, że to bardzo dobry pomysł - odparła Pamela, uśmiechając się z wysiłkiem. - Może zrobisz listę wszystkich rzeczy, które mamy ci wysłać?
 - Dobrze - zawołał Christopher, kierując się do dwupokojo-wego aneksu, który Jeff dobudował do chaty dla dzieci Pameli. Nagle przystanął i odwrócił się. - Mogę powiedzieć Kimberly? Ona też na pewno chciałaby mieć na wschodzie mnóstwo rzeczy.
 - Oczywiście - odrzekła Pamela - tylko się z tym nie grzebiecie. Musimy wyjechać do Redding za godzinę, bo nie zdążycie na samolot.
 - Pospieszmy się, mamo - obiecał chłopiec i wybiegł na dwór po siostrę.
- Pamela odwróciła się do Jeffa, pozwoliła popłynąć powstrzymywanym dotąd łzom.
- Nie chcę, żeby wyjechali. Jest jeszcze miesiąc do... do...

Objął ją, pogłaskał po włosach.

- Już o tym mówiliśmy - powiedział łagodnie. - Tak będzie dla nich lepiej. Potrzebują tych kilku tygodni, żeby na nowo przywyknąć do mieszkania z ojcem, nawiązać nowe przyjaźnie. Może złagodzi to trochę szok.
- Jeff- wybuchnęła, łkając. - Boję się! Nie chcę umrzeć! Nie chcę umrzeć na

zawsze i...

Uściskał ją mocno, ukołysał ją w ramionach i poczuł, że jemu również spływają po twarzy łzy.

- Pomyśl, jak żyliśmy. Myślmy o wszystkim, czego dokonaliśmy, i spróbujmy być za to wdzięczni.

- Mogliśmy działać dużo więcej. Mogliśmy...

- Cicho - wyszeptał. - Zrobiliśmy, co w naszej mocy. Więcej, niż nam się śniło, kiedy zaczynaliśmy.

Odchyliła się do tyłu, wbiła wzrok w jego oczy, jakby widziała je po raz pierwszy albo ostatni.

- Wiem - westchnęła. - Ale... przywykłam do tego, że mam nieskończone możliwości, że mam cza s... Nie ograniczały mnie moje błędy, zawsze wiedziałam, że mogę wrócić i coś zmienić, ulepszyć. Ale niczego nie ulepszyliśmy, prawda? Zmieniliśmy tylko parę rzeczy.

283

Jakiś głos perorował monotoniie w mglistym tle świadomości Jeffa. Nie miało znaczenia, do kogo ten głos należy ani co mówi.

Pamela nie żyła, już nigdy nie wróci. Ta myśl zalała jego umysł jak morska woda otwartą ranę, nappełniła go wszechogarniającym bólem, jakiego nie czuł, odkąd stracił córkę. Zacisnął pięści, opuścił głowę pod ciężarem niezaprzeczonej, nieznośnej prawdy... a głos nadal klepał swoją bezsensowną litanie:

- ...Charlie mógłby zdobyć reakcję burmistrza Kocha na wizytę Reagana w Bitburgu*. Może się rozpętać prawdziwa burza. Amerykański Legion jest wkurzony i w Kongresie zaczyna wrzeć. To... Jeff? Wszystko w porządku?

- Tak. - Na chwilę podniósł wzrok. - Nic mi nie jest. Mów dalej.

Znajdował się w sali narad nowojorskiej rozgłośni radiowej WFYI, gdzie był dyrektorem działu wiadomości, kiedy umarł po raz pierwszy. Siedział u szczytu długiego owalnego stołu; po bokach miał redaktorów serwisu porannego i południowego, a pozostałe krzesła zajmowali reporterzy. Nie widział tych ludzi od dziesięcioleci, ale natychmiast rozpoznał miejsce, sytuację. Przez lata prowadził co

rano to samo zebranie: odprawę, na której planowano, na ile było to możliwe, program na dany dzień. Gene Collins, zaczynający zmianę redaktor serwisu południowego, patrzył nań, z niepokojem marszcząc brwi.

- Na pewno dobrze się czujesz? Możemy skończyć, właściwie to już wszystko.
- Mów dalej, Gene. Naprawdę nic mi nie jest.
- No więc... To by było na tyle, jeśli chodzi o sprawy miejskie i lokalne. Na froncie krajowym mamy dziś rano start promu kosmicznego...
- Którego? - wychrypiał Jeff.
- Co? - zapytał zdumiony Gene.
- Który to prom?
- Discovery. No wiesz, ten z senatorem na pokładzie.

Dzięki Bogu chociaż za to. Jeff nie był pewien, czy tuż po ostatecznej śmierci Pameli zniósłby powtórkę chaosu i przy-

* Podczas oficjalnej wizyty w RFN Ronald Reagan odwiedził cmentarz wojskowy w Bitburgu, gdzie znajdują się groby żołnierzy Waffen SS.

284

gnębienia w redakcji w dniu katastrofy Challengera. Zresztą, gdyby myślał jasno, nie musiałby pytać; Reagan odwiedził Bit-burg wiosną 1985 roku, chyba w kwietniu. Do wybuchu promu było jeszcze dziewięć albo dziesięć miesięcy.

Wszyscy patrzyli na niego dziwnie, zastanawiając się, dlaczego jest taki roztargniony, zdezorientowany. Do diabła z tym. Niech sobie myślą, co chcą.

- Skończmy już, dobrze, Gene?

Redaktor skinął głową, zaczął zbierać rozrzucone papiery, które przyniósł na zebranie.

- Jedyne dobre pytanie poza tym to ten proces o gwałt w Illinois. Dotson wraca dziś do więzienia, a jego adwokat przygotowuje apelację. To wszystko. Ktoś ma pytania?
- Zebranie w kuratorium oświaty może się przeciągnąć - odezwał się jeden z reporterów. - Nie wiem, czy zdążę na drugą na to wręczenie nagród straży pożarnej. Mam się urwać z kuratorium czy strażaków załatwi ktoś inny?

- Jeff? - zapytał Collins.
- Wszystko mi jedno. Sam zdecyduj.

Gene ponownie zmarszczył brwi, otworzył usta, ale nic nie powiedział. Odwrócił się do reporterów, którzy zaczęli szeptać między sobą.

- Bill, zostań w kuratorium tak długo, jak będzie trzeba. Charlie, podskoczysz na tę strażacką uroczystość po rozmowie z burmistrzem. Wejdiesz z Kochem i Bitburgiem na żywo o pierwszej. Relację z wręczenia nagród przekażesz po jej zakończeniu. Aha, Jim, wóz numer cztery jest w warsztacie, weź siódemkę. Zebranie zakończyło się w ciszy, bez zwykłych żartów i hałaśliwego śmiechu. Reporterzy i kończący zmianę redaktor serwisu porannego wyszli z sali, rzucając szybkie, ukradkowe spojrzenia na Jeffa. Gene Collins siedział przy stole, przekładając swoje papiery.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytał w końcu.

Jeff potrząsnął głową.

- Nie ma o czym. Mówiłem ci, że nic mi nie jest.
- Jeśli to problemy z Lindą... Rozumiem cię. Wiesz, jaki ciężki okres przechodziliśmy parę lat temu z Carol. Bardzo mi

285

wtedy pomogłeś - Bóg wie, jak często suszyłem ci głowę - więc gdybyś chciał usiąść kiedyś przy piwie i pogadać, po prostu mi powiedz.

- Dzięki, Gene, doceniam twoją troskę, naprawdę. Ale jest to coś, z czym muszę uporać się sam.

Collins wzruszył ramionami, wstał zza stołu.

- Jak chcesz - powiedział. - Ale gdybyś miał ochotę ulżyć sobie rozmową, naprawdę się nie krepuj. Jestem twoim dłużnikiem.

Jeff krótko skinął głową i Collins wyszedł z pokoju, zostawiając go samego.

20.

Jeff rzucił pracę, porobił dość zakładów i inwestycji krótkoterminowych, aby przez najbliższe trzy lata Linda mogła dać sobie radę bez niego. Nie miał czasu zgromadzić dla niej dużego spadku; dziesięciokrotnie zwiększył wartość swojej polisy na życie i

na tym poprzestał.

Przeprowadził się do małego mieszkania na Upper West Side, całymi dniami i wieczorami spacerował po ulicach Manhattanu, chłonąc wszystkie widoki, zapachy i dźwięki ludzkości, od której tak długo się izolował. Najbardziej fascynowali go starszycy z oczami pełnymi odległych wspomnień i utraconych nadziei, przygarbieni w oczekiwaniu końca swego czasu.

Teraz, gdy Pamela odeszła, żal i obawy, które nękały ją pod koniec życia, powróciły, by równie głęboko trapić jego. Wtedy robił, co mógł, by ją uspokoić, złagodzić ból i przerażenie ostatnich dni, ale miała rację: mimo wszystkich ich wysiłków, wszystkich osiągnięć, ostateczny rezultat miał wartość zerową. Nawet szczęście, które udało im się wspólnie znaleźć, było fru-strująco krótkie. Kilka skradzionych tu i ówdzie lat, przelotne chwile miłości i zadowolenia niczym drobinki piany znikające w morzu samotnej, niepotrzebnej rozłąki.

Wydawało im się, że mają przed sobą całą wieczność, nieskończone możliwości i drugie szanse. Strwonili zbyt wiele cennego czasu, który im podarowano, zmarnowali go na gorycz i poczucie winy, na próżne poszukiwanie nie istniejących odpowiedzi - kiedy za całą odpowiedź powinna im być wystarczyć ich wzajemna miłość. Teraz nie będzie już miał nawet okazji, aby jej to powiedzieć, aby wziąć ją w ramiona i powtórzyć, jak bardzo ją szanował i kochał. Pamela nie żyła i za trzy lata on też umrze, nie dowiedziawszy się, po co żył.

Włóczył się po ulicach miasta, obserwując, słuchając. Ban-

287

dy wściekłych na świat łobuzów o twardym wyrazie oczu... mężczyźni w garniturach i kobiety w garsonkach, spieszący się, by osiągnąć cele, które sobie wyznaczyli... gromadki chichoczących dzieci, podnieconych nowością swego życia. Zazdrościł im wszystkim, zazdrościł im niewinności, niewiedzy, nadziei.

Kilka tygodni po odejściu Jeffa z WFYI zadzwoniła do niego jedna z koleżanek, kobieta - właściwie dziewczyna - która nazywała się Lydia Randall i pracowała w rozgłośni jako depešowiec. Stwierdziła, że wszyscy niepokoją się o niego, byli wstrząśnięci, kiedy złożył wymówienie, i zmartwili się jeszcze bardziej na

wiadomość, że jego małżeństwo się rozpadło. Jeff powiedział jej to samo co Gene'owi Collinsowi: że ma się dobrze. Ale Lydia nie dała za wygraną, nalegała, aby umówili się na drinka, bo chce z nim porozmawiać osobiście.

Spotkali się nazajutrz po południu w Sign of the Dove na rogu Trzeciej Alei i Sześćdziesiątej Piątej Ulicy, zajęli stolik przy oknie otwartym na cudownie słoneczny nowojorski czerwiec. Lydia miała na sobie białą bawełnianą sukienkę, która odsłaniała jej ramiona, i biały kapelusz z szerokim rondem, ozdobiony różową satynową wstążką. Była wyjątkowo ładną młodą kobietą o wielkich, jasnozielonych oczach i z burzą kręconych blond włosów.

Jeff wyrecytował bajeczkę, którą wysmażył, aby wyjaśnić swoje nagłe odejście z pracy, typową opowieść o dziennikarskim „wypaleniu” połączoną z półprawdami o niedawnym „szczęściu” na giełdzie. Lydia ze zrozumieniem kiwała głową, zdawała się brać jego słowa za dobrą monetę. Jeśli zaś chodzi o jego małżeństwo, ciągnął, praktycznie rozpadło się już dawno; nie mieli z żoną żadnych konkretnych problemów, które warto by roztrząsać, po prostu z biegiem lat odsunęli się od siebie. Lydia wysłuchiwała go z uwagą. Potem zamówiła następnego drinka i zaczęła mówić o sobie. Miała dwadzieścia trzy lata, przyjechała do Nowego Jorku tuż po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Illinois, mieszkała ze swoim chłopakiem stamtąd. Chłopak ten - miał na imię Matthew - chciał, aby się szybko pobrali, ale ona miała wątpliwości. Czuli się jak w pułapce”, potrzebowała „przestrzeni”, pragnęła poznawać nowych ludzi i przeżywać przygody, które ją ominęły, ponieważ dorastała

288

w małym miasteczku na Środkowym Zachodzie. Stwierdziła, że ona i Matthew nie są już tymi samymi ludźmi co dawniej; ma wrażenie, że go „przerosła”.

Jeff pozwolił jej się wygadać, wyliczyć wszystkie typowe kłopoty i tęsknoty młodości, które dla niej były nowe, przytłaczające i niesłychanie ważne. Brakowało jej dystansu niezbędnego, aby dostrzec, jak zwyczajna jest jej historia. Choć może miała już przebliski tej świadomości, skoro paliło ją pragnienie, aby uwolnić swoje życie od banału.

Jeff słuchał ze współczuciem, rozmawiał z nią ponad godzinę

0 zyciu, miłości i niezależności... tłumaczył, że musi sama podejmować decyzje, musi się nauczyć ryzykować, powiedział jej wszystkie oczywiste rzeczy, które należy powiedzieć komuś, kto po raz pierwszy w życiu staje przed uniwersalnym ludzkim dylematem.

Powiew wiatru z otwartego okna poruszył jej włosami, zarzucił wstążkę z kapelusza na twarz. Lydia ją odsunęła i ten gest, dziewczęcy ruch jej dłoni, nieoczekiwanie wzruszył Jeffa. W jej ożywionej ładnej buzi zobaczył nagle odbicie Judy Gordon

1 Lindy w dniu, gdy przyniosła mu margerytki: jasną obietnicę, rodzące się nie ukształtowane marzenia.

Dopili swoje drinki i odprowadził ją do taksówki. Wsiadając, podniosła ku niemu oczy i powiedziała, z całym optymizmem młodości, która sądzi, że będzie trwać wiecznie:

- Wszystko się ułoży. Mamy czas, żeby to jakoś rozwiązać. Mamy mnóstwo czasu. Jeff znał to złudzenie aż nadto dobrze. Uśmiechnął się z przymusem, uścisnął młodej kobiecie dłoń i patrzył, jak odjeżdża ku życiu z powiewającą swobodnie na wietrze długą różową wstążką.

Ze swego punktu obserwacyjnego w głębi peronu Jeff odnotował, że pociąg podmiejski linii Metro North zatrzymał się punktualnie co do minuty, i ruszył zwawo w stronę hali dworcowej, jakby też właśnie przyjechał. Mijając pociąg z New Rochelle, zwolnił nieco kroku. Wśród wysiadających pasażerów było sporo kobiet ubranych na zakupy, trochę studentów, ale nie widział niemal nikogo w garniturze, krawacie i z teczką: na dojeżdżających do pracy było już za późno.

289

Wysiadła z pociągu jako jedna z ostatnich. Zaczął się już martwić, że informacje, które otrzymał, są błędne. Była ubrana ładnie, ale bez fanatycznej troski o szczegóły typowej dla kobiet, które wybierały się do Bendela i Bergdorfa. Jej buty na niskim obcasie zaprojektowano do chodzenia, a jasnoniebieską płócienną sukienkę i lekki wełniany sweterek cechowała urocza praktyczność.

Idąc za nią peronem i przez ogromną halę główną dworca Grand Central, Jeff trzymał się dwadzieścia czy trzydzieści kroków w tyle. Bał się, że może ją zgubić, ale jej

wzrost i charakterystyczne proste blond włosy pomagały mu nie stracić jej z oczu, gdy osobno lawirowali w tłumie.

Wspięła się po szerokich schodach do gmachu Pan Am-u i podążając za nią przez jego mniej zatłoczony hall, Jeff zwolnił. Wyszła na Wschodnią Czterdziestą Piątą Ulicę, przecięła Park Avenue, minęła hotel Roosevelta, przeszła przez Madison i doszła do Piątej Alei, gdzie skręciła na północ. Wystawy Saksa i Cartiera zatrzymały ją tylko na krótkie chwile, podczas których Jeff udawał zainteresowanie ofertą koreańskich linii lotniczych i kompletami walizek Marka Crossa.

Na rogu Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy skręciła na zachód i weszła do Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Detektyw, którego Jeff wynajął sześć tygodni wcześniej, miał rację, przynajmniej jeśli chodzi o ten dzień: co drugi czwartek, powiedział mu, Pamela Phillips Robinson przyjeżdża pociągiem na Manhattan, aby spędzić popołudnie na zwiedzaniu galerii i muzeów.

Jeff kupił bilet i przechodząc przez bramkę, zauważył, że ma spocone dłonie. Teraz na chwilę ją zgubił.

Wciąż nie był pewien, dlaczego zadał sobie tyle trudu, aby ją zobaczyć, choć z daleka. Doskonale zdawał sobie sprawę, że ta kobieta nie jest Pamelą, którą znał i kochał, i że nigdy nią nie będzie. Jej powtórki dobiegły kresu. Nie mógł mieć nadziei, że ujrzy, jak jej twarz nagle się zmienia i rozjaśnia, ponieważ go rozpoznaje, jak tamtego wieczoru w studenckim barze, gdy zrozumiała, kim jest on, kim jest ona sama, kim i czym byli razem przez dziesięciolecia.

Nie, ta wersja Pameli na zawsze pozostanie nieświadoma tego wszystkiego; mimo to pragnął jeszcze raz spojrzeć jej w oczy,

290

może nawet przez chwilę usłyszeć jej głos. Ostatecznie uległ pokusie i nie czuł wstydu, że żywił to pragnienie, ani wyrzutów sumienia, że ją śledzi.

Najpierw zajrzał do muzealnego sklepu, na wypadek, gdyby Pamela wpadła tu tylko po jakąś książkę czy plakat, ale nie było jej wśród klientów. Wrócił do hallu, zerknął przez szklaną ścianę do Ogrodu Rzeźb i obszedł sale na parterze, a potem wjechał ruchomymi schodami wyżej. Oprócz znajomej ekspozycji stałej prezentowano dwie

wystawy czasowe: pierwsza upamiętniała stulecie urodzin Mięsa van der Rohe'a, druga była retrospektywą rzeźbiarza Richarda Serry. Jeff prawie nie zwracał uwagi na eksponaty; musiał odnaleźć Pamelę.

Na trzecim piętrze zobaczył coś, co sprawiło, że się uśmiechnął, mimo rosnącego zniecierpliwienia: na wystawie van der Rohe'a umieszczono liczne przykłady zaprojektowanych przez architekta mebli - między innymi fotel „Barcelona”, taki sam jak ten, który Frank Maddock wybrał do gabinetu Jeffa w Future Inc. przed tyłu laty.

Nadal ani śladu Pameli. Być może będzie musiał poczekać dwa tygodnie, aż znów przyjedzie do miasta, pójść za nią do innego muzeum albo zaaranżować jakieś przelotne, pozornie przypadkowe spotkanie na dworcu... Tylko na chwilę, aby objąć spojrzeniem jej twarz, usłyszeć, jak mówi: „Przepraszam” albo: „Jest za dwadzieścia dwunasta”.

Wróciwszy na drugie piętro, Jeff przystanął, aby odpocząć, oparł się o barierkę, wyjrzał przez wielką szklaną ścianę... i w Ogrodzie Rzeźb poniżej zobaczył kask jej płowych włosów i błękitną plamę płóciennej sukienki.

Kiedy zjechał na dół, nadal była w Ogrodzie. Stała ze skrzyżowanymi rękami przed jedną z rzeźb Serry. Jeff zatrzymał się kilka metrów od niej, miotany tysiącem sprzecznych uczuć i wspomnień. Wtem Pamela niespodziewanie odwróciła się do niego i zapytała:

- Co pan o niej sądzi?

Nie zastanawiał się, co zrobi czy powie, jeśli Pamela nawiąże z nim rozmowę, w ogóle nie myślał, co będzie dalej, kiedy już spojrzy, choćby przelotnie, w przenikliwie zielone oczy, które tak dobrze znał - nie, przypomniał sobie z całą mocą, nie zna

291
tych oczu wcale, kryje się za nimi dusza, która jest i zawsze będzie dla niego zamknięta. Ta kobieta znała tylko pojedyncze życie - mające się wkrótce skończyć, skończyć ostatecznie, bez powtórek - w którym on nie odgrywał żadnej roli.

- Spytałam, co pan sądzi o tej rzeźbie.

Bezpośrednia jak zawsze; uświadomił sobie, że jest to jej

wrodzona cecha, nie coś, co zaszczepiło w niej doświadczenie powtórek.

- Trochę zbyt surowa jak na mój gust - odrzekł w końcu, myśląc o wszystkim, tylko nie o dziele sztuki.

W zadumie skinęła głową.

- Większość jego prac zawiera w sobie jakby groźbę - powiedziała. - Weźmy tę rzeźbę, Delineator II. Tę z jedną wielką stalową płytą na podłodze i drugą przyśrubowaną do sufitu. Myślałam tylko o tym, co by się stało, gdyby górna płyta obluzowała się i spadła. Gdyby ktoś był wtedy pod nią, zmiażdżyłaby go.

Nie mógł tak stać i prowadzić z nią muzealnej pogawędki. Jego umysł przeskakiwał od obrazu do obrazu z ich wspólnego życia: uśmiechnięta Pamela w kabinie szybowca, Pamela w kuchni na Majorce, w wielu łóżkach, które dzielili przez lata... jakby, siłą pamięci, stworzył wewnętrzną replikę instalacji wideo, którą niegdyś ona sama wystawiła w galerii.

- Albo tamta - ciągnęła - Obwód II. Wiem, że chodziło o uzyskanie ciekawego podziału przestrzeni, ale patrząc na te ostre stalowe prostokąty sterczące ze wszystkich rogów, czułam się tak, jakby otaczały mnie ostrza gilotyny. - Parsknęła swobodnym, autoironicznym śmiechem. - Zresztą nie wiem, może po prostu mam wyjątkowo niezdrową wyobraźnię.

- Nie - zaprzeczył Jeff, odzyskując panowanie nad sobą. - Wiem, co ma pani na myśli. Czułem się tak samo. Serra ma bardzo agresywny styl.

- Za bardzo agresywny. Przeszkadza mi to w obiektywnej ocenie samych form.

- Ta rzeźba wygląda tak, jakby mogła się w każdej chwili przewrócić - stwierdził Jeff.

- Owszem. I to na nas.

Roześmiał się wbrew sobie, nagle poczuł się w jej towarzystwie-292

tych oczu wcale, kryje się za nimi dusza, która jest i zawsze będzie dla niego zamknięta. Ta kobieta znała tylko pojedyncze życie - mające się wkrótce skończyć, skończyć ostatecznie, bez powtórek - w którym on nie odgrywał żadnej roli.

- Spytałam, co pan sądzi o tej rzeźbie.

Bezpośrednia jak zawsze; uświadomił sobie, że jest to jej

wrodzona cecha, nie coś, co zaszczepiło w niej doświadczenie powtórek.

- Trochę zbyt surowa jak na mój gust - odrzekł w końcu, myśląc o wszystkim, tylko nie o dziele sztuki.

W zadumie skinęła głową.

- Większość jego prac zawiera w sobie jakby groźbę - powiedziała. - Weźmy tę rzeźbę, Delineator II. Tę z jedną wielką stalową płytą na podłodze i drugą przyśrubowaną do sufitu. Myślałam tylko o tym, co by się stało, gdyby górna płyta obluzowała się i spadła. Gdyby ktoś był wtedy pod nią, zmiażdżyłaby go.

Nie mógł tak stać i prowadzić z nią muzealnej pogawędki. Jego umysł przeskakiwał od obrazu do obrazu z ich wspólnego życia: uśmiechnięta Pamela w kabinie szybowca, Pamela w kuchni na Majorce, w wielu łóżkach, które dzielili przez lata... jakby, siłą pamięci, stworzył wewnętrzną replikę instalacji wideo, którą niegdyś ona sama wystawiła w galerii.

- Albo tamta - ciągnęła - Obwód II. Wiem, że chodziło o uzyskanie ciekawego podziału przestrzeni, ale patrząc na te ostre stalowe prostokąty sterczące ze wszystkich rogów, czułam się tak, jakby otaczały mnie ostrza gilotyny. - Parsknęła swobodnym, autoironicznym śmiechem. - Zresztą nie wiem, może po prostu mam wyjątkowo niezdrową wyobraźnię.

- Nie - zaprzeczył Jeff, odzyskując panowanie nad sobą. - Wiem, co ma pani na myśli. Czułem się tak samo. Serra ma bardzo agresywny styl.

- Za bardzo agresywny. Przeszkadza mi to w obiektywnej ocenie samych form.

- Ta rzeźba wygląda tak, jakby mogła się w każdej chwili przewrócić - stwierdził Jeff.

- Owszem. I to na nas.

Roześmiał się wbrew sobie, nagle poczuł się w jej towarzy-

292

stwie równie swobodnie jak wtedy, gdy... znów świadomie powstrzymał swoje myśli. Nie było sensu wspominać tamtych chwil, chwil spędzonych z kimś, kogo ta kobieta przypominała jedynie z wyglądu. A jednak, a jednak... Miała to samo ironiczne poczucie humoru, spod jej chłodnej, analitycznej umysłowości emanowało to samo

ciepło... Chociaż nie mogła pamiętać wszystkiego, co razem przeżyli, rozmowa z nią sprawiała mu przyjemność.

- Mam propozycję - powiedział. - Może wyjdziemy spod tego paskudztwa, zanim się na nas zwali, i zjemy razem lunch?

Zjedli w kafeterii wychodzącej na Ogród Rzeźb, pośmiali się jeszcze trochę z jawnie groźnego charakteru prac Serry, ponarzekali na rosnącą niechęć muzeum do prezentowania nowszych artystów. Jeff pomógł jej włożyć sweter, kiedy na ogród padł cień górującego nad muzeum drapacza chmur. Robiąc to, niechcący musnął dłonią jej włosy i z trudem się powstrzymał, aby nie pogłodzić tej znajomej, dawno utraconej twarzy.

Mówiła o swojej porzuconej karierze artystycznej, o frustracjach i radościach wychowywania dzieci. Dostrzegał w jej oczach niepokój, dręczące poczucie, że nie przeżywa swego życia w pełni; życia, które - jak Jeff wiedział - miało się wkrótce skończyć. Jakże pragnął jej powiedzieć, ile kiedyś osiągnęła.

Kiedy skończyli lunch, zapadło niezręczne milczenie.

- No więc - odezwał się, chcąc przedłużyć to spotkanie, ale nie wiedząc jak. - Było bardzo przyjemnie.

- Owszem - przyznała, bawiąc się niepewnie łyżeczką do kawy.

- Często przyjeżdżasz do miasta?

- Parę razy w miesiącu.

- Może moglibyśmy... - urwał; nie był pewien, co proponuje i czy w ogóle powinien cokolwiek proponować.

- Co moglibyśmy? - zapytała po chwili ciszy.

- Nie wiem. Pójść do innego muzeum. Znów zjeść razem lunch.

Przełożyła łyżeczkę z ręki do ręki.

- Mam męża.

- Wiem.

293

- Nie jestem... To znaczy, nie mogę...

Uśmiechnął się, podał jej papierową serwetkę.

- Po co mi ją dajesz? - spytała zaskoczona.

- Żebyś ją podarła na maleńkie kawałeczki.

Raptownie wybuchnęła śmiechem, a potem przyjrzała mu się ze zdumieniem.

- Skąd wiedziałeś, że... - Powoli pokręciła głową. - Chwilami mam wrażenie, że czytasz w moich myślach. Jak wtedy, gdy spytałeś, czy kiedykolwiek malowałam delfiny. Nie mówiłam ci, jak bardzo lubię morskie ssaki.

- Po prostu domyśliłem się tego.

Teatralnym gestem przedarła serwetkę na pół i popatrzyła na niego z zaciekawieniem, rozbawieniem i nagłym zdecydowaniem.

- W muzeum Guggenheima jest wystawa Jacka Younger-mana - powiedziała. - Może za tydzień przyjadę ją obejrzeć.

Piżmowo-ciepły zapach ich miłości przywarł do niego, wypełnił sypialnię i otworzył aromatyczny katalog reminiscencji. Ta ostra, lecz słodka woń przywiodła żywe wspomnienia nocy pod grubymi kocami w chacie w Montgomery Creek, gorących jasnych dni na pokładzie jachtu zacumowanego wśród florydzkich wysepek, niedzielnych poranków w łóżku ich apartamentu w hotelu Pierre... i wreszcie popołudni, roku kradzionych popołudni, tutaj, w jego mieszkaniu.

Jeff popatrzył na jej twarz spoczywającą na jego piersi; oczy miała zamknięte, a usta rozchylone jak śpiące dziecko. Mimo woli przypomniały mu się wiersze zBhagawadgity, które zacytowała z takim przejęciem tamtego pierwszego wieczoru w swoim ustronnym domu w kanionie Topanga:

Wiele minęło mych narodzin, i twoich także, Ardżuno

Podczas gdy ja znam je wszystkie, ty nie znasz ich wcale.

Pamela poruszyła się w jego ramionach, przeciągnęła się, mrużąc z zadowoleniem, przytuliła się do niego jak przymilny kociak.

- Która godzina? - zapytała, ziewając. 294

- Dwadzieścia po szóstej.

- Cholera - mruknęła, siadając na łóżku. - Muszę się zbierać.

- Przyjedziesz we wtorek?

- Odwołali mi zajęcia, ale... nie powiedziałam o tym w domu. Możemy spędzić razem cały dzień.

Jeff uśmiechnął się, spróbował zrobić zadowoloną minę. Przyszły wtorek. Cały dzień razem. Słabe, słodko-gorzkie echa przeszłości; ale, oczywiście, nie mogła o tym wiedzieć.

- Może dokończę wtedy obraz - dodała, wyslizgując się z pościeli i zbierając porzucane ubranie.

- Kiedy będę mógł go zobaczyć?

- Kiedy będzie gotów. Obiecałeś.

Skinął głową, czując lekkie wyrzuty sumienia, że poprzedniego dnia podejrział zakryte płótno. Odkąd Pamela znów zaczęła regularnie malować i chodzić na zajęcia z kompozycji na Uniwersytecie Nowojorskim, zrobiła duże postępy; ale nie mogła już osiągnąć takiego poziomu umiejętności, takich śmiałych wzlotów geniuszu wyobraźni, jak w innych, nie pamiętanych egzystencjach.

Obraz, który prawie skończyła, pokazywał ich oboje nago, ze splecionymi dłońmi, roześmianych i biegnących przez prześwieślony słońcem tunel białych pergoli oplecionych winną latoroślą. Jeffa wzruszyła jego prostota, naiwność swobodnej radości, którą przedstawiał. Było to dzieło artystki, która dopiero zaczęła kochać, która nie miała jeszcze okazji sprawdzić, co może dać jej ta miłość i samo życie. Czas, który spędzili razem od tego pierwszego nie zaplanowanego spotkania w muzeum, był z konieczności ograniczony: jedno lub dwa popołudnia w tygodniu w jego mieszkaniu, rzadkie wspólne noce, kiedy mówiła mężowi, że chce zostać w mieście na jakiś koncert albo sztukę... I raz, tylko raz, wyjechali razem na długi weekend na Cape Cod. Powiedziała wtedy rodzinie, że była w Bostonie, w odwiedzinach u koleżanki ze studiów.

Możliwość wzięcia przez nią rozwodu poruszyli tylko raz, przelotnie. Jeff wiedział, że Pamela nie dojrzała do tak drastycznego kroku. Poza tym zbyt wiele ich dzieliło, między ich

Pamela zdawała się ją mgliście wyczuwać, w nieobecnym wyrazie twarzy Jeffa, w jego nagłym milczeniu.

Kochał ją, autentycznie kochał ją taką, jaka była teraz, nie tylko jako odbicie wszystkich tych innych Pamel z innych egzystencji... ale stałe przypomnienie w nieświadomym spojrzeniu jej oczu, że nie wie, co wspólnie przeszli, zaprawiało melancholią wszystko, co robili.

Skończyła się ubierać i czesała swe potargane w łóżku piękne proste włosy. W ilu lustrach widział, jak to robi? Ile razy? Więcej, niż ona mogła sobie wyobrazić, niż on mógł wspomnieć bez bólu.

- Do zobaczenia za tydzień - powiedziała, nachylając się, aby go pocałować i wziąć torebkę z nocnego stolika. - Spróbuję przyjechać wcześniejszym pociągiem. Odwzajemnił pocałunek, dłuższą chwilę przytrzymał jej jasną twarz w dłoniach, myśląc o latach i dziesięcioleciach, o ich wspólnych nadziejach i planach, ziszczonych i zniweczonych...

Ale za tydzień spędzą razem cały dzień; ciepły, wiosenny dzień. Miał na co czekać. Pierwsze tchnienie zimy wiało od jeziora w Central Parku, poruszając czerwone i żółte liście drzew na Cherry Hill. Fontanna na tarasie bulgotała chłodną wodą, gdy Jeff i Pamela ją minęli, zmierzając w stronę eleganckiego żeliwnego łuku mostu Bow. Przeszli przez most, powędrowali na północ leśnymi alejkami Ramble, zostawiając jezioro po lewej stronie. Wokół nich świergotały z podnieceniem setki ptaków, szykujących się do długiej podróży na południe.

- Szkoda, że nie możemy do nich dołączyć - stwierdziła Pamela, przytulając się do Jeffa. - Polecieć na jakąś wyspę albo do Ameryki Południowej...

Nic nie odpowiedział, po prostu objął ją mocniej w talii opiekuńczym ramieniem.

Miał jednak gorzką pewność, że nie może zapewnić im opieki przed tym, co wkrótce ich czeka.

Przystanęli na moście Balcony na północnym krańcu jeziora,

296

popatrzyli na leśne tereny za nim i w wodę, w której odbijały się wieżowce Manhattanu.

- Wiesz co? - wyszeptała Pamela, z twarzą tuż przy jego twarzy.
- Co?
- Powiedziałam Steve'owi, że w przyszłym tygodniu znów odwiedzę w Bostonie moją dawną współlokatorkę. Od piątku do poniedziałku. Jeśli chcesz, naprawdę możemy gdzieś polecieć.
- To... wspaniale.

Co mógł powiedzieć? Byłoby szczytem okrucieństwa wyjawić jej, co wie: że widzą się po raz ostatni. W najbliższy czwartek, za pięć dni, oboje na zawsze przestaną istnieć.

- Nie słyszę, żebyś się cieszył - mruknęła, marszcząc brwi.

Jeff przywołał na twarz uśmiech, próbując zamaskować swój ból i lęk. Niech trwa w naiwnej wierze, że ma przed sobą wiele lat życia. Teraz, na koniec, najwspanialszym darem, jaki mógł jej ofiarować, było kłamstwo.

- To cudownie - powiedział z udawanym entuzjazmem. - Po prostu mnie zaskoczyłaś. Możemy jechać wszędzie, naprawdę wszędzie. Na Barbados, do Acapulco, na Bahamy... gdzie tylko chcesz.

- Wszystko mi jedno - odparła, przywierając do niego. - Byle było tam ciepło i spokojnie, i bylebym była z tobą.

Wiedział, że jeśli znów się odezwie, jego głos zbyt wiele zdradzi. Więc tylko ją pocałował, włożył cały swój bolesny smutek w ostatni, namacalny wyraz wszystkiego, co kiedykolwiek do niej czuł, wszystkiego, co wspólnie z nią...

Nagle jęknęła, zaczęła się bezwładnie osuwać. Chwyił ją za ramiona, aby nie upadła na ziemię.

- Pamela? Boże, nie, co...

Odzyskała równowagę, odchyliła głowę i zszokowana popatrzyła na niego.

- Jeff? O Jezu, Jeff?

Ujrzał w jej rozszerzonych oczach wszystko: zrozumienie, poznanie, pamięć. Wiedza i ból nagromadzone podczas ośmiu różnych egzystencji rozlały się po jej twarzy, wykrzywiły usta w nagłej konsternacji.

Rozejrzała się dookoła, zobaczyła park, nowojorskie wieżowce. Jej oczy napęłniły się łzami, znów poszukały oczu Jeffa.

- Miałam już nie... To miał być koniec!

- Pamelo...

- Który jest rok? Ile mamy czasu?

Nie mógł tego przed nią ukryć, miała prawo wiedzieć.

- 1988.

Znów popatrzyła na drzewa, na miedziane liście wirujące wokół nich.

- Jest już jesień!

Przyglądził jej zmierzwione przez wiatr włosy; chciał choć na chwilę oddalić prawdę, skoro nie mógł jej zaprzeczyć.

- Październik - powiedział łagodnie. - 13 października.

- To... to tylko pięć dni!

- Tak.

- To nie fair - załkała. - Ostatnim razem byłam przygotowana, prawie się pogodziłam z... - Urwała, popatrzyła na niego z nowym oszołomieniem. - Co tu robimy razem? - spytała. - Dlaczego nie jestem w domu?

- Musiałem cię zobaczyć.

- Całowałeś mnie - stwierdziła oskarżycielskim tonem. - Całowałeś ją, osobę, którą byłam wcześniej!

- Myślałem, że...

- Nie obchodzi mnie, co myślałeś - warknęła, uwalniając się z jego objęć. -

Wiedziałaś, że to nie byłam ja, jak mogłeś zrobić coś tak... tak perwersyjnego?

- To byłeś ty - zaoponował. - Niczego nie pamiętałaś, ale to byłeś ty...

- Jak możesz tak mówić?! Jak długo to trwało? Kiedy to zaczęłaś?

- Prawie dwa lata temu.

- Dwa lata! Wykorzystywałeś mnie jak jakiś przedmiot, jak...

- To nie było tak, ani trochę! Kochaliśmy się, znów zaczęłaś malować, wróciłaś na studia...

- Nieważne, co robiłam! Oszukałeś mnie, uwiodłeś, ukradłeś rodzinie... i

świetnie wiedziałeś, jak do tego doprowadzić, za jakie sznurki pociągać, żeby na mnie wpłynąć, żeby... mieć nade mną władzę!

298

&

- Pamel, proszę. - Chwycił ją za ramię, aby się uspokoiła, pozwoliła sobie wytłumaczyć. - Wszystko przekręcasz, ja...

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła, wycofując się z mostku, na którym stali przytuleni zaledwie kilka chwil wcześniej. - Daj mi spokój i pozwól mi umrzeć! Umrzemy oboje i niech się to wreszcie skończy!

Próbował ją zatrzymać, ale mu się wyrwała. Ostatnia nadzieja jego ostatniego życia przepadła, zginęła na ścieżce prowadzącej do Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy, do anonimowego, żarłocznego miasta... do śmierci, nieodwołalnej i pewnej śmierci.

21.

Jeff Winston umarł, samotnie; ale nie był to jeszcze koniec. Ocknął się w swoim gabinecie w WFYI, gdzie tak gwałtownie została przerwana pierwsza z jego wielu egzystencji. Grafiki reporterskich dyżurów na ścianie, ramka ze zdjęciem Lindy na jego biurku, szklany przycisk do papieru, który wówczas wyszczerbił, gdy łapiąc się za serce, upuścił słuchawkę telefonu. Spojrzał na elektroniczny zegar stojący na półce.

12:57 18 PAŹ 1988

Dziewięć minut życia. Zdaży najwyżej pomyśleć o czekającym go bólu i nicości. Zaczęły mu drżeć ręce, łzy zakręciły się w oczach.

- Jeff, co do tej nowej kampanii... - Szef promocji, Ron Swee-ney, stał w otwartych drzwiach, wpatrując się w niego. - Jezu, jesteś blady jak śmierć! Co się dzieje?

Jeff ponownie spojrział na zegar.

13:02 18 PAŹ 1988

- Wyjdź stąd, Ron.

- Przynieść ci Alka-Seltzer czy coś? Może wezwać lekarza?

- Wynoś się!
- Przepraszam, ja tylko...

Sweeney wzruszył ramionami, zamknął za sobą drzwi.

Drżenie rozprzestrzeniło się z dłoni Jeffa na jego barki, potem na plecy. Zamknął oczy, przygryzł górną wargę i poczuł smak krwi.

Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę trzęsącą się ręką, zamknął wielki cykl, który rozpoczął się tyle egzystencji wcześniej.

300

— Jeff - powiedziała Linda — powinniśmy... Niewidzialny młot spadł na jego pierś i znów go zabił.

Kiedy się ocknął, spojrzał w panice na czerwone cyfry jarzące się po drugiej stronie pokoju.

13:05 18 PAŹ 1988

Rzucił przyciskiem do papieru w zegar, stłukł jego prostokątną plastikową tarczę. Telefon zadzwonił i nie przestawał dzwonić. Jeff zagłuszył ten dźwięk krzykiem, nieartykułowanym zwierzęcym wyciem, a potem umarł, i ocknął się już ze słuchawką w dłoni, usłyszał głos Lindy i umarł jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze: życie i umieranie, świadomość i pustka, następujące po sobie tak szybko, że ledwo nadażał z ich rejestrowaniem, przedzielone rozdzierającym bólem w piersi.

Znękany umysł Jeffa błagał o jakieś uwolnienie, lecz na próżno; szukał ucieczki, czy w szaleństwo, czy w nicość, nie miało to już znaczenia... Wciąż jednak widział, słyszał i czuł, pozostawał świadom swojej męki, zawieszony bez wytchnienia w straszliwej otchłani nie-życia, nie-śmierci, w wiecznej, paraliżującej chwili agonii.

- Powinniśmy... - usłyszał głos Lindy - ...porozmawiać.

Odczuwał gdzieś ból. Minęła chwila, nim odkrył jego źródło:

dłoń, spocona, sztywna jak kleszcze, zaciśnięta na słuchawce. Rozluźnił uścisk i ból zelżał.

- Jeff? Słyszałeś, co powiedziałam?

Spróbował się odezwać, ale wydał z siebie tylko jakiś gardłowy dźwięk, na wpół jęk, na wpół chrząknięcie.

- Powinniśmy porozmawiać - powtórzyła Linda. - Powinniśmy oboje usiąść i szczerze pomówić o naszym małżeństwie. Nie wiem, czy da się je jeszcze uratować, ale uważam, że warto podjąć tę próbę.

Jeff otworzył oczy, popatrzył na zegar stojący na półce.

/ 13:07 18 PAŹ 1988

301

- Odpowiesz mi? Rozumiesz, jakie to dla nas ważne?

Cyfry na tarczy zegara przeskoczyły bezgłośnie, pokazały 13:08.

- Tak - powiedział, z trudem formułując słowa. - Rozumiem. Porozmawiamy. Linda powoli wypuściła powietrze z płuc.

- Powinniśmy byli to zrobić dawno temu, ale może nie jest jeszcze za późno.

- Zobaczymy.

- Myślisz, że mógłbyś wrócić dzisiaj wcześniej?

- Spróbuję - odparł Jeff z suchym, ściśniętym gardłem.

- Więc do zobaczenia - powiedziała Linda. - Musimy omówić wiele spraw.

Jeff odłożył słuchawkę, wciąż wpatrując się w zegar. Cyfry przeskoczyły na 13:09.

Położył dłoń na piersi, wyczuł równe bicie serca. Żył. Żył i czas podjął swój naturalny bieg.

A może nigdy go nie przerwał? Może miał atak serca, ale tylko lekki, i po prostu doznał halucynacji. Takie rzeczy się zdarzają; sam porównał się do tonącego, któremu przesuwiają się przed oczyma wydarzenia z jego życia, na poły spodziewał się czegoś takiego, gdy poczuł pierwsze ukłucie bólu. Ludzki mózg jest zdolny do nadzwyczajnych wzlotów wyobraźni, potrafi stwarzać wrażenie, że czas kurczy się i rozszerza, zwłaszcza w chwilach śmiertelnego kryzysu.

Oczywiście, pomyślał, i z ulgą wytarł spocone czoło. To miało sens, znacznie większy niż uznanie, że naprawdę przeżył wszystkie te powtórki, doświadczył wszystkich tych...

Znów zerknął na telefon. Był tylko jeden sposób, aby to sprawdzić. Czując się trochę głupio, wykręcił numer informacji okręgu Westchester.

- Jakie miasto? — spytała telefonistka.
- New Rochelle... Robinson. Steve albo Steven Robinson.

Po chwili ciszy na linii rozległ się trzask i monotony komputerowy głos podał mu numer.

Może gdzieś słyszał to nazwisko, na przykład w wiadomościach. Mogło utkwić mu w głowie, by tygodnie czy miesiące później wplótł je subtelnie w swoje urojenia.

302

Wykręcił numer, który uzyskał w informacji. Odebrała jakaś dziewczynka, wyraźnie zakatarzona.

- Czy zastałem twoją mamę? - zapytał Jeff.
- Chwileczkę. Mamusiu! Telefon!

Na linii odezwał się kobiecy głos, stłumiony i zniekształcony, zdyszany.

- Halo, słucham?

Nie potrafił stwierdzić, czy to ona; oddychała tak szybko i płytko.

- Czy to... Pamela Robinson? Pamela Phillips?

Cisza. Przestał słyszeć nawet jej oddech.

- Kimberly - powiedziała kobieta - możesz odłożyć słuchawkę. Już czas, żebyś wzięła następny Contac i to lekarstwo na kaszel.
- Pamela? - zapytał Jeff, kiedy dziewczynka się rozłączyła. -Mówi...
- Wiem. Witaj, Jeff.

Zamknął oczy, wciągnął powietrze głęboko w płuca i powoli je wypuścił.

- Więc... to się zdarzyło naprawdę? Wszystko? Gwiazdne morze i Montgomery Creek, i Russell Hedges? Wiesz, o czym mówię?
- Tak. Sama nie byłam tego pewna, dopóki nie usłyszałam twojego głosu. Boże, Jeff, zaczęłam umierać raz po raz, tak szybko, to było...
- Wiem. Przeżyłem to samo. Ale wcześniej, naprawdę pamiętasz wszystko, co przeszliśmy, wszystkie powtórki?
- Co do jednej. Byłam lekarką, i malarką... ty pisałeś książki, oboje...
- Szybowaliśmy.
- To też. - Usłyszał jej westchnienie, długi, głuchy dźwięk pełen żalu, znużenia i

czegoś jeszcze. - Co do tego ostatniego dnia, w Central Parku...

- Myślałem, że to mój ostatni raz. Myślałem, że odeszłaś. Na zawsze. Musiałem spędzić te ostatnie chwile z tobą, nawet jeśli była to tylko... część ciebie, która tak naprawdę mnie nie знаła.

Nic nie odpowiedziała i po kilku sekundach cisza zawisła między nimi jak niegdyś stracone lata.

303

- Co teraz zrobimy? - zapytała w końcu Pamela.

- Nie wiem - odparł Jeff. - Nie mogę jeszcze zebrać myśli, a ty?

- Ja też nie - przyznała. - Nie wiem, co w tej chwili byłoby najlepsze, dla każdego nas. - Urwała, zawahała się. - Wiesz... Kimberly nie poszła dziś do szkoły - stąd to ona odebrała telefon - ale nie tylko dlatego, że jest przeziębiona. Wczoraj po raz pierwszy dostała okres. Umarłam, kiedy stała się kobietą. I teraz...

- Rozumiem - wtrącił Jeff.

- Nigdy nie widziałam, jak dorasta. A Christopher właśnie zaczyna liceum... Te lata są dla nich bardzo ważne.

- Jest za wcześnie, aby którekolwiek z nas mogło robić jakieś konkretne plany - stwierdził Jeff. - Wiele rzeczy jeszcze do nas nie dociera i musimy dojść z nimi do ładu.

- W każdym razie cieszę się, że... że nie uroiłam sobie tego wszystkiego.

- Pamela... - Szukał słów, które wyraziłyby wszystko, co czuł. - Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo...

- Wiem. Nie musisz nic więcej mówić.

Delikatnie odłożył słuchawkę, długo się w nią wpatrywał. Było możliwe, że przeszli razem zbyt wiele, widzieli, wiedzieli i dzielili tyle, że nic w tym świecie temu nie dorówna. Wygrywanie i przegrywanie, zdobywanie i tracenie...

Pamela powiedziała kiedyś: „Niczego nie ulepszyliśmy. Zmieniliśmy tylko parę rzeczy". Nie była to do końca prawda. Czasem ich działania miały pozytywne skutki, dla nich i dla świata, czasem negatywne, a najczęściej ani takie, ani takie. Każda powtórka była inna, jak inny i nieprzewidywalny jest każdy wybór. Ale musieli tych

wyborów dokonywać. Nauczył się akceptować potencjalne straty, w nadziei, że zyski je przeważą. Wiedział, że jedyną prawdziwą i naprawdę bolesną klęską byłoby nie ryzykować wcale.

Podniósł wzrok i zobaczył swoje odbicie w przydymionej szybie regału: włosy przyprószone siwizną, niewielkie worki pod oczami, pierwsze zmarszczki na czole. Te oznaki wieku już nigdy nie zostaną usunięte; będą się tylko pogłębiać i mnożyć: nowe, niezacieralne hieroglify utraconej młodości wypisywane na jego twarzy i ciele z każdym mijającym rokiem.

304

Ale z drugiej strony, dumał, te lata będą świeże i nowe. Rozpościerał się przed nim wachlarz zmiennych, nieprzewidywalnych wydarzeń i doznań, które dotychczas były dlań niedostępne. Nowe filmy i sztuki, nowe wynalazki, nowa muzyka -Chryste, jakże pragnął usłyszeć piosenkę, jakąkolwiek piosenkę, której jeszcze nie znał! Niepojęty cykl, w który on i Pamela zostali schwytani, okazał się formą niewoli, nie wolności. Dali się złapać w pułapkę zwodniczego luksusu posiadania nieograniczonych przyszłych możliwości. Jak Lydia Randall, która w ślepej naiwności swych dwudziestu trzech lat zakładała, że wszystkie życiowe opcje będą zawsze dla niej dostępne. „Mamy mnóstwo czasu”, usłyszał jej słowa, a potem echo swojej obietnicy skierowanej do Pameli: „Następnym razem... następnym razem”. Teraz wszystko się zmieniło. Nie będzie następnego razu. Miał tylko ten raz, ten pojedynczy, skończony czas, o którego kierunku i wyniku nie wiedział absolutnie nic. Nie zmarnuje i nie weźmie za oczywistą ani jednej jego chwili.

Przeszedł ze swojego gabinetu do kipiącego życiem pokoju redakcyjnego. Stało tam na środku wielkie biurko w kształcie podkowy, przy którym siedział Gene Collins, redaktor serwisu południowego, otoczony przez monitory komputerów migające nieprzerwanymi doniesieniami AP, UPI i Reutera oraz telewizory nastawione na CNN i trzy pozostałe stacje. Czuwał nad konsolą zapewniającą łączność z reporterami rozgłośni w terenie i korespondentami w Los Angeles, Bejrucie, Tokio... Jeff poczuł, jak przenika go elektryzująca świeżość ponownie nieprzewidywalnego świata. Minął go depešowiec, biegnący z zielonym biuletynem informacyjnym do

kabiny spikera. Zdarzyło się coś ważnego - może doszło do jakiejś katastrofy, może dokonano wspaniałego odkrycia, które przyniesie ludzkości niezrównane korzyści. Cokolwiek to było, Jeff wiedział, że zaskoczy go tak samo jak wszystkich innych. Wieczorem porozmawia z Lindą. Należało się jej, i jemu, przynajmniej tyle, chociaż nie był pewien, co powie. Nie był już pewien niczego i ta świadomość przyprawiała go o dreszcz podniecenia. Mógł znów spróbować z Lindą, mógł pewnego dnia wrócić do Pameli, mógł zmienić pracę. Liczyło się wyłącznie to,

305

że te ćwierć wieku, czy ile tam, które mu pozostało, będzie jego życiem, życiem, które przeżyje tak, jak zechce i jak będzie najlepiej dla niego. Nic nie było od tego ważniejsze: ani praca, ani przyjaźnie, ani związki z kobietami. Te rzeczy były składnikami jego życia, cennymi składnikami, ale go nie definiowały ani nim nie rządziły. To należało do niego i tylko to niego.

Możliwości, jak wiedział, były nieskończone.

EPILOG

Peter Skjaren ocknął się, mając świeżo w pamięci swój szok i potworny ból. Był w interesach w Republice Bantu, jadł lunch z wiceministrem handlu w Mandela City, kiedy... kiedy umarł. Padł twarzą na stół, wylał swojego drinka na spodnie rządowego oficjela - zauważył to, zawstydzził się, mimo miazdzącego ucisku w piersi... a potem była już tylko otoczona czerwienią ciemność... i nicość.

Do tej chwili. Znajdował się w sklepie Karla Johansgate'a, z powrotem w Oslo, gdzie uczył się zawodu, gdzie odkrył w sobie powołanie do handlu.

W sklepie, który zburzono przed dwudziestu laty, aby wybudować na jego miejscu dom mieszkalny.

Peter otworzył leżącą przed nim księgę rachunkową, spojrzął na datę, popatrzył na swoje ręce i zobaczył młode, gładkie dłonie, palec serdeczny bez obrączki.

To wszystko jeszcze się nie zdarzyło. Lawina w Szwajcarii nie odebrała mu syna, Edvarda, noce melancholii nie wpędziły jego żony Signe w beznadziejną spiralę alkoholizmu. Nie miał syna, nie miał żony. Miał tylko jasną, nową przyszłość, której

pułapki i możliwości znał na pamięć, i mógł ich uniknąć albo je wykorzystać, w zależności od sytuacji.

Te lata, te znajome i dawno minione lata od 1988 do 2017 roku, znów należały do niego, i miał świadomość błędów, które popełnił wcześniej. Tym razem, przyrzekł sobie Peter Skjoren, przeżyje swoje życie jak należy.